

A FRONT



Kwartalnik literacko-artystyczny

Nr 3(9)
2019

ISSN 2544-3070

POEZJA

Spis treści

Poezja

Noty autorskie	3
Kreskonauta – rysunek	8
W(y)stępniak	9
Leo Butnaru – „Pośród setek masztów”, „Po kolei”, „Swobodnie”, „Poza”, „Sens sensów”, „Początek”, „Skrawek piekła” (tł. Krzysztof Szatrauski) ..	10
Adam Ochwanowski – „Cykl: W mojej garderobie...”: II, XIV, XV, XVI, XVII, XVIII, XIX, XX, XXI, XXII	15
Mateusz Skrzyński – „MALUTKI SAMOCHODZIK ŻYCIA”, „WSZYSTKIE TWARDE SERCA”, „MALTAŃCZYK”, „SŁODKOŚCI NIE SPADAJĄ Z NIEBA”, „WIGILIJNY SKURWIEL”, „WILK STEPOWY”, „NIE BĘDĘ NIE BĘDĘ NIE BĘDĘ”	18
Julija Stachowska – *** (i nie wiedziałam czy nadajecie imiona znamionom...), „verde”, „pożegnanie”, „słoje”, „jeśli”, „dom”, „szczupak rozmysła” (tł. Aneta Kamińska)	30
Marek Czuku – miniatury z cyklu „Od cha do żet”	33
Jakub Sajkowski – „Pasażer”, „Porcelana”	36
Anna Nowaczyńska – „Alice opowiadanie I”, „Alice opowiadanie II”, „Powrót II”, „Alice opowiadanie III”, „Wiersz”	38
Tomasz Majzel – *** (Jestem poetą...), *** (pokaż mi swoje wiersze...), *** (echo...), „tęsknota”, „każdy”, „prawdopodobnie”, „brudnopis”, „czystopis”, „głos we mnie”, „sąd przedostateczny”, „moje części niezamienne”, „nawałnica”, „wiersze?”, „piosenka pająka”, „pierwszy listopada”, „świt”, „tabletki”	41
Rafał Nowakowski – „Planeta Toledo”, „Fantomowe miasto”, „Otwarcie”, „Rozwiązanie”	45
Anna Błasiak – „NIGDY NIE WIADOMO”, *** (Zbieram słowa...), *** (kiedy kładę w nocy...), „WZORZEC MIŁOŚCI”, *** (Siedziałam na korzeniu platanu...), *** (Mam żałódek...)	51
Tadeusz Zawadowski – „GŁUPIA ZOŚKA”, „JUTRO”, „NIM SEN NADEJDZIE”, „PLAGA DZIKICH ZWIERZĄT”, „TUPOT KROKÓW NA SCHODACH”, „W OCZEKIWANIU NA FARYZEUSZY”, „OPUSZCZONE PERONY”	53
Małgorzata Borowiec – „Liryk barokowy o spacerze z psem”, „Mucha”, „Pragnienie (epifraza do obrazu Magrittea „Tajemnice luster””, „Wzór na drogę”, „Kolekcjonerzy”	56
Dariusz Bednarczyk – „Skrzyżowanie A 212 i szosy 105”, „Kwintet”, „Relacja telewizji publicznej”, „Komunikat szefa sztabu generalnego”, „Zebra”	59
Konrad Filipiak – „ogłądał pornosis”, „idealizm pęcznieje niczym europejskie brzuchy”, „wybebeszona wspólnota bytów jakichkolwiek”, „snow is falling all around me”, *** (Stara Azjatka w spodniach w kratę...), „kolor to kwadrat”	63
Vladimir Stockman – *** (Ach, jak pragnie kobiety facecik...), *** (Czekać, aż kitę smok odwali?...), „Świat i władca”, „Ballada o prawdziwym poecie”, *** (Wolno i mało piszę, na siłach...) (tł. Maciej Froński)	65
Mariusz S. Kusion – „Korespondencje”, „Próba kostiumowa”, „Przeciwległe kontury”, „Wcielenie”	68
Kazimierz Kyrcz Jr – wiersze z cyklu „Punk Ogito”: „Pospęne myśli”, „Preferencje”, „Zmyłka”, „Nostalgia znaków zapytania”	70
Maciej Sowicki – „Mechaniczny chłód twojego głosu przebija się przez śnieg jak szafran”, „Wschód”, „Niedziela bez handlu”, „Martwy piksel”, „Acodin”, „Claudiu Crulic umiera”	72
Martyna Franke – *** (nie pamiętam...), „Jeżeli ból jest solą”, „Kobieta która zdradziła”, „Mamo”, „Mieszkałam kiedyś”	75
Elvis Strzelecki – „Odwyk”, „Dzień po końcu świata”, „Idziemy”, „Wódz”, „Ironia”	78
Zuzanna Madurska – „Ostatni występ”, „Lud wszechmogący”	81
Jarosław Nowosad – „Ojczyzna Rafała Wojaczka” – esej	83
Karina Stempel – „Przestrzeń interpretacji” (recenzja: Ewa Olejarz <i>Mongolski cyrk</i> , Instytut Mikołowski 2019)	88
Agnieszka Sroczyńska – „Otwarte drzwi Jerzego Hajdugi” (recenzja: Jerzy Hajduga <i>Zatrzymać z czasu chwile</i> , MK, Kraków–Drezdenko 2018) ..	90
Rafał Gawin – Recenzje wyborcze: Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki <i>Dwie główne rzeki</i> (WBPiCAK, Poznań 2019); Jakub Kornhauser <i>Dziewięć dni w ścianie</i> (WBPiCAK, Poznań 2019); Joanna Żabnicka <i>Koniec lata</i> (WBPiCAK, Poznań 2019); Szymon Żuchowski <i>Litanie czarnodziurskie</i> (WBPiCAK, Poznań 2019); Adam Zdrodowski <i>Moon Machine</i> (Convivo, Warszawa 2019); Maciej Robert <i>Superorganizm</i> (WBPiCAK, Poznań 2019); Krzysztof Jaworski <i>Ciąg Fibonacciego. 111 wierszy</i> (Convivo, Warszawa 2019), Ceremonia (WBPiCAK, Poznań 2019); Jakub Pszoniak <i>Chyba na pewno</i> (Biuro Literackie, Stronie Śląskie 2019); Konrad Góra <i>Kalendarz majów</i> (Biuro Literackie, Stronie Śląskie 2019); Paulina Pidzik (<i>prawo lasu</i>) (Kontent, Kraków 2019); Grzegorz Wróblewski <i>Pani Sześć Gier. 111 wierszy</i> (Convivo, Warszawa 2019); Tomasz Ważny <i>Godzina wychowawcza</i> (J, Wrocław 2019); Nina Manel <i>Transparty</i> (Biuro Literackie, Wrocław 2019); Magdalena Kicińska <i>Środki transportu</i> (Wydawnictwo Literackie, Kraków 2019); Darek Foks <i>Cafe Spitfire</i> (Raymond Q., Skierniewice 2019); Tomasz Bąk <i>Katedra</i> (Papierwdole, Wrocław 2019)	92

A u t o r z y > P o e z j a

Dariusz Jacek Bednarczyk

Urodzony w Jeleniej Górze. Absolwent Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Wrocławskiego. Mgr administracji. Parokrotnie wyróżniony w ogólnopolskich konkursach literackich. Publikuje od 2010 r. Dotychczasowe publikacje zarówno w sferze poetyckiej, jak i prozatorskiej, m.in.: „Fabularie”, „Inter-”, „Dworzec Wschodni”, „Protokół kulturalny”, „Migotania”, „Kultura Connect Magazine” (Australia), „Kwartalnik Irkucki” (Rosja), „Magazyn literacki aha!” (Kanada), „Gazeta kulturalna”. Tłumaczony na angielski i rosyjski.

Anna Błasiak

Poetka, tłumaczka, redaktorka, animatorka kultury. Przełożyła ponad 40 książek z angielskiego na polski oraz kilka z polskiego na angielski (m.in.: Grzegorzewska, Krasnowolski, Malanowska, Odija i Szychowiak). Tłumaczyła poezję Marii Jastrzębskiej, Mary O'Donnell i Nessy O'Mahony. W przeszłości pracowała w radiu, redagowała pisma kulturalne, pisała o sztuce, filmie i teatrze. Współtworzy European Literature Network w Wielkiej Brytanii. Pisze po polsku i po angielsku. Więcej na stronie annablasiaak.com.

Małgorzata Borowiec

Absolwentka Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Kielcach. Nauczycielka języka polskiego, rewalidator. Miłośniczka literatury i ogrodów. Pisze wiersze od 2017 r. Laureatka wielu konkursów literackich, w tym XIV Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Haliny Snopkiewicz – Zawiercie 2018, którego patronem medialnym był Kwartalnik „Afront”.

Leo Butnaru

Urodzony w 1949 r. Poeta, prozaik, eseista i tłumacz. Zadebiutował w 1976 r. tomem wierszy *Skrzydło w świetle*. Opublikował ponad 60 książek. Laureat nagród literackich w Mołdawii i w Rumunii. W jego przekładach ukazały się książki A. Achmatowej, M. Cwietajewej, W. Majakowskiego, O. Mandelsztama, W. Chlebnikowa, J. Satunowskiego, G. Aigi i wielu innych, a także liczne antologie. Jest członkiem-założycielem PEN Center Mołdawii, członkiem zarządu Związku Pisarzy Rumunii oraz członkiem Związku Pisarzy XXI wieku.

Marek Czuku

Autor wierszy, prozy, recenzji, szkiców, felietonów, wywiadów, piosenek, które publikował m.in. na łamach: „Twórczości”, „Nowych Książek”, „Więzi”, „Odry”, „Zeszytów Poetyckich”, „Kwartalnika Artystycznego”, „Akcentu”, „Toposu”, „Frazy”, „Wyspy”, „Nowej Dekady Krakowskiej”, „Tekstualiów”, „eleWatora”, „Nowej Okolicy Poetów”, „Kresów”, „Frondy”, „Arcan”, „Opcji”, „Tygła Kultury”, „Arterii”, „Pograniczy”, „Śląska”, „Migotań, Przejaśnień”, „Przeglądu Powszechnego”, „Gościa Niedzielnego”, „Czasu Kultury”, w nieistniejących już: „Tytule”, „Wyrazach”, „Radarze”, „Non Stop”, „Kierunkach”, „Słowie Powszechnym”. Tłumaczony na język angielski, niemiecki, hiszpański, szwedzki, rosyjski, czeski, serbski, chorwacki oraz hindi. Wydał trzynaście zbiorów poetyckich, ostatnio *Igły i szpilki* (2016) i *Stany zjednoczone* (2018). Prowadzi literacki blog: <http://www.wforma.eu/wedrowniczek-marka-czuku.html>.

Konrad Filipiak

Lat 22, mieszka w Krakowie, studiuje na Uniwersytecie Jagiellońskim. Przed debiutem książkowym. Publikował w „Stonerze Polskim”.

Martyna Franke

Obecnie jest studentką II roku filologii polskiej na Uniwersytecie Pedagogicznym im. KEN w Krakowie. Mam za sobą 2,5-roczyzny pobyt za granicą, jednak miłość do tego, co polskie, zwyciężyła. Po raz pierwszy jej wiersze zostały opublikowane w 2009 r., kiedy ukazał się

pokonkursowy tomik poezji zatytułowany *Ścieżki naszych marzeń*. Inne utwory autorstwa Martyny Franke można czytać w „Migotaniach”, „Magazynie Materiałów Literackich Cegła” czy „Poezji Dzisiaj”.

Maciej Froński

Urodzony w 1973 r. w Gliwicach, mieszka w Bielsku-Białej. Poeta i tłumacz poezji i piosenek, z wykształcenia prawnik (UJ). Jako poeta zadebiutował w 1994 r. i jest autorem trzech tomików wierszy: *Rozpoznania bojem* (2006), *Poezji spokoju moralnego* (2008) i *Efektu zimnej wody* (2016). Publikował w prasie lokalnej i ogólnopolskiej, a także w czasopismach literackich (m.in. w „Arteriach”, „Lampie”, „Literaturze na Świecie”, „Migotaniach”, w brukselskim „Journal des Poètes” i zagrzebskiej „Poeziji”), w 2016 r. został wyróżniony w III Konkursie na Pieśń Dziadowską Nową. Jego utwory tłumaczono na francuski, czeski i chorwacki; jego przekłady z włoskiego i rosyjskiego weszły do antologii trzynastowiecznej poezji włoskiej *Przed Petrarquą* pod redakcją Moniki Woźniak i książki *Iwan Bunin. Wciąż smutno wierzę w swoje szczęście...* pod redakcją Iwony Anny Ndiaye i Grzegorza Ojcewicza. Poza tym Maciek Froński jest członkiem redakcji „Pisma Folkowego”, za jeden z artykułów został nagrodzony w Konkursie Polskich Krytyków Muzycznych KROPKA 2014. Był też gościem Międzynarodowego Festiwalu Literatury „Apostrof” w 2018 r., w 2015 r. jego praca była prezentowana w Médiathèque Voyelles w Charleville-Mézières we Francji.

Rafał Gawin

Urodzony w 1984 r. Poeta, konferansjer, reanimator kultury, sekretarka „Arterii”. Ostatnio wydał zbiory wierszy: *Zachód słońca w Kurwidolach* (Łódź 2016) i *Wiersze dla kolegów* (Skierniewice 2017), *Jem mięso* (Warszawa 2019). Mieszka w Łodzi, gdzie pracuje w Domu Literatury. Prowadzi blog: gawin.liberte.pl.

Aleksandra Hońko

Patrz: Galeria AFRONTU.

Aneta Kamińska

Poetka i tłumaczka poezji ukraińskiej. Urodziła się w Szczebrzeszynie, pochodzi z Zamościa, mieszka w Warszawie. Skończyła filologię polską na Uniwersytecie Warszawskim, pracuje jako metodyczka i lektorka języka polskiego dla cudzoziemców. Autorka tomików: *Wiersze zdyszane* (2000), *zapisz zmiany* (2004), *czary i mary (hipertekst)* (2007), *autoportret z martwą naturą, ostatnie wiersze nazara honczara napisane przez anetę kamińską* (2018) oraz *więzy krwi* (2018). Wydała wybory przekładów wierszy: Nazara Honczara *Gdybym* (2007; przekład wspólnie z Andrijem Porytką), Hałyny Tkaczuk *Ja ta inszi krasuni/ Ja i inne piękności* (2011), Chrystii Wenhryniuk *Dowhi oczy/ Długie oczy* (2013), Borysa Humeniuka *Wiersze z wojny* (2016), Lubow Jakymczuk *Morele z Donbasu* (2018), Julii Stachiwskiej *Wszystkie możliwe rzeczy* (2019), a także trzy autorskie antologie: *Cząstki pomarańczy. Nowa poezja ukraińska* (2011), *30 wierszy zza granicy. Młoda poezja ukraińska (2012)* oraz *Wschód – Zachód. Wiersze z Ukrainy i dla Ukrainy* (2014). Współtłumaczka antologii: *Portret kobiety w odwróconej perspektywie. 12 poetek z Czech, Słowenii i Ukrainy* (2013), *Komiks wierszem po ukraińsku* (2015) oraz *Listy z Ukrainy* (2016). Stypendystka Ministra Kultury (2008, 2013).

Mariusz S. Kusion

Publicysta, poeta, animator kultury, działacz organizacji pozarządowych, trener nauki. Ukończył studia w UJ na kierunkach prawo i stosunki międzynarodowe. Autor publikacji naukowych oraz popularnonaukowych z zakresu obu dziedzin swojego wykształcenia. Publikował w wydawnictwach pokonkursowych, na poetyckich pocztówkach, w antologiach i pismach literackich „Akant”, „Szafa”, „Protokół Kulturalny”, „Migotania”, „PKPzin”, „Lamelli”, „Okolica Poetów”, „2 miesięcznik. Pismo ludzi przełomowych”, „Wobec” - miesięcznik społeczno-kulturalny i „Журнал Вєсєбіт” (Kijów). Tłumaczony na język angielski, włoski i ukraiński. Zadebiutował w 2015 r. tomem *Zarządzanie zasobami emocjonalnymi*.

Kazimierz Kyrcz Jr.

Poeta, redaktor, publicysta oraz pisarz kryminałów, horrorów i literatury fantastycznej. Opublikował zbiory opowiadań *Femme fatale* i *Okruchy mroku* oraz powieści *Podwójna pętla* i *Dziewczyny, które miał na myśli*, której kontynuację właśnie pisze. Jego wiersze ukazywały się między innymi w antologiach Formacji Artystycznej „Szesnaście”, działającej przy Dworku Białooprądnickim w Krakowie. Tłumaczony na angielski, rosyjski, czeski i słowacki.

Zuzanna Madurska

Uczennica Liceum Ogólnokształcącego nr XIV im. Polonii Belgijskiej we Wrocławiu. Na koncie ma kilka publikacji oraz nagród w międzynarodowych konkursach literackich, publikacji; wydała książkę poetycką pt. *Ogrodowe porządki*.

Tomasz Majzel

Urodzony w 1965 r. w Szczecinie. Poeta i prozaik. Laureat Ogólnopolskiego Konkursu na Opowiadanie Okno 2005 oraz Konkursu im. K. K. Baczyńskiego w kategorii prozy (2006). Wydał tomy wierszy: *Fragmenty ciałaści* (2007), *Fotoalbum* (2009), *Treny Echa Tropy* (2015) oraz tom prozy *Opowiadania w liczbie pojedynczej* (2011). Publikował między innymi w „Pograniczach”, „Znaj”, „Wyspie”, „Migotaniach”, „Kurierze Szczecińskim”, „Frazie”, „Portrecie”. Na www wydawnictwa FORMA prowadzi blog „Pozwalam sobie na wiersz”. Mieszka w Szczecinie.

Anna Nowaczyńska

Urodzona w 1974 r. Poetka; w latach 1995–1997 związana z Grupą Inicjatyw Literackich przy ZLP w Lublinie oraz z Fundacją im. Marii Bachzyc-Rudnickiej, od 1995 do 2001 r. z Grupą Poetycką WYBÓR przy Warszawskim Oddziale ZLP. Jej utwory prezentowane były na antenie Radia Lublin, w antologiach poetyckich (m.in. wydanych przez lubelski Oddział ZLP oraz przez Ogólnopolski Klub Poetów), a także w prasie literackiej, m.in. w: „Akcencie” i „Studium”. Jest laureatką wyróżnienia w konkursie na debiutancki tom poezji im. J. Czechowicza i nagrody Warszawskiej Jesieni Poezji. Nominowana w XL ogólnopolskim Konkursie Poetyckim im. Jana Śpiewaka i Anny Kamieńskiej w Świdwinie. Wydała dwa tomy poezji: *Bezcennik* (2012) i *Rzeczy niepozorne* (2016).

Rafał Nowakowski

Urodzony w 1972 r. w Warszawie. Pisarz, poeta, publicysta, rysownik-amator, koordynator wydarzeń kulturalnych. Uprawia literaturę od wczesnej młodości, melorecytował swoje wiersze w opuszczonych fabrykach, pod mostami, w klubach i galeriach sztuki. Opisywał zjawiska kultury miejskiej i kultury popularnej w pismach „Antena krzyku”, „Ekkluziv”, „Playboy” i innych. Pracował m.in. w Centrum Sztuki Współczesnej, w Muzeum Literatury, w Muzeum Plakatu w Wilanowie, a obecnie zatrudniony jest w PROM-ie Kultury Saska Kępa. Drukował opowiadania oraz utwory poetyckie w pismach „Lampa”, „Świat literacki” i innych. Współpracował z wydawnictwem „Okultura”. Opublikował powieść *Rdza* (Świat Książki 2008) oraz tomik poezji *Z dystansu* (Staromiejski Dom Kultury 2010). Aktualnie szuka wydawcy dla swojej najnowszej powieści *Smoła* (2015) i przygotowuje drugi tom poetycki.

Jarosław Nowosad

Urodzony w 1970 r. Prozaik, krytyk, eseista, dziennikarz, z doskoku również poeta i tekściarz. Opublikował tomiki wierszy *Mogę być* (2006) i *Nic nie płynie* (2011) oraz dwa tomy opowiadań *Czarny chevrolet* (2013) i *Być i nie być* (2019). Był w składach redakcji „Gazety Krakowskiej”, „Ziemi Olkuskiej” i „Kwartalnika Powiatu Olkuskiego”, pisywał dla „Opcji”, „Śląska”, „Frazy”, „Studium” i „Lampy”. Mieszka i pracuje w Olkuszu.

Adam Ochwanowski

Urodzony w 1952 r. w Złotej Pińczowskiej na Podziu, gdzie obecnie mieszka. Absolwent Państwowego Studium Kulturalno-Oświatowego w Krośnie nad Wisłokiem. Publikował m.in. w „Twórczości”, „Poezji”, „Nowym Wyrazie”, „Literaturze”, „Tygodniku Kulturalnym”, „Przemianach”, „Sycynie”, „Frazie”, „Nowej Okolicy Poetów”, „Piosence”, „Akcencie”, „Teraz”, „Ikarze”. Jest autorem 20 publikacji książkowych i albumowych m.in. *Dopóki żyją matki*, *Dotyk Madonny*, *Północ*, *Oswajanie świtu*, *Dwunastu gniewnych błaznów*, *Erotyki i przytyki*, *Siedem wierszy głównych*, *Droga Krzyżowa*, *Trzyście zmysłów*, *Póki co...*, *Pławienie koni*. Pisze teksty piosenek (ostatnia płyta – „Kołomyja i pic”, razem z Tomkiem Wachnowskim), scenariusze widowisk plenerowych i kameralnych, libretta (m.in. śpiewogra „Od sabatu do ornatu”, „Wigilia Apokalipsy” – spektakl w Teatrze Bagatela), a także wykonuje przekłady z języka rosyjskiego (m.in. 20 pieśni śpiewanych przez Włodzimierza Wysockiego). Jest regionalistą i animatorem kultury. Odznaczony: Srebrnym Krzyżem Zasługi, Medalem Zasłużony dla Kultury Polskiej i Medalem Gloria Artis.

Jakub Sajkowski

Urodzony w 1985 r. Poeta, lektor języków, tłumacz, recenzent. Opublikowane książki poetyckie: *Ślizgawki* (2010), *Google Translator* (2015), *Zestaw do kaligrafii* (2018). Wiersze publikował m.in. w „Pro Arte”, „Arteriach”, „Dwutygodniku”, „Art Papierze”, na stronie internetowej

Biura Literackiego oraz w lokalnym wydaniu „Gazety Wyborczej”. Finalista i laureat kilku konkursów poetyckich. Laureat stypendium artystycznego miasta Poznania i Medalu Młodej Sztuki.

Mateusz Skrzyński

Urodzony w 1988 r. Poeta i prozaik. Studiował dziennikarstwo na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Publikował m.in. w „Fabulariach”, „Helikopterze”, magazynie „Rzeczy”, „Migotaniach”, „Krytyce literackiej”, „Nowych Peryferiach”, „Obszarach Przepisanych”, „Toposie”. W 2017 r. wydał pierwszy zbiór wierszy *Pięść, Skowyt oraz Głodujące Psy* wydany przez Wydawnictwo CZYTAJ. Mieszka w Kołobrzegu.

Maciej Sowicki

Urodzony w 1990 r. w Olkusz. Absolwent filologii polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wiersze publikował m.in. w „Akcencie”, „Fabulariach”, „2Miesięczniku”, „Helikopterze” oraz na stronach internetowych „Odry”, Biura Literackiego i Fundacji Na Rzecz Kultury i Edukacji im. Tymoteusza Karpowicza. Wydał tom wierszy *DAM* (MaMiKo 2017).

Agnieszka Sroczyńska

Urodzona w 1978 r. Z zawodu – pracownik socjalny, z zamiłowania – pasjonatka literatury. Laureatka ogólnopolskich konkursów literackich. Autorka tomów poezji: *Niemocni* (Kraków 2015), *Który odchodzisz* (Kraków 2017), *Agape i inne przypadki* (Poznań 2019). Teksty literackie, publicystyczne, wywiady, recenzje oraz swoje utwory publikuje w: antologiach, pismach literackich oraz w Internecie. Prowadzi blog literacki na Facebooku „O literaturze otwarcie”. Mieszka w Trzemesznie.

Julija Stachiwska

Ukraińska poetka i ilustratorka. Urodziła się w Żytomierzu, mieszka w Buczy niedaleko Kijowa. Studiowała filologię ukraińską na Akademii Kijowsko-Mohylańskiej. Autorka dwóch książek poetyckich: *Czerwoni czolowiczki* (2009) i *Verde* (2015). Pracowała jako kierowniczka artystyczna w sieci księgarń Je i koordynatorka programów w Czeskim Centrum w Kijowie. Zilustrowała książkę dla dzieci białoruskiego poety Andreja Chadanowicza *Tatkowi notatki*, tworzy również okładki do książek oraz autorskie pocztówki. Tłumaczyła wiersze Czesława Miłosza w ramach projektu translatorskiego *Miłosz pidkazanyj*. W 2010 roku była stypendystką Międzynarodowego Domu Pisarzy i Tłumacza w Windaui na Łotwie. W Polsce wybór jej wierszy ukazał się w pismach „Radar”, „Pobocza”, „Res Publica Nowa” i „Wakat” oraz w wydaniach internetowych: „Dwu tygodnik” i „Babiniec Literacki” (tłum. Aneta Kamińska). Znalazły się również w antologiach: *30 wierszy zza granicy. Młoda poezja ukraińska* (2012), *Portret kobiety w odwróconej perspektywie. 12 poetek z Czech, Słowenii i Ukrainy* (2013) oraz *Listy z Ukrainy* (2016). W 2019 roku ukazał się też tomik *Wszystkie możliwe rzeczy* w przekładzie Anety Kamińskiej. Jej teksty brały też udział w akcji Wiersze w Metrze. Kilkakrotnie występowała w Polsce, m.in. podczas festiwalu: Pobocza w Więcborku i Bydgoszczy, Ukraińska Wiosna w Poznaniu oraz Wielojęzyczna w Warszawie.

Karina Stempel

Z wykształcenia filolog i socjolog. W 2019 r. uzyskała tytuł doktora nauk humanistycznych w dyscyplinie językoznawstwo w Instytucie Slawistyki PAN. Znaczącym epizodem w jej życiu był dwuletni pobyt w Rumunii, który rozwinął jej nieustannie pogłębiane więzi z tym krajem. Książki poetyckie: *Rok Drewnianego Konia* (Amaltea 2015) i *Noc w Nome* (2016, I nagroda w IV Konkursie Dużego Formatu). Publikowała w czasopiśmie papierowych i wirtualnych (m.in. w „Helikopterze”, „Frazie”, „sZAFie” oraz w antologii *Przewodnik po zaminowanym terenie* (Wrocław 2015), *Wnioski z badań terenowych* (Instytut Mikołowski, 2019). Mieszka w Małopolsce.

Vladimir Stockman

Poeta, tłumacz, wykonawca piosenki autorskiej, urodził się w 1960 r. w Rostowie nad Donem (Rosja). Od roku 1992 mieszka w Krakowie. Publikował wiersze i przekłady poezji w języku rosyjskim i polskim w wielu czasopiśmie i antologiach w Polsce, w Rosji oraz w innych krajach – wiersze Vladimira Stockmana przetłumaczono na angielski, włoski, ormiański, ukraiński, macedoński, bułgarski i chiński. Jest autorem tomiku wierszy pt. *Górne morze* (Kraków, 2007). Brał udział w międzynarodowych festiwalach poetyckich, między innymi w Strużskich Wieczorach Poezji (Macedonia, 2007), w Warszawskiej Jesieni Poezji (2010), w Międzynarodowej Galicyjskiej Jesieni Literackiej (Polska – Ukraina, 2011–2018), w Festiwalu im. Maksymiliana Wołoszyna w Koktebelu (Ukraina, 2011), w Międzynarodowym Listopadzie Poetyckim w Poznaniu (2012, 2013), w Międzynarodowym Festiwalu Poezji Wielkiego Kanału w Hangzhou (Chiny, 2017). Jest finalistą

międzynarodowego konkursu na najlepsze tłumaczenie wierszy i prozy Czesława Miłosza na język rosyjski (2011). Od roku 2012 występuje na polskiej scenie z cyklem recitali pod tytułem „100 lat bardowskiej poezji rosyjskiej”. Oprócz własnych piosenek prezentuje w swoim repertuarze twórczość ponad 40 bardów rosyjskich. W roku 2016 w jego przekładzie na język polski ukazał się światowy bestseller – powieść Siergieja Łojki *Lotnisko*, w tymże roku został uhonorowany nagrodą literacką „Janicius” im. Klemensa Janickiego „Za zasługi dla kultury polskiej”. Należy do Międzynarodowej Federacji Pisarzy Rosyjskich oraz Południoworosyjskiego Związku Pisarzy.

Elvis Strzelecki

Rocznik '90. Z wykształcenia dziennikarz oraz kulturoznawca. Jako redaktor współpracował z takimi czasopismami, jak „LAI”, „Gazeta Radomska” czy „Lounge Magazyn”. Wiersze publikował m.in. w „Nowym Dzienniku – Polish Daily News”, „Gazecie Kulturalnej” oraz Heli-kopterze. Uwiela dobrą muzykę i rozmowy z ciekawymi ludźmi. Mieszka w Radomiu.

Krzysztof Szatravski

Urodzony w 1961 r. w Kętrzynie. Poeta, prozaik, krytyk muzyczny i literacki. Profesor Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie, jest członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich (od stycznia 2014 prezes Oddziału w Olsztynie), Wspólnoty Kulturowej Borussia, Stowarzyszenia Scena Babel, Stowarzyszenia na Rzecz Kultury Żydowskiej „B` Jachad” oraz Komisji Badań nad Kulturą Warmii i Mazur Towarzystwa Naukowego im. Wojciech Kętrzyńskiego. Prowadzi interdyscyplinarne badania kulturoznawcze, literaturoznawcze i muzykologiczne, w perspektywie teoretycznej i historycznej. Jest również aktywnym edukatorem i animatorem kultury. Za osiągnięcia w dziedzinie promocji kultury muzycznej otrzymał w 1997 odznakę Zasłużony Działacz Kultury, a w 2016 został wyróżniony Odznaką honorową „Zasłużony dla Kultury Polskiej”. Laureat licznych konkursów; duża liczba publikacji rozproszona jest w czasopismach literackich i naukowych oraz antologiach – także w tłumaczeniach na angielski, francuski, niemiecki i rosyjski. Przekładał poezję i piosenki. Jest laureatem Dorocznej Nagrody Marszałka Województwa Warmińsko-Mazurskiego w Dziedzinie Kultury w 2012 i Nagrody Prezydenta Olsztyna w 2013. Również w 2013 w Kętrzynie została mu nadana godność honorowego członka Stowarzyszenia im. Arno Holza dla Porozumienia Polsko-Niemieckiego. W 2016 otrzymał Nagrodę im. Maksymiliana Wołoszyna „za wkład w kulturę”. Autor tomików: *Posłanie ostatniego z epigonów* (Olsztyn 1981), *24 godziny śmierci* (arkusz poetycki *Okolice* – Warszawa 1988), *Poniżej snu* (Olsztyn 1989), *Wiersze graficzne* (Olsztyn 1990), *Tak cicho śpiewa północ* (Olsztyn 1997), *Pieśni miłości i rozstania* (Olsztyn 1999), *Wiek nowy* (Olsztyn 2014), *Czas płonących ogrodów* (Olsztyn 2017). Proza: *Requiem dla Bohatera* (powieść, Warszawa 1989), *Odjazd* (opowiadania, Olsztyn 2006).

Tadeusz Zawadowski

Poeta, redaktor, krytyk literacki; urodził się w 1956 r. w Łodzi, od 1981 r. mieszka w Zduńskiej Woli, gdzie współtworzył Klub Literacki „TOPOLA” oraz Klub Twórczej Pracy „BEZ AUREOLI”. Laureat ponad 200 międzynarodowych i ogólnopolskich konkursów literackich. W 1997 r. Niezależna Fundacja Popierania Kultury Polskiej POLCUL FOUNDATION w Sydney (w kapitule zasiadali m.in. Jerzy Giedroyc, Gustaw Herling-Grudziński, Jan Nowak-Jeziorański) uhonorowała go nagrodą za działalność kulturotwórczą. W roku 2014 przyznano mu Nagrodę Literacką „Janicius” imienia Klemensa Janickiego, a w 2015 Nagrodę Ekspresjonistyczną Feniks im. Tadeusza Micińskiego oraz Super Cysiora za całokształt twórczości literackiej. Tłumaczony na: rosyjski, łotewski, chorwacki, bośniacki, serbski, słoweński, grecki i angielski. Wydał 14 tomików poetyckich, w tym ostatnio: *Kiedyś* (2014) – Nagroda Literacka im. Ryszarda Milczewskiego-Bruno i wyróżnienie XXXVII Międzynarodowego Listopada Poetyckiego oraz *Mrówka* (2017).



@KRESKONAUTA

AFRONT Kwartalnik literacko-artystyczny

Siedziba redakcji: 32-332 Bukowno, ul. Wiśniowa 7A
tel. 502 405 437, 668 118 267
www.afront.org.pl, afront.fundacja@wp.pl
Olgerd Dziechciarz – redaktor naczelny
Agnieszka Zub – sekretarz redakcji
Jarosław Nowosad – redaktor

Stali współpracownicy: Marcin Bałczewski, Anna Dominiak, Piotr Gajda, Paweł Garwol, Rafał Gawin,
Paweł Gołoburda (Rosja), Mirosław G. Majewski, Zbigniew Masternak, Kamil Pietrzyk, Marek Probosz (Los Angeles),
Agnieszka Sroczyńska, Joanna Szarras, Agnieszka Żuchowska-Arendt

Okładka: Aleksandra Hońko, Basen, 130 x 100 cm (2018)

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania, redakcyjnego opracowania oraz zmian tytułów nadesłanych materiałów.
Teksty kwalifikowane są do druku wyłącznie na podstawie kryteriów czysto literackich. Redakcja nie zawsze i niekoniecznie
w pełni podziela wyrażane w nich poglądy.
Nadesłane do druku teksty i zdjęcia publikowane są nieodpłatnie.



MAŁOPOLSKA

Projekt realizowany przy
wspieraniu finansowym
Województwa Małopolskiego

w(Y)stępniak

*

Nobel

Odnoszę wrażenie, że Nagroda Literacka Nobla dla Olgi Tokarczuk pokazała, jak zawistnymi stworzeniami są przedstawiciele homo sapiens zamieszkujący dorzecze Wisły i Odry. Nie wiem, dlaczego wielu ludzi nagle zapragnęło zdystansować się od tej nagrody, to jest od Autorki i jej dzieł. Tylko czekać na zorganizowanie akcji: „Nie cieszę się, że Tokarczuk dostała Nobla”. Niby wszyscy zadowoleni, gratulują, lajkują, ale gdy rozmawiają prywatnie, to podkreślają, że woleliby, aby tę nagrodę dostał ktoś inny. To przypomina dowcip z czasów konklawe w 1978 r. i wyboru Karola Wojtyły na papieża, kiedy to pierwszy sekretarz KC PZPR towarzyszył Edwardowi Gierekowi i miał powiedzieć: „Oczywiście cieszymy się, ale my byśmy woleli na tym stanowisku towarzysza Czyrka”.

Przez lata żartowano sobie z Adama Zagajewskiego i jego prawdziwych, czy rzekomych marzeń o Noblu, naigrywano się z kolejnych wyborów Akademii Noblowskiej, większość traktując jako kuriozalne, aż w końcu sama nagroda zeszła jakby do II ligi. Fakt, nie pomógł jej ostatni skandal, po którym po raz pierwszy od II wojny światowej nagrody w dziedzinie literatury nie przyznano, a dokładnie przesunięto jej przyznanie – Nobel za ów pechowy 2018 rok trafił w ręce Olgi Tokarczuk (za 2019 otrzymał go austriacki pisarz – i jak na austriackiego pisarza przystało: skandalista – Peter Handke). Czy jednak nagroda ta aż tak podupadła, by ją ostentacyjnie ignorować? Zamiast więc się cieszyć, ludzie się odcinają. Nobel zamiast nas zjednoczyć – zaczyna dzielić. A przecież środowisko jest już wystarczająco podzielone, podzielone z premedytacją, o czym środowisko wie, ale udaje, że nie wie – bo tak jest wygodniej, a przede wszystkim, bo to udawanie bardziej się opłaca.

Za ogromne, idące w miliony kwoty stworzono nowy Instytut Literatury (a jest przecież Instytut Książki!), powołano ogólnopolski kwartalnik literacki „Nowy Napis” (robiono to na chybcika, więc początkowo mieliśmy dwa czasopisma ...noszące Herbertowski tytuł „Napis”), wokół nich powstaje pokaźna nadbudowa. Jedni mówią o kolaboracji, drudzy o wykorzystywaniu szansy, której wcześniej nie było. Nie, szanse były, wcześniej tylko nie było takich pieniędzy: na gazetę, na wynagrodzenia dla redaktorów, autorów, na organizację wydarzeń literackich, na konkursy, na nagrody, na filmy – wszystko za stawki, jakich nie jest w stanie płacić nikt inny. Wiara w to, że nowe twory powołano w trosce o rozwój polskiej literatury, jest piękna i jak to bywa z wiarą – dość naiwna. Cel za to wydaje się jasny, a gdy ktoś go nie widzi, to znaczy, że nie chce widzieć. Zresztą ten cel już osiągnięto – jest nim właśnie to pęknięcie i towarzyszące mu rozerwanie więzi towarzyskich, do jakiego doszło w środowisku pisarskim. Już nie potrafimy ze sobą rozmawiać, więc nie dziwi, że mamy problem z wysłaniem wspólnego jednoznacznego stanowiska w sprawie Nobla dla Tokarczuk. Ktoś, kto to sprawił, musiał bardzo dobrze znać warunki panujące w polskim świecie literackim, i trzeba mu przyznać, że rozegrał to genialnie – w pełni zasłużył na Nobla w dziedzinie ekonomii społecznej. Do ataku na tych, którym nie podoba się sytuacja wyjątkowego uprzywilejowania środowiska „NN”, nie potrzebni są dyspozycyjni partyjni literaci i działacze, znakomicie robią to autorzy, którzy znaleźli się w kręgu zainteresowania tego nowego kwartalnika. Ataki są bezceremonialne, na całego, kwestionowany jest nawet dorobek wybitnych twórców – dość wspomnieć krytykę, z jaką spotkała się ostra, zdecydowana wobec tego środowiska postawa Jacka Podsiadły, a przecież „ten typ tak ma”: Jacek nigdy nie owijał niczego w bawełnę, zawsze walił prosto z mostu.

– Czy wszystkim poetom około pięćdziesiątka musi odj...? – zapytała bezceremonialnie ceniona poetka na jednym z portali społecznościowych. Chyba już lepiej, jeśli komuś za przeproszeniem odj..., niż ma udawać, że to, co pada mu na twarz, to deszcz, a nie plwocina.

Jako niepoprawni optymiści mimo wszystko liczymy, że uda się zlepić to, co pękło.

A Oldze Tokarczuk serdecznie gratulujemy zasłużonej Nagrody Nobla! ●

Olgerd Dziechciarz

Pośród setek masztów

1

Jeśli
pośród setek masztów, oddalających się od brzegów,
ujrzycie człowieka wyczerpanego wędrówką
na jego kręgosłupie,
na kościach skóra
kołyszże się jak żagiel na maszcie,
wiedzcie – na pewno
jest to Ulisses;
to
człowiek maszt...

2

Wśród setek masztów – ręce
rozpięte w powietrzu
w nieskończonym kosmosie –
kikuty masztów...

Gdzie ty pływasz,
człowieku?

1996 / 6 X 2009 /

Po kolei

Nadzieja umiera ostatnia.

Przysłowie

...w końcu,
widząc kolejną grupę czekających na zmartwychwstanie,
zrozpaczonych, zaskoczonych,
zagubionych,
Bóg wyjaśnił:

– Wstaniecie z martwych po kolei, tak jak umieraliście. Dlatego
nadzieja zostanie wskrzeszona jako ostatnia.

Zatem przez pewien czas,
już zmartwychwstali, będziecie żyć bez nadziei...

11 2016

Swobodnie

co wiemy o poezji poza poezją

co wiemy o prozie poza prozą

pierwsza pojawia się w młodości wczesnej
lub późnej

druga po kilku romansach, które przeżyłeś
z błędami
czy najlepiej jak umiałeś
albo może już po pierwszym rozwodzie

bez nich świat byłby innym światem
ale, fakt, z innego świata pochodzi wiele poezji
i science fiction
z przestrzeni, gdzie peleryny słów rozciągają się na wieszakach
jak mgła wisząca na angielskim moście

o czym wiemy...

zostaw już to pisanie
zakończ już te rozmowy

zamknij (g)usta literatury

6 IX 2016

Poza

Poza dobrem i złem

to znaczy
także
poza plusem i minusem...

...byłoby naprawdę interesujące: jak to jest
kiedy nie ma już ni plusa
ni minusa
ani odrobiny?...

...ani na krok
to znaczy
także
poza spółgłoskami i samogłoskami

...a to byłoby jeszcze ciekawsze niż poza dobrem i złem
poza plusem i minusem
nie? – poza spółgłoskami i samogłoskami

...poza znaczeniem
poza językiem
który rodzi wszystko
a zwłaszcza cierpienie;

poza znaczeniem
poza władzą języka
nieuątpliwie
poza życiem i śmiercią;

poza życiem i śmiercią
to znaczy tam, gdzie wszystko
jest absolutnie jasne
jednak bez znaczenia
bowiem znaczenie ma tylko dobro
lub zło
w spółgłoskach i samogłoskach.

Poza dobrem i złem
to znaczy
poza i przez wiersz o miłości
do pokoju...

Ale nie
nie można wyjść poza dobro i zło
to znaczy
poza Boga...

19 II – 20 IV 2016

Sens sensów

Szukam sensu życia.

Czasami

muszę zawrócić z drogi
aby odzyskać sens życia (bo
zdarza się, że tracę to
co już znalazłem...)

I znów szukam
gdzie już raz szukałem...

I wciąż tak samo
dopóki nie odnajdę
(nawet jeśli już
nie będę o tym wiedział...)
sensu śmierci...

28 I 2016

Początek

Piękno ocali świat.

F. Dostojewski

O wschodzie słońca dzień zdaje się tak niezwykle
powiązany ze wszystkim, co
jest na dole
na ziemi
że
tworzy wrażenie
jakby z początkiem tego dnia
samo piękno zaczęło rzeczywiście
ocalać świat.

20 XI 2014

Skrawek piekła

Na początku czasów, kiedy
wraz z człowiekiem
każde stworzenie umiało mówić – ptaki
zwierzęta drzewa
góry
spadające gwiazdy

w pewnym momencie
czując jakieś mrowienie
niepokój
wewnętrzną pustkę
rajskie jabłko zadało sobie pytanie:

„Kim jesteś ty, który
jakbyś się we mnie poruszał
jakbyś mnie gryzł?”

I usłyszał odpowiedź spokojnym
Prawie ciepłym głosem:

„Nic nadzwyczajnego, jestem robakiem
czyli –
skrawkiem piekła...”

6 III 2016

przełożył Krzysztof D. Szatrauski

Cykl: W mojej garderobie...

||

W mojej garderobie
nie ma wojen
ani codziennych swarów
mundur hitlera wisi obok
podartej tuniki sokratesa
a buty ze sztuki o stalinie
ocierają się o sapogi
bułata okudżawy
na półce ze szpulami
od starego grundiga
wołodia wysocki i jacek kaczmarski
żyją zgodnie z chóralnymi pieśniami
o budowaniu nowego domu w warszawie
i o powstaniu wyklętego ludu ziemi
na zdezelowanym biurku
leży wizytówka sławomira
który trafił tutaj przypadkiem
myląc numery z sąsiednią
agencją towarzyską

W mojej garderobie
jest coraz ciasniej
dla niewyśpiewanych
pieśni...

XIV

W mojej garderobie
nie ma miejsca na płacz
i zgrzytanie zębów
jest prawda
o kryśce
która puściła się
z księdzem proboszczem
i wychowuje nieochrzczone
dzieci
o figurce świętego floriana
który przez czterysta lat
gasił pożary
ale nie sprostał apetytom
pijanym gówniarzy wracających
z walentynkowej zabawy

o nicnierobieniu wójta
sołtysa
i wszystkich miejscowych
świętych
w dawnym domu kultury
zięć starosty handluje piwem
a w bibliotece szwagier posła
sprzedaje ciuchy
na wagę
chłopy powtarzają za mrożkiem
a może byśmy coś zasiali
i sieją
panu bogu w okno

W mojej garderobie
prawda
niekoniecznie
bywa
święta

XV

W mojej garderobie
trzydzieści sześć i sześć stopni
przestało być normą
a słupek rtęci
szamoce się między
już a jeszcze
spóźniają się pociągi
na które
nie należy się spóźniać
zgasły ogniska w lesie
a emerytowany drużynowy
nie zgadza się z kropką nad i
u moniki olejnik
profesor stanisław żak
patrząc tkliwie w oczy
cierplivej marii
miesza wystygłą herbatę
a mnie chodzą po plecach
starodawne pieśni
przy tym stole
gdzie brakuje już miejsca na książki
siedzieli
władek frasyniuk
zbyszek bujak
tadeusz mazowiecki
i wielu innych internautów
dla których stan wojenny
przestał być cezurą
między starymi a nowymi laty

W mojej garderobie
 piszę wiersz
 a może to będzie piosenka
 o jarmarkach
 które straciły
 kolory

XVI

W mojej garderobie
 chłopcy z placu broni
 tracą bezbronne dzieciństwo
 a jankiel nie może się opędzić
 od cymbałów
 mój sąsiad
 z okrojoną emeryturą
 pułkownika wojska polskiego
 który stracił nogi pod lenino
 powiedział mi w sekrecie
 to, że idziemy nie znaczy,
 że się nie cofamy
 a gdy idziemy obok siebie
 nie znaczy, że idziemy razem

W mojej garderobie
 każdy chwali boga
 jak potrafi

XVII

W mojej garderobie
 zabrakło miejsca
 dla pierrota i colombiny
 bo to takie nie polskie
 nieprzyjazne ideologicznie
 nie pasujące do korony królów
 do bardziej niż są wyklętych
 sztych na ślepo garniturów
 znajomy pijak twierdzi
 że dzwony nie powinny dzwonić
 bo zabijają zbiorową pamięć
 ale nic to nie obchodzi
 pospolitych dzwońców
 co kochają się w dzwonach
 bo i tak nikt na to nie zwraca
 szczególnej uwagi

W mojej garderobie
 nie ma miejsca
 na większe refleksje

XVIII

W mojej garderobie
 czas często nie płynie
 i niekoniecznie ma rację heidegger
 że człowiek jest bytem ku śmierci
 a gość z królewca
 że niebo gwiazdziste nad nami
 daje moralną siłę
 to nie my
 to czasy się zmieniają
 wymądrza się modny reżyser
 i nie zdarzyło się jeszcze
 żeby skorzystał z mojej garderoby
 na ostatnim wieszaku wiszą
 miś uszatek
 jacek i agatka
 kubuś puchatek

W mojej garderobie
 zabrakło miejsca
 dla kubusia
 fatalisty

XIX

W mojej garderobie
 nie ma miejsca na płacz
 ani śmiech
 są wspomnienia
 wrogie naszym pragnieniom
 jest myląca przyjaciół pogarda
 są sny i śmiertelny świt
 choć dłoń do dłoni
 a serce do serca pomykają
 i zda się mądralom
 że ich rym nie dogoni
 że rytm jest ważniejszy
 w codziennej praktyce

W mojej garderobie
 nie zawsze jest to co potrzeba
 ale jest to
 co ma być

XX

W mojej garderobie
historia cierpi na chroniczny
brak źródeł
ale puszy się bo
grunwald
samossiera
monte cassino
cichociemni
i trudno zliczyć
rachunki krzywd
w ojczyźnie
chyba że jest w nas śmiałość
aby zapytać gościa
dlaczego pije wódkę
w barze pod zdechłym psem
a poematy nie dorastają mu do pięt

W mojej garderobie
cisza
niekoniecznie
jest milczeniem

XXI

W mojej garderobie
jurek białobok opowiada
o umierających stadninach
gdzie araby miały polskie imiona
i nie bały się suszy
a najbardziej śmiałe przypuszczenia
przerastały same siebie
lidka strofuje moje
nieopierzone wiersze
cztery konie stukają kopytami
o próg apokalipsy
a podmiot ucieka od orzeczenia

W mojej garderobie
zwykłe opowieści
mieszają się
z gramatyką
marzeń

XXII

W mojej garderobie
nie ma nieba
ani piekła
jest rozum, który śpi
i upiory nie budzące strachu
ci, których nie było
przychodzą i odchodzą
niekiedy składają
sentymentalne manifesty
edek stachura
który był poezją
opowiada o kobietach
wymykających się z rąk
i o porządku świata
który przypomina
dziecięcą wyliczankę

W mojej garderobie
trudno liczyć
na samego
siebie

Mateusz Skrzyński

[MALUTKI SAMOCHODZIK ŻYCIA]

Mógłbym napisać wam
o tym ucisku w klatce
piersiowej
wywoływanym przez
strach.

Mógłbym powiedzieć wam
jak leczyć to:
alkoholem
tabletkami
sekssem
pogardą
walką na gołe pięści
z grubym kierownicą ciężarówki
który dawno temu marzył
o karierze bokserkiej.

Mógłbym wam powiedzieć
ale przecież
macie swój rozum
dobrze wiecie
jak to działa.

Jestem takim samym głupcem
jak wy
mknę skurczony nad kierownicą
w swoim malutkim samochodziku
życia
a za mną jezdnia
zamienia się w pył.

Płacę czynsz
napycham się tanim żarciem
ciesząc się
że grzejniki zimą są gorące
a latem okna otwierają się na oścież.

Tak uciekam przed strachem

a w te ucieczki
zawsze
zamieszana jest
jakaś kobieta

źle opłacane
stanowisko pracy

oraz kilku mężczyzn
którzy próbują pokazać mi
gdzie moje miejsce.

Jest 2:01 rano
w telewizji leci program
przyrodniczy
facet w stroju nurka
zanurzony w czystych wodach
egzotycznego morza
kręci piruety
ma pojemne płuca
i jest dobry w tym
co robi.

Nagle pojawia się
wielka meduza
później kolejna
później całe setki
płyną spokojnie
w pełni zrelaksowane
i on w samym centrum
tego cudu.

Zamykam laptopa, nie pali się
żadna żarówka. Pokój wypełnia
niebieska poświata setek
falujących meduz.

To jest dopiero coś – myślę.

Weiskam czerwony przycisk
i wreszcie
robi się ciemno.

[WSZYSTKIE TWARDE SERCA]

Mam swojego kota
jest rudo-biały
z przewagą
rudego.

Waży pięć i pół
kilograma
je
i nie zamierza przestać.

Chodzę po domu
ogarnięty szaleństwem
tego, że istnieję
piję piwo
później wódkę
później wino
nawet to słodkie paskudztwo
które nazywają
ajerconiakiem

nic nie przynosi
ulgi.

Gdy się tylko ruszę
rudo-biały kot
podnosi głowę z grzejnika
biegnie do kuchni
staje przy misce
czeka aż ją napełnię

tak
oczekuje mnie
z gładką sierścią
czujny i zrelaksowany
a spojrzenia, które
rzuca,
są jak
miłość i seks i zrozumienie
i wzgarda i współczucie
i cały ten pożądany szajs
razem wzięte.

*Wiesz o świecie coś, czego
ja nie wiem – myślę. Dlatego
raz jeszcze napętnię
twoją miszkę. Robię to
a on zjada, do ostatniego kęsa.*

*Później układa się w jakimś
nieдоступnym miejscu i zasypia
twardo, jakby nadeszła sama
śmierć.*

*Nie ma dla mnie serca
nigdy mi nie powie.*

*W tym cały problem – mówię
choć nikt nie słucha. Jesteśmy
przekonani,
że serca innych są twarde,
a tylko nasze miękkie.*

*Rozmyślam nad tym, dotykam
klatki piersiowej i próbuję
sobie przypomnieć
gdzie zostawiłem swoje.*

[MALTAŃCZYK]

Miałem dwadzieścia dwa lata
byłem jak naostrzona włócznia
potrzebowałem tylko zajęcia
i jednego serca, które mógłbym
przebić

kiedy znalazłem je w pubie
okręcone nogami wokół barowego stołka
z takimi piersiami, że odpały się od nich
wszystkie potarte race

zacząłem zapuszczać brodę
przestałem strzyć włosy
i zamieszkaliśmy razem.

*Kiedyś, gdy będziesz spał – mówiła
dwa lata później
pociągając mnie za brodę –
przystrzygę to zwierzę,
żebyś znów był tym samym chłopakiem,
w którym zakochałam się dawniej.*

Znalazłem sobie pracę na kuchni
nie przemęczałem się
miałem tę knajpę gdzieś
równie mocno jak jej właściciel.

*Gdyby nie kredyt – mawiał
– zamknąłbym ten bajzel
i zamieszkał z jakąś Mulatką
na Dominikanie.*

Kiedy wychylałem się z okienka
z głową jak maltańczyk
ludzie zaczęli jeść wolniej.

*Czy on nie powinien
nosić czepka? – szeptali
między sobą.*

Mateusz Skrzyński

Był tam jeszcze jeden facet
zarośnięty od kostek po szyję
gdy na kuchni robiło się gorąco
zdejmował koszulkę

wyobraźcie go sobie
jak spocony przechodzi przez bar
na zaplecze
trzyma w dłoniach skrzynkę
z flakami, łuskami i rybimi łbami
silny jak Neptun
obrzydliwy jak wilkołak
trochę śluzu zostało mu
na dłoniach.

Ludzie prawie rzygali
do talerzy.

Zrobić taki numer to lepiej
niż wygrać w totka.

Skargi zawsze kończyły się tak samo:

*Myślisz, że w dzisiejszych czasach
łatwo o nowego pracownika?
Zresztą niedługo
zamknę ten burdel,
więc daj mi życie, człowieku.*

Czekała na mnie wieczorem
przy tylnych drzwiach
opowiadałem jej tę historię setny raz
a ona się śmiała
odchodząc spoglądałem za siebie
na to miejsce
i nie czułem odrazy.

Całkiem możliwe, że ta knajpa
działa do dzisiaj

w przeciwieństwie
do naszej miłości.

[SŁODKOŚCI NIE SPADAJĄ Z NIEBA]

Musisz mieć krótką pamięć
żeby być z kobietą

i jeszcze krótszą
aby kochać mężczyznę.

Bucha żar niżej
z rozpalonego węgielka
gdy grzebiesz językiem
w jej pępku.

Jeśli uciąż cię to zadziwia
będziesz miał gwiazdzistą noc
a psy będą wyły dla twojej miłości.

Mieszkając w Krakowie
znałem dziewczynę
która zakochiwała się
co dwa dni.

*Tomek jest taki
cudowny – mówiła.*

*Darek zna się na pieczeniu biszkoptów
w mikrofalówce.*

*Marek wie, gdzie jechać,
żeby w godzinach szczytu
nie stać w korkach.*

Mateusz Skrzyński

Była jak automat z przekąskami
wyrzucała z siebie za tyle
za ile do niej wrzuciłeś.
Nigdy na kredyt. Musiałeś płacić
lśniącymi piątkami wzruszenia.

Ze złamanych serc
robiła podkładki do szpilek
żeby nie obcierały jej
zadbanych pięt.

Musisz mieć krótką pamięć
żeby być z kobietą

ale jeszcze krótszą
aby kochać mężczyznę.

Faceci, którzy wyrabiali się
w jeden dzień,
znaleźli na nią sposób.

Używali jej złamanego serca
jako podkładki pod piwo
mroźną zimą
wplatali w maskownicę
żeby zatrzymać ciepło.

Miłość to cholerny festiwal
zapominania.

Wśród wznoszących puchary za zwycięstwo
łatwo pomylić
tych co rozgryźli życie
z ostatnimi głupcami.

[WIGILIJNY SKURWIEL]

*Aiiii!!! – pischwała. Kiedy
wreszcie zdechniesz,
skurwielu!*

Próbowwała przywalić mu
młotkiem do rozbijania mięsa

a on za każdym razem
miał dość siły, żeby
szarpnąć się w prawo
lub lewo.

*Pozwól, że
ja to zrobię – powiedziałem.*

Chwyliłem za grzbiet
i precyzyjnie
przywaliłem między oczy.

To był złotobrzuchy karp
prawdziwa tłusta
bestia.

*Takie noce wyprowadzają mnie
z równowagi.
Znow śniło mi się, że
mnie zdradzasz.*

Nigdy nie czułam takiej nienawiści.

*Dzisiaj rano chciałam cię
zabić*

*ale – zaśmiała się – przecież
to tylko sen.*

Mateusz Skrzyński

*Nic, czym powinnaś się
przejmować, Malańka.*

Wyciągnąłem talerze
i rozstawiłem na stole
to samo zrobiłem
z kieliszkami.

Ona usmażyła karpia.

Przy stole wbiła widelec
w jego bok
potem szarpnęła do siebie
brutalnie go rozrywając.

Hi! Hi! Hi! – zachichotała.

Ha! Ha! Ha! – roześmiałem się.

Korek od wina przewiercony na wylot.

Ostatnia wieczerza wisząca
na ścianie.

Zapadnięte rybnie oko.

Pierwsza gwiazdka zamigotała
a później zgasła

gdy wpatrywaliśmy się
w siebie.

[WILK STEPOWY]

Stara pomarszczona
jadaczka
rozwarła się jak
paszcza hipopotama:

*!!!SKRZYŃSKI, ZAPŁAĆ SWOJE
RACHUNKI ALBO WYWALĘ CIĘ
NA ZBITY PYSK!!!*

Zawsze gdy przychodziła
obawiałem się
że jej obwisłe piersi
wypełzną i ukąszą mnie
gdy będzie przeliczać
banknoty.

Wbiła mi do głowy, że
najpierw należy płacić
za prąd i gaz

dopiero później
za wódkę.

Nigdy nie przestajemy
być komuś winni.

Następnego dnia
po tym jak
opłacisz czynsz
musisz zacząć zbierać
na następny

inaczej hipopotamie paszcze
będą kłapać
aż rozetną cię wpół.

Takie są prawa stepu.

Nawet najwspanialszy
wilk
pędzący po dalekich pustkowiach
musi od czasu do czasu
obejrzeć się za siebie.

[NIE BĘDĘ NIE BĘDĘ NIE BĘDĘ]

*Ten wiersz jest
smutny – powiedziała.
Nie będę go
czytać.*

*Założyła nogę na nogę
stopą strąciła
popielniczkę*

mówię wam

*gdyby nie dach
strącałaby nią samoloty.*

*O takich nogach powinno się
pisać w gazetach
mówić w wiadomościach.*

*Mój biedny, zbląkany
poeto – dodała.*

*Czy rozmasować ci
plecy?*

Może upiekę kurczaka?

*Zamierzała udami
sprowadzić mnie
do parteru*

*zamierzała zamęczyć mnie
współczuciem
poklepywaniem
po plecach.*

Uciekiniarka.

Tacy ludzie
nie potrafią mierzyć się
ze smutkiem
ani odróżnić go
od rozpacz.

Dla takich jestem stracony
stracone jest wszystko
co napisałem
i napiszę.

Moje paliwo
zacierza ich silniki
w mgnieniu oka.

A mimo to przychodzą

zakładają nogę na nogę
strącają butelki po piwie
książki
lampki nocne

ale
nigdy nie sięgają

nie sięgną

samolotów.

POEZJA
Julija Stachiwaska

i nie wiedziałam czy nadajecie imiona znamionom
które pojawiają się na waszych ciepłych gwiezdnych mapach
w te czerwcowe dni wypełnione najcichszymi lipowymi rozmowami
i zupełnie nie cichymi strzałami
nie śmiałam się ani nie płakałam z waszych orbit z waszych służbowych
trajektorii nagłych zaciemnień rozumu albo rozbłysków słonecznych fantazji
tylko z góry z jej zamszowej zieleni pojawiało się dolne miasto
i w każdej studni okna było widać jak kredowieją
i niemal znikają zmęczone księżycy ludzkich twarzy

verde

nasze spotkanie przypomina dwa ptaszki –
które tej wiosny po raz pierwszy umawiają się żeby zbudować gniazdo:
najpierw wstydliwie a potem coraz bardziej żwawo
a obok parkan zdejmuje miękką rękawicę mchu
i znajdujemy słomki słów
zielony wiatr zagląda do ich wnętrza
na brzeżku chodnika sztormi się od samochodów
usiłujemy nazwać kolor wody pod mostem
jest jeszcze ślepa – mówi ktoś – jak kociątko
patrzysz na drzewo jakbyś miał pączek zamiast serca
ja spokojniej – u mnie na lewej nodze kiełkuje pęd
już wiem kim będę tego lata

pożegnanie

chyba kiedy się żegnasz to kładziesz sobie pod język listek laurowy
i od tego pocałunek jest gorzki i czarny trochę jak blekot
kocham tę przynętę tak dobrze z nią umierać
rozpaczliwie chwycić wieczorne suszone śliwki cieni
zapisywać że karol linneusz jednak miał rację:
żyrafa naszej miłości wydłuża szyję bo tak chce
i nie potrzebuje zrywać liści z drzew bo laur teraz na dole rośnie

stoje

czy drzewo męczy się rośnięciem?
czy mu to brzydnie – wyciągać się w dół
z trudem nadymać akordeon swoich gałęzi
naprawiać gniazda ptakom
łamać się upadać i zginać się w burzę?

głośno kwitnąć jak umie i milcząco wypuszczać listki?
zajmować się fotosyntezą i trzepotać?
aniszestnąć?
nosić owoce bez żadnych swoich
drewnianych ambicji?
usychać?
mieć wieczny spokój pod nagrobkiem pieńka?

nad tym zozula myślała przelatując

jeśli

jeśli żyję w wodzie to każde moje słowo wznosi się jako kulka powietrza
jako pusta sfera gdzieś w niebiosach
i jak naprawdę mało mi trzeba – tylko żeby pokonało całą tę nieznośną
odległość do twoich kochanych płuc
jeśli żyję w ziemi to kret w nocy wyjdzie popatrzeć na księżyc
i zostawi puszystą górkę – tylko żebyś z rana wychodząc z domu
przypadkiem na nią stanął
jeśli żyję w ogniu to policzki moje płoną i jak osika ręce drżą –
tak że żar-ptak siada na gałęzi zapaliki którą zapaliłeś

dom

ten budynek z czerwonej cegły stoi nad rzeką
drobny gruz dróżki obejmuje klin trawy jak ty mnie –
tak zaokrągliła się w ptaku dnia żółtko światła

po grzbiecie biblioteki przebiega dreszcz wiatru
kartki chwieją się jak niewypowiedziane słowa
na brzuchu stołu w pępowninie talerza – oliwki

już wkrótce spadną zasłony i atramentowa kałamarnica nocy
wypuści na nas chmurę iluzji
a tam nie będzie już niczego – same tylko dotyki liter

szczupak rozmyśla

ludzie pokładli się na dnie startych aż do podeszew podwórek

w ich oczach są ukleje i kiedy promień jak mewa pikuje
śmigają do kącików i wtedy nastaje taka jasność
że widać jak w głębi wisi nasycony szczupak czasu
i majaczy mu kilka okoni

ale szczupak rozmyśla o zaledwie rybiej ości samolotu w górze:

to tak samo jak patrzeć na wypolerowaną okładzinę paznokcia
i myśleć o ewangelii

Wiersze pochodzą z książki:

Julija Stachiwiska, *Wszystkie możliwe rzeczy*, przeł. Aneta Kamińska, Wojewódzka Biblioteka Publiczna i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu – Miejskie Centrum Kultury, Poznań-Bydgoszcz 2019.

Od cha do zet

P O E Z J A

Marek Czuku

Chmura

szła daleko daleko
piątą górą siódmą rzeką
płynęła i skakała
i niczego się nie bała

Horror vacui

ten folder
jest pusty

Kobieta

miała kiedyś białą głowę
i kłopotów całą kuchnię
teraz wszystkiego ma połowę
ale tę pełniejszą o córuchnę

Kolejarz

teraz na niego kolej
spływa tłusta oliwa
i olej

polej

Księżyc

wisi na szczycie nocy
psie zęby szczerzy
i się jeży

pomocy

Mężczyzna

ma południowy temperament
ale nie zdradza
żonie listy kochanek

Moje tycie

jedzmy
nikt nie woła

Nie do wiary

pani krystyna pyta panią klarę
czy wierzyć w rozum
czy rozumieć wiarę

Piekarz

tłucze się jak marek po piekle
w mózgu łapie myśli człowiecze
coś penetruje zaciekle
chyba mu się upieczce

Nietzsche

bóg umarł
napisał nietzsche
i umarł

Prognoza pogody

czekam na hydraulika
z firmy panta rhei

a za oknem inne okna

Noga

żona złamała nogę
teraz wszystko na mojej
głowie

Przerażona

ja ją mam
a ona mniema
że mnie ma

Non stop

okazjonalnie jest fajnie
od czasu do czasu bez hałasu

non stop to błąd
uzależnienie nie jest w cenie

Przypadek

nie ma przypadków
to wszystko przypadek

przecież wiadomo
że nic nie wiadomo

Pchełka

pchełka to niewielka
ale gdy usta wbije
to pije i pije

Słońce

jest gorące jak ptasi koncert
nigdy nie pyta o drogę
zakłada czasem
nogę na nogę

a ja nie mogę

Szewc

czasem westchnie do pana boga
który jest w niebie
czasem westchnie do siebie
bo to długa droga

czasem zaklnie jak szewc
co bez butów chodzi

a kogo to właściwie obchodzi

Śmierć

to była
tajemnicza śmierć prawej ręki
doradcy lewej ręki

Świat

świat mam nadzieję
ale nie do końca
chyba nie jest taki zły
do końca

Walentynki

dziś są nasze walentynki
rzekł imbecyl do kretynki

Więcej

więcej znaczy więcej
nic więcej

Wizja

moja wizja to precyzja
wyliczona jak prowizja

Żaba

urodziłem się żeby umrzeć
umrę żeby żyć
żyję żeby zjeść tę żabę

Pasażer

I

Piotr z aplikacji BlaBlaCar pisze: *To już nie są żarty.*
Jako pasażer uzyskałeś poziom ekspert. Jedziemy

na lekcje angielskiego, sala lekcyjna znajduje się przy ubojni,
tak zwane kursy in company.

Have you ever done anything wrong on purpose? Yes/no?

No, I have never done anything wrong on purpose.

Pytanie trzeba powtórzyć dwa razy, żeby uczeń zrozumiał.

II

Już dziś zostań pasażerem premium! Życie jest piękniejsze,
gdy nie musisz się ograniczać!

Kobieta w Chongqing chce wejść z żywą kurą do metra. Słyszysz,
że z żywą nie może, ale martwa będzie traktowana
jako produkt spożywczy. Natychmiast ukręca jej łeb,
bo spiesz się na obiad. Jedziemy

na lekcje angielskiego w ubojni. Kierowca sprawnym ruchem
wymija ptaka, który upada na drogę ekspresową. Nic więcej nie da się zrobić,
stworzylibyśmy niebezpieczeństwo na drodze.

Aplikacja BlaBlaCar pisze: *To już nie są żarty.* Ludzie

uwielbiają z tobą podróżować.

Porcelana

*Kobieta łapie stopa w drodze do Spiddal,
gladiator we własnej sieci, sprawuje sąd wśród tłumu.*

Paul Muldoon, „Ultrasonograf”*

Gdyby napisać „china” dużą literą,
porcelanowe naczynie stałoby się najludniejszym państwem świata.
Wystarczy je zepchnąć ze stołu, by rozbiło się na kawałki,
które można sprzedawać zbłąkanym turystom.
Byłyby piękne i nieznośnie powtarzalne, lśniące
jak ekrany smartfonów,
jak muchy miażdżone kciukiem przez dziewczynki,
które przeglądają fejsa przed snem.

Ta straszna, niepotrzebna śmierć przesłania
trasy w Google Maps, które mogły być dla nas wszystkich
przygodą życia (wszyscy autostopowicze
wznoszą kciuk w górę).

Ta straszna, niepotrzebna śmierć
nie jest żadnym wzorem,
jest bezkształtną plamą. Tej strasznej, niepotrzebnej śmierci
nie zwiastowały żadne znaki

w języku najludniejszego państwa świata.

* *własne tłumaczenie wiersza „Sonogram”*

POEZJA

Anna Nowaczyńska

Alice opowiadanie I

Kiedy niebo wtapia się w liście
stają się turkusowe
Alice łowi kulki jarzębin łyżką
zjada je potajemnie przed matką

lubi jak
autostrada żółknie od piachu
kiedy oddala się dom na wzgórzu
migoczą szkiełka wklejone
w boczną ścianę
rabatki zarastają kwaśnym mchem

Alice lubi czytać
ma nauczyciela ale woli
bliski kontakt z wyblakłymi literami
strony jak wachlarz podczas upału
chłodzą jak niedzielne lody

historie plotą się jak warkocze
i wciągają aż pod kołnierz

już wie, że jest outsiderką
tak siebie nazywa
choć jeszcze nie wie
co to znaczy

Alice opowiadanie II

Alice chce być dobrą opiekunką
jednak lęk jak jabłko staje w gardle
stara się go rozgryźć
ale utyka na dłużej

chciałabym chcieć bardziej

teraz pisze więcej
stale przerabia rozdziały
powieść jest jak kobieta
z pełnymi biodrami

na razie jej krew
przepływa w inną aortę
i mimo że Wingham
jest tylko wspomnieniem
porannym różem na policzku
odtartym nieopatrnie łokciem
to tkwi w niej drzazgą
jak choroba matki

mam w ustach
Czechowa
a przecież jestem Munro
a właściwie

będę Munro

powrót II

krzaki malinowe
i ich szorstkie liście

brwi jedwabne
jak ramiona jaskółki

obrus czy kołnierzyk
zdobiony haftem

wszystko to pod rzęsą

Alice opowiadanie III

wisi nad kominkiem strzelba
dziki smutek
pachnie jeszcze śmiercią
prowincja świeci zielonym księżycem

jestem matką
to rola przewidziana
dla innej Alice
jestem na dystans
chyba nie potrafię
być gniazdem na żywe ptaki

piszę w pralni
tam przynajmniej jest ciepło
powtarzam zaklęcia

powieść to wrzód
ropieje i rozprzestrzenia się
po całym ciele
a potem zlewa w jedno

wolę opowiadania
oddzielanie włosów od włosów
słodkie mikroświaty jak
gałązki drobnych winogron

pełnie po lustrze
konik polny

wiersz

rozchodzi się po kościach
gdy tylko go przetrawię

niby zapięty na ostatni guzik
w niebieskiej marynarce
zjada niedorzeczne trufle
przyniesione z Innej Bajki

czasem mam wrażenie
że mnie nie słucha
wchodzi i wychodzi

zostawia ślad po zębach

POEZJA

Tomasz Majzel

XXX

Jestem poetą
zbawiam świat

nikt nie musi o tym wiedzieć

XXX

pokaż mi swoje wiersze
a powiem ci kim

jeszcześ

XXX

echo
ma prawo

mi się nie podobać

TĘSKNOTA

Ciebie nie ma-
-m

KAŻDY

Każdy wyraz jest ważny

Milczeć

PRAWDOPODOBNIĘ

(czytając Krynickiego)

Prawdopodobnie gdybym był
książką
z lat sześćdziesiątych

rozkleiłbym się

BRUDNOPIS

Księga wniosków

CZYSTOPIS

Zeszyt spóźnień

GŁOS WE MNIE

– Dzisiaj napisz przynajmniej sześć linijek

napisałem trzy potem
powtórzyłem

– to się nie liczy napisz sześć

6

SĄD PRZEDOSTATECZNY

Ten wiersz piszę ołówkiem

z gumką

MOJE CZĘŚCI NIEZAMIENNE

(przykurcz Dupuytrena)

Moja dłoń się kurczy
istnieje inaczej
napomina świadomość:

usg
mocz
krew

zmienić okulary

NAWAŁNICA

Duch w każdej z kropel

zmierzam do końca
którego nie napiszę

myślę że jutro jest i
myślę przeszłość

WIERSZE?

Wiersze?

Jest mi wstyd?
Otóż nie sądzę

dla mnie dwa duszkiem

PIOSENKA PAJĄKA

Jest ciepło

Nic nie robię
leżę i

czekam

PIERWSZY LISTOPADA

Ja tam

nie

ŚWIT

Świt taki że dzień świeci optymizmem

Zamierzam

TABLETKA

Jedna tabletką na dzień

dobry

Planeta Toledo

Wciąż wspominam ten rozświetlony, przejrzysty dzień,
 Kiedy trafiliśmy na inną planetę.
 Byliśmy razem, tak daleko do siebie,
 Wśród płaszczyzn błękitu i wypłowiiałych równin,
 Gdy wyłoniła się opleciona lustrzaną nieprzenikliwością rzeki.
 Piętrzyła przed nami swoje mury, fortece i bramy,
 Mosty i mity, sekretne historie i zdziczałe koty.
 Wokół uśpionych kamienic splatały się rozedrgane zaułki,
 Niewielkie latarnie i loggie zwieszały się nad głowami.
 Znaleźliśmy się w mrowiu chwilowych przybyszów jak my,
 Zanurzeni w chłodnym, krystalicznym powietrzu.
 Wszak była to wczesna wiosna,
 Choć ten dzień wspólnie ukradliśmy z kalendarza.

Ongiś na tej planecie, na skrzyżowaniu historii i kultur,
 Muzułmanie, chrześcijanie i żydzi spotykali się na rynku,
 Skąd zawile uliczki prowadziły ich do odmiennych rajów i piekieł.
 Tutaj zgodnie zgłębiali tajemną wiedzę współżycia w równowadze,
 Układali mozaikę krzyży, księżyców i gwiazd w odcieniach umbrzy, ochry, lazuru i bieli,
 Póki nie przysłonił jej hierarchiczny światłocień kontroli i władzy.
 Opustoszały labirynt zaludnili chwilowi przybysze, jak my,
 Azjaci z respektem zamarli przed monstualnym bogactwem dawnych biskupów,
 Amerykanie chłonęli zapach pomarańczy i półmrok krużganków,
 Francuz usiłował sfotografować świetlistą pustkę synagogi.
 Odnaleźli się tutaj na chwilę przed podróżą z powrotem do swoich rajów i piekieł.
 I my pośród nich szukaliśmy swojej ścieżki,
 Ostatnie odbłaski słonecznego światła tańczyły pod łukami kamiennych mostów,
 Zmurszałe ściany przenikało chłodne, krystaliczne powietrze.
 Wszak była to wczesna wiosna,
 Choć ten dzień wspólnie ukradliśmy z kalendarza.

I mimo że bez tchu biegliśmy na dworzec,
 Wszystkie powrotne pociągi już odjechały,
 Wszystkie powrotne pociągi, pełne chwilowych przybyszów jak my.
 I zostaliśmy tam, w zmierzchu gęstym i słodkim jak miód,
 W przestrzeni pełnej bezkresnych możliwości jak pierwotne morze,
 Bez bagażu, bez imion, bez drogi powrotu.
 Tylko tam, w tamtej chwili, mogliśmy zostać kimkolwiek,
 Tylko tam mogliśmy być razem, daleko od siebie,
 W zmierzchu gęstym i słodkim jak miód.
 Wszak była to wczesna wiosna na planecie Toledo,
 Choć ten dzień wspólnie ukradliśmy z kalendarza.

* * *

2018

Fantomowe miasto

Noc porwała mnie z domu
Mrok zagarnął głowę
Całe miasto zniknęło
Został tylko miraż
Fantom miasta i ja
Zjawy w kosmicznym transie
Cienie śmiechy i szelesty
Dziki niebo i gwiazdny pył

Całe miasto zniknęło
Banki zapadły się w bagna
Pomniki się zapomniały
Znaki zginęły w wypadkach
Kształty opustoszały
Plany uciekły w przyszłość
Złudne blaski zwiędły
Trasy się zatarły

W czasie urojonym
Fantom miasta i ja
Smugi konturów zmieszane
Z przecuciem nieznanych doznań
Płynne kryształy wibrują
Echem nieznaney mowy
Cienie śmiechy i szelesty
Dziki niebo i gwiazdny pył

Fantomowe miasto i ja
Transmisja uniesienia
Niewybrzmiałe rezonanse
Niespisane wiersze miłosne
Po śladach tajemnicy
Idę w objęcia ciemności
Złudne blaski zwodzą oczy
Trasy trafiają do serca

* * *

2019

Otwarcie

*Skąd wiesz, czy nie jest każdy ptak, który swą drogę tnie powietrzną,
światem rozkoszy nieobjętym, co grzęźnie w zmysłach twoich pięciu?*

William Blake *Zaślubiny Nieba i Piekła*

Podniosłem rękę
na głęboką źrenicę, ciemny krzyk
dochodzący spod mostów, Poniatowskiego i Łazienkowskiego, tych w Pradze i w Arnheim, i tego
w Avinionie,
na bełkotliwą źrenicę, zamuloną, ale wiecznie otwartą
gębę z migotliwym językiem jak rozpuszczony w powietrzu ślimak
(Psy szczekają jak oszalałe na gwiazdy, na góry, na ciszę
i rak po dnie obiega całą ziemię).
Podniosłem rękę i wrzuciłem w smolisty nurt
swoją różdżkę, patyk na drugi filar
nieistniejącego, niemożliwego mostu
(pierwszy grzęźnie wśród zielonych łąk,
kołysze w swoim kamiennym brzuchu
uśpione słońce). Jego źrenica!
która nie patrzy,
która nie pokazuje w uśmiechu spod mięsistych warg
równych, złotych zębów, potężnych jak kamienie w murach Baalbek,
która nagina do swojej melodii pnącza winogron i wstrząsa lotem pszczół,
która wskrzesza cień gałęzi drzewa owocowego,
do której pną się mosty, Poniatowski i Łazienkowski, te w Pradze i w Arnheim, i ten w
Avinionie,
szczególnie ten nieskończony most w Avinionie i jego odbicie w wodzie, dwoje bliźniąt
obejmujących się pod koroną oślepiającego Drzewa,
splcionych w jeden pień
pod koroną płonąca Drzewa,
komunia bez konsumpcji
radość bez upływu
za murami ogrodu
I opuszczamy, żegnamy, zapominamy szeroki
świat pełny świat Zawieszony świat, gdzie centrum rozsypało się
jak twarz powstała na moment z roju much, pszczół i żuków,
plany zmyliły drogi, a drogi zauracają i gubią się
na peryferiach, które zdają się nie mieć końca
(kamienie graniczne zarastają mchem i zmierzchem,
przybrzeżne boje zagarniane przez odpływ-przypływ).
I przywołujemy, witamy, pozdrawiamy szeroki
świat nieskończony świat Pływający świat, gdzie, jak się okaże,
istnieją tylko otwarte przejścia,
znaki wskazują tylko nowe kierunki,
a ołtarze wznoszą się w sypialniach
(i, co jest oczywiste, każdy oddycha jednym ciągle innym wiatrem
stąpa po jednej i tej samej ziemi
przekracza jedną ciągle inną wodę

Rafał Nowakowski

podąża za jednym i tym samym ogniem
 karmi się jednym i tym samym ciągle innym duchem).
 Przekraczamy, przepuszczając nas
 Otwiera się gigantyczna ręka
 Chmur, kłęby to palce, wnętrza pełne bruzd,
 Związane, spięte, choć każda część oddala się od innej.
 Przechodzimy przez Bramę Rozkwitających Kwiatów –
 – cudownie bosko bezwstydnie
 płatki i pręciki,
 słupki i kielichy,
 gdzie pyszni się kolor, dziecko światła;
 Gdzie wślizgujemy się my, dzieci światła, w
 Róż Tulipanów Lotosów –
 – cudownie bosko bezwstydnie –
 płatki i pręciki, słupki i kielichy,
 gdzie kryje się cień, starszy brat światła.
 Roześmiana, w Aksamitnym Pokoju,
 Jedynej Przestrzeni,
 Mówi Księżna: *Znajdziesz tu też miejsca
 pełne ciemności, kręte nory, jaskinie i tunele,
 miejsca wiecznego zmroku, często zapomniane.*
Bo noc to nie pora, nie czas,
ale inna przestrzeń, świat zakamarków, kręte nory, jaskinie i tunele.
Szukasz ciekawostek i atrakcji?
Błyszczących powłok i migających napisów?
Znajdziesz zagadki, często zapomniane.
Mój miły podróżniku, tylko zamknij oczy,
a moje nurty porwą cię przez, kręte nory, jaskinie i tunele,
opuścisz papierowe bóstwa
i zwiedzisz konstelacje przyjemności, często zapomniane.
 Tak mówi Księżna do każdego z nas.
 I przepuszcza nas.

* * *

[między 1995–1998]

Rozwiązanie

Komunie Otwock

Czy drogi są po to, żeby zmniejszać świat?
Mógłbym zapytać Lao-Tsy i Gottlieba Daimlera,
Czy drogi są po to, żeby zmniejszać świat?
Czy nie jest tak, że woda w swoim najniższym położeniu
Rozlewa się we wszystkich kierunkach,
Żeby się rozprzestrzenić?
Nie żeby pochwyć.
Nie dotrzesz nigdzie bez pokonania swojej drogi,
A Droga jest nie do pokonania.
(Bez względu na to, które stronnictwo wygra,
Zwycięzcy mogą się co najwyżej zasiedzieć i zestarzeć w nagrodę).
...ten rój pszczół, much i żuków nie układa się w żadną twarz...
Czy Ziemia jest martwym czy żywym ciałem niebieskim?
Mógłbym spytać Jana Keplera i Neila Armstronga,
Ziemia jest martwa czy żywa?
Czy Słońce i księżycy krążące za naszym oknem
Dadzą się schwytać, zanim wypadną nam zęby i włosy?
Bez względu na to, gdzie się udasz,
Dotrze do ciebie, że znajdujesz się w tym samym miejscu,
znajdujesz się w przejściu.
Szczyty pozostaną oślepiająco białe i milczące,
Dopiero, kiedy się obejrzyysz, przypomnisz sobie, że
Byłeś nieśmiertelny, przez chwilę poza czasem.
...ten rój pszczół, much i żuków nie układa się w żadną twarz...
Czy mógłbym tam zabrać swoje ciało?
Mógłbym spytać Adolfa Hitlera i Wilhelma Reicha,
Czy mogę zabrać swoje ciało ze sobą?
Wściekłe psy umysłu spuszczone z łańcuchów
gubią się na podmokłych bagnistych bezdrożach,
gdzie między niebem a ziemią króluje wiatr,
gdzie wiatr między niebem a ziemią myli głosy.
A naga skóra wsłuchuje się w intymne szepty

Ciemnego Światła.

...ten rój pszczoł, much i żuków nie układa się w żadną twarz,
 ta autostrada nie prowadzi donikąd
 to jedynie pasma pragnień i obaw
 a może najczęściej znudzenia
 targają rojem pszczoł much i żuków
 w wypolerowanych i chromowanych aerodynamicznych pancerzach
 nie ma żadnego zjazdu z tej autostrady
 jest tylko nieznośnie monotony zastój
 na jednej wielkiej autostradzie
 w jednym wielkim państwie
 na szczycie Europy.
 i zanim telewizja ogłosi ostateczne zwycięstwo w mistrzostwach świata
 a w prasie ukaże się ostateczne wyjaśnienie tajemnic natury
 zamknijcie autostrady i odizolujcie miasta,
 niech nastanie niewyobrażalna, wykluczona z historii epoka
 sterowców i balonów, łodzi żaglowych i barek na kanałach wodnych,
 gdzie każdy w drodze będzie jednocześnie u siebie,
 albo pozostanie w swoim domu na własnym polu.
 bo może się okazać co gorsza,
 że telewizja nie ogłosi ostatecznego zwycięstwa w mistrzostwach świata,
 a w prasie nie ukaże się ostateczne wyjaśnienie tajemnic natury
 i nie będzie zjazdu z tej autostrady,
 tylko nieznośnie monotony zastój
 w jednym wielkim państwie
 na szczycie Europy.

* * *

[między 1995–1998]

NIGDY NIE WIADOMO

mówią.
A przecież wiadomo,
zawsze się sprawdza –
– rękawiczka pasuje na dłoń.

Przyglądam się z lewej i prawej.
Podejrzewam.
Pasuje jak ulał.

Zbieram słowa,
w których litery przeglądają się w sobie jak w lustrze.
Zbieram wyrazy
z ukrytą symetrią.

Kolekcjonuję niedokończone zdania,
żeby uparcie składać z nich
coś
na kształt całości.

kiedy kładę w nocy
dłoń na twarzy
najbardziej przeszkadza
mi nos

trzeba go omijać
by połączyć wzrok

potykam się o niego
by zrozumieć język języka
i warg

to na jego osi
osnuły się zmarszczki
od czoła
do brody

tylko za zapach
go cenię

WZORZEC MIŁOŚCI

Ważę
twoje słowa.
Badam ich gęstość i zabarwienie.
Wkładam pod lupę, mikroskop.
Pod pachy wciskam termometr.
Na wadze stawiam, obmierzam linijką.

Moje imię Sevres.

Siedziałam na korzeniu platana.
Powoli wrastałam.
Jeszcze jedna gałąź.

Ktoś przechodził obok.
Nie zauważył różnicy.

mam żołądek
wygarbowany przez zazdrość
do rozmiaru pięści
i wściekłości pięści

stanęłam w drzwiach
i poczułam
jak się nagle uobecnił

próbuję go przekonać
od wewnątrz i zewnątrz
miętą załagodzić

stoję cicho przed ścianą
i walę w nią mocno
tą pięścią – żołądkiem

GŁUPIA ZOŚKA

za dnia całymi godzinami błąkała się po lesie
przyglądając się rui dzikich zwierząt. wieczorami
ssała aż do bólu swój prawy kciuk wyobrażając sobie
że robi to z każdym chłopem we wsi. przeklinała po kolei
ich kobiety za swoją samotność. w środku nocy znowu
wychodziła w białej koszuli do lasu i kochała się ze wszystkimi
drzewami. rano znajdowano ją nagą pomiędzy wybujałymi

świerkami opodal chaty.

JUTRO

jutro już się zaczęło. a tak długo je przekładałem. z półki
na półkę. z szuflady do szuflady. zawsze
mówiłem że mam jeszcze czas. to dopiero
jutro... odległe jak niemal nigdy.
a więc co stało się z dzisiaj? boję się otworzyć
drzwi bo po drugiej stronie może mnie już nie być
a po tej wczoraj pachnie chłodem. siedzę skulony w kącie
pokoju. wiem że nie pomoże zrywanie kalendarzy
ze ścian i obgryzanie paznokci. jutro

już się zaczęło

NIM SEN NADEJDZIE

tylu moich przyjaciół wymaszerowało w sen. jeszcze
dudnią mi w głowie bębny ich butów uderzające o bruk
niedokończonych wojen. pozostały po nich porozrzucone
guziki od mundurów wierszy. odbezpieczone granaty słów
których nie zdążyli wyrzucić na papier lub choćby na wiatr. nocą
zamiast baranów liczę kroki tych którzy przekroczyli linię
frontu. powoli zajmują ich pozycje. za nimi

już tylko sen.

PLAGA DZIKICH ZWIERZĄT

miasto jest pełne dzikich zwierząt przywołanych z lasu.
waleśających się po ulicach jak porażone wścieklizną
stada bezdomnych psów lub kryjących się w swych norach
za ekranami telewizorów. nieważna rasa sort gatunek. każdy
ostrzy zęby gotów uderzyć z ziemi powietrza zza ekranu
czy z mównicy. każdy buduje klatki
aby się w nich chronić lub zamykać innych. miasta
powoli wyludniają się ustępując miejsca dzikim lokatorom. teraz
oni rządzą ustanawiają prawa i bezprawia. to ich

pięć minut. później powrócą rakarze i wyłapią chore zwierzęta.

TUPOT KROKÓW NA SCHODACH

tupot kroków na schodach. zamykam w pośpiechu
drzwi. przez judasza ukrytego pod czaszką próbuję
podejrzeć krój munduru. nie ma już naszych.
ciemno. ktoś zgasił światło. wszędzie
są tylko obcy. czają się na ulicach w domach w szafach
i pod łóżkiem. pod moją skórą i za paznokciem. patrzę w lustro
a tam ktoś grozi mi palcem. na ulicy tyraliera szarych ludzi
naprzeciw armii z karabinami załadowanymi ostrą amunicją
haseł. padają pierwsze trupy i długie serie obietnic
bez pokrycia.

na schodach tupot kroków. zamykam się pod czaszką.

W OCZEKIWANIU NA FARYZEUSZY

na stole chleb i nóż czekają na powitanie. na schodach
kroki. faryzeusze zbliżają się do drzwi. jest noc. ich ulubiona
pora kiedy można zaskoczyć niespodziewaną
wizytą. historia lubi się powtarzać. tłumy
na dole domagają się krwi. kto dzisiaj
okaże się judaszem i za garść srebrników złoży pocałunek.
siedzimy z barabaszem na kanapie i ciągniemy losy. znowu
ma szczęście. Boże Boże czemu mnie opuściłeś?

na stole chleb i nóż czekają na powitanie.

OPUSZCZONE PERONY

pamięci Edka Popławskiego

siedzę w pociągu linii coraz bardziej pospiesznej. za oknem
ucieka dzieciństwo i młodość. na najbliższym peronie
czekają już młodzi zbuntowani poeci którzy jeszcze wierzą
że zdołają przeurócić świat na nice. bawią się
słowami jak małe dzieci ołowianymi żołnierzami.
kilka dni temu na nieznaną stację wysiadł mój przyjaciel
z plecakiem pełnym nienapisanych tomików. patrzyłem
jak jego cień stopniowo zacierał się na peronie.
chciałem pobiec za nim ale w ostatniej chwili
ktoś mnie zatrzymał. powiedział

że moja stacja jest następna.

Liryk barokowy o spacerze z psem

Pod rudą puszystością drgają czujne chrząski.
Lśnienie nosa bada zaułki stężonego powietrza.

Gdzieś tu drażni odór lisiego moczu,
i gnijących owoców miazdżonych przez gwałtowne auta,
a jeszcze trzeba nasłuchiwać płochliwych bażancic,
które przyszły skubać owoce,
myśląc, że są kapryśnymi pawiami.

Bogactwo świata wlewa się natrętnie przez
stanowcze brązowe tęczęwki
i prosząco otwarte źrenice:
Chodźmy! Już!

Więc przekraczam swoją granicę odporności
na kolejny poranek.
Ochoczo wdycham hausty rosy i benzyny.
Bohatersko wydaję zgodę: Niech świat ożyje!

Bo przecież zniknął, gdy nocą zasnurowaliśmy powieki
I dopiero niedawno znów się wysypał,
więc
sprawdzamy ład
zapamiętanych wzorców.

Zahaczone o rzęsy latarnie i chmury
mijają nas pospiesznie.
Pozdrawiają syreny pociągów.
Nawet szelest opon po szosie
przytakuje biegowi rzeczy.

Wszystko sprzyja tej odtwórczej odysei.
Brak tylko Homera, który odwróciwszy wzrok do wnętrza,
by nie rozpraszać się błahością rzeczywistości,
celowałby wprost do tarczy słów.

Mucha

A życie nasze jednakowo niespokojne i malutkie

Czytam na głównej, że dziecko filmowało tonącego kolegę.
Pomógł kto inny.
Mucha schodzi po pajęczynie głową w dół.
Wcale nie boi się nieobecnego pająka.
Nagle nogi lepią się do sieci
i zaczyna nerwową próbę łabędziego układu na finał.
Rozważam:
pomóc? zakłócić ład natury ? zmienić przeznaczenie?
Nagle silny podmuch wiatru rozwiązuje dylemat
– mucha odlatuje.

Pragnienie

(epifraza do obrazu Magrittea
„Tajemnice luster”)

*Ironia? Lecz największe z szyderstw czyż się może
równać z ironią biegu najzwyczajszych rzeczy?*

Przed wyjściem z domu
zawsze sprawdzam,
czy dusza jest dostatecznie wygładzona,
a myśli uczesane.
To mój mieszczański rytuał
zaklinania spokoju.

Spoglądam więc w lustro,
bystro niewidzącymi oczami,
lecz ta przekorna kałuża
uparcie pokazuje wciąż mój rewers.

Podchodzę bliżej za blikiem światła,
ale (cóż to za upór rzeczy martwych!)
nadal widzę tylko odwrócony korpus
jak na karcianej koszulce.

Spoglądam więc głębiej,
prawie dotykając nosem gładkiej tafli.
Odbicie pokazuje mi tyłek.

Wzór na drogę

To takie wygodne,
kiedy życie już prześnione na brudno
w tysiącach liter i zdań
przez innych.

Trzeba tylko odtwarzać
z mitów i historii „zdarzyło się naprawdę”
partyturę wzlotów i upadków,
i lecieć swoimi piórami i długopisami środkiem,
zawsze złotym.

Nie chce się przecież
powtórzyć incydentu
młodego uciekiniera z Krety,
który chciał zaczerpnąć w płuca wolności
i poprawić ustalony przez ojca wzór.

Zignorował algorytm mistrza inżynierii,
znanego pogromcy labiryntów,
co jak wiadomo miało wpływ
na zmianę trajektorii lotu
i przywracające proporcje przebudzenie
zwane śmiercią.

A na wodzie zatańczyły lekkie piórka...

Kolekcjonerzy

Jak kawaler des Esseintes
w galerii i-phonów ludzie kolekcjonują nieba.
Są nieba groźne, popielate, okonturowane gniewem metafory.
Są nieba pełne proporcji i łagodnego wdzięku.
Są kłębiaste nieba nadmiaru z woskowym połyskiem owocu.
Są nieba z puszystością waty, granulacją piasku, walorem płatków kwiatu.
Są i nieba z giętkimi liniami jak włosy kobiet lub linie ich bioder.
Są i nieba z kulistą linią horyzontu zwiastujące niespodziewane brzegi.
Są nieba szaroróżowawe z holenderskich krajobrazów
I swojskie nieba z makatek babki.
Nie ma nieb, które uniosą ich samotność.

Skrzyżowanie A 212 i szosy 105

Z Czechowicza

za dnia
riffy silników dywizje szarż
na tosty
pobudzoną sterydami noc wiatr benzyny
po bitumicznych wątkach
w postaci cięć skalpele świateł
z kontekstu niczym przydrożny słupek
na przykład bezbronna kulka jeża

a kiedy poddane hipnozie
prosto pod wał korbowy
przez chwilę pada śnieg
(nie słyhać nawet riffów szarż)
na cichą sekundę cichą płamę
na ciche wizgi opon
(skrzyżowanie A 212 i szosy 105)

Kwintet

List 17-letniej pacyfistki

I
na ulicy bili starca
podbiegła dziewczynka
spalili miotaczem

II
szła matka
wyrwali z ręki dziecko
zastrzelili na oczach

III
tuż obok
na dworcu powiesili dzieci
jeszcze dwoje w szkole

IV
podjeżdżały do domów
ktoś wybiegł
i serią z automatu

Relacja telewizji publicznej

I

...wygasające walki uliczne... niczym nieusprawiedliwione...
...bezpowrotnie swej arkadii... zmuszanych...
...takich aktów niewyobraźnego barbarzyństwa...
...stosowanie miotaczy płomieni wobec...

II

...naprawdę trudno... w swym rozpasaniu...
...stosujący terror zwyrodnialcy... dosłownie w każdego
i komu tak bardzo... wskrzeszeniu upiorów przeszłości?
...słuchaj o niemowlęciu zastrzelonym na oczach matki

III

dworcu skąd nigdy nie odjechał żaden pociąg
niedawnym bastionie ekstremistów...
...makabrycznego odkrycia... nieopodal zamkniętych kas
biletowych... linczu na niczem winnych dzieciach!

IV

...jakakolwiek próba... zbawczej ochrony transportera...
...toteż także i my... co znacznie utrudnia relację
za co bardzo serdecznie bardzo serdecznie... ale i...
...paniczne reakcje... broni maszynowej...

Komunikat szefa sztabu generalnego

I

w związku z naruszeniem integralności oraz suwerenności
co oznaczało faktyczne wypowiedzenie na podstawie
mandatu wyrażonego w formie aktu państwowotwórczego
podjęto wszelkie niezbędne dla zapobieżenia dalszemu
permanentnemu naruszaniu prawem ustanowionego porządku

II

każdy kto udziela poparcia fanatycznym bandytom i ekstremistom
hojnie sponsorowanym przez pozostające w wieloletnim układzie
zagrożające ośrodki zostaje uznany za zdrajcę i jako taki musi
liczyć się z koniecznością poniesienia daleko idących
konsekwencji wynikających z tego faktu

III

na terenach czasowo wyłączonych spod jurysdykcji cywilnej
w trakcie działań podejmowanych jedynie przeciwko osobom
oraz grupom uznanym za wrogie koniecznym użycie wszelkich
dostępnych środków mających na celu zaprowadzenie pokoju i ładu

IV

wysokie morale wsparte wielokrotnie wypróbowaną na
współczesnym polu walki najnowocześniejszą techniką
gwarantem wzorowego wykonywania zadań

Zebra

gdy słowa Hutu Tutsi Tutsi Hutu
z kropłą u nosa Hutu Tutsi Tutsi Hutu
a w samym środku Hutu Tutsi Tutsi Hutu
równym ścięciem równym szeptem
gdy z sykiem Hutu Tutsi Tutsi Hutu
w telewizyjnej Hutu Tutsi Tutsi Hutu
nie mając oprócz Hutu Tutsi Tutsi Hutu
za oknem ocynkowana skarga
gdy pod nakryciem Hutu Tutsi Tutsi Hutu
zgrubieniem Hutu Tutsi Tutsi Hutu
a gdzieś w bramie Hutu Tutsi Tutsi Hutu
mdlejący kiedy górą watowane sterowce
gdy wystawach Hutu Tutsi Tutsi Hutu
pękniętych naczyń Hutu Tutsi Tutsi Hutu
nasadą pieśni Hutu Tutsi Tutsi Hutu
po wbiciu w naskórek miękkiej folii
Hutu Tutsi Tutsi Hutu Tutsi Hutu Hutu Tutsi
Tutsi Hutu Hutu Tutsi Hutu Tutsi Tutsi Hutu
gdy

oglądam pornosy

mijam amarantowe ściany
przyozdobione niezbyt ładnymi oknami
przez które widzę
w chuj smutne twarze
w chuj smutnych pacjentów w których
nie ma już
to nie ja
bo to oni

korytarze czasu
mordercy agresywnie manifestują
swoją obecność
poddanie jest nieuniknione
to tylko kwestia czasu

idealizm pęcznieje niczym europejskie brzuchy

gadamy o kotach
i przerabianiu węży czy krokodyli na torebki, buty
paski, rękawiczki
jedna z moich rozmówczyń pyta
Jak inaczej możemy z nich korzystać?
bo co nasze to jest nasze
i nie mamy zamiaru tego oddać

wybebeszona wspólnota bytów jakichkolwiek

bardzo interesuje mnie zebra
kiedy widzę zwierzę w lunecie nie mówię strzelaj
tylko zlikwiduj
brzmi godnie

sąsiadeczka wzbudza podobne emocje
jak snajper z ukrycia obserwuję jej brzydką sukienkę
i rude rozpuszczone włosy

tych potencjalnych śmierci nie rozdzielisz
kategorią wartościującą.

konfunduje Cię to,
dlaczego?

snow is falling all around me

ubrali choinkę bo gwiazdka przyszła
to znaczy ubrali
zbyt wiele powiedziane
nonszalancko zawieszono białe lampki
budują klimat powiedzmy postronny
stoimy w ciemności
dookoła niej
sami
świetnie oddajemy klimat świąt

i podgryzałem twoje uszko
jadamy tylko w drogich restauracjach

ale kto powiedział
że to my mamy patent na

rację

co to jest patent na rację?

* * *

Stara Azjatka w spodniach w kratę
wachluje swoje uda
wachlarz zrobiony jest z kartek papieru
kartki papieru zawierają tekst
nie podchodź
nie podchodź do jej ud

odejdz
odejdz tym wzrokiem
w inne rejony
odejdz

kolor to kwadrat

ma sztywne krawędzie i jasne ramy
jest intensywny, obezwładnia mnie
często przyjmuje postać naburmuszonego pieska
oklapłe uszka wabią odcieniami
kolor rozlał się jedynie ukradkiem

Vladimir Stockman

* * *

Ach, jak pragnie kobiety facecik
W paltociku niemodnym od lat!
Miłość jednak ku niemu nie leci,
Obojętny na niego jest świat.

O pieszczotach się ostrzych rozmarza,
O całusach śni gęstych, lecz sam,
Widzi przecież odrazę na twarzach
Tu i tam mijających go dam.

Kto pokocha pokurcza? Polubi?
Miałby rozum, urodę czy trzos..
Myśl, by współżyć, a choćby bez ślubu,
Jest jak kotki głaskanie pod włos.

Ulicami się płacze bez końca,
Skrzyta żądza przepala mu łeb,
Własna gęba go razi jak słońce
Odbijane w witrynie przez sklep.

1989

* * *

Czekać, aż kitę smok odwali?
Jemu też jedno życie dali..
Na razie to przeżywa on,
„Wojna!” ze wszystkich słysząc stron.

I zewsząd tylko: „Zdrada! Wróg!”,
I „Trzymać! Łapać!” – głuche dźwięki,
I komu tak nie podać ręki,
By człowiek w lustro spojrzeć mógł?

Noc. Gwiazda srebrzy się na niebie,
Pustka jak cios w słoneczny splot.
Pociągów stuk po torach, ot
I smok przeżywa mnie i ciebie.

2015

Świat i władca

Mojej córeczce Marysi

Lepię z plasteliny...

Nowieła Matwiejewa

Taki na przykład władca świata
Jak plastelinę świat ugniata,
Lecz plastelina tego nie chce
I w śmiech, bo władca dość ją łechce.

Władca, po srożej sądząc minie,
Bardziej jest zły, niż być powinien:
– Już ja ci zaraz stawię czoła,
Wojnę światową wnet wywołam!

Świat, mimo słów tych, jest spokojny,
Żadnej światowej nie chce wojny,
Nie jest potrzebna mu w ogóle,
Jeszcze by ktoś w niej komuś uległ.

Władca zaś już się strasznie złości,
Światowej boi się śmieszności,
Chce, by na serio było wszystko,
Łez jest naprawdę bardzo blisko.

Świat łaje władca bezrozumnie,
Rzuca oszczerstwa i kalumnie,
Po prostu traci panowanie,
Bo nikt się bać go nie jest w stanie.

Nijak nie pojmie biedaczyna,
Że świat to nie jest plastelina,
No, a po takim zawołanym
Władcy zostają tylko plany.

Ballada o prawdziwym poecie

Przeczytał wiersze nie swoje – no proszę!
Napisał swoje i już miał ich dość.
Zabrał parasol i włożył kalosze,
Wyszedł w ulewę żywiołom na złość.

Deszcz przeszedł, lata minęły, a ten
Chodził i chodził, nie szcędząc kaloszy,
Ziemia pod stopą, nieboskłon nad łbem
I nie jest ważne, po kiego cię nosi.

Kres przyszedł, kiedy skończyła się droga,
Horyzont przestał uciekać mu w przód.
Na końcu świata odpocząć dał nogom –
Słyszałem, co bym miał kłamać jak z nut?

Siedział tam jeszcze tak przez kilka lat
Patrząc, po niebie jak gonią się gwiazdy.
Prawdziwym przecież poetą był chwat –
Nic wszak nie pisał, przynajmniej nie nazbyt.

* * *

Wolno i mało piszę, na siłach
Nie jestem już, by brać pióro w dłoń.
Moja fantazja się umęczyla
Chcąc w słowach oddać bezsensu toń.

Gdzieś tam podobno trwa przebudowa
Myśli i pragnień na nowy wzór,
A tu przez nocy pół pije znowu
Nasz ignorantów natchniony chór.

Nie płynie jednak znikąd odpowiedź,
Jak bym kolegom mógł zadać kłam,
Gdy mówią: „Zawsze nikim jest człowiek,
A świat paskudnie jest taki sam!”

1987

tł. Maciej Froński

POEZJA
Mariusz S. Kusion

Korespondencje

wypalcowana butelka po tanim szampanie
stoi na baczność pod ścianą przypomina
wczorajsze urodziny już głęboko
dodane do archiwum w trosce o morale
szare komórki czerwone krwinki

białe noce i czarne godziny
zostają jako tło do motywacji
i pobudek o dowolnej porze
wszyscy doradcy okrążają temat
w zapętlonych krzywiznach
mądrzy dzięki prawu cytatu
raperzy mamrocą przez diamentowe zęby
na temat zasiłku i ojczyzny w szarej strefie

ogłosiliśmy deklarację o dryfowaniu do celu
może uda się wyłowić z tej rzeki swój kształt

tak chciwie czysty od cudzych palców

nie narzekam na system
odpisuję smsy znajomym którzy żyją
w wielopiętrowym spokoju mają spójne CV
miłość płatną zbliżeniowo

Próba kostiumowa

przecucie chodzi za mną w markowym obuwiu
trzeszczy skupienie nawet cienie gubią twarze
plany i ich odcienie kłócą się o zmysły
sen nie chce już zasnąć nocą tłoczą się słowa
kiedy odnajdziesz z losem wzajemne tematy
szanse powtórzą się na osobnych wieszakach

Przeciwległe kontury

piszę w tobie nowe narracje
znaczenia umykają dreszczem
po krzywiznach i liniach papilarnych
od szczegółu po ogół wątki łączą się
ściśle zwarta fabuła unieważnia odległość
sylaby zapisane na lustrze rezonują co rano
lubię cię całą w turkusowym zawstydzeniu

Wcielenie

ubrana tylko w zegarek
z czasem przyszyłem
sprawdzasz palcem
po mojej twarzy
czy na pewno jestem
blisko myślą

mową czynkiem
może zaniedbaniem

Punk Ogito

Posępne myśli

punk Ogito wie
że oni już po niego idą
choć jeszcze nie doszli

jest ich wielu
i mają przewagę
liczebną

ale może nie są stąd
i nie potrafią
zdobyć się na odwagę
by spytać kogoś o drogę

Preferencje

koleżanka punka Ogito
podejrzewana o bulimię
przyznała się
że zwraca
nawet to
czego nie pożyczyła

poza tym pije
ciepłą wodę
bo to wiele ułatwia

punk Ogito woli wino
– na lepsze trawienie
tego niestrawnego
świata

Zmyłka

jakoś i jakość
brzmia podobnie
– pomyślał punk Ogito
ściągnąc podarte spodnie

gdybym miał
to czego nie posiadam
pozostałbym ślepy
i głuchy na to
czego potrzebuję

Nostalgia znaków zapytania

jak daleko
jak daleko to sięga
– spytał punk Ogito

powtarzał to pytanie
wciąż i wciąż

nawet echo
nie chciało
mu odpowiedzieć

Mechaniczny chłód twojego głosu przebija się przez śnieg jak szafran

Nagły spadek masy
świata; rano
goisz się na mnie niepokojąco wolno, niepokojąco jasno świeci
smartfon – mechaniczny chłód twojego głosu
przebija się przez śnieg jak szafran.

Wschód

Mam dla was dwie wiadomości
Pierwsza jest zła
Druga jest zła

poprosiłem kolegę – matematyka o obliczenie
prawdopodobieństwa mojego powrotu do byłej
dziewczyny po ustaleniu kilku zmiennych
i niewiadomych jak stan cywilny zainteresowania nałogi
gusta muzyczne i kulinarne stan zdrowia
i status materialny ilość przebytych chorób
i tak dalej dostałem odpowiedź –
okazało się że prawdopodobieństwo wynosi zero
koma dwa procenta
i tylko dlatego że oboje nie lubimy zwierząt –
ostatnio myślałem o psie ze schroniska
ale mógłbym go polubić i wtedy nie byłoby nadziei
nawet na chwilę
takie jak w Amsterdamie – gdy o nich myślę
mam ochotę pić alkohol w ilościach
zagrożających życiu przeciętnego mieszkańca Europy
Wschodniej do nieprzeciętnego jeszcze trochę brakuje
lecz z każdym wierszem zbliżam się do niego
niebezpiecznie

Niedziela bez handlu

z portowymi piosenkami z kanapką
z dżemem truskawkowym
z katarem z hot dogiem z *Żabki*
z sosem tysiąca wysp z tęsknotą

z przerwą
między zębami z piwem Bosman ze słońcem z nieważnym biletem
z wkurwieniem z miłością z rozmową z botem

z piękną dziewczyną w autobusie z muzyką Oasis
z blantem z telefonem z domu
ze śniegiem z Debbie Harry

z twoimi pocałunkami
w białych koronkach
moich myśli

Poznaję cię po barwie
kaszlu poznaję po coraz
krótszych dniach
poznaję cię po coraz cieńszych
warstwach słońca na dachach coraz
większych korporacji

Martwy Piksel

księżyc jak martwy piksel powietrze pulsuje
jak linia basu Hooka z *Joy Division*
lub *New Order* zależy
z jakich czasów na mnie spojrzysz
przyznaję – nie znam drogi nie znam przystanków
więc nie
wiem czy przybliżam czy oddalam się od ciebie
ostatecznie
ta planeta to jedynie martwy piksel fabryczna wada
błada plamka na twoim przedramieniu.

Acodin

Braliśmy około trzydziestu
 tabletek Acodin słuchaliśmy nieistniejących zespołów
 (później okazywało się że *Elbow* istnieją i mają
 się dobrze) czas
 zwałniał i jeden odcinek *Simpsonów*
 trwał kilka sezonów ciekawe
 co ty robiłaś w tym czasie?
 myślę że miałaś się dobrze
 mogłaś tracić
 dziewictwo (wprawdzie
 nie wiem czy słuchałaś wtedy *Elbow*
 ale wiem że gdy minuta trwa godzinę a z głośników
 sący się *One Day Like This* to nie może skończyć się
 na pierwszym razie)

Claudiu Crulic umiera

Claudiu Crulic – zebra zliczone
 Claudiu Crulic umiera na betonie
 Claudiu Crulic – człowiek Rumun
 człowiek złodziej, człowiek kości
 człowiek skóra – Claudiu Crulic
 pisze do konsula. Claudiu Crulic
 umiera od tygodni. Claudiu Crulic
 nie popełnił żadnej zbrodni.
 Claudiu Crulic lulajże lulaj

Lulajże, Claudiu, nasza tragedia,
 lulaj wyśnione Kafki przekleństwo.
 Lulajże, Claudiu, lulajże, lulaj,
 a ty go, matulu, w głodzie utulaj.

Claudiu Crulic – 33 letni obywatel Rumunii, zatrzymany w Polsce za domniemaną kradzież portfela sędziego okręgowego, przetrzymywany przez kilka miesięcy w areszcie śledczym, od pierwszych dni pobytu za kratkami rozpoczyna strajk głodowy. Claudiu Crulic umiera 18 stycznia 2008 roku – przez cztery miesiące lekarze, strażnicy, urzędnicy nie zwrócili uwagi na pogarszający się stan zdrowia Claudiu.

nie pamiętam
żeby kiedykolwiek tata płakał
byliśmy szczęśliwą rodziną

na dźwięk słowa pochwa
krzywił się jednak
żyrandol

parę razy zmieszana dodałam
-lony
i wszyscy myśleli
że już można
odpowiadać
na wieki wieków

po latach
nie pamiętam żeby kiedykolwiek
tata płakał
a ja zmieszana
zamilkłam na
amen

Jeżeli ból jest solą

patrzę na swoje rany
przez taflę wody

widzę je jak w kostiumach kąpielowych
pływają dumne i kształtne

nurzają się rozmokłe
mają rybie skrzela
a ja oddycham jak wcześniej

ciągają wszystkie moje małżowiny
za ręce na dno
a z tej perspektywy nic się nie zmienia

jeżeli ból jest solą
leżę teraz w wannie
pełnej oceanu

Kobieta która zdradziła

kobieta która zdradziła
może zachować kamienną twarz
(przepraszam, ukamienowaną)

kobieta która zdradziła
może mieć
wypieki na twarzy
(przepraszam, piekący ból i upławy)

kobieta która zdradziła
siedzi obok ciebie
w tramwaju
napręża palce i na nich
lśniącą południem
obrączkę

Mamo

plotłaś i plotłaś
przeplotłaś jej
warkocze
i zrobiłaś jej na głowie
wiklinowy kosz
do którego mężczyźni
układali swoje powojenne ordery

mamo
teraz wódkę i cygara
nosi się w plastikowych torebkach
mamo
prześń pleść głupoty
pleśń mamo
nie robi się
z tęsknoty

Mieszkałam kiedyś

mieszkałam kiedyś
na sub-stacji smolistej
czyli w Krakowie

mówili mi
pani ze smoka
upadła na głowę

mieszkałam kiedyś
w Londy-mie na dachu
wielkiego wieżowca

rozdymiło mi
płuca, miałam lęk
na wyso-kościach

emigracja z gracją
znaczy asymilacja
mi lata lecą
a światu – owacja

Elvis Strzelecki

Odwyk

Byłem dziś w przybytku nadziei, szpitalu dla obłąkanych.
Mówili mi o złotych włosach żelaznej dziewicy, która złożyła ofiarę za ludzkość.
Pokazywali jej zdjęcia na ścianach swoich pokojów.
Chcieli być tacy, jak ona.
Doktor X wystawił mi żółte papiery.
Śmiał się, że to tylko plamy po rozlanym napoju.
Poczęstował mnie bromem.
Śniłem o białych korytarzach i niosących mnie sanitariuszach.
Zapięty w pasy widziałem, jak szydzą ze mnie czciciele złotowłosej.
Ci prawi spadkobiercy fałszywek pogrążeni w nadziei.
Matka jednak kocha swoje dzieci poprzez niepamięć,
a więc to oni będą czekać.
Mnie wypuszczą jutro.
O wszystkim zapomnę,
poza obietnicą całkowitego wyzdrowienia.

Dzień po końcu świata

5 minut po wybuchu
dym wciąż się unosi.
Mam w nozdrzach resztki jego zapachu.
Odsłania powoli twoje ciało.
Nic się nie zmieniłaś.
Wciąż masz na twarzy maleńką bliznę,
drobny pieprzyk na szyi,
znamię koło ucha,
niewielki garb na nosie,
piegi w każdym zakamarku skóry.
Świata już nie ma,
ale ważne, że ty nadal jesteś.

Idziemy



Idziemy na marsz,
na bankiet,
na wojnę,
na randkę,
na pielgrzymkę,
na mecz.

Idziemy tam, gdzie nas nie chcą,
tam, gdzie nas pragną,
tam, gdzie nas wyklinają,
tam, gdzie się za nas modlą,
tam, gdzie do nas strzelają,
tam, gdzie oddają nam niczym królom pokłon.
Idziemy zagubieni,
zamyśleni,
znieczuleni,
zawiedzeni,
zwerbowani,
zniesmaczeni.

Idziemy pewni siebie,
wyprostowani,
oddani sprawie,
walczący,
sprytni,
zwinni.

Idziemy, patrząc w przyszłość z nadzieją,
do domu,
do pracy wymarzonej,
do ukochanej z naszych snów,
do krainy szczęścia,
do jutra.

Idziemy, a może już doszliśmy?

Wódz



Twoja krew jest zbyt gęsta, by zostawić ślad na mapie świata
Twoje oczy są zbyt małe, by ogarnąć cały ten bałagan.
Twoja dłoń ledwie pomieści pierś młódki nieskalanej grzechem pożądania.
Twoje mieszkanie niezapisane jest w księdze marzeń ½ ludzkości.
Twoje słowa są ulotne, a czyny haniebne.
Twój potencjał zmarnowany przez testament nienawiści.
I ty, drobny człowieczku o mentalności glonojada, pragniesz złotego tronu?
Utnij lepiej kilka kwiatów z ogrodu i postaw w wazonie.
Trzymaj je jednak w osobnym pokoju,
by nie zwiędły na twój widok.

Ironia



Oduczyłem się czytać między wierszami.
Na dywaniku u coacha spowiadam się.
Zalecił mi e-leki.
Podrzuciłem je znajomemu z „Księgi Twarzy”.
Wegański burger smakuje jak mięso.
Woda jest słodka i ma brązowy kolor.
Dziewczyna, którą kochałem, zawinęła się w papierek i zamieszkała w sklepie.
Projekt na wczoraj nie powstanie nawet jutro.
Wszyscy każą mi myśleć pozytywnie.
Na boisku mojej dłoni wstaje już jednak tylko jeden zawodnik.
Patrzy w ich stronę i przedstawia się jako środkowy.

POEZJA

Zuzanna Madurska

Ostatni występ

a oto przed państwem
gwóźdź programu
siła nadludzka nie do opisania
uwierzcie potrafi
uciszyć dom jednym ruchem dłoni
szczekanie psa zmienić w tykanie zegara
strącać człowieka z miejsca na miejsce
by nie spoczął
nie odetchnął

ostrzegam was
jedno spotkanie z nią zmienia
wszystko
nie ma odwrotu
weszliście tu skorzystaliście z oferty
reklamacji i zwrotów nie uwzględniamy

drogie panie szykujcie chusteczki
po waszych policzkach spłynąć mogą czarne łzy

występ zakończono

na widowni
tysiące poruszonych
miliony zastygniętych
twarzy

Lud wszechmogący

Czy wolno nam mówić za innych?
Za krew tłoczących i zamarzniętych?
Za tych, co sami chcieli
odciąć się od źródła?
Kto nam dał pozwolenie
odnawiać zawieszony dyskusje?
Niby podobnie, lecz nowi ludzie.
Różne perspektywy.
Dziesiątki lat później.

Jacy jesteśmy silni
w spisywaniu wyroków.
Każdy sędzia najwyższy.
Wagę przechyloną na jedną stronę trzyma w dłoni.

Tak, jesteśmy winni.
Lecz niedługo stanie się zadość.

Będą silniejsi, bardziej doświadczeni.
Odbiorą nam mowę
i posługując się niesprawną ręką
zrzucają postawione pomniki.



Ojczyzna Rafała Wojaczka

Jarosław Nowosad > Esej

Pamięci Romana Nowosada, mego Ojca i pierwszego nauczyciela poezji, który pomógł mi odkryć i zrozumieć twórczość autora *Sezonu*.

„Po trzydzieste szóste: / Poeta bez ojczyzny” – głosi „Poemat mojej melancholii”¹. Jest tam również napisane: „Po dwudzieste pierwsze: / Ojczyzna to nienawiść i wizja i sperma”. To drugie (tak samo, jak i pierwsze) można rozumieć różnie. Na przykład tak, że ojczyzna to życie.

Po pierwsze

OJCZYŻNA²

Matka mądra jak wieża kościoła
Matka większa niż sam Rzymski Kościół
Matka długa jak transsyberyjska
Kolej i jak Sahara szeroka

I pobożna jak partyjny dziennik
Matka piękna niczym straż pożarna
I cierpliwa jak oficer śledczy
I bolesna jak gdyby w połogu

I prawdziwa jak gumowa pałka
Matka dobra jak piwo żywieckie
Piersi matki dwie pobożne setki

I troskliwa jakby bufetowa
Matka boska jak Królowa Polski
Matka cudza jak Królowa Polski
(1968)

Od tego trzeba zacząć. Prawdopodobnie nawet samemu Wojaczkowi trudno było ustalić, czy wierzył w Boga („Kolęda”³ ma bliźniERCZĄ konkluzję, co paradoksalnie wskazywałoby na jakąś formę prometeizmu). Jednego wszakże nie można mu odmówić: był poetą maryjnym (co zresztą trzeba też powiedzieć o prawie na pewno niewierzącym Tuwimie). Nawet jeżeli przyjąć, że Matka Boska służyła mu jedynie za personifikację Polski – właśnie tak, jak w przytoczonej wyżej „Ojczyźnie”.

Polski romantyzm, do którego Wojacek z upodobaniem się odwoływał, personifikował ojczyznę albo jako ukochaną dziewczynę, albo właśnie jako matkę. Ten drugi motyw przywoływali chętnie Słowacki i Norwid, lecz idea jest dużo starsza. „A która jest pierwsza i zasłużeńsza matka jako ojczyzna, od której imię macie i uszytko, co

macie, od niej jest?”⁴ – pytał wszak retorycznie już ks. Piotr Skarga. Te słowa mogłyby być mottem wiersza, któremu się przyjrzymy.

Łatwo zauważyć, że „matka” jest najczęściej powtarzającym się w tekście rzeczownikiem. To najważniejsze słowo wiersza, synonim tytułowej ojczyzny. Zaś cały utwór jest ciągiem porównań (tylko w jedenastym wersie użyto metafory), charakteryzujących ojczyznę-matkę. Dodajmy: porównań, które przy powierzchownej, bezrefleksyjnej lekturze mogą wydać się obrazoburcze. Ojczyzna (w dodatku – przypomnijmy! – uosabiana przez Matkę Boską) porównana do piwa i do bufetowej; karmiąca swe dzieci wódką?! Ojczyzna zrównana w swym pięknie ze strażą pożarną?! „Pobożna jak partyjny dziennik”, „cierpliwa jak oficer śledczy”?! I dlaczego „mądra jak wieża kościoła”, która – jako martwa rzecz – mądra żadną miarą być nie może? A przede wszystkim: dlaczego „matka cudza”? Niezależnie od tego, choć wiersz ma formę litanii, w pierwszej chwili sprawia ona wrażenie zupełnego chaosu, przypadkowości.

Co oznacza – gdy już zadajemy pytania – „Matka większa niż sam Rzymski Kościół (...) długa jak transsyberyjska / Kolej i jak Sahara szeroka”? Czyżby kpinę z marzeń o „Polsce od morza do morza”, rozdętych tutaj do absurdu? Być może, ale raczej chodzi o coś zgoła innego.

Po pierwsze takie „ogromne” porównania mogą znaczyć, że Polska jest dla Wojaczka całym światem. Ojczyzna dla kochającego ją obywatela znaczy subiektywnie więcej niż jakiekolwiek miejsce na Ziemi, choćby obiektywnie (czytaj: geograficznie, politycznie, gospodarczo itp.) była przy nim maleńka.

Po drugie – Syberia i Sahara to miejsca symboliczne. Nieludzka Ziemia była Golgotą niejednego Polaka w czasach zaborów, a i później też. Pustynie Afryki – jednym z terenów walki polskiego żołnierza „za wolność waszą i naszą” podczas II wojny światowej. W tym kontekście również Kościół jawi się areną chwały i męczeństwa licznych synów matki-ojczyzny – tej, o której poeta nie bez powodu napisał „bolesna jak gdyby w połogu”. Te dwie interpretacje nie wykluczają się zresztą. Sztuka, w odróżnieniu od psychoanalizy, nie zna inflacji symbolu; w sztuce symbol promieniuje wielością równoległych i równorzędnych znaczeń. Możliwe, że chodzi i o to, i o tamto (a niewykluczone, że o coś jeszcze, czego piszący te słowa nie wziął pod uwagę).

W kontekście tej pierwszej interpretacji, zasadnicza część poetyckiej litanii staje się jasna. Tak, jak matka jest matką wszystkich swoich dzieci – tych, które przynoszą jej radość, i takich, przez które płacze – tak i Polska jest ojczyzną wszystkich swoich synów, nie tylko tych najlepszych. Matką pałowanych demonstrantów i pałujących ich funkcjonariuszy; oficerów bezpieki i ich ofiar. Polska czasów Wojaczka to rozprawy teologiczne Wyszyńskiego i Wojtyły, na równi z naiwną wiarą prostaczków i – programowym ateizmem organów prasowych PZPR. Polska to tyleż Jasna Góra, ile obskurna knajpa z dobrotliwą barmanką i odświętnie wystrojony strażak, czyli to, co zwano wówczas „Polską powiatową”.

Za takim rozumieniem zdaje się świadczyć fakt, że o waż-

1 Rafał Wojacek: *Wiersze zebrane. 1964–1971*; Biuro Literackie, Wrocław, 2008; s. 179–183. Dalsze cytaty z poezji Wojaczka, pochodzące z tego wydania, oznaczam jako RW: op. cit.

2 RW: op. cit., s. 134.

3 RW: op. cit., s. 293–294.

4 Piotr Skarga: „Kazanie utóre” [w:] *Kazania sejmowe*; Tower Press, Gdańsk, 2000; s. 16

ności „małej ojczyzny” poeta pisał też bardziej bezpośrednio – w (dedykowanym Jerzemu Plucie, również poecie polskiemu) krótkim, zaledwie czterolinijkowym wierszu pod znaczącym tytułem „To nie fraszka”⁵:

Kiedy Ty mówisz „rzeka”, to ja słyszę „Odra”
Kiedy Ty „dom” powiadasz, to ja słyszę „Polska”

Kiedy Ty mówisz „Odra”, to ja słyszę „ręka”
Pewne ramię, na którym Twój dom się opiera

Tytuł epigramu wydaje się celowo dwuznaczny: utwór ani nie jest literacką drobnostką, ani nie dotyczy błahej sprawy. Uwagę przykuwa to, że o ile Polska jawi się domem (również częsta metafora ojczyzny – szczególnie chętnie używano jej w epoce Oświecenia, ale powraca i u Mickiewicza, i u Norwida, potem także u Wyspiańskiego), to „ojczystą” rzeką nie jest, jak można by się spodziewać, Wisła, lecz Odra. Wojacek, urodzony i wychowany na Górnym Śląsku (Mikołów), dorosłe życie spędził na Dolnym (Wrocław). Odra, rzeka płynąca przez „małą ojczyznę”, jest „pewnym ramieniem”, na którym „Twój dom [Polska] się opiera” „Małe” ojczyzny są podporami „wielkiej”, która, bądź co bądź, z nich się składa. Ale wróćmy do meritum.

Niepokojące (o czym była już mowa) wydawać się może nazywanie matki Boskiej, uosabiającej ojczyznę, „matką cudzą”. Ale sięgnijmy do Mickiewicza:

Patrz! – ha! – to dziecię uszło – rośnie – to obrońca!
Wskrzesciel narodu, –
Z matki obcej; krew jego dawne bohaterzy,
A imię jego będzie czterdzieści i cztery⁶.

Wojacek w pójncie wiersza, który tylko wydawał się burzycielski, *de facto* powtórzył zaledwie myśl wieszcz. O ile Konrad, mąż opatrnościowy z widzenia księdza Piotra, będący zarazem *alter ego* autora „Dziadów”, jak on ma „matkę obcą”, to i my, rodacy Mickiewicza i Konrada, dzielimy ich los. Na dobre i na złe mamy wszyscy Matkę z rodu Dawida, Królową Polski.

W tym kontekście słowa „bolesna jak gdyby w położu” nabierają jeszcze jednego, nader ważkiego sensu. Matka Boska rodziła bowiem tylko raz. Tak literalne pojmowanie macierzyństwa Maryi wobec Polaków stanowi przeto drobną, lecz jawną aluzję do mesjanizmu. Choć niekoniecznie całkiem poważną.

Po drugie

LIST DO KRÓLOWEJ POLSKI⁷

Nie mogę Ci uwierzyć, że szukasz mnie, choć widziałem:
Twoje niebieskie włosy umyślnie się zaplątały

w niską chmurę na której
zwiedzał Polskę mój głód.

Nie mogę Ci uwierzyć choć w nocy nad Jasną Górą
łóżka stanęłaś: żółto świecąca mgła i wyciekła
spod niej kwaśna kropelka
gwiazdy prosto do ust.

Nigdy Ci nie uwierzę bo kiedy wyszły mi z jelit
wszystkie glisty i ciało wyparowało w kulisty
piorun który wirując
unosił się ku mgłę

to wtedy nagi Murzyn, co wyszedł z dna mgły, przez tubę
powiedział: Obudź się!

(1967)

Wojacek w co najmniej kilku swoich utworach kreował się na współczesnego wieszca, trudno jednak zgadnąć, na ile był w tym poważny. W „Mojej piosnce (A.D. 1969)”⁸ składał hołd Norwidowi, jednocześnie widząc siebie w pewnym stopniu dziedzicem jego myśli. Ale już w „Balladzie bezbożnej” nie tyle parafrazował, co złośliwie parodiował „Wielką Improwizację”. Mickiewicz pisał:

Ja mistrz wyciągam dłonie!
Wyciągam aż w niebiosa i kładę me dłonie
Na gwiazdach jak na szklanych harmoniki kręgach.
To nagłym, to wolnym ruchem,
Kręcę gwiazdy moim duchem⁹.

Wojacek jest wyraźnie autoironiczny, ale i – być może – troszkę pokpiwa sobie z Mickiewiczowego patosu:

Gdzie moja stopa lewa bieg planet popędza
Tam nie ma Boga tylko jego impotencja

Gdzie moja stopa prawa bieg planet wstrzymuje
Też nie ma Boga tylko nieskończony smutek¹⁰

Jak rozumieć, skierowane bądź co bądź do Królowej Polski, słowa „nie mogę Ci uwierzyć, że szukasz mnie”? Jako zwątpienie w macierzyńską opiekę czy to Matki Boskiej, czy spersonifikowanej ojczyzny? Dalszy ciąg wiersza nie wydaje się na to wskazywać. Najpierw Jej „niebieskie (niekoniecznie musi chodzić o kolor, może też o Niebo – J.N.) włosy” wplątują się „w niską chmurę na której / zwiedzał Polskę mój głód”. Chmura, obłok – to biblijny symbol tajemnicy, towarzyszący m.in. Przemienieniu i Wniebowstąpieniu Chrystusa (o czym poeta raczej nie mógł nie wiedzieć). Łóżko, w którym podmiot liryczny śpi, jest „Jasną Górą” – sanktuarium maryjnym. W jego życiu sacrum (dosłowne czy metaforyczne) jest więc stale obecne. Nie ma powodu czuć się opuszczony.

5 RW: op. cit., s. 72.

6 Adam Mickiewicz: „Dziady – Część III” [w:] *Dzieła poetyckie*; Czytelnik, Warszawa 1953; t. 3, s. 190.

7 RW: op. cit., s. 41.

8 RW: op. cit., s. 314.

9 A. Mickiewicz: op. cit.; s. 159.

10 Rafał Wojacek: „Ballada bezbożna” [w:] RW: op. cit., s. 73.

Również głód (bez względu na to, jakiej sfery dotyczący) nie pozostaje bez zaspokojenia. Maryja przychodzi bowiem jako „zółto świecąca mgła” – a więc byt pokrewny chmurze – aby nakarmić Polaka gwiazdą (która też jest symbolem maryjnym). A *propos*: motyw „troskliwej bufetowej”, „dobrej jak piwo”, o piersiach jak „dwie pobożne setki”, ma i taki sens, że matka jest tą, która swe dzieci karmi. Matka-ojczyzna także w tym pozostaje niezawodna.

Możliwe – choć to tylko hipoteza – że chodzi tu o inne szukanie. Mianowicie o motyw biblijny poprzedzający Piątą Tajemnicę Radosną, odnalezienie w świątyni jerozolimskiej zgubionego Mesjasza.

Polak z wiersza Wojaczka wyraźnie chce się widzieć kimś pomiędzy Mesjaszem a Mojżeszem. Zwiedza Polskę (choć tylko *per procura*) na chmurze, otrzymuje też „mannę z nieba”. W trzeciej strofie podejmuje nawet próbę wniebowstąpienia, która – dodajmy – przyjmuje dość karykaturalną formę. Wyżbyty atrybutu ziemskiego (robaków), nasz bohater zamienia się w kulę światła – jest to parodia gnostycko-jogicznej wizji „wyzwolenia z okowów materii”. Nie ma w tym bluźnierstwa, gdyż wszystko okazuje się snem.

Kim jest budzący Polaka z mesjanistycznego snu Murzyn (poza tym, że jest to imię psa, którego poeta miał w dzieciństwie)? Raczej nie dopatrywałbym się intencji rasistowskich. Dla Polaka czasów gomulkowski obywatel Czarnej Afryki był w najlepszym razie kolegą z uczelni, najczęściej zaś po prostu egzotyczną abstrakcją. Niewykluczone natomiast, że czarny człowiek symbolizuje po prostu ziemię. Przebudzenie Polaka jest „sprowadzeniem na ziemię”, powrotem do rzeczywistości.

Tak czy siak, próżno dopatrywać się w „Liście do Królowej Polski” bodaj śladu żalu nad sobą. Groteskowość sytuacji lirycznej, zatrącająca o surrealizm, wskazuje raczej na autoironię. Być może rozwianie mesjanistycznych złudzeń nie jest powodem do smutku. Możliwe, że gromkie „obudź się!” współbrzmi z norwiderskim zawołaniem „ideał sięgnął bruku”. Powrót (niechby i brutalny) „na ziemię” jest przecież także powrotem do innych ludzi, więc zyskaniem szansy na interakcję z nimi. Dla twórcy oznacza cenną możliwość oddziaływania na innych.

„List do Królowej Polski” wydaje się zakwestionowaniem mesjanizmu, więc polemiką z Mickiewiczem. To zaś odruchowo każe pomyśleć o jego głównym adwersarzu.

Po trzecie

JAK DOWIEM SIĘ JEJ PRAWDZIWEGO IMIENIA¹¹

Kiedy leży na brzuchu na plaży prześcieradła
i woda snu przybiera wierzę że mi opowie
Polskę dokąd odpłynię zaraz przez senne morze
by się Polakom jawnie zwiadywać moja naga

Powie co będą krzyczyć kiedy ją na ołtarzu
lady zalanej piwem w wykadzonej kaplicy

11 RW: op. cit., s. 271.

publicznego szaletu czy na ambonie wiecu
zobaczą wychodzącą z niebieskiego oparu
mgły tytoniowej gestem najszybszej dłoni wszystkie
naraz zakrywającą obiektywy agentów
pobożnej informacji Którzy potem w swych ciemniach
daremnie będą chcieli wywołać ją znów z kliszy

Jeśli cokolwiek można Wojczkowi-poecie zarzucić, to na pewno nie oderwanie od rzeczywistości. Także politycznej.

Ojcowiznę obsiedli źli sąsiedzi
I kalają tradycję stwierdza język

I płące się pismo zawodzi sztuka
Ręka porzuca pióro noża szuka¹²

– pisał w 1970 roku. O jakich sąsiadów chodziło – można się domyślać. Można, ale nie potrzeba. W sonecie „Mit o dawnym szczęściu”¹³ anioł „cały czarny” (czyli wiadomo, jaki) ze wzgardą powiada: „Wy Polacy – głupcy!”, a taka składnia jest ewidentnym rusycyzmem.

Sytuacja liryczna w „Jak dowiem się jej prawdziwego imienia” wydaje się dość tajemnicza. Naga kobieta leży „na brzuchu” (a więc nie widać jej twarzy) i we śnie odbywa podróż do Polski, „by się Polakom jawnie zwiadywać”. U celu znajduje scenerię całkiem podobną do tej, którą znamy z „Ojczyzny”: zadymiony bar, publiczna toaleta (z której pojawienie się zjawy uczyni chwilowo „kaplicę”), masówka pierwszomajowa lub podobna, wreszcie – agenci UB uzbrojeni w fotoaparaty (dla których okaże się niewidzialna). Ale kimże ona jest i dlaczego koniecznie naga?!

Sięgnijmy do Słowackiego:

O Polsko! póki ty duszę anielską
Będiesz więziła w czerepie rubasznym,
Póty kat będzie rąbał twoje cielsko,
Póty nie będzie twój miecz zemsty straszny,
Póty mieć będziesz hyjną na sobie,
I grób – i oczy otworzone w grobie!

Zrzuć do ostatka te płachty ohydne,
Tę – Dejaniry palącą koszulę:
A wstań jak wielkie posągi bezwstydnę,
Naga – w styksowym wykapaną mule,
Nowa – nagością żelazną bezczelna –
Nie zawstydzona niczym – nieśmiertelna!¹⁴

12 „Rymy na przednówtku” [w:] RW: op. cit., s. 188.

13 RW: op. cit., s. 323.

14 Juliusz Słowacki: „Podróż do Ziemi Świętej z Neopolu – Pieśń VIII. Grób Agamemnona” [w:] *Dzieła*; Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1959; t. IV, s. 77–78.

Słowacki drogę Polaków do niepodległości widział w wybyciu się wad narodowych – owego „czerepu rubasznego”, więżącego „duszę anielską” narodu. U Wojaczka nie jest to takie proste. Odrodzenie wewnętrzne, do którego nawoływał wieszcz, rzadko bywa zbiorowe, częściej indywidualne – w sformułowaniu „moja naga” kluczowy wydaje się zaimbek „moja”. Wojackowy podmiot liryczny (trudno powiedzieć, czy i w jakim stopniu utożsamiał się z nim sam autor) wydaje się czuć wyzwolony z „czerepu rubasznego”; j e g o Polska jest „nowa – nagością żelazną bezczelna”, gotowa zmartwychwstać... mimo to ciągle uśpiona.

„Dusza anielska” i „czerep rubasznym”, „nagość żelazna” i „Dejaniry paląca koszula” w skali społecznej istnieją równocześnie i równolegle. Posiadacz „duszy anielskiej” jest realistą – ma świadomość, że poza nim i jemu podobnymi istnieją też inni Polacy. Bezpieka gotowa zadenuncjować każdą choćby myśl o niepodległości – zrobić zdjęcie, wywołać i przedstawić zwierzchnictwu. Mówcy z partyjnych spędów, umawiający narodowi, że niepodległością jest stan obecny. I wreszcie tacy, których sprawa narodowa zaprzęta mało – zwykli ludzie, żyjący między pracą, knajpą a dziennikiem telewizyjnym. Obojętność lub wrogość wobec kwestii istotnych – tak, zdaje się, definiował Wojacek współczesny „czerep rubasznym” oraz „koszulę Dejaniry”. A jednak...

A jednak i tym Polakom „zwiduje się” Polska – taka, o jakiej marzył Słowacki. A jednak oni wszyscy zdolni są – przynajmniej potencjalnie – do przemiany postulowanej przez wieszca. Wielu z nich, o ile tylko naga „zjawa” będzie się im konsekwentnie „zwidywać” (jednym z takich „nawiedzeń” mógł być – dlaczego nie? – sam wiersz), ma szansę przejść metamorfozę. Musiało upłynąć jeszcze kilka lat, nim stała się ona faktem. Czy poeta ją przeczuwał?

Tytuł przywołanego wcześniej wiersza, „Rymy na przednówku”, można rozumieć dwojako. Dosłownie – bo, jak głosi data pod tekstem, powstał on w marcu. Aliści przednówek to także konkretny czas w meteorologicznym kalendarzu – sam w sobie brzydki i nieprzyjemny, jednocześnie zwiastujący wiosnę.

Po czwarte

JESZCZE POLSKA

Wielka rzeka przecieka przez naszą domenę
Wypłukując żal z trzewi, ból z płuc, bunt z umysłu.

A jednak serca, wyspy
Niepodległe, choć wbrew nam, ostają się, pełne

Nieskruszonej miłości. I przez nią najgłębszy
Sen wciąż nie jest śmiertelny, bowiem ona czuwa:

Budzi nas, żeby róża
Jutrzenki w naszych oczach pozbyła sukienki

Porannej mgły. I klniemy tę niewczesną miłość,
Pilniejszą od strażnika i regulaminu.

Jeden siada na kiblu.

Drugi wtulił się w siennik, trzeci sobie drwiną
Radzi, a ja, starannie wyluskując z krocza

Wszy, nucę „Jeszcze Polska...”

(1968)

Powyższy wiersz można odczytywać w kontekście autobiograficznym – pocie istotnie przytrafiła się niedługa odsiadka za jakiś tam wybryk, z polityką nie mający notabene nic wspólnego. Można – lecz data powstania utworu zdaje się wskazywać na bardzo konkretny kontekst historyczny. Możliwe, że osobiste doświadczenie było dla autora wyłącznie inspiracją, nie zaś tematem wiersza.

„Wielka rzeka” z pierwszej strofy, wypłukująca „żal z trzewi, ból z płuc, bunt z umysłu”, jest widomą aluzją do propagandy, indoktrynacji. Równie wyraźną dla niej antytezą są „serca, wyspy / Niepodległe, [które] choć wbrew nam, ostają się, pełne // Nieskruszonej miłości. (...) I klniemy tę niewczesną miłość, / Pilniejszą od strażnika i regulaminu”. Tę miłość, za sprawą której „róża jutrzienki” objawia się nago, niczym pozornie tylko bezimienna uśpiona, o której było wyżej. O jaką miłość chodzi – wskazują już przywołane w tytule słowa Józefa Wybickiego.

Bohaterowie utworu mogą być literalnie więźniami politycznymi, tak. Równie dobrze chodzić może o obywateli państwa totalitarnego, które – jak Dania w *Hamlecie* – „jest więzieniem”, nie dającym się opuścić już to z braku paszportu, już to przez ową „niewczesną miłość”. Dosłowne miejsce ich pobytu nie wydaje się tu najważniejsze.

Więźni reagują na swoje położenie tak, jak zwykle ludzie postawieni w sytuacji, na którą nie mają wpływu. Jeden obojętnością, drugi wycofaniem, trzeci ironią. I tylko dla podmiotu lirycznego osłoda uwięzienia – literalnego lub metaforycznego – są słowa hymnu.

Być może „poeta bez ojczyzny” nie był nim z wyboru. Być może był tylko świadom, że go z niej okradziono. ●

Karina Stempel > Recenzja

Przestrzeń interpretacji



Ewa Olejarz, *Mongolski cyrk*,
Mikołów 2018.

Moje pierwsze zetknięcie z tomem Ewy Olejarz nastąpiło wówczas, gdy *Mongolski cyrk* zyskiwał formę, w jakiej ukazał się oczom czytelników. Owo „pierwsze czytanie” wiązało się rzecz jasna nie z automatyczną intelektualną analizą, a z wrażeniem, odbiorem, absorpcją słów i pierwszą próbą odpowiedzi na pytania: czy to mój świat, czy jest to świat dla mnie. Tom jest krótki: zawiera jedynie 29 wierszy, czyta się je jednym tchem, odpowiedź przyszła więc bardzo szybko: ten świat jest obcy, ale wzbudza taką fascynację, że błędem byłoby wycofać się przed zrobieniem pierwszego kroku.

Ewa Olejarz, na co wielokrotnie zwracali uwagę jej krytycy, to poetka, która czyni ze słowa narzędzie. Wydaje się przy tym, że nośnikiem znaczeń w jej poezji, ważniejszym niż samo słowo, jest jego kontekst – niedopowiedziana fraza, fraza „rwana”, ucięta, niejasna. Poezja Ewy Olejarz nie jest łatwa i przyjemna – często trudno zorientować się, ku czemu zmiernają jej wiersze, jakiemu „bogu” (zabawie? grze? sensowi?) służy dana fraza. W przypadku

Mongolskiego cyrku te niejasności stają się wielką zaletą – elementem spajającym obraz. Dzięki nim już na początku wiadomo, że nie dostajemy zbioru wierszy, ale kompletny, wielopostaciowy obraz świata, do którego zabiera nas poetka. Obco brzmiące słowa to nie tylko imiona czy nazwy, które zapowiada już pierwszy wiersz: „jestem jedyny Hio” (*Nazywają mnie (1)*). Czytelnik zostaje wrzucony w rzeczywistość, w której artefakty są tak samo obce jak słowa – jak w kolejnym wierszu, *Ludy pasterskie (2)*: „znałem pismo / ustępy / kodeks / podręcznik / tytuły / opowiadania / ko’akczin-ekeji / sołangga bołdzu / kołdun”.

Lektura kolejnych wierszy udowadnia, że książka Ewy Olejarz nie jest trudna – nie, ona jest wybitnie trudna, jeżeli potraktuje się ją poważnie. Warunkiem takiego odczytania jest wymóg, by czytelnik nie prześlizgnął się po warstwie słów, lecz spróbował zrozumieć, co znajduje się głębiej, za nimi. A nawiązując do tytułu tomu – warunkiem odczytania jest dostrzeżenie, że ma się przed sobą nie namiot cyrkowy, a jurte. Miejsce, które jest domem, gdzie

się mieszka, skąd wychodzi się w świat i dokąd się wraca, nawet jeśli czasami doświadcza się w nim „niezłego cyrku”. Oczywiście, można pozostać na płaszczyźnie odbioru powierzchownego, bazującego na analizie warstwy językowej lub sytuującego książkę w perspektywie współczesnych odczytań (np. postkolonialnych). Pytanie jednak, czy w przypadku tej książki to wystarczy. Wydaje się, że nie.

Załóżmy, że Ewa Olejarz wymaga od swoich czytelników głębszej analizy. W dobie zdominowanej przez modę na poetyckie komentowanie bieżących wydarzeń zdaje się to zabiegiem na wskroś ryzykownym, bo oznaczającym konieczność podjęcia przez czytającego wysiłku interpretacyjnego. Jednak przyjmijmy, że – bardziej lub mniej celowo – zmierza ona w kierunku figury znanej z historii literatury pod nazwą *poeta doctus*. Wielu czytelników zapewne mogłoby w tym momencie zadać pytanie, po co to robi. Po co miałyby utrudniać coś, co może być łatwe? Dlaczego trzeba szukać odpowiedzi na pytania, które przed czytelnikiem nie są nawet stawiane wprost? Problem ten można przenieść na o wiele szerszą płaszczyznę. Dlaczego w ogóle poezja wymaga namysłu? Czemu np. Thomasa Stearnsa Eliota nie rozumiemy, nie wiedząc, czym jest *animula*? Jak odczytamy poezję Zbigniewa Herberta, nie znając Kartezjusza? Czemu niezmiennie sytuujemy poezję na tle tradycji i odniesień? Odpowiedź jest prosta: czynimy tak, ponieważ chcemy zrozumieć. Z jakiegoś powodu chcemy wiedzieć, dlaczego zestaw środków i rekwizytów stosowanych przez poetę (David Attridge nazywa go indywidualną idiokulturą; w pewnym sensie jest to odpowiednik idiolektu na płaszczyźnie językowej) sprawia, że wiersz lub wrażenie, które on generuje, zostaje przy nas, zmusza do namysłu, rodzi skojarzenia z tradycją, którą już zaadaptowaliśmy do naszego systemu postrzegania świata.

Uwierzyźmy więc poetce. Przyjmijmy, że wie, co chce nam powiedzieć. Przecież prowadzi nas za rękę – a droga ta wbrew pozorom wcale nie jest wielką zagadką, gdyż wiedzie wprost do *Tajnej historii Mongołów* (I wydanie w języku polskim: *Tajna historia Mongołów. Anonimowa kronika mongolska z XIII w.*, przeł. Stanisław Kałużński, PIW 1970). To wybitne dzieło piśmiennictwa azjatyckich ludów stepowych koncentruje się na życiu i działalności najślynniejszego przywódcy Mongołów – Czyngis-chana. Jeśli czytelnik *Mongolskiego cyrku* miał wątpliwości co do wzajemnych powiązań rzeczywistej mongolskiej kultury i książki Ewy Olejarz, w tym momencie powinien pozbyć się ich ostatecznie. Oryginał przywołanej kroniki został spisany prawdopodobnie przed rokiem 1240 (jak dowiadujemy się ze wstępu tłumacza, zachował się jedynie jej późniejszy odpis, XIV-wieczna transkrypcja chińska, w tak zwanym Roku Mysz (por. wiersz Ewy Olejarz *Więź końców* (9)). Wersje chińskie i mongolskie *Tajnej historii Mongołów* zawierają podział na numerowane, lecz nie tytułowane części, a te z kolei dzielą się na ustępy. Tymczasem *Mongolski cyrk* Ewy Olejarz zawiera dwadzieścia trzy części (numerowane cyframi rzymskimi), w których pomieszczono dwadzieścia dziewięć wierszy (oznaczonych cyframi arabskimi).

Powinowactwo z mongolską kroniką książki Ewy Olejarz jest wyraźne i tak skrupulatnie opracowane przez autorkę, iż wydaje

się, że *Mongolski cyrk*, ujmowany jako całość, traktować można wręcz w kategorii ekfrazy. Historia Mongołów jest tajemniczym, pięknym, bogatym w inspiracje punktem wyjścia dla poetki, która na tej historyczno-kulturowej bazie „opowiada” współczesną, a jak się wydaje, również bardzo osobistą historię.

W obu książkach centralnymi postaciami – u Ewy Olejarz dwoma wiodącymi podmiotami lirycznymi – są matka i syn: czyli Hö’elün oraz Czyngis-chan. Z mongolskiej kroniki wiadomo, że relacje między nimi były niezwykle silne, ale równie mocno skomplikowane. Hö’elün wielokrotnie ratowała swoich synów przed śmiercią (również głodową), samotnie ich wychowywała, walczyła o nich i dla nich. Czyngis-chan odpłacał jej przywiązaniem i szacunkiem, ale także występował przeciwko niej. Ta niełatwa relacja, przypominająca walkę o dominację, o pozycję, połączona z miłością rodzicielsko-synowską, konstruuje również zasadniczy zrab książki Ewy Olejarz. Czytelnik otrzymuje w niej rozpisaną na głosy rozmowę pomiędzy synem i matką. Można się zastanawiać, czy łatwo identyfikowalne podmioty liryczne (polska koniugacja znacznie upraszcza interpretację) nie są wspomagane przez dodatkowe podmioty. Wszak rodzina, nawet tak nuklearna, nie istnieje w próżni. W książce znalazły się wiersze, które mogłyby być interpretowane jako trzeci głos, głos z zewnątrz. Wiodący jest jednak dialog, czasami przeradzający się w krańcowo jednostkowe utwory, indywidualne głosy, mówiące nie tylko o więzi, ale też o odrębności, rozłamie, samotności, rozczarowaniu i lęku.

Krytycy Ewy Olejarz próbowali szukać klucza interpretacyjnego do jej książki, jak już wspomniano, albo przez tropy postkolonialne (konstatując, że wiersze te nie odpowiadają wyzwaniom współczesności), albo przez tropy językowe (poddając się w próbie uściślenia, co w tych wierszach można dostrzec poza rozpadem). Tymczasem, jak się okazuje, poezję tę można odczytywać, wykorzystując tropy najprostsze – niezmiennie najistotniejsze (od początku funkcjonowania człowieka w społeczeństwie) relacje rodzinne, a także problemy wynikające z wyzwań, jakie stawia przed nami życie, które tym tylko różni się od historii Temudżyna i jego matki, że nie dzieje się w stepie, ale w centrum europejskiej cywilizacji.

Lektura *Mongolskiego cyrku* skłania do stwierdzenia, że cywilizacja niczego nie ułatwia. Czasami maska, w jaką można ubrać wiersz, pozwala bardziej wprost wyrazić lęk, miłość czy samotność niż słowa proste i powszechnie zrozumiałe. Książka Ewy Olejarz niesie w sobie tak duży ładunek interpretacyjny i emocjonalny, że pozostaje liczyć na to, iż dotrze do czytelników, którzy są gotowi na nomadyczną podróż. Jak każda prawdziwa wędrówka wymaga ona wysiłku. Ale nigdzie indziej nie ma tak szerokiego mongolskiego stepu i tak wielkich przestrzeni do interpretacji jak w tych wierszach. ●

Agnieszka Sroczyńska > Recenzja

Otwarte drzwi Jerzego Hajdugi



Jerzy Hajduga *Zatrzymać z czasu chwile*
(MK, Kraków–Drezdenko 2018, ss. 60)

W tej książeczce wszystko wydaje się niewielkie, niepozorne. Format – jedynie 15,6 x 15,6 cm. Konstrukcja wierszy – „na trzy wersy”, jak określił sam Autor (w dedykacji), a każdy wers składający się z co najwyżej czterech słów, nierzadko ostatni wers z jednego słowa. Generalnie – na pierwszy rzut oka – minimalizm formy triumfuje. W tym sensie dla wiernych czytelników poezji Hajdugi ten zbiór wierszy nie jest wielkim zaskoczeniem. Autor już we wcześniejszych tomach stosował minimalistyczną formę i przyzwyczaił nas do swojego językowego ascetyzmu. Jedyna różnica polega na tym, że w nie aż takim natężeniu. W tomie *Zatrzymać z czasu chwile* narzucił sobie rygorystyczną zasadę trzymania się tylko tych trzech wersów plus tytułu. Do Hajdugowego tytułu, który ma zasadnicze znaczenie dla interpretacji wiersza, wrócę w dalszej części recenzji. Na razie chciałabym postawić pytanie – na czym polega fenomen tych wierszy? Bo o takim śmieć mówić, mając na uwadze wypowiedzi czytelników poezji Hajdugi. Jedną z moich znajomych

wyraziła się, że jego wiersze pamięta po pierwszym przeczytaniu, w przeciwieństwie do wielu innych. I faktycznie, to jedna z cech tej poezji – jest tak wyrazista, że zapada głęboko w pamięć. Co zatem decyduje o tej jej wyrazistości? Odpowiem banalnie prosto, ale wydaje się, że najbliżej prawdy – forma w tym samym stopniu, co treść. Myślę, że zachowanie owego balansu między jednym a drugim jest jednym z najtrudniejszych zabiegów w poezji. I chyba jedną z najrzadziej występujących cech we współczesnej poezji polskiej. Odnoszę wrażenie, że poeci przechylają się w jedną lub w drugą stronę mniej lub bardziej. Jedni przedkładają szukanie nowych form, języków poetyckich nad to, o czym chcą nimi opowiedzieć. I wtedy mam odczucie, że nie ma żadnej gradacji wartości w świecie, że wszystko jest równie ważne lub równie nieważne, równie piękne, jak i równie obrzydliwe. Liczy się w takiej poetyce głównie eksperyment językowy. Drudzy tak bardzo chcą podzielić się swoimi żywymi odkryciami, ważnymi sprawami, że bagatelizują pracę na

językiem, nad formą wypowiedzi. Co robi Hajduga, żeby ten balans między formą a treścią złapać? Zaczę od formy.

Wspomniałam już o jednej z podstawowych cech konstrukcji tych wierszy – jest nią trójwersowość. Bez wątpienia ma ona głęboko uzasadnione źródło w poczuciu wagi słów i odpowiedzialności za ich wypowiedzianie. Drugą ważną cechą tych wierszy jest ich metaforyczność. Każdy z nich stanowi wielką metaforę. Wyjątkowość tych metafor i siłę przekazu podkreśla minimalna ilość słów przy ich budowaniu oraz koncept. Kiedyś Wojciech Bonowicz podzielił się swoim zachwytem dla pozornie prostego konceptu w wierszu, mówiąc: „Bardzo lubię takie błyski prostoty(...) [gdym w tomiku] nagle ktoś tak łupnie czymś bardzo prostym w gruncie rzeczy, taką myślą opartą na prostym paradoksie, na celnym spostrzeżeniu. Nie często to się udaje. To jest bardzo trudne”.¹ I dla zobrazowania swoich słów gestami przyrównał ową celność nazwania rzeczy do rzutu w środek tarczy. Czy wiersze z tomu *Zatrzymać z czasu chwile* cechuje owa celność? Wydaje się, że tak, i że jest to tarcza życia samego Autora. Zresztą na przedniej okładce tomiku widnieje fotografia przedstawiająca postać Hajdugi w środku tarczy zegara słonecznego, tym bardziej dająca nam prawo utożsamiania podmiotu lirycznego z alter ego Autora. Poeta nazywa celnie przede wszystkim najbliższą jemu rzeczywistość, która nierozdzielnie wiąże się z życiem w klasztorze.

Kolejną ważną cechą wierszy z tego tomu jest specyficzna rola tytułu. Jest on jak przedsionek domu, którego nie da się ominąć, żeby wejść do środka. To jeden z przykładów:

PRZECHODZISZ

*moje drzwi otwarte
tylko po sobie
zamykam*

Słowo z tytułu mogłoby być równie dobrze pierwszym, samodzielnym wersem lub pierwszym członem już istniejącego wersu. Wyodrębnienie go, podniesienie „do rangi” tytułu może służyć celom praktycznym – identyfikacji wiersza. Ale może również podkreśleniu, że ukrywa się w nim jednocześnie puenta. Jak w tym wierszu:

RESZTA MILCZY

*przy tobie zawsze Bóg
i ze mną
pogada*

Ten wiersz jest również przykładem wspomnianego przez Bonowicza „błysku prostoty” opartego na paradoksie. Mając świadomość stanu kapłańskiego Autora, nie można nie poczuć się zaskoczonym takim wyznaniem. Notabene to właśnie zaskoczenie było najbardziej dominującym we mnie odczuciem po lekturze tego tomu. Autor ukazał mi się w nim jako owe „drzwi otwarte”.

DRZWI OTWARTE

*a ty czekasz chwilę
jak dawniej by
zapukać*

Bez wątpienia jest to wiersz miłosny i nie jedyńy w tym

tonie. Jednak Hajduga pisze swoje wiersze tak, że przedmiot miłości nie jest nigdy oczywisty. I tu ujawnia się jedna z najważniejszych cech tej poezji – otwartość. Hajduga buduje ją poprzez wieloznaczność, możliwość interpretacji wierszy na wiele sposobów. Roma Jegor w posłowniu tomu tak o tym pisze: „Jeśli więc chcemy znaleźć w tych wierszach człowieka – z jego samotnością, zmęczeniem, wspomnieniami i miłością – to go znajdziemy. A jeżeli człowieka oddanego Bogu – z jego samotnością, zmęczeniem, wspomnieniami i miłością – to znajdziemy go tam także”.

Poza tym sukcesu tej poezji, bo moim zdaniem o takim można mówić (widząc chociażby ilość i treść komentarzy pod wierszami Hajdugi na jego stronie na Facebooku), doszukiwałabym się również w jej autentyzmie. Mówiąc wprost – tym wierszom się wierzy. Większość z nich jest napisana w poważnym tonie i pokazuje samotną stronę życia człowieka (nie tylko w klasztorze), z którą jednak podmiot liryczny radzi sobie, „okiełznuje” ją. Ale Autor pozostawia nam również swój uśmiech, jak w tym:

JESTEM PO WIERSZU

*a ty pytasz
po którym
w końcu*

Mimo wspomnianej otwartości i nieoczywistości interpretacji wierszy nie da się uciec od skojarzeń ze stanem kapłańskim i życiem Autora w klasztorze. Już w pierwszym wierszu tego tomu „Po rekolacjach” pojawia się nawiązanie do jednego z ważnych w życiu osoby duchownej, ale i w ogóle wierzącej, wydarzenia, jakim są rekolacje. Zarówno pojedyncze słowa, których używa w wierszach: Bóg, grzech, modlitwa, wniebowzięty, cud, lichtarz, grób, jak i określenia typu *zamienię wodę/ w wino* mówią, że podłożem tej poezji jest m.in. silna więź z Bogiem. Prof. Jerzy Nowosielski postawił pewną tezę dotyczącą twórczości: „Mnie się wydaje, że wielka twórczość to jest wielka spowiedź”.² Nie mam wątpliwości, że twórczość Jerzego Hajdugi – minimalistyczna w formie – jest wielka w swojej treści. Zatem, idąc tropem, który podpowiada Nowosielski, można zadać pytanie: z czego „spowiada się” Hajduga w tomie *Zatrzymać z czasu chwile*? Jakkolwiek zabrzmi to dla niektórych groteskowo, odnoszę wrażenie, że „spowiada się” z bycia poetą. Najdobitniej wyraża to ten wiersz:

PRZEDE MNĄ

*moje wiersze
jak grzechy
pierwsze*

Nie dajcie się zwieść niepozorności tej książeczki. Otwiera drzwi do wielu intrygujących przestrzeni – w życiu i w języku. Ich odkrywania wraz z Jerzym Hajdugą Wam życzę. ●

1 https://www.youtube.com/watch?v=3Tg3_8u73Qs

2 J. Nowosielski, *Listy i zapomniane wywiady*, Znak, Kraków 2015, s. 8.

Rafał Gawin > Recenzje poetyckie

Recenzje wyborcze

Jak korzystać z głosu, by ten okazał się ważny, by coś uzasadnił i przeważył? Autorzy i autorki recenzowanych w niniejszym odcinku cyklicznym książek poetyckich nie mają wyboru: eksplorują raczej charakterystyczne dla siebie rewiry, a jeżeli coś może zaskoczyć, to tylko pełna realizacja bolesnego, postapokaliptycznego hasła: żeby było tak, jak było. I nie jest to bynajmniej krytyka towarzysząca stagnacji; to raczej próba zadania sobie trudu najistotniejszego pytania w niemożliwej drodze do diagnozy: jak ma się zmieniać polska poezja, jeśli nie zmieniają się jej, bądź co bądź, czołowi (na ten czas) przedstawiciele?

• Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki
Dwie główne rzeki (WBPiCAK, Poznań)



Dycki jest zawsze w formie. Dycki jest zawsze w treści. Gdzie inny autor nie może, tam Dycki zgrabnie się zmieści. Zwłaszcza, że to już nie jest jeden wiersz barokowy, z inklinacjami średniowiecznymi, ze szczególnym uwzględ-

nieniem sag rodów i historii najbardziej przyziemnych chorób. Z niespełnioną miłością do siebie samego w tle. Z tłem, które udaje pierwszy plan. Od mniej więcej *Kochanki Norwida* Dycki jeszcze bardziej myli szyki, miesza i prowadzi na manowce biografów, tropicieli faktów, a nawet mitów, które przecież autor gromko śpiewający refren „heja hej!” wymyśla na bieżąco. I podrzuca nowe pojęciowe tropy. Obiema tytułowymi rzekami jednocześnie jest niezmiennie rzeka dzieciństwa (zresztą tak wzruszająco przepłynięta przez Maleo Reggae Rockers; unikliwsi czytelnicy niech szukają więcej analogii). Dwoistość pozostanie nienaruszona, choć jej chwiejność doczekała się bardziej skupionych realizacji. Od wspomnianej *Kochanki*... u autora zaczyna dominować tendencja minimalistyczna; samych powtórzeń też pojawiają się jakby mniej. Obsesje się nakładają i zapętłają, ale jakby bardziej oszczędnie. Mniej tu, jak chce nieopierzona i rewizjonistyczna młoda krytyka i co cytuję z uśmiechem politowania, acz z premedytacją, „manierystycznych trawestacji znanych idiomów”. Więcej pauz, milczenia, pracy z wierszem obok wiersza – w tym, co nienapisane, w swoistej tajemnicy tego zredukowanego powoli gadulstwa i gawędziarstwa. Mniej Dyckiego w Dyckim, by jeszcze podkreślić i wyupuklić jego „dycję”.

• Jakub Kornhauser
Dziewięć dni w ścianie (WBPiCAK, Poznań)

Chciałoby się powiedzieć: nareszcie. Przy tej skali talentu Kornhauser, poeta-tłumacz-wykładowca-piewca Małopolski, nawet



w osławionej i obsypanej *Drożdżowni*, pisał dość zachowawczo, jakby kalkulował szaleństwo, w ten sposób jego idei zaprzeczając (i mówię to w pełni świadomie, jako bardzo ciepły entuzjasta tego zbioru ekfraz). A tu nagle takie

rzeczy. Spoza dotychczasowych porządków, performansów (nie od dziś Kornhauser występuje w przestrzeni publicznej w różnych strojach, i nie nawiązuję tu wyłącznie do jego najpopularniejszej stylizacji: na kolarza), spoza post-Nowej Fali, którą wyssał z mlekiem ojca i wujków nienoblistów. Nie dość, że mamy świeży język, to jeszcze strzępki i echa fabuły, które możemy sobie złożyć, ba – opowiedzieć. I nie musimy wcale sięgać do tradycji awangardy: krakowskiej, rumuńskiej czy kosmicznej. Choć, wydaje mi się, kongenialny przekład *Biernego wampira* Luki, jakiego były członek zespołu „Literatury na świecie” dokonał całkiem niedawno, mógł mieć zwyczajnie ożywczy wpływ na jego poetycko-prozatorskie, a raczej szerzej: wyzwolone z okowów podziałów rodzajowych, gatunkowych i „nurtowych” poszukiwania i eureka. Cieszę się i z tym większą premedytacją nie chcę niczego sugerować przyszłym odbiorcom (Kornhauser nie od dziś ma ich wielu). Dodam tylko, nieco przekornie, acz nie tylko w odniesieniu do tytułu: ta ściana nie powstała między podmiotami a przedmiotami, żaden współczesny Edgar Allan Poe nikogo tu nie zamurował. W tej ścianie możemy być zaprawą i, zaprawieni, pracować na jej funkcje faktyczne i fatyczne.

• Joanna Żabnicka
Koniec lata (WBPiCAK, Poznań)



Minimalistycznie, w sposób skupiony i z szacunkiem dla języka, ale jednocześnie bardzo ulotnie. Jakby taka miała być idea wiersza niemalże doraźnego, choć w nic – poza swoim bezkresem – niez zaangażowanego: uderzyć i chwilę się utrzymać, przetrwać

ewentualnie w jakichś reminiscencjach podświadomości (czego jeszcze nie jestem w stanie określić, za mało czasu minęło). Niemniej sam nic z tego nie pamiętam. I nie pamiętałem również kilka dni po lekturze. Czy potrzebujemy takich książek? A jeśli tak – do czego? I jest to pytanie retoryczne, nie z tych pograżających i pomiatających efektownie książką. Ponieważ jest wysoce prawdopodobne, iż te wiersze wykonały już swoją pracę we mnie, nawet jeśli dotyczyła ona uzgodnienia zewnętrznych i wewnętrznych, niestałych stanów pogodowych, jakimi dręczą i męczą nas intrygujące, a więc bardzo hermetyczne opisy uczuć mniej lub bardziej nieistniejących, więc tym łatwiej ukrywanych w obrazach natury, z natury neutralnych, nawet jeśli nie do końca sprytnie obiektywizowanych. I tutaj poprzestane, ponieważ jestem przeciwnikiem lania wody, nie tylko z jakiegoś poetyckiego nieba.

- Szymon Żuchowski
Litanie czarnodziurskie (WBPICAK, Poznań)



Żuchowski nie od dziś nie boi się ryzyka, igra z neologizmami, a nawet prowadzi w sieci prywatny słownik pojęć, wydawałoby się, dysfunkcyjnych. I te fascynacje, obligacje, obiekcje oraz fantasmagorie mają coraz silniejsze odzwierciedlenie

w twórczości poetyckiej, jaką uprawia. Po dwóch książkach wydanych w nobliwej, acz skostniałej serii „Zeszytów Literackich”, co też świadczy o jego cywilnej odwadze jako twórcy przeciw młodemu i dynamicznego, przeniósł się do bardziej żywego i dostępnego Wydawnictwa WBPICAK. I, jak za dotknięciem czarodziejskiego metrum (tak, porządek liturgiczny musi panować, albowiem rytm jest święty), jego wiersze nabrały jakby więcej przestrzeni, oddechu, uciekły spod topora epigonii własnego ogona, dreda tudzież laski, która tak boleśnie towarzyszy różnej maści Dehnelom i Podsiadłom. I, owszem, tak skonstruowane wiersze będą się same konsumować, gdy tyle mówią – w zabiegach formalnych, różnych dystygowanych mrugnięciach okiem – o sobie, swojej genezie, samostanowieniu w pustce braku innych niż formalne punktów odniesienia. Ale nie brakuje im przy tym gracji, wynikającej jednocześnie z faktu własnej wyczerpywalności. A lekkie tony, w jakie te neoklasycystyczne wiersze uderzają, nie zostawiając śladów? Na ile możemy je uznać za poważne, niczym muzyka, która – siłą rzeczy i pasji – patronuje autorowi? Czy to nie jest klasyczne odwrócenie uwagi: o sprawach największej wagi mów tak, jakbyś ledwie muskał grunt, który i tak już prawie straciłeś, nie tylko pod nogami? Sprawdźcie to, wiedząc, jak wielu autorów z roczników 70. i 80. sobie z was igra.

- Adam Zdrodowski
Moon Machine (Convivo, Warszawa)



Książka-hybryda, jakby autor, ustami i umysłami własnych i cudzych podmiotów wołał (na puszczy): jestem i mam się dobrze; ale nie zamierzam was przegadywać. Złote myśli, a skromne – chciałoby się zamknąć ten zbiór i wybór

przekładów ciętą puentą. Ale to nie jest ten poziom wyuzdanego dyskursu: Zdrodowski wyciszył się i skupił na nierzucających się w oczy konkretach. Ból pojawia się dopiero jako najbardziej znacząca reminiscencja z lektury. Książka sprawia wrażenie zbiorówki, z premedytacją nieuporządkowanej, a jakby rzuconej na pożarcie krytykom, którzy dopiero w spójności formy i treści widzą punkt zaczepienia dla swoich podręcznikowych interpretacji. Zbiorówki wręcz niedokończonej, ślizgającej się po powierzchni niedostępne-

go wnętrza jakiejś całości, w którą nie da się uniknąć, dysponując tyloma pęknięciami. I wszystko jest tutaj świadome: marność nad marnościami nie tylko ludzkiej cywilizacji, widzianej z perspektywy płamy na słońcu. I wszystko jest tutaj ulotne, bo jak inaczej zatrzymać rozkład, rozpad, zanik i inne tautologie ontologii. Gdzie postawić znak zapytania, gdy pewność ujawnia się w momencie rozbłyску, a dłuższa równowaga oznacza śmierć. W wyborczym spocie eko na rzecz Drogi Mlecznej: znam wszystkie odpowiedzi, ale nie jestem w stanie zbudować pytań, by padły.

- Maciej Robert
Superorganizm (WBPICAK, Poznań)



Chciałoby się krzyknąć: znowu o śmierci, znowu prościej, znowu krócej. Znowu wiersz przestał mieć znaczenie w obliczu historii, polityki, ba, prywatności odartej z nadziei. Po wydaniu dwóch kłódkich poematów lokalność

u Roberta wciąż jednak nie straciła na znaczeniu, a wręcz zyskała nieco oddechu w problemach globalnych: wychowawczych i zdrowotnych. Podmiot spuścił z tonu, by nie mieć o nic pretensji, a jedynie spisywać braki przygód, osobne nieprzyjemności. Tarcia na linii sypialnia – pokój dziecięcy, albo na jakimś niestrzeżonym przejeździe kolejowym pomiędzy, jakimś skrzyżowaniu nadziei na dobrą śmierć i godną pustkę. A potencjał kontestacyjny tak wyciszonego, a jednocześnie konkretnego podmiotu, na pohybel kolektywnym konstruktom postkomunistycznych utopii? Jeśli do wierszy siada recenzent miliona książek, nawet jeśli przeważnie niepoetyckich, to czyż nie podejrzewa się go o poetyki rezygnacji, oparte o wykluczające z mód środki artystycznego wyrazu? Czy prostota, pozbawiona patosu i sądów ostatecznych, może tu być jedynie pozą, czy też stanowi próbę uporządkowania tej postzaangażowanej magmy, ostatni głos rozsądku w proteście przeciwko szukaniu problemów tam, gdzie ich nie ma, czyli w poezji?

- Krzysztof Jaworski
Ciąg Fibonacciego. III wierszy
(Convivo, Warszawa), Ceremonia (WBPICAK, Poznań)



Warto przypominać, że jednym z największych polskich poetów był Krzysztof Jaworski. Że oczyszczenie i spełnienie można odnaleźć wyłącznie w minimalizmie. Że potem można już pisać dowolnie, przekornie, choćby

i poniżej poziomu przyzwoitości, po prostu robić tak, żeby nie było dziecka. I Jaworski tak działa, coraz ciszej i na coraz mniej-



szą skalę. Powolna śmierć podmiotu, powolna śmierć autora – szkoda, że modlitwy nie działają, a wiersze daje się zrealizować tylko w otwartej głowie. Szkoda, że dojrzałość twórcza będzie prędzej czy później polegać na skre-

ślaniu całych tekstów. I polegnie w rezygnacji. Ale, ale, zaraz – naprawdę ta recenzja dotyczy jednocześnie wyboru i najnowszej, a także najkrótszej w dotychczasowym dorobku autora książki? Jak najbardziej, zwłaszcza że wybór, w części nowych wierszy (seria ma prostą zasadę: 100 utworów z poprzednich książek, 11 świeżynek), zawiera prawie połowę *Ceremonii*. Tak celebrytuje się znikanie. W odwróconym ciągu. Nie wszystkim, acz prawie już. Mikrorealizm polski, akademicki. Obsrane wiersze pod obsranymi krytykami. Nie ma nieba, nie ma piekła, w czystości, od nadmiaru brudu, zapchały się odpływy. Prawo wyborcze we mnie: do innej urny wrzucam ważny głos.

- Jakub Pszoniak
Chyba na pewno (Biuro Literackie, Stronie Śląskie)

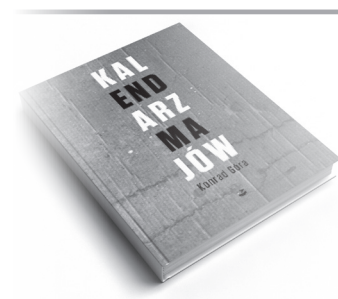


Pamiętam, jak ta książka się rodziła; jak przybywało w niej (nadmiernie) i ubywało (nieadekwatnie do treści) wierszy, jak konkurs im. Jacka Bierezina i Połów Biura Literackiego wysysały te projekty i wypływały. Jak sam re-

komentowałem, gdzie mogłem, choć nieco na wyrost, nie znając wersji finalnej książki i przyszłego rozwoju tego talentu. I bardzo dobrze się działo: Pszoniak zadebiutował dojrzałe i kompletnie, a przeurotność tytułu nie oddaje pewności tego książkowego gestu. To silny głos w poezji zaangażowanej ponad podziałami na lewą równą i prawą poszarpaną, ale przecież nie centrystyczny, a tym bardziej symetrystyczny. Brawurowe popisy dotyczą raczej obsługi językowej projektu: techniki operowania frazeologizmem, neologizmem, przerzutnią i krótkim wersem, który nie odcina kuponów polskości od Tadeusza Różewicza. To przecież, a może przede wszystkim, silny głos czarnego Śląska. Industrialnej Polski w ruinie, bez retuszu, a z wielką hałdą gier językowych, trafnie ją demitologizujących: poczynając od słynnej, acz przez Lao Che rozpropagowanej, „Polski od może do może”. Kto tak pięknie mówił, że się boi polskości, nie tylko na Śląsku? Kto się nie bał, że się pobrudzi, gdy od zakrystii zabierze się za demistyfikację istoty rzeczy, łapiąc ją na zimnych czynkach niejako z perspektywy podróży pociągiem towarowym, demaskując wszelkie braki w higienie osobistej, odwracanie na drugą stronę niewypranych poszewek? Kto wreszcie, debiutując u progu trzeciej dekady XXI wieku w Biurze Literackim, nie udawał się w tanie flirty z tak

zwaną dykcją roczników 90. (dochodzą do mnie słuchy, że tam się robi piekielko własnego sosu), wypłukującą z Tomasa Pułki i Tomasa Bąka melodie, rytmy i wyrwane z kontekstu znaczenia i ich braki? Pszoniak jest inny, niepodległy, acz powszechny. Świadomy, acz poddający się w wątpliwość. Oryginalny, acz niegardzący tradycją poetycką również najmłodszych pokoleń (sami poszukajcie odbić, przebić, nawiązań i rozwiązań). Dałbym mu już teraz jakąś nagrodę: na pewno się nie zepsuje i nie naprawi tych spektakularnych defektów w wierszach.

- Konrad Góra
Kalendarz majów (Biuro Literackie, Stronie Śląskie)



Dziwna to książka, jak dziwna była cywilizacja Majów, o którą przecież tu wcale nie chodzi. Maj to ostry miesiąc. Kapitalne językowo i formalnie wiersze przeplatane są swoistymi gawędami i opowieściami, jakby improwizowanymi;

zresztą do tego Góra przyzwyczaił bywalców literackich imprez: zdarza się, że zamiast wiersza opowiada anegdotę, która mogłaby być wierszem, gdyby ją skondensować i podomykać otwarte w rozpędzie wątki-ślepe uliczki. I to są, jednak, zgrzyty, ponieważ od razu widać doraźność i nieocianosność tych form retorycznej ekspresji: i gdyby jeszcze pojawiły się jako swoiste komentarze, głosy z offu, co przecież można zasygnalizować chociażby innym stopniem pisma, kursywą itd. A tak muszą wpływać na ocenę całości, choć przecież nie deprecjonują wierszy właściwych. Środowiskowa wieść niesie, że autor po prostu nie zdążył napisać książki na czas, dlatego w ostatniej chwili zaimprovizował do niej dodatkowe utwory. Tylko czy naprawdę nie można było przełożyć premiery? Tylko czy w poezji mogą obowiązywać jakieś nienaruszalne terminy? Plany wydawnicze jako święte pisma, wypełniane byle jak, by nie naruszyć formalistycznego wizjonerstwa biurokratów? Niemniej dla tych kilkunastu głodnych kawałków, językowo-formalnych majstersztyków, dla których w polskiej poezji brakuje już społecznego marginesu z potencjalnymi inspiracjami, warto zadać sobie kilka pytań: kim mówi Góra? Kto mówi Góra? Jak żyć w globalnej wiosce w cieniu kosmicznej katastrofy etycznej i poetyckiej? Dlaczego poetyckiej? A czytacie jakieś książki?

- Paulina Pidzik (prawo lasu)
(Kontent, Kraków)

Jak wąska może być poetyka? Czy *Nawroty* Joanny Lech da się przekroczyć, stanąć z boku i powiedzieć: pomidor? Pidzik niejako się to udaje, choć ma ułatwione zadanie: Lech sięgała po wyprane ze znaków, symboli i kontekstów somatyczne wątki z wierszy Romana Honeta; Pidzik podąża po śladach Małgorzaty Lebdy i Urszuli Honek, poetek wsobnych (ale jak wsobnych!), których światy



poetyckie, przestrzenie dla wierszy zostały programowo zredukowane już na poziomie fundamentalnym. A więc zostaje sam las. Do czego ma prawo? By budować klimat i czule osaczać, ogarniać i wysysać, ale tak, żeby z jednej

strony nie bolało, a z drugiej – nie robiło się zbyt przyjemnie. Taka najniższa izba kontroli emocji; sąd kapturkowy bez koszyków. Freud by się nie uśmieł, raczej zaprzestał psychoanalizy: las jaki jest, każdy widzi. A wątki bio (w tym przypadku graficzne) nie uzasadnią „prawa” z żadnej strony. Jest więc duszno, ciasno i jednowymiarowo, niewiele widać i trudno uwierzyć czarującej na sucho osobie szepczącej w tych wierszach, że za liśćmi czai się coś, co warto poznać: jakaś tajemnica, nawet drobna, albo choćby dziupla czy karmnik dla ptaków. Tym bardziej szkoda, ponieważ pierwsza lektura tego projektu (nominacja do Bierzyna 2018!) zapowiadała niezapomnianą przygodę; niestety, każda następna tylko demaskowała zastosowane sztuczki i chwytły, czułe, ale pozbawione finezji, którą na dłuższą metę można utożsamiać z jakąś tajemnicą. Krwiobieg bez krwi i limfy; pozostaje zgrabić liście i zaczekać, a może na tej wyjąłowanej ziemi autorka jeszcze zbuduje przekonujący ekosystem.

- Grzegorz Wróblewski
Pani Sześć Gier. 111 wierszy (ConVivo, Warszawa)



Tak, nie dowiadujemy się niczego nowego: Wróblewski był, jest i pewnie pozostanie jednym z najbardziej niedocenianych polskich poetów, zwłaszcza w Polsce. Czy ktoś jest tutaj winny? Domniemanie winy może,

a może nawet powinno dotyczyć większości polskich krytyczek i krytyków, którzy we Wróblewskim niezmiennie widzą postpunkowego brulionowca, gawędziarza flirtującego z minimalizmem w praktycznie każdym rodzaju literackim. I niezmiennie albo go przemilczają, albo wspominają w jakichś pospiesznie konstruowanych wyliczankach nazwisk, szeregach wstydu, świadczących o zawężonych horyzontach tych, którzy je układają, ich swoistej dwubiegunowce w podejściu do poezji: byle dało się wyróżnić nową fazę maniacką i nową fazę depresyjną, a jeśli nie – skupimy się na opisach przyrody. Ale żadnych tam wątków eko, na Ziemi, i kwantów w kosmosie. Ponieważ po co się wysilać, gdy jeszcze na spotkaniu autor i tak coś ci, w niewybrednych słowach, wygarnie? Gdy autor posiada silną osobowość i nie zawaha się jej użyć, gdyż – jak w wierszach, prozach, dramatach, esejach i felietonach – nie kalkuluje i nie smaruje uprzywilejowanych dup wazeliną przy użyciu własnej głowy (to pod rozwagę, dro-

dy kolekcjonerzy nominacji). Gwoli ścisłości: wybór, zgodnie z prawem serii, zawiera 100 wierszy z poprzednich książek i 11 nowych. Wróblewski zawęził prezentację do książek, które ukazały się po zebranych *Hotelowych kotach*. A poza tym wszystko jest w tekstach i w tekstach nie ma nic. Częstoście się na swoją odpowiedzialność.

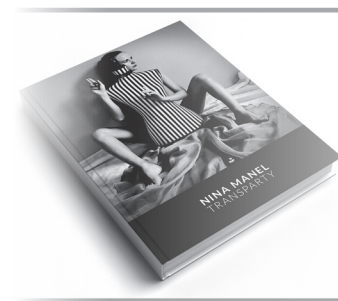
- Tomasz Ważny
Godzina wychowawcza (J, Wrocław)



Późny i przemyślany debiut. Pisany z premedytacją, po trzynastu latach od arkusza połowowego w Biurze Literackim. Taki, w którym niczego nie trzeba, a bardzo wiele się potrafi, a jednak się sobie na takie ekstrawagancje nie

pozwala, dla dobra poetyckiej materii, którą się dysponuje coraz bardziej świadomie. I tak tu koło się zamyka. I tak tu sobie można śpiewać piosenki o przymierzaniu, wyluskiwać alikwoty, porównywać ze zwierzętami na jot. Bawić w tropienie lokalnych motywów i środowiskowych odchyłań niestandardowych, uciekając przed tymi wierszami w zawile i narcystyczne języki najnowszej krytyki polskiej. I taktu nie brakuje: jest w tych wierszach jakaś dystynkcja, szacunek dla formy i powagi sytuacji lirycznej. Jest jednocześnie wolność od i do: po lekcji następuje przerwa, podczas której można opuścić budynek. A nawet wyjść z siebie. Do tego jakby ta *Godzina* zachęca. Natomiast samej lektury starczy na więcej, jeżeli podejść do niej poważnie i zweryfikować uprzedzenia do nauki; zrozumieć swoje położenie w świetle najnowszych odkryć pedagogiki wstydu. I wracać, wracać, jakby się miało dokąd. W skrócie: ważny debiut.

- Nina Manel
Transparty (Biuro Literackie, Wrocław)



Dziwna to poetyka. Niby formalnie brzmiąca, te wszystkie jedenastki, dwunastki i trzynastki, nieregularne, a dopracowane. Naukowe i paranaukowe konteksty, niemalże wykładnie z różnych poziomów trans (niech was

jednak nie zwabi i nie zmyli tytułowe „party”; tutaj dobrze się bawiła wyłącznie autorka). Ale jakby powtórka z rozrywki, nie wypominając pewnych przesunięć w czasie: „dykcja roczników 90.” – jak odpisze poetka i krytyczka niedoszłemu debiutantowi w odpowiedzi, dlaczego (znowu) nie załapał się na druk, choćby w almanachu. Rytm, flow, brzmienie i zaangażowanie: Tomasz Pułka spotyka Tomasza Bąka i zamiast na blanta, idą na demo,

ale tak nieco z boku, by trochę poczytać, niekoniecznie wierszy, ale już nie Marksa, bo przecież zna się go na pamięć i zabój. Pełna kultura, sformatowana, każdemu wobec (grupowych) potrzeb: nie wiem, jak jest dobrze, więc wymienię sobie wszystkie oryginalne, acz nieprzystające do obecnego mód głosy na lepszy model. A szkoda, ponieważ najlepsze wiersze w tym zbiorze, niejako go organizujące (przynajmniej mam taką nadzieję) „Fashion Weeki”, były pisane jakby z innym systemem poetyckich wartości w głowie, na inne, bardziej oryginalne zamówienie. I przy całym szacunku dla kolektywnych pomysłów na twórczość, (przeważnie) krakowskich szkół poezji, poetyka Manel straciła na uśpólnianiu formy, choćby w ramach treści autorka wywabiła najbielsze z tematycznych płam; ba, sam mogę nie pojmować tak daleko posuniętych badań nad człowiekiem i jego coraz bardziej płynnymi post, do czego przyznaję się treściwie. Jednak nie mogę nie podzielić się wątpliwościami, bardzo szanując talent, warsztat i poetycką samoświadomość autorki.

- Magdalena Kicińska
Środki transportu (Literackie, Kraków)

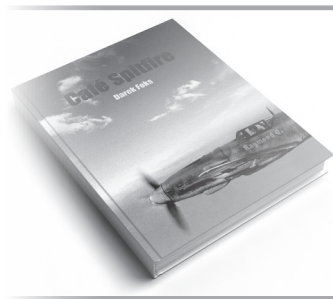


Pamiętacie *Biuro podróży* Krystyny Dąbrowskiej? To taka współczesna, nieco hipsterska wersja. Raczej przegadana. 55 wierszy w stylu wcześniejszej Szymborskiej, nieco późniejszej Lipskiej i opóźnionego późnego

Zagajewskiego. Przegadana, a chciałoby się powiedzieć: skrojona na miarę; jak w przypadku instapoezji, słynącej przecięż z kilkusetstronicowych pozycji. Lekko, łatwo i do przodu, a gdy tylko pojawia się jakaś mina, można ją zgrabnie i tendencyjnie rozegrać. Za lekko, za łatwo i ze zbytnią wiarą w tani sukces (choć książka, jak to w WL, swoje kosztuje). I co z tego, że sprawnie i momentami nawet zabawnie, nawet jeśli na raz? I to by było na tyle; to i tak dużo za dużo, gdy nie ma się nad czym pastwić. Autorka ma jednak poważniejszy problem: jest redaktorką naczelną bardzo poczytnego i płacącego godne honoraria pisma, więc od niewielu krytyków będzie mogła poznać smutną prawdę o swojej okołopoetyckiej produkcji. Znając życie, literackie i poza, pewnie jeszcze pojawią się nominacje i inne splendory. Świat wcale nie jest chory, tylko potrzebuje finansowej równowagi, której nie zapewni rynek, gdy mamy do czynienia z dobrem (lub złem) pozarynkowym. I taka banalna konstatacja, rodem z wiersza autorki, musi nam wystarczyć niczym zupka instant na tanim biwaku w dolinie wyschniętej rzeki.

- Darek Foks
Cafe Spitfire (Raymond Q., Skierniewice)

Nawet jakiś czas podejrzewałem, że to taki Yeti-Godot, widmo wolności od pisania. Kilka lat zapowiedzi, aż wreszcie Foks



ogłasza: wydałem, paru wtajemniczonych kolegów pisze recenzje nie na temat, w czym zresztą ma wprawę, co łatwo prześledzić w kontekście poprzednich książek autora *Liceum* (sprzed reformy; te kultowe wręcz blurby z Keblmeister). I w końcu do mnie trafiła całość, w wersji ostatecznej wspomnień obozowych, z każdą następną lekturą redukowanej, jak redukuje się pamięć w czasach post, jak sprząta się pamięć, gdy damy się wciągnąć w jej mechanizmy i nie korzystamy z żadnych form pracy nad nią, choćby skromnych notatek. Ale, ale, muszę państwa zmartwić: to prawie na pewno jest proza, więc – siłą rzeczy – wybór jest prosty: nie mogę kontynuować tej recenzji.

- Tomasz Bąk
Katedra (Papierwdole, Wrocław)



Oscarowa *Katedra* mogła rozczarować: krótko i ze szcążkową fabułą; żadnych, choćby zakamuflowanych, polskich znaków, tylko klimat, muzyka i pejzaże 3D, lans grafików. Bąk serwuje *Katedrę* alternatywną: płonąca od

polskości i znaczeń daleko wychodzących poza wzniesienie i gaszenie pożarów, symbole kultury światowej i chrześcijańskiej, znaki na niebie i ziemi, a zwłaszcza w mediach publicznych i społecznościowych, prawo- i leworęcznych. I niby, gdzieś w tle (niekoniecznie 3D) chodzi o jakieś Notre Dame, o wielki budynek w zsekularyzowanej Francji, ojczyźnie imigrantów i polakożercy Emmanuela Macrona. Ale to przecież tylko sztafaż, jakaś miniaturka, którą – niekoniecznie wzorując się na Jasiu Kapeli – można podpalić zapalniczką. Gra idzie o najwyższą stawkę, choć ten kolaż cytatów, podanych w formie jednoaktówki i opatrzonych didaskaliami, gdzie absurd Bąka spotyka się z absurdami Darka Foksa i Roberta Rybickiego (i niekoniecznie podają sobie rękę albo chociaż nogę), sam autor nazywa żartem, który można bardzo smutno przeczytać. Oto Polska właśnie, zbrukana pożarami bez ognia, a więc nie do ugaszenia. Pozycje koalicyjne i opozycyjne w medialnej papce głosów na gorąco, ogrzewających się w cieniu katastrofy. Oto prawdziwy dramat, akt, odkrywający nagość sytuacji. I nagość tych, którzy próbują o niej pisać, doszukując się poezji wszędzie tam, gdzie jej nie ma.

Wszystkie recenzowane książki ukazały się w roku 2019. Procentowy udział kobiet zaczerpnąłem z tradycji polskich wyborów. ●



100 x 100 cm 1 2014



100 x 120 cm | 2017



100 x 120 cm 2017



100 x 130 cm 1 2017



Basen, 100 x 130 cm 2018 3



100 x 130 cm 1 2018



Basen, 100 x 100 cm 2018 I



Akryl na płótnie, 140 x 100 cm

Aleksandra Hońko

Aleksandra Hońko (ur. 1984). Absolwentka Wydziału Malarstwa Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu w pracowni prof. Leszka Mickosia i dr Anny Kram oraz edukacji artystycznej w zakresie sztuk plastycznych na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim w Olsztynie w pracowni Eugeniusza Małkowskiego i Zygmunta Drońskiego. Laureatka Nagrody Artystycznej Prezydenta Elbląga za rok 2013. Autorka wystaw indywidualnych i uczestniczka wystaw zbiorowych w Polsce i za granicą, m.in.:

- 2014 Wystawa zbiorowa H₂O, Lisa Norris Gallery, Londyn;
- 2014 Wystawa malarstwa, Galeria Katarzyny Napiórkowskiej, Warszawa;
- 2013 Wystawa malarstwa, Galerie Sanhofer w Salzburgu;
- 2013 Wystawa malarstwa, Centrum Sztuki, Galeria EL, Elbląg;
- 2011 „Pistolety”, Galeria Rynek, Olsztyn.

Hońko buduje relacje i zależności między malarstwem a fotografią. Artystka posługuje się w swoich pracach wykonanymi przez siebie fotografiami, traktując je jako punkt wyjścia do budowania obrazu. Tematem jej prac jest woda i pływająca w niej postać ludzka. Ukazuje człowieka jako pozbawionego indywidualności, rysów psychologicznych – widzimy tylko jego ciało zanurzające się w tafli wody. Malarka analizuje ruch postaci w wodzie. Doskonale przemyślana kompozycja, intensywne, płasko kładzione kolory podkreślają efekt zatrzymania chwili.

źródło: Galeria Sztuki Katarzyny Napiórkowskiej

Hońko poszła w kierunku estetycznej gładkości. Jej kolory są czystsze, świecą jakby od wewnątrz. Płamy kładzione płasko w dynamicznym układzie sprawiają, że obraz żyje. Masz wrażenie pływania razem z postacią zanurzoną w wodzie. Zatrzymana jest więcej niż chwila. Możesz zadać sobie pytanie – co czuję? Tonę, czy unoszę się na fali? Dokąd płynę? Sama, czy niesie mnie prąd? Kolor współgra z emocjami. Błękitny uzupełnione świetlistymi żółciami i czystą czerwienią, jarzącą się bardziej dzięki śladom zieleni, budzą fantastyczne uczucie wolności. Dają przyjemne poczucie swobody i lekkości. Tu pływasz z radością, rozpryskując krople wody w słońcu.

Katarzyna Kaczmarek <http://obrazyiwgrazy.pl>

Najbliżej tym obrazom do hiperrealizmu, ale sylwetka pływającej osoby, przechodząc przez pryzmat wody, zostaje abstrakcyjnie wykoślawiona, złamana, przez co prace te mają w sobie wiele z kubizmu. Bohaterka tych płócien, najczęściej sama artystka, ma swój świat i swój temat – żywioł wody. Artystka mówi, że czuje respekt wobec żywiołów; w tych obrazach nie wyczuwam tego respektu: nie ma tu walki, napięcie jest dyskretne, za to wszechobecna zdaje się być cisza oraz spokój „wielkiego błękitu”.

Olgerd Dziechciarz

funku) jak „Sex Shooter” Apolloni 6 (także znany z filmu „Purple Rain”), „The Glamorous Life” Sheili E, „100 MPH” Mazarati czy wielki hit The Bangles „Manic Monday”; bardziej rockową energię usłyszymy w „Jungle Love” The Time czy „Holly Rock”; ciepłe soulowe klimaty przeważają w „You’re My Love” Kenny’ego Rogersa, „Baby, You’re a Trip” Jill Jones czy w słynnym „Nothing Compares 2 U”, który w oryginalnym wykonaniu Prince’a podoba mi się najbardziej – w dużej mierze dzięki świetnym solówkom na saksofonie. Aż trudno uwierzyć, że Prince nie docenił tej piosenki i postanowił oddać ją The Family. W ich wykonaniu też przeszła bez echa, dopiero dzięki ekscentrycznej Irlandce stała się wielkim hitem.

Prawdziwym rarytasem na płycie jest „Love... Thy Will Be Done”, którego muzykę Prince napisał do modlitewnego tekstu Martiki – amerykańskiej wokalistki kubańskiego pochodzenia, dziś pamiętanej głównie z wielkiego przeboju „Toy Soldiers”. Prince poruszająco zaśpiewał tę piosenkę falsetem, dodając wokalne harmonie i niemalże gospelowe chórki, utrzymując wszystko w ryzach skromnego, syntezatorowego akompaniamentu. Nie jest to jednak najbardziej oszczędny aranżacyjnie utwór – w „Noon Rendezvous” Sheili E słyszymy przejmujący, płaczliwy falset Nelsona (z tekstem pisanym dla kobiety, więc z kobiecej perspektywy) do skromnego fortepianu.

„Originals” to jeden wielki miszmasz – czyli Prince w pigułce, tutaj pokazany przede wszystkim jako świetny kompozytor, który potrafił tworzyć z różnych perspektyw, w różnych stylach, a także wykonawca – jego wersje nie ustępują wykonaniom innych artystów, ba, większość z nich je przewyższa! Choć jest to płyta z demówkami, to wcale nie czuć, że są to demówki, co świadczy o perfekcjonizmie samego „Księcia”, jak i o należytym starannej obróbce tego materiału. Dla fanów Prince’a Nelsona „Originals” to pozycja obowiązkowa, a dla osób, które go nie znają albo nie doceniają, doskonała szansa na to, by zweryfikować swoją opinię, a następnie sięgnąć do „Controversy”, „1999”, „Purple Rain”, „Around The World In A Day”, „Parade”, „Sign O’ The Times”, „Lovesexy”, soundtracku z burtonowskiego „Batmana”, „Diamonds And Pearls” czy „The Gold Experience” i zafascynować się jego muzyką. U mnie zadziałało!

ocena: 9/10

• Tides From Nebula – From Voodoo To Zen

Data wydania: 20.09.2019

Wytwórnia: Mystic Production/Long Branch Records

Utwory: „Ghost Horses”, „The New Delta”, „Dopamine”, „Radionoize”, „From Voodoo To Zen”, „Nothing To Fear and Nothing To Doubt”, „Eve White, Eve Black, Jane”.

Polskiej formacji Tides From Nebula słuchałem pierwszy raz niedawno, może w 2017 roku, gdy przypadkiem wpadł mi w ręce krążek „Safeheaven” i wtedy twórczość kwartetu (wówczas) zaczerpłała mnie, choć panowie nie tworzą przecież piosenek w tradycyjnym tego słowa znaczeniu, grają muzykę w pełni instrumentalną, jednakże tak bogatą w dźwięki i emocje, że wokalu nawet nie byłoby za bardzo gdzie wcisnąć. Gitary i sekcja rytmiczna a to tworząc ścianę, a to kojąc melodiami, przy niewielkim współudziale klawiszy, potrafiły za pomocą generowanych dźwięków przenosić w inną czasoprzestrzeń. Dlatego informacja o nowej płycie warszawskiej kapeli z jednej strony ucieszyła,



a z drugiej zaniepokoiła, ponieważ z zespołu odszedł jeden z gitarzystów (Adam Waleszyński), a pozostali muzycy (Maciej Karbowski, Przemysław Węglowski i Tomasz Stołowski) podjęli decyzję o nieprzyjmowaniu nikogo na jego miejsce... Wzorując się na Genesis, mogliby spokojnie nazwać płytę „...And Then There Were Three”.

Już sam tytuł nowego krążka (de facto zapożyczony z piosenki „Pills” St. Vincent) jest bardzo frapujący. Nie spodziewałem się oczywiście tego, by panowie wbijali słuchaczom szpilę, wywołując przy tym jakieś nieznośne cierpienia, ale raczej podejrzewałem, że nowy album może oscylować między pewną grozą, niepokojem tego złowrogiego rytuału a medytacyjnym wyciszeniem i odpłynięciem. Trochę tak jest.

Brak drugiej gitary został w przypadku nowego albumu zrekompenzowany zwiększoną ilością elektroniki i brzmień syntezatorów, co mnie osobiście bardzo ucieszyło, bo jeszcze bardziej wystrzeliło to stylistykę zespołu poza orbitę, w kosmos. Najlepiej obrazuje to utwór tytułowy z zimnymi plamami syntezatorów na początku, przechodzący następnie do dość melancholijnych nastrojów – w utworze „From Voodoo To Zen” chyba w największym stopniu dominują niespiesznie budujące atmosferę syntezatory oraz gościnnie pojawiające się instrumenty smyczkowe i dęte, co nadaje kompozycji cechy muzyki filmowej. Nieobecność drugiego wiola odciążyła także brzmienie, dzięki czemu większą i lepiej słyszalną rolę odgrywa sekcja rytmiczna (jak np. w utworze „The New Delta”). Najważniejszym atutem tego wydawnictwa jest jednak melodia („Radionoize” pod tym względem chyba najbardziej urzeka), jak to w przypadku Tides From Nebula – nienachalna, nienarzucająca się, ale przyjemnie i powoli pozwalająca się okiełznać.

Oczywiście są na tej płycie utwory nieco ostrzejsze, łączące mocne, gitarowe riffy z wyrazistą i nieco agresywniejszą elektroniką („Dopamine” i „Ghost Horses”), ale jest i sporo spokojniejszych dźwięków (wspominany tytułowy czy „Nothing To Fear Nothing To Doubt”). Wszystko brzmi jak najbardziej spójnie w kontekście całości – muzycy stanęli na wysokości zadania także pod względem producenckim, sprawiając, że materiał jest wyrafinowany, wysmakowany i nieprzesadzony w żadną ze stron. Tej muzyki można (a może nawet należy?) spokojnie słuchać jako monolitu, wyobrażając sobie, że to jeden długi utwór rozdrobiony na osiem części. Wtedy smakuje najlepiej i prosi się o to, by posłuchać raz jeszcze. „From Voodoo To Zen” to bardzo dobry materiał, a osłabienie szeregów bynajmniej nie osłabiło zespołu, a może nawet – paradoksalnie – go wzmocniło. ●

ocena: 9/10

do którego dołącza elektroniczne pulsowanie, bardziej może się kojarzyć z twórczością Tangerine Dream niż Opeth, ale jest miłym zaskoczeniem na początek, płynnie przechodzącym w pierwszy „normalny” utwór „Dignity” z mocnymi riffami gitarowymi ozdobionymi brzmieniami hammondów i melotronu. Po tym mocnym wstępie wszystko się wycisza i pojawia się typowa dla zespołu akustyczna ustawka ze spokojnym, choć nieco wysokim śpiewem Mikaela, który – jak sam przyznaje – ułożył sobie na tej płycie linie wokalne przekraczające jego możliwości. Niestety bywa to w niektórych momentach słyszalne, zwłaszcza w spokojniejszych, gdy sili się na przesadną ekspresję (np. falset w skądinąd udanym „Universal Truth”), ale akurat w „Dignity” Mikael radzi sobie bardzo dobrze z czystym śpiewem, jak i krzykiem, na granicy którego balansuje w zwrotkach.

Nowy krążek Opeth to płyta wymagająca od słuchaczy co najmniej od kilku do kilkunastu przesłuchań, ponieważ nie jest to muzyka łatwa w odbiorze. Pierwsze odsłuchy mogą nie przynieść od razu pozytywnych wrażeń – tak było w moim przypadku. Do pierwszych dwu utworów można było się przyzwyczaić wcześniej, ponieważ były udostępnione do odsłuchu i – trzeba przyznać – są one, w odniesieniu do całości, najbardziej przystępne. Można wyróżnić na albumie numery, które w większym stopniu opierają się na mocnych, opethowych riffach („Next Of Kin”, „Charlatan” z bardzo przyjemnym groove’em i ciętym, ciężkim riffem), ale i utwory z założenia spokojniejsze. Jednym z nich jest „Lovelorn Crime” oparty na fortepianie i smyczkach, z kołysankowym śpiewem lidera i przepiękną, po gilmourowsku uduchowioną solówką gitarową, którą Akerfeldt masakruje pod koniec niepotrzebnym „wyciem”. W „The Garroter” Szwedzi urządzili sobie całkiem przyjemną randkę z jazzem, co przejawia się w partii perkusyjnej Martina Axenrota i scattowanej wokalizie pod koniec.

Znaczenie łacińskiego tytułu nowej płyty Opeth „In Cauda Venenum” to „trucizna w ogniu”. Jak czytamy na stronie encyklopedia.pwn.pl wyjaśnienie tego zwrotu: „złośliwość jest zawarta w zakończeniu niewinnie rozpoczynającego się listu, przemówienia, artykułu”. Czyżby przejawia się w tym tytule samoświadomość Mikaela Akerfeldta, że fani, słuchacze, recenzenci, pisząc o nowej płycie, na początku będą wspominali w ciepły sposób piękne czasy dawnej świetności zespołu, kiedy to wydali „Blackwater Park”, „Deliverance” czy całkiem akustyczne „Damnation”, a na koniec boleśnie rozprawią się z nową płytą, nierzadko uciekając się do trującego hejtu? Gdybym tę recenzję napisał tydzień wcześniej, pewnie dołączyłbym do tego „chóru oburzonych”, ale na spokojnie posłuchałem jeszcze kilka razy, bez uprzedzeń, i optyka się zmieniła. Nie jest to wybitna płyta Opeth, ale po kilku uważnych przesłuchaniach ten materiał pozwala się „ugłaskać” i niewątpliwie zyskuje. Nie ukrywam jednak, że tęsknię za mocniejszymi riffami i growlingami, nawet jeśli Akerfeldt wspomina, że ostatnią death metalową płytą, jaką kupił, była „Domination” Morbid Angel z 1995 roku i ta formuła się wyczerpała...

ocena: 6/10

• Prince – Originals

Data wydania: 07.06.2019

Wydawnictwo: NPG/Warner Bros.

Utwory: „Sex Shooter”, „Jungle Love”, „Manic Monday”, „Noon Rendezvous”, „Make-Up”, „100 MPH”, „You’re My Love”, „Holly Rock”, „Baby, You’re a Trip”, „The Glamorous Life”, „Gigolos Get Lonely Too”, „Love... Thy Will Be Done”, „Dear Michaelangelo”, „Wouldn’t You Love To Love Me?”, „Nothing Compares 2 U”.



Wydana w tym roku pośmiertna „Originals” była pierwszą płytą zmarłego w 2016 roku Prince’a Rogersa Nelsona, jaką w całości przesłuchałem. Nigdy wcześniej nie ciągnęło mnie do tego artysty, gdyż, pisząc szczerze, wyrobiłem sobie o nim mylne mniemanie na podstawie epatującego kiczem wizerunku scenicznego, choć – tu muszę przyznać – zawsze doceniałem jego najbardziej znane piosenki jak „Purple Rain”, „The Most Beautiful Girl In The World” czy „Kiss”. Kojarzyłem także, że „Książę” tworzył piosenki dla innych – wiedziałem, że był autorem wielkiego hitu Sinead O’Connor „Nothing Compares 2 U”. Tyle było mojej wiedzy na jego temat.

Postanowiłem jednak porzucić uprzedzenia i posłuchać owej płyty będącej de facto kompilacją demówek z piosenkami podarowanymi innym artystom (głównie artystkom), które stały się przebojami w ich karierach. Są to numery z lat 1981–1991. Prince Rogers Nelson był artystą niesamowicie płodnym – wystarczy spojrzeć na ilość jego dokonań i nagrań poczynionych w ciągu niespełna czterdziestoletniej kariery (zmarł w wieku 57 lat!). Muzyka była dla niego nie tylko pracą, pasją, ale i uzależnieniem, więc tworzył ponad normę, dzięki czemu – podobno – w jego archiwach jest jeszcze mnóstwo niewydanego materiału, który zapełni niejedną pośmiertnie wydaną płytę. W przypadku „Originals” mamy do czynienia z piosenkami pisanymi dla artystów, a zwłaszcza artystek, którymi Prince opiekował się muzycznie (i zapewne nie tylko), ale także dla zespołów, które zakładał i dla których tworzył, a w których już nie występował (Apollonia 6, Mazarati, The Time czy The Family).

Płyta jest niezwykle eklektyczna, co w przypadku Prince’a jest czymś normalnym, ponieważ jego twórczość służyła z wielogatunkowości. Gdy odrobilem pracę domową i zapoznałem się z najbardziej klasycznymi dokonaniem, mogłem z przekonaniem stwierdzić, że wspaniale potrafił łączyć r&b, funk, soul, pop, rock, rap, jazz i co tylko jeszcze. To wszystko ma swoje odbicie także w opisywanej w tej recenzji kompilacji, na której znalazły się piosenki czysto popowe (często z domieszką

się zaangażować bardzo wielu muzyków – w tym naprawdę uznanych i doskonale w świecie rocka znanych, jak koledzy Andersona z Yes – Steve Howe, śp. Chris Squire, Alan White, a także Ian Anderson z Jethro Tull, perkusista Carmine Appice (Vanilla Fudge), skrzypki Jean Luc-Ponty, pianista Chick Corea, Steve Morse (Deep Purple), Bobby Kimball (Toto). To najbardziej znane nazwiska, ale jeśli przyjrzeć się liście płac, jest ona bardzo obszerna, stąd tytuł płyty nieprzypadkowy. Dokończyć pracę nad materiałem pomógł Jonowi Michael Franklin i zapewne można będzie spodziewać się kontynuacji.

Niestety – piszę to z wielką przykrością – album nie był szeroko dystrybuowany. Można było go zamówić przez oficjalną stronę internetową Jona Andersona, co równało się przepłaceniu i długiemu oczekiwaniu na dostawę, albo kupić na koncercie, a te Anderson gra ostatnio wyłącznie w Stanach. Dopiero we wrześniu udało mi się tę płytkę „wyhaczyć” na internetowej aukcji po korzystnej cenie. Bardzo dziwi mnie fakt, że solowa płyta znanego wokalisty znanego zespołu nie wzbudziła zainteresowania wytwórni, choć jaki dokładnie był tego wszystkiego powód, nie wiem. W jednym z wywiadów z Andersonem słyszałem wypowiedź, że wytwórnie nie były zainteresowane solową płytą starszaka, a przecież Anderson nie jest jeszcze aż tak bardzo wiekowy (74 lata), a co najważniejsze, jest w dobrej formie! Mam nadzieję, że przy następnych płytach dystrybucja będzie na wyższym poziomie.

Płytę rozpoczyna bardzo ładne, kojące intro „Now”, którego jeszcze dwie wariacje znajdują się na krążku. Pierwszy właściwy utwór „Ramalama” był udostępniony przedpremierowo z powodu pozytywnej energii, która z niego wypływa. Zapętlona wokaliza Andersona w tle, dynamika, przebojowy wokal i orientalny sznyt (pobrzmiwającej sitar) to cechy charakterystyczne tej – jak by nie patrzeć – bardzo sympatycznej, popowej, bollywoodzkiej piosenki. Druga z piosenek promujących tę płytę, czyli „Make Me Happy” (z partią beatboxu w wykonaniu Michaela Winslowa znanego z „Akademii Policyjnej”), to utwór bardzo radosny i optymistyczny, dedykowany żonie Jona. Single wywiązały się ze swojej roli, ale nie reprezentują charakteru całości. Są oczywiście na „Tysiącu rąk” utwory bardziej złożone i progresywne, jak „Activate” (z szalejącym na flecie Ianem Andersonem) czy „1000 Hands (Come Up)”, ale też bardzo ładne ballady „I Found Myself” (zakochany Jon śpiewa w duecie z żoną Jane, w tle śpiewają ptaszki, przygrywiają skrzypce – sielanka!) czy „Twice In A Lifetime” (słychać tu skrzypce i akordeon). Są też utwory specyficzne, do polubienia za którymś przesłuchaniem, jak „First Born Leaders” z gospelowego początku przechodzący do przyjemnych karaibskich brzmień, choć tekst jest dość zaangażowany, czy dość nowocześnie brzmiący dzięki wyeksponowanej elektronice, taneczny (!) WDMCF (Where Does Music Come From?) z nieoczekiwaną fortepianową wstawką Chicka Corei wprowadzającą do utworu tytułowego.

Pomimo chaosu, jaki panuje na tej płycie (przy tytuł instrumentach i muzykach jest to nieuniknione), „1000 Hands: Chapter One” to album, do którego warto dotrzeć i przy którym można miło spędzić czas. Jon Anderson zawsze w swojej muzyce, czy to w Yes, czy solo, czy z Vangelisem, czy we współpracy z innymi muzykami wnosił pierwiastek pozytywnych wibracji, zachwyty nad życiem i aurę niewyjaśnionej, transcendentnej metafizyki i takie też są piosenki na tej płycie. Z takim głosem nie da się za bardzo śpiewać o czymś innym. Mam nadzieję, że kontynuacja tego albumu, jeśli się ukáže, będzie szerzej dostępna,

a i sam Anderson nie złoży jeszcze broni i czymś ciekawym nas zaskoczy – choć trudno powiedzieć, czy dogada się z Rabinem i Wakemanem (jako Yes feat ARW), czy może ze Stevem Howem (YES), czy może nagra następczynię bardzo udanej „Invention Of Knowledge” z Roine Stolem. Mam nadzieję, że jeszcze nieraz miło zaskoczy.

ocena: 8/10

- **Opeth – In Cauda Venenum**

Data wydania: 27.09.2019

Wytwórnia: Nuclear Blast

Utwory: „Garden Of Earthly Delights”, „Dignity”, „Heart In Hand”, „Next Of Kin”, „Lovelorn Crime”, „Charlatan”, „Universal Truth”, „The Garroter”, „Continuum”, „All Things Will Pass”



Każdy, kto łudził się, że Opeth na nowej płycie choćby w jednym utworze wróci do dawnej stylistyki, niestety musi liczyć się z rozczarowaniem. Mikael Akerfeldt wraz ze swoimi muzykami konsekwentnie kroczy ścieżką wytyczoną od albumu „Heritage”, od której wektor przesunął się z typowo opethowego grania, polegającego na łączeniu ciężkich riffów okraszonych brutalnym growlingiem z nastrojowymi akustycznymi wstawkami i łagodnym wokalem, w stronę inklinacji progresywno-rockowych.

„In Cauda Venenum” to czwarty album Opeth w zmienionej formule. Prócz standardowej wersji angielskiej ukazała się także, co jest nowością, wersja szwedzkojęzyczna. Można ją potraktować jak najbardziej jako ciekawostkę, by przekonać się, jak brzmi ojczysty język muzyków i jak pasuje on do muzyki, ale warstwa instrumentalna na obu krążkach jest ta sama. Różnią się jedynie teksty, choć szwedzkie wstawki (głównie fragmenty przemówień, np. premiera Szwecji) pojawiają się także na angielskiej wersji, np. w „Dignity” czy „Heart In Hand”. To sprawia, że wersja szwedzka jest bardziej spójna i wymowa tekstów dotyczących współczesności może być bardziej przekonująca, ale pod warunkiem, że ktoś zna szwedzki, a nie ma się co oszukiwać – raczej niewielu ludzi go zna, za to angielski w lepszym lub gorszym stopniu jest dziś znany niemal każdemu.

Krążek rozpoczyna się przyjemnym intrem „Garden Of Earthly Delights”. Niepokojące brzmienie melotronowego chóru,

• Różni wykonawcy – Janerka Na Basy i Głosy

Data wydania: 05.05.2019

Wytwórnia: Antena Krzyku

Utwory: „Wieje”, „Śmieje”, „Wszyscy inteligentni mężczyźni idą do wywiadu”, „Ewolucja rewolucja i ja”, „Opar”, „Ur”, „Klus Mitroh”, „LA”, „Ogniove strzelby”, „Nie jestem z nikim”, „Epidemia epilepsji”, „Ta zabawa nie jest dla dziewczynek”, „Bez kolacji”, „Pili”



Lech Janerka nie spieszy się z nowym materiałem, dopieszcza go, testując przy tym do granic możliwości cierpliwość najbardziej oddanych słuchaczy. W końcu zaszczytne miano „świętej krowy polskiego rocka” do czegoś zobowiązuje. Przez lata powtarzał, że muzyki ma nawet na dwa krążki, ale z tekstami były, cytując Kabaret Tey, „prześciowe, chwilowe (trudności)”. W tym roku jednak doszło do pewnego przełomu, mającego zapewne wzniecić zniecierpliwienie i wyczekiwanie na nowe dźwięki Lecha Janerki, który ostatnią płytę z całkowicie premierowym materiałem wydał... na początku XXI wieku („Fiu Fiu” – późniejszy album „Plagiaty” był premierowy jedynie pod względem tekstowym, muzycznie były to utwory napisane przez artystę w czasach wczesnej młodości). Dwa nowe kawałki – „Zabawawa” i „Wanna na Wawelu” – są obiecującymi zwiastunami jakże długo wyczekiwanej płyty, ale z drugiej strony mam nadzieję, że nie były dla zmyły wrzucone do sieci po to, by uspokoić ponagających słuchaczy.

Być może po to, by nieco podopingować Lecha Janerkę, ukazała się płyta będąca hołdem czołowych postaci polskiego rocka. Za projekt odpowiada dwoje basistów Małgorzata Tekiel i Piotr Pawłowski, którzy postanowili zmierzyć się z twórczością Lecha Janerki (zarówno solową, jak i z Klause Mitffocha) jedynie za pomocą gitar basowych i ludzkich głosów – bez ingerencji innych instrumentów. Tak nieszablony pomysł przypadł do gustu samemu bohaterowi tej płyty, który postanowił dorzucić od siebie krótki utworek „Pili” jako wisienkę na torcie. Na płycie można usłyszeć takich wokalistów, jak: Katarzyna Nosowska, Wojciech Waglewski, Marcin Świetlicki, Pablopavo, Jarosław Szubrycht (dziś bardziej dziennikarz muzyczny, kiedyś wokalista Lux Occulta) czy Nikę, a oprócz nich, także poetów, którzy utworzyli „chór piór”: Barbarę Klicką, Miłosza Biedrzyckiego, Wojciecha Bonowicza, Joannę Oparek. Uwagę przyciąga także okładka autorstwa Alicji Białej, w oczywisty sposób nawiązująca do „Sierżanta Pieprza”.

Album rozpoczyna się utworem „Wieje” z „Fiu Fiu”, który w rewelecyjny sposób zinterpretowała Katarzyna Nosowska (wykonuje także

utwór „LA”). Jej wersja jest dużo bardziej ponura i rzekłbym – nihilistyczna. Nosowska, pozornie śpiewając bez emocji, przekazuje ich bardzo dużo. Świetny początek! W hipnotyczny sposób przerobiono także bardzo energiczny pierwotnie kawałek „Śmieje”, z którym zmierzył się Wojciech Waglewski, śpiewając, recytując i pomrukując. Trzykrotnie z piosenkami Janerki konfrontował się Marcin Świetlicki, który swoją charakterystyczną recytacją doskonale wpasował się w koncepcję płyty – jego wykonania chyba najmocniej przypominają codzienną aktywność muzyczną w Świetlickach i innych projektach. Agresywniej robi się przy „Rewolucja Ewolucja i Ja” i „Epidemii epilepsji”, w których Nika wycharkuje słowa do utwór klangującego, a w drugim utworze przesterowanego basu. Ciekawie wypadają także przesterowany „Nie jestem z nikim” w wykonaniu lidera Świetlicków czy „Ur” złowieszczą szeptany przez Jarosława Szubrychta.

„Janerka na basy i głosy” to bardzo przyjemna kompilacja utworów Lecha Janerki w oryginalnych, minimalistycznych aranżach opartych wyłącznie na dwie gitary basowe i wokale, choć z drugiej strony jakaś delikatna perkusja byłaby tu przydatna. Z pewnością wielu wielbicieli talentu Lecha Janerki doceni tę płytę – na pewno osładza ona oczekiwanie na premierowy album. A czy jest to dobra rzecz dla kogoś, kto nigdy Janerki nie słuchał? Moim zdaniem niespecjalnie – tu lepiej sięgnąć po dostępne na rynku płyty. Niestety nie sposób kupić wszystkich pozycji z dyskografii Janerki, gdyż nie pali mu się do uznawień („zakład nie prowadzi takiej działalności”).

ocena: 7+/10

• Jon Anderson – 1000 Hands: Chapter One

Data wydania: 31.03.2019

Wytwórnia: Bez wytwórni

Utwory: „Now”, „Ramalama”, „First Born Leaders”, „Activate”, „Makes Me Happy”, „Now Variations”, „I Found Myself”, „Twice In A Lifetime”, „WDMCF”, „1000 Hands (Come Up)”, „Now And Again”



Blisko trzydzieści lat te utwory czekały, by ujrzeć światło dzienne. Znany głównie z grupy Yes, ale i także mający na koncie owocną współpracę z Vangelisem i wiele płyt solowych Jon Anderson postanowił po tylu latach upublicznić piosenki, które tworzył na początku lat dziewięćdziesiątych wraz z klawiszowcem Brianem Chattonem, roboczo nazywając ów projekt „Uzlot” (czyli „dużo nas”). Ta robocza nazwa nie była przypadkowa, gdyż do współpracy udało

M u z y k a

Recenzje muzyczne

Kamil Pietrzyk



To rządy tyrańskie i brak pieniędzy na artystyczne przedsięwzięcia degradują sztukę.

Marzę o fotografiach, które mają w sobie niesamowitą energię. Takie zdjęcia mogą się znaleźć wśród fotografii amatorskich i profesjonalnych w Muzeum Fotografii lub wśród kolekcji utworzonych przez zbieraczy starej fotografii (taką kolekcję tworzy Eliza Kubiak, pracownica Działu Promocji MF).

Jedną z takich fotografii jest portret Fanny Clam Martinic z 1919 r. Pochodzi ze zbioru zdjęć rodziny Rawicz-Kosińskich, związanej z inżynierem, budowniczym mostów (m. in. w Jaremczu na Prucie) i dróg żelaznych; Fanny była przyjaciółką jednej z jego trzech córek, Heleny. Poznały się na pensji, w Wiedniu, gdzie w tym czasie (1919 r.) mieszkaly (w latach międzywojennych, w czasie II wojny światowej i po wojnie mieszkaly w Krakowie).

Jaka była ta przyjaźń? Czy Fanny grała na fortepianie? Z pewnością... Tylko czy możemy być czegoś całkowicie pewni? Na rewersie ktoś zanotował: „Hrabianka”, jakby to było najważniejsze. Jednak jest to jakaś informacja. Hrabia Clam Martinic był Komendantem Obwodu wojsk austriackich w czasie I wojny światowej w Olkuszu. Początkowo odmówił oddania władzy w polskie ręce. Karol Radłowski (z Rady Miasta Olkusza) powiedział m.in., że „gościna się skończyła” dla okupanta. Demonstracja siły ze strony polskiej sprawiła, że komendant Martinic złożył władzę ppłk. Jakubowi Niewiadomskiemu. Oficjalne przekazanie władzy nastąpiło 2.11.1918 r. Fanny była prawdopodobnie córką hrabiego Martinica. Przebywała też w Olkuszu, słynącym srebrem, w tym Olkuszu, który widnieje na pocztówce z Muzeum Fotografii, „Olkusz od strony południowej” – z 1921 r. Było to także jej miasto. A punktem przenika się ze studium. Patrzy, patrzy z głębi czeluści czasu. Patrzy na nas. Co nam chce powiedzieć?

Fotografia zachowuje prywatną pamięć. I tylko pamięć pozostaje. Wydawałoby się, że fotografie z różnorodnych kolekcji są w stanie

ocalić pamięć zbiorową. Chociaż są zdania, że fotografia nie ocala świata, lecz może jedynie uchwycić proces jego znikania. Zastanawiał się nad tym już Heidegger. Takie wnioski miał także w swoim dorobku „performer myśli” Jean Baudrillard. Widzimy to także i my, i nas to dotyka. Fotografie urozmaicają ludzką samotność, bo nie można powiedzieć, że ją zapełniają. Samotności nic nie pokona, jest wpisana w nasze życie. Oglądanie fotografii to tylko krótkie chwile wytchnienia. Daje to siłę do przetrwania. Po to, by oglądać kolejne fotografie. ●



Portret Fanny Clam Martinic, 1919 r., własność: Muzeum Fotografii, nr inw. MHF 608/II, autor: Studio, Olkusz, wym. 13,2 x 8,4, pozytywy, fot. żelatynowo-srebrna.



Gdy wynaleziono fotografię, gdy w 1839 roku Daguerre ogłosił swój – i nie tylko (bo także i Niepce’a) wynalazek, podniosła się urzawa, że sztuka (szczególnie malarstwo) zaniknie przez tę nową technikę. A jednak (w XX wieku) powstała nowa dziedzina sztuki, fotografia artystyczna. Zazwyczaj się tak dzieje, wszak w starożytności obawiano się samego wynalazku pisma, mówiąc, że spisywanie mów niszczy oryginalną mowę, a pismo prowadzi do zaniku pamięci. Uważano, że teksty mówione rozwijają pamięć, w przeciwieństwie do pisanych. Jednak pismo zaczęło królować. Mówiono już wtedy, w starożytności, że teksty, w które wlewo duszę, nie płoną. Jednak w ciągu historii teksty wiele razy – właściwie nieskończoną ilość razy – płonęły. Tak się też działo z fotografiami, czy miały duszę, czy też nie. Wielu ludzi twierdzi, że fotografii nie potrzeba tekstów, fotografie mówią same za siebie. Tak utrzymywał w rozmowie ze mną fotograf Erwin Schenkelbach, tak twierdzi większość fotografów. A jednak mówiliśmy właśnie o fotografii. Nie obejdzie się tu bez tekstu: oglądając zdjęcia, tworzymy własny tekst, we własnej głowie. Jak na niezmiernie delikatne tworzywo, jakim są fotografie albuminowe, kolodionowe, żelatynowo-srebrne, zachował się ich cały ocean, i wiele z nich ma duszę. Co to właściwie znaczy – mieć duszę? Czy to nie są tylko słowa?

Niektóre fotografie mają w sobie coś niezwykłego, choć wiele fotografii jest banalnych, tak jak zresztą i tekstów, może więc i ten tekst jest banalny. Niezwykłe na swój sposób są dawne portrety atelierowe.

Portrety te mają magiczną siłę. Czujemy to od chwili, gdy nasze oczy spotykają spojrzenie portretowanych. Patrzymy na nich, ale i oni na nas patrzą. Jest to punctum, fascynujący element fotografii, określony tak przez Rolanda Barthesa w książce *Światło obrazu* (*Camera lucida* 1980 r.). Człowiek jest wyczulony na spojrzenie zwierząt i ludzi. Oprócz spojrzenia, punctum w fotografiach atelierowych może stanowić oryginalny detal stroju, rekwizyt, postać dziecka; do tych cech można dodać samą dedykację, dedykacje bowiem są bardzo istotne, czasami są zabawne lub zawierają ważne informacje, tworzą fascynujący kontekst. Punctum to przypadek; dla każdego widza, odbiorcy, może oznaczać coś innego. Ponadto oznacza czas, pomieszanie czasów, widoczne zwłaszcza na fotografii amatorskiej, choć nie tylko, bo także i na atelierowej. Dlatego interpretacja ma wiele twarzy. Pole zwane przez Barthesa studium to treść fotografii, która poszerza naszą wiedzę o świecie i dominuje

w fotografii atelierowej, dlatego błędnie określa się te fotografie jako hieratyczne, sztywne, nieciekawe, nawet bez gustu. Nic bardziej dalekiego od prawdy. Fotografie te nie są martwe, chociaż pokazują to, co było (również określenie Rolanda Barthesa). Są żywe, a także ożywiają nasze wspomnienia, te dawne, dotyczące naszych korzeni, i nowe wrażenia, skojarzenia z innymi fotografiami, różne skojarzenia. Portretowani często posyłają nam swoje spojrzenie lub patrzą przed siebie. Noszą strój z epoki: surdut, suknie, także na krynolinie z lat 60. XIX w., niektóre kobiety mają stroik na głowie, nie mówią już o kapeluszach, których piękne formy możemy podziwiać na fotografiach. Na jednym ze zdjęć panna ma naszyjnik z monet na szyi. Postacie te czekają, by ożywiła je wyobraźnia pisarza, lokującego akcję powieści w dowolnym mieście drugiej połowy XIX wieku. Przypominają bohaterów sztuk Antoniego Czechowa (w jego sztukach, uprawdzie dość rzadko, jest mowa także o fotografii, choć rzadziej niż o strzelbie: na przykład nieszczęśliwy Płatonow prosi w pewnej chwili Annę o jej fotografię). „Posyłam ci mój cień”, jak głosi znana, wzruszająca dedykacja na fotografii portretowej (z pracy „Fotografia chłopów polskich”; dedykacja dotyczy emigrantów; cytata szczęśliwie przypomniała Marta Miskowicz w tekście o fotografiach siostr Wolskich z Dołęgi, są to też fotografie portretowe „z duszą”). Cień to bardzo dużo. To ślad całej postaci, jej kondensacja.

Jednak tylko nam się wydaje, że poruszamy fotografiami. Czasem bardzo udanie poruszane są w trakcie pokazu multimedialnego. Ale to tylko namiastka. Tak naprawdę to one nami poruszają, zmieniają nas, nasze uczucia i wspomnienia, a nawet skłaniają do czynu (bardzo różne mogą to być czyny, od bohaterskich, twórczych, po żałosne, jak protesty przeciw aktom fotograficznym). Fotografie poruszające, mające w sobie „coś”, zarówno atelierowe, jak amatorskie, Dariusz Czaja określił jako „moving pictures”, chociaż same są nieruchome. „Fotografie to źródło czegoś pokrewnego pamięci”, pisał Michael Koetzle, a pamięć dla człowieka i całych grup ludzkich jest najważniejsza.

Co sprawia, że człowiek fotografuje? Chęć uniesmiertelnienia fotografowanych obiektów. Co sprawia, że człowiek pisze? Zachuyt dla świata. Może to być również zachuyt dla fotografii, pomrocznego medium, cienistego, a przy tym, paradoksalnie – przecież malowanego światłem.

Zagrożeniem dla sztuki nie jest powstanie nowych gatunków lub technik, bo sztuka stale się zmienia, a przy tym jest wieczna.

z przymrużeniem oka, niemal filuternie, z szybkim, perlącym się plumkaniem, by potem przejść w ton bardziej podniosły, nie tracący uszakże lekkości. W „Your Butterfly”, zaczawszy od razu z lekka free-jazzowo, podąża coraz dalej w atonalność, w rejony wciąż odleglejsze od wyjściowego tematu, czasem zatracając o pianistykę klasyczną.

Trębacz Robert Majewski w części utworów nie pojawia się w ogóle, ale gdy już jest, to wydaje się, że był zawsze... We „Freaky You” zagrał solo spadające we free (choć nie tracąc z oczu tematu dłużej niż na chwilę), pod wyraźnym wpływem Stańki. W „The Flight” wpisał się w nastrój całości, improwizując rodzaj leniwej kołysanki jazzowej.

Basista Michał Barański, który zagrał m.in. świetne tło dla scatowania wariacji kończącej „In a Perfect World”, jako solista błysnął w „Solution” – nie tyle nawet techniką gry, ile inwencją melodyczną.

Mateusz Ryman nazwał perkusistę Piotra Budniaka „kolorystą, doskonale dopełniającym całość”. Istotnie, bębniarz nie ogranicza się ani do nabijania rytmu, ani nawet do podkreślania nastroju piosenek, lecz, gdy trzeba, wprowadza swoje „smaczki” (to dyskretne stukanie w same krawędzie bębnów w „Solution”). Solówki zagrał dwie, obie intrygujące właśnie inwencją kolorystyczną. Gdzie przeciętny muzyk bez końca uwaliby w werbel, Ryman po kilku zaledwie uderzeniach najwyraźniej nudzi się tym i zaczyna trudniejsze, lecz bardziej efektowne przejścia na kotłach, czasem bliskie jakimś osobliwym akordom.

Teksty utworów układają się w rodzaj *concept-albumu*. Zgodnie z tytułem, są „notatkami z życia”, zapiskami przemyśleń wywołanych przez kolejne zdarzenia. Zarazem to kolejne rozdziały wywodu o życiu; układ prostej, lecz niegłupiej filozofii miłości do życia.

Czy *Notes of Life* jest arcydziełem na miarę *Winobrania*? Zapewnie nie, ale jest to bardzo dobra płyta jazzowa, przy której słuchaniu nie można się nudzić, tak wiele zajmujących rzeczy dzieje się na niej. Jed-

nak nie mniej istotną jej wartością jest udzielający się słuchaczowi entuzjazm muzyków, który przekłada się na wypełniający nie tylko słowa, lecz i muzykę nastrój pogody, nawet mimo przychodzącej się czasami melancholii. *Notes of Life* nastraja pozytywnie. Zresztą jej tytuł można przetłumaczyć również jako „nuty życia”!

PS Na okładce nie podano, kto zrealizował rzecz od strony dźwiękowej (informacje zamieszczone w notce uzyskałem bezpośrednio ze studia, którego personelowi dziękuję) – a należałoby podać, bo zrobił dobrą robotę! Chociaż płyta, niestety, dostępna jest wyłącznie jako srebrny krążek lub cyfrowy „ściągnięcie” (download), od jej brzmienia nie „śmierdzi cyfrą”. Może nie brzmi „analogowo”, jednak brzmi naturalnie, dynamicznie, bez natrętnej kompresji, bez cukierkowego podbijania skrajów pasma. Jej „przejrzysty” dźwięk, wolny od podbarwień (i sybilantów), pogłębia urażenie bezpośredniego obcowania z żywą muzyką. Fortepian i perkusja są bardzo przestrzenne (także dosłownie); trąbka, choć z tłumikiem, ma swoją, czającą się za nim, moc; wokół słychać jakby bez pośrednictwa mikrofonu, po prostu z bliska. Może jedynie kontrabas potraktowano trochę po macoszemu, sprowadzając go nieledwie do rozmiarów punktu na dźwiękowej „scenie” (ale pisze to fanatyk płyty *Laokoon* Krzysztofa Zgrai, gdzie instrument ten jest naprawdę duży, szczególnie gdy gra solo).

Tak powinno się nagrywać płyty – nie tylko z akustycznym jazzem!

Marcelina Gauron, *Notes of Life*. Muzyka i teksty: Marcelina Gauron, aranżacje: Adam Jarzmik. Wykonawcy: Marcelina Gauron – śpiew; Adam Jarzmik – fortepian; Marcin Barański – kontrabas; Piotr Budniak – perkusja; Marcin Majewski – trąbka, flugelhorn. Nagrano w Monochrom Studio. Produkcja – nie podano; realizacja, mix, mastering – Ignacy Gruszecki. Fotografie – Dorota Czoch; projekt okładki – Tomasz Olszewski. ●

anegdoty literackie

Uniłowski* sięga po leżące przed nim zapałki, zapala jedną i zwraca się do Ginczanki**:

– Zuziu, otwórz usta.

Ginczanka spełnia jego prośbę, a Zbyszek przysuwa płomyk do jej warg. Po chwili zdmuchuje zapałkę i oświadcza:

– Zgadza się. Jesteś naprawdę patentowana dziewica.

– Co to ma do rzeczy? – dziwi się Ginczanka.

– Gdybyś nią nie była – objaśniał Uniłowski – zapałka zgasłaby od przeciągu.

Scena, która wydarzyła się w jednej z przedwojennych warszawskich kawiarni, a opisana została przez Tadeusza Wittlina, autora „Cyrylika Warszawskiego”, w jego wspomnieniowej książce Ostatnia cyganeria.

*Zbigniew Uniłowski, prozaik, autor m.in. Wspólnego pokoju i Życia Kamila Kuranta. Zmarł na suchoty.

**Zuzanna Ginczanka, utalentowana poetka, zamordowana przez Niemców podczas Holokaustu.

Do jednego z aktorów krakowskich, któremu zmarła żona, podszedł kilka dni później Jerzy Zawieyski* i złożył mu kondolencje.

– Bardzo panu współczuję. To był wstrząs dla pana. Ja też byłem wstrząśnięty, jak pan to ciężko przeżywał w czasie pogrzebu.

– A gdzie mnie pan widział? – spytał aktor.

– W kaplicy cmentarnej.

– W kaplicy, proszę pana – wzruszył ramionami aktor – trzeba mnie było widzieć nad jej grobem!

*Jerzy Zawieyski (1902–1969), dramaturg, katolicki działacz polityczny, członek Rady Państwa.

Tadeusz Kwiatkowski, od kuchni. anegdoty literackie, Kraków 1987.

jak w studiu. Wszystkie nagrania są pełne improwizacji, wręcz czuje się w nich przyjemność wspólnego grania. Raczej niczego tu nie „temperowano”, nie „prycinano”, nie układano „pod radio”. Ta muzyka w ogóle nie jest dla radia, poza „specjalistycznymi” programami lub kanałami. To czysty, akustyczny jazz.

Tak, proszę państwa. W wyniku „kilkuletnich poszukiwań” (jak głosi anons Mateusza Rymana w serwisie „JazzSoul.pl”) artystka odnalazła się w szlachetnym modern jazzie, po swojemu odczytując tradycję sprzed mniej więcej sześciu dekad. Podróż, w jaką na trzy kwadransy nas zabiera, nie ma w sobie wiele nostalgii. Tym bardziej, że standardów brak – wszystkie dziewięć utworów, składających się na program płyty, skomponowała i tekstami opatrzyła Marcelina Gauron!

Ot, gdzieś tam jedna solówka trąbki („In a Perfect World”) zabrzmiała mainstreamowo, co uprzejmy basista podkreśli walkingiem, ale znów gdzie indziej pojawiają się dyskretne akcenty funkcy („Zaduma”) lub wcale nie takie dyskretne free („Your Butterfly”)... Indywidualny styl (także kompozytorski) i temperament głównej bohaterki, wraz z muzyczną erudycją wszystkich uczestników nagrań, sprawia, że całość brzmi... nie, nie „nowocześnie”, ale żywo, świeżo i bardzo szczerze.

Scat, który w rzeczonym „Na kredyt” pełnił funkcję ozdobnika aranżacyjnego, zyskał rangę jednego z głównych atutów Marceliny, która zarazem oddaliła się od wzorców Novi Singers. Nie chodzi o to, że w nowym zespole jest jedyną wokalistką (tylko w krótkim fragmencie „Zadumy” dość nieśmiało skorzystała z dobrodziejstw techniki nagraniowej). Udoskonalisz technikę scatu (w czym zapewne pomogła jej doskonała dykcja), posługuje się nim z wielką swobodą, nieraz wręcz brawurą. Scatuje, owszem, wstępy i epilogi do piosenek, jak też efektowne łączniki między zwrotkami (szczególnie błyska techniką w bridge’u z „Your Butterfly”), lecz przede wszystkim wykorzystuje tę technikę śpiewu po to, po co została wymyślona – do improwizacji. Szczególną wirtuozerią błyska w kulminacji kończącej płytę „Blefera”, gdzie z zawrotną szybkością rozwija iskrzące się wariacje wokół melodii piosenki, ale pomysłowe przetworzenia tematu prezentuje i wcześniej – nastrojowo stonowane we „Freaky You”, lub bardziej niesforne w codzie „In a Perfect World”.

Ciepła, obszerna barwa głosu nie gwarantuje bynajmniej, że zawsze będzie bezpiecznie, grzecznie i sennie. I tak bywa – weźmy ściszoną pierwszą zwrotkę balladowego „Life Lesson” lub początek równie nastrojowego „The Flight” – ale i nie bywa, bo w takim „On And On” ten głos pokazuje pazurki, i to ostre. „Zadumę” rozpoczyna śpiewem ścisłym i stonowanym, by w ostatniej zwrotce wprowadzić nastrój udzielającego się niepokoju. Kiedy tylko trzeba, umiejętnie stopniuje dynamikę – dobrymi przykładami druga zwrotka „Life Lesson” i całość „Solution”, a wcale nie gorszym – wokaliza w „Your Butterfly”. Choć ślady typowego dla scatu dobitnego akcentowania sylab można odnaleźć i przy śpiewaniu tekstu („In a Perfect World”), wokalistka równie sprawnie posługuje się swobodniejszą frazą („Freaky You”, „On And On”).

Kompozytorsko Marcelina Gauron raczej nie dąży tworzenia chwytliwych tematów w rodzaju „Na kredyt” i chyba nie urażę jej mówiąc, że przysłych standardów tu nie słyszę. Prawdę mówiąc, poza „Zadumą” i finalną frazą „Blefera”, nie ma tutaj melodii zapadających w pamięć po pierwszym odtworzeniu płyty. Wydaje się, że piosenki są raczej pretekstem do improwizacji i zabawy aranżem. Jest tu i przetwarzanie tematu już na poziomie kompozycji – coda „Solution” stanowi rozwinięcie

bridge’u; finał „Blefera”, przeciwnie, jest uproszczeniem wcześniejszego tematu, wyciągniętą z niego „esencją”... Niemniej, gdy słuchamy *Notes of Life* wielokrotnie, pewne frazy melodyczne zostają w głowie i prześladowają słuchacza (lecz to przyjemne prześladowanie). Zresztą wszystkie znane mi płyty jazzowe nagrane w ostatnim półwieczu mają to do siebie, że odkrywa się je stopniowo, warstwa po warstwie.

Współautorem płyty jest pianista Adam Jarzmik, muzyk znaczący i ceniony w środowisku jazzowym, który zadbał o aranżacje. On i Marcelina stanowią udany tandem twórczy. Kompozycji potrafią nadać kształt intrygujący nieprzewidywalnością. „Freaky You” składa się z dwóch zupełnie różnych części. Pierwsza jest piosenką taktowaną na 4, opartą na basowej repetycji. Druga, w nieparzystym rytmie 6/8, jest improwizacją wokalistki wokół prostej, lecz kunsztownej melodii podanej przez fortepian – temat upraszcza się i komplikuje, stale nabierając mocy. Coda „Blefera” oparta jest o trik, najbardziej znany bodaj z *Winobrania* Zbigniewa Namysłowskiego, polegający na obsesyjnym powtarzaniu krótkiej frazy instrumentalnej, która w ostatniej repetycji nagle „zyskuje” tekst; podobnie kończy się „Solution”, tylko tam fraza jest najpierw scatowana. U Namysłowskiego był to żart, tutaj – rodzaj credo, „klamra” całej płyty, jej motto i pointa.

Innym częstym środkiem aranżacyjnym jest unisono. Taki sposób gry to nie li tylko popis umiejętności technicznych, pokaz zgrania muzyków, lecz przede wszystkim sposób łączenia brzmień dla uzyskania „nowej jakości” dźwiękowej. Odkryłem to przed laty, słuchając *Tubular Bells* Mike’a Oldfielda, a utwierdziła mnie w tym prelekcja pewnego organisty, demonstrującego możliwości instrumentu poprzez łączenie różnych głosów pod jedną klawiaturą. Tutaj szczególnie częste są efektowne riffy, grane jednocześnie przez kontrabas i lewą rękę pianisty, zdarza się też wspólna gra pianisty z trębaczem (bridge w „In a Perfect World”), ale jeszcze ciekawiej robi się, gdy w unisono wchodzi wokal, potraktowany jak jeszcze jeden instrument. Marcelina scatuje i śpiewa wokalizy z fortepianem („Solution”, „Freaky You”, „Life Lesson”, „Your Butterfly”), trąbką („In a Perfect World”, „On And On”), kontrabasem („In a Perfect World”), także granym smyczkiem („The Flight”). Czasami scat staje się częścią riffu, jak na końcu perkusyjnego solo w „On And On” (w tym zespole perkusista nie zostaje „sam na placu” nawet grając solówkę). Muzycy eksperymentują z brzmieniem przy pomocy tradycyjnego instrumentarium, bez jego preparacji lub posilkowania się technikami studyjnymi.

Jazz jest zawsze dziełem zespołowym. W tej muzyce kompozytor ani aranżer nie pisze nikomu solówek na papierze nutowym. „Life Lesson”, ballada śpiewana z akompaniamentem samego pianisty, rozpoczyna się długą częścią instrumentalną *ad libitum*, która wraz z wokalizami stanowi grubą „ramę” (lub raczej „paspartout”) dla krótkiej piosenki do równie lapidarnego tekstu, też przedzielonej wariacjami fortepianowymi i rozwijającą je wokalizą. „Zaduma” rozpoczyna się od gry basisty a capela, jak gdyby poszukującego tematu, wreszcie wchodzącego we właściwy riff..

Najoczywistszym sposobem współtworzenia muzyki przez jej wykonawców są w jazzie solówki, wariacyjnie rozwijające główny temat. Na *Notes of Life* pojawiają się – jak na dobrym koncercie – po kilka w każdym utworze i nie sposób opisać wszystkich, można jednak wskazać ulubione.

Adam Jarzmik w „Solution” improwizację pianistyczną rozpoczął

na? Matki stają przeciw Mrocznemu Rycerzowi, ten coraz częściej przegrywa wojnę z podziemiem. A wszystko toczy się powoli do jak najgorszego finału.

I właśnie w takim świecie pojawia się Joker. Jest niczym bóstwo dla innych więźniów, z którymi przebywa. Szaleństwo jest w jego przypadku metodą przetrwania. Joker zmusza, by wydlubowali sobie oczy, jedli własne dłonie. Po prostu „bije” od niego charyzma. W tle pojawiają się i inni wrogowie – Killer Croc czy Poison Ivy, ale to i tak Joker jest tu najważniejszy. I jego krok będzie najbardziej przełomowy. Należy tylko czekać. Joker jest ponad wszystko: prawo, moralność, normalność.

Co do rysunków, to od lat mam problem z twórczością Johna Romity Jr., który pojawił się w Polsce przy okazji projektów wydawanych przez TM-Semic. Jego postacie wydają się zbyt karykaturalne i nieproporcjonalnie wielkie, głównie twarze, często mocno kwadra-

towe. Na szczęście w tym przypadku nie razi to aż tak bardzo, jak np. w serii Punisher, którą przez lata rysował.

Album poza komiksem zawiera pierwotny zarys całej historii, galerie prac oraz przedmowę autorstwa reżysera Roberta Rodriguza, ilustracje innych artystów, scenariusz i przykładowe plansze. Ot, dodatek jakich wiele we współczesnych wydaniach albumowych.

Ostatnia krucjata nie jest przełomem w życiorysie Batmana, czy też w światowym komiksie, jakim był *Powrót Mrocznego Rycerza*. To dopełnienie, niekoniecznie takie z kategorii „must have”, jednak dla psychofana to zapewne pozycja obowiązkowa. Inni mogą do niej zajrzeć, ale niekoniecznie ją nabyć. Można by rzec, że Miller po prostu odcina kupony od wiekopomnego dzieła, ale nie bądźmy aż tak uszczypliwi w osądzie. W sumie to tylko kilkadziesiąt minut czytania i oglądania, z których niewiele wyniknie. ●

Jarosław Nowosad > Recenzja

Nuty życia



Mały klub (miałem dopisać: „lub kameralna knajpka”, ale to za dobra muzyka jak na takie miejsce!) gdzieś na przełomie lat 50./60. Na estradzie gra combo, którego „trzonem” jest klasyczne trio jazzowe (fortepian, kontrabas, perkusja), na solówki wchodzi trębacz, ale postacią centralną jest wokalistka. Śpiewa głosem ciepłym, głębokim, trochę ciemnym – acz, jak się okaże, kryjącym w sobie parę niespodzianek. Repertuar, choć daleki od monotonii, jest bardzo zwarty – ta piątka dobrze wie, co i jak chce grać. Teksty piosenek, składających się na koncert, również nie są przypadkowe...

Marcelinę Gawron po raz pierwszy usłyszałem z górą dwa lata temu, jako wokalistkę w zespole Kasi Zawieracz, na koncertach z tym

składem i na płycie zatytułowanej *Podróż*. Znakomicie występowała tam (świetne skądinąd) kompozycje i teksty krakowskiej gitarzystki, ale też umieściła na krążku własny debiut autorski pt. „Na kredyt”. Niebanalną, jednak wpadającą w ucho piosenkę ozdobiła dwugłosami wokalnymi (z Ewelina Serafin), zdradzającymi wpływ Novi Singers.

Niecały miesiąc temu trafiła do mnie pierwsza samodzielna płyta Marceliny Gawron. Zupełnie inni instrumentalisci, w dużej mierze inna muzyka.

Choć jest to album studyjny, skojarzenie z koncertem w zacisznym miejscu było nieodparte. Nie słyszałem jeszcze tego składu na żywo, niemniej zgaduję, że na estradzie grają to wszystko całkiem podobnie

niż „fake newsem” i jednym z elementów „rządu mediów”. Cnota to iluzja, wszędzie jest fałsz. Także wszędzie są ludzie bogaci i biedni. I oczywiście ci biedni zawsze przegrają. Tak wyglądał kiedyś, tak wygląda i dziś świat. To ciekawe, że obecnie zmarginalizowana siła literatury wciąż jednak oddziałuje, jednak inną formą – poprzez media.

Wielki kant to, jak się okazuje, dość gorzka opowieść o tym, jak bardzo jednostka jest bezsilna w stosunku do masy – rządu, reżimu, władzy, a nawet mediów. I zadaje sobie pytanie: czy w ogóle warto podejmować się takiego zadania, jak sprzeciw? W imię czego? Miłości, wolności, pieniędzy? Czytelnik otrzyma odpowiedź, której tutaj nie warto przytaczać, ale można przyjąć, że wielu z tej odpowiedzi nie będzie zadowolonych.

Jak wygląda warstwa wizualna tego komiksu? Rysunki autorstwa Roberta Mandrafiny są niezwykle staranne, w wielu momentach również rozerotyzowane. Rysownik pochodzi ze „starej szkoły komiksowej”, dla której każdy kadr to osobne, niewielkie dzieło. Bardzo dobra kompozycja, dynamiczne postacie, których zmienny grymas jest wyczuwalny

w najmniejszych nawet niuansach. Do tego gra kolorami – zmiennymi w zależności od tego, czy akcja np. dzieje się za dnia, w nocy, przy świetle żarówki czy świecy. Wszystko to zgrabnie wykonane i przyjemne w odbiorze. Niezwykle starannie oduzorowany ruch, przestrzeń, pierwszy i kolejne plany. Po prostu bardzo dobre rysunki dopełniające całość komiksu. Nieco inspirowane, być może bezwiednie, wspomnianym wcześniej Manarą, ale być może to po prostu wynik zainteresowania erotyzmem u obu twórców.

Wielki kant to bardzo dobry, klasyczny komiks gatunkowy uzupełniony wieloma „smaczkami” fabularnymi, pokazujący, że argentyńscy autorzy nie mają się czego wstydzić i warto poznać ich twórczość. To głębsze, niż może się na początku wydawać, dzieło, jednakże dość przystępnie zrealizowane i dające się odczytać przez każdego. Nie powinno być ani zbyt trudne dla początkującego czytelnika, ani zbyt infantylne dla wyrobionego odbiorcy. Po prostu dobry komiks, z którym warto się zapoznać. ●

Marcin Bałczewski > Recenzja

Batman i ostatnia krucjata

Mroczny Rycerz, jeden z najbardziej fascynujących (super)bohaterów komiksowych, w bieżącym roku obchodzi osiemdziesiąte urodziny.

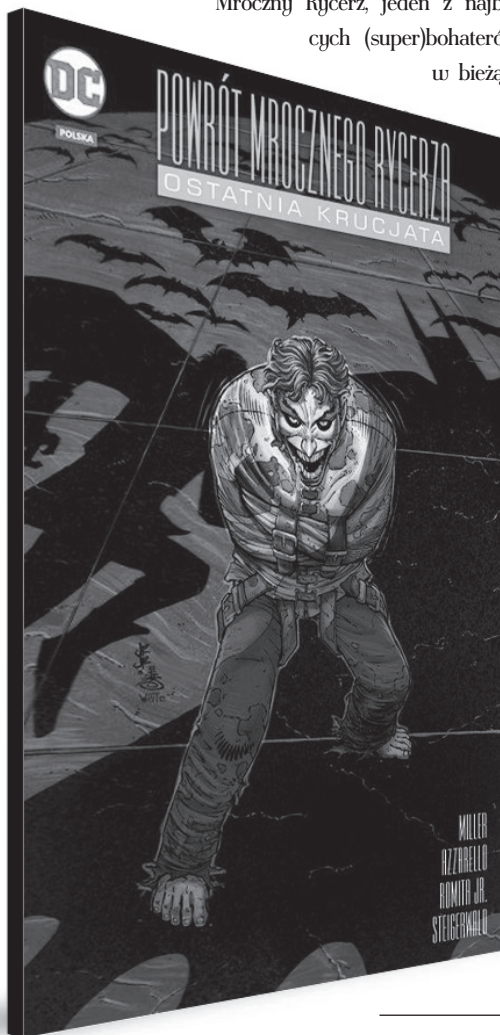
W dodatku jego główny antagonist, Joker, doczekał się własnego, prawdopodobnie wybitnego, filmu fabularnego. Dlatego też każda opowieść, w której pojawiają się obie te niezwykle postacie, powoduje, że czytelnik aż iskrzy, czekając, by się z nią zapoznać.

Powrót Mrocznego Rycerza autorstwa Franka Millera ma status komiksu kultowego. Nie dziwi więc to, że po latach autor powrócił do pomysłu. I tak powstał *Powrót Mrocznego Rycerza. Ostatnia krucjata*. To historia, która dzieje się przed legendarnym *Powrotem...*, pokazująca, jakimi prawami rządzi się Joker i jaką postacią jest w gruncie rzeczy Batman. Oczywiście dla współczesnego czytelnika każdy komiks o superbohaterach wydaje się opowieścią dla dzieci. Tutaj na szczęście nie jest tak do końca i widać, że historia ta skierowana jest do starszego, wyrobionego czytelnika.

Za sferę wizualną odpowiada znany polskim czytelnikom, m.in. poprzez wydawane w latach 90. komiksy o superbohaterach, John Romita Jr. Franka Millera od strony scenariuszowej wspiera również popularny i ceniony Brian Azzarello. Tusz i kolor to dzieło Petera Steigerwalda. Wszystko wiadome, więc należy przyjrzeć się opowieści.

Batman jak zwykle nie jest postacią papierową, zero-jedynkową. To człowiek prawie upadły, zmęczony, zniszczony zarówno fizycznie, jak i psychicznie. W dodatku nie dający sobie rady z *clue* całej opowieści – Robinem. Jedno z pytań, jakie zadają twórcy w tym przypadku, to – czy można wykorzystywać dziecko w wojnie ze złem? Nie ma co udawać, znawcy tematu wiedzą, jak się to wszystko skończy – młody Robin zostanie przez Jokera zabity. *Ostatnia krucjata* po prostu przygotowuje nas na nadejście najgorszego.

Narażanie dziecka na niebezpieczeństwo. Odpowiedzialność, wybór, zaufanie. Batman w tym przypadku jest starością, Robin to dzieciństwo. Złe dzieciństwo; nastolatek uplątany w grę dobra ze złem coraz bardziej zatracza się i staje się brutalny. A opinia publicz-



Powrót Mrocznego Rycerza. Ostatnia krucjata. Frank Miller, Brian Azzarello, John Romita Jr, Peter Steigerwald, Egmont, 2018.

Klasyczny kant z republiki bananowej

Wielki kant to tęsknota za klasyczną, gatunkową opowieścią graficzną z solidną warstwą wizualną. Stworzony w Argentynie komiks prześlaknięty jest nostalgią i inspiracjami europejskimi powieściami sprzed lat. Okładka przywołuje na myśl chociażby węgierskie komiksy, które w latach osiemdziesiątych zalewały polski rynek. I tak jak w nich, także w *Wielkim kancie* jest to coś, co nie pozwala szybko zapomnieć o tej historii.

To prawie klasyczna opowieść dziejąca się w jednej z wielu mniejszych lub większych bananowych republik, opowiadka kryminalna – noir – ze sprawnie poprowadzonym wątkiem głównym i dość ciekawymi bohaterami, także pobocznymi. Bardzo „oldschoolowa” produkcja, która jest niezwykle sprawnie napisaną historią z morałem. Miła lektura na wieczór, która zapewne nieprzypadkowo w 1999 roku otrzymała nagrodę podczas Międzynarodowego Festiwalu Komiksu w Angouleme w kategorii: najlepszy scenariusz.

Na pierwszy rzut oka może wydawać się to jednak dziwne, ponieważ, jak wspomniałem, mamy do czynienia z klasyczną opowieścią detektywistyczną

z domieszką noir, czyli z czymś, co jest jednak literacko wtórne i często wspólnie wykorzystywane. Jednakże pewnego rodzaju zabawy konwencjami, głównie z czytelnikiem, mogą utwierdzać z czasem w przekonaniu, że jest w *Wielkim kancie* coś więcej niż w zwykłej

niej opowieści gatunkowej. Z drugiej strony, jak się mawia: „najbardziej lubimy stare piosenki” – także i w tym przypadku klasyczne wręcz motywy, znane i często wykorzystywane, mają w sobie jakiś sentymentalny smaczek, który fascynuje i pociąga.

W samej sferze opowieści mamy do czynienia z historią pogrążonego w alkoholizm detektywa, Donaldo Reynoso, którego pewnego dnia nawiedza tajemnicza, ponętna kobieta opowiadająca o niemoralnych zdjęciach i szantażu. Klasyczne postacie znane ze wspomnianego nurtu – przeklęty główny bohater z ciekawą, ale smutną przeszłością, oraz femme fatale – kobieta pociągająca, która jest elementem zarazem rozwijającym akcję, jak i niszczącym wszystko wokół. A w tle przywódca La Colonii, bananowej republiki, i cała menażeria dziwnych postaci z morderczym, a także cielesnie stygmatyzowanym Iguaną na czele. Wszystko to, oczywiście w bardziej lub mniej podobnej formie, już było, jednak nie ma się do czego przyczepić, całość jest spójna, przejrzysta i wciągająca.

Wielki kant to ciekawa zabawa z konwencją, także interesująca opowieść prezentująca pewien wycinek Ameryki Łacińskiej – od samej postaci „El comandante”, poprzez masę egzotycznych prostytutek i ludzi z półświatka, aż na partyzantach żyjących w puszczy kończąc. Prawda, postacie są nieco schematyczne i przewidywalne, ale mają w sobie pewien czar epoki, o której – z jednej strony – myślimy, że dobrze, iż minęła, z drugiej jednak – tęsknimy za nią. Poza tym są bardzo „ludzkie”; bohaterowie przechodzą przemiany wewnętrzne, zaprezentowana jest ich przeszłość, a ich działania są logiczne i spójne. Podobnie chociażby z okrutnym i prawie niezniszczalnym Iguaną, który pod skórą gada kryje w sobie załazek człowieczeństwa. Przykłady można by mnożyć, co pokazuje, jak barwna jest to opowiadka.

To, co jednak najbardziej oddziałuje w całej historii, to bezpośrednie kierowanie wypowiedzi w stronę czytelnika. Oczywiście to zabieg również znany i wielokrotnie wykorzystywany (m.in. Milo Manara, a dziś np. przez twórców serii komiksów bohaterkich o Deadpoolu). Jednak zawsze działa, tak samo i tym razem. Pokazuje, że wszystko to gra, a głównym rozgrywającym w tym przypadku jest nie kto inny, jak pisarz, niejaki Milton Bates, główny element mechanizmu podtrzymywania reżimu w republice, który żyje z fałszywych plotek i wybujałych historii, jakimi karmi się „ciemny lud”. Z drugiej strony to człowiek inteligentny i pragnący dobra, tak samo jak tworzy fałszywe postacie na zlecenie przywódcy La Colonii, tak samo realizuje plany mu przeciwnie. Po prostu wolny duch i sprawca całego zamieszania. Wielki kreator, bez którego akcja nie mogłaby pójść do przodu. Osoba fizycznie niepozorna, która posiada jednak wielką moc.

Bananowa republika, skorumpowany rząd i rebelianci oczywiście mogą być i zapewne są metaforą wielu współczesnych krajów. Tak samo symbol świętej dziewicy stworzonej przez Batesa, będącej niczym więcej

Carlos Trillo, Roberto Mandrafina, *Wielki kant*, Elemental, Warszawa 2018.



puenta jest zawsze jedna, nie trzeba jej nieustannie powtarzać, i tak wiemy, o co chodzi. I właśnie tego dotyczy się ostatni, najdłuższy tekst w książce, o odchodzeniu; mamy tu bodajże nawiązanie do japońskiej tradycji, w której ludzie starzy, albo po prostu ci, którzy już wypełnili życiowe obowiązki, odchodzą na górę Fudzi, by tam oddać ducha; w opowiadaniu „LOS” mamy jednak do czynienia z kimś niespełnionym, a samo zniknięcie głównego bohatera, Thalera, jest równie tajemnicze, jak zaginięcie grupy pensjonarek z „Pikniku pod Wiszącą

Skalą”. Podkreślenia wymaga znakomita polszczyzna tych tekstów, którą opowiadania Klausa Merza zawiązują świetnemu tłumaczowi Ryszardowi Wojnakowskiemu; wybitny autor potrzebuje równie wybitnego tłumacza – i tutaj ta zależność na szczęście zachodzi. ●

Klaus Merz, *W stroju Adama*, wybrał i przełożył Ryszard Wojnakowski, Wydawnictwo OD DO, Łódź 2018.

„Już nic nie sprawia mi radości, tylko słońce”

Czwarty tom dzienników Sandora Maraia sprawił mi tyle samo czytelniczej satysfakcji, co poprzednie, choć są w nim wątki, które węgierski pisarz – moim zdaniem – już dawno wyczerpał, więc z powodzeniem można je było pominąć. Cóż począć, życie ludzkie składa się z nieustannych powtórek, ale chyba już lepiej tak, niż gdyby życie nas na każdym kroku zaskakiwało. Co mamy w kolejnym tomie: Marai po latach współpracy zakończył pisanie felietonów dla Radia Wolna Europa i przeszedł na emeryturę; wreszcie jest wolny i może wyjechać ze Stanów Zjednoczonych, których nie zaakceptował i w które nie wrósł, jak – nie przymierzając – jego przybrany syn Janos. Wrócił więc Marai w 1967 roku do Europy, do Italii, ale już nie do takiej, z jakiej wyjechał i za jaką tęsknił w Ameryce. Włochy przeżywają wówczas ciężkie czasy; krajem trzęsie mafia i wyrosłe na buntach studenckich z 1968 roku terrorystyczne Czerwone Brygady – państwo jest w permanentnym kryzysie – dość powiedzieć, że np. Marai z winy strajków na poczcie (a po trosze i amerykańskiej urzędniczej dociekliwości) przez wiele miesięcy nie otrzymuje emerytury. Odwiedzając Amerykę, zanotuje błyskotliwie: „Dobrze wrócić do Nowego Jorku. Szkoda, że nie da się żyć w Nowym Jorku”. Szanuję, więcej, podziwiam Maraia za hart ducha, za konsekwentną niezgodę na fałsz, za opór wobec komunizmu i za trwanie na posterunku do końca, choć jego nieugięta postawa wielu może przywodzić na myśl wartownika pilnującego spalonego mostu. Widzę w jego postawie paralelę z postawą Herberta i jego poczuciem smaku; Marai pisze zresztą o powodach swojej oporu dokładnie to samo, co autor *Pana Cogito*: „To kwestia smaku. A smak potrafi być argumentem”. Przynajmniej mamy tu przemijanie, wszystkie jego aspekty, zaczynając od codziennych kłopotów, jakie doskwierają starszym ludziom, a na chorobach kończąc; najpierw żona Lili, z którą w 1973 roku obchodzą 50. rocznicę ślubu, zapada ciężko na zdrowiu, potem Marai ma urzody żołądka, które niemal doprowadzają go do grobu – wiele tygodni jest hospitalizowany, drastycznie traci siły i chudnie. Pisarz nie ma nadziei na powrót na Węgry, notuje, że umierają kolejni bliscy i starzy przyjaciele, zauważa, że syn Janos oddala się mentalnie... Mimo coraz bardziej doskwierających mu problemów, mimo frustracji, mimo tysiąca rzeczy Marai znajduje wewnętrzny imperatyw, by

Pisać – i to nie tylko dziennik, ale także kolejne powieści. Wydaje w tym czasie II wydanie *Dziennika 1945–1957*, powieści *Sąd w Canudos*, *Ziemia! Ziemia!*, i *Pokrzepiciela*. Wspomina zresztą w 1967 roku, jakby wtedy samego siebie dyscyplinował: „Pisarz, który »postawą« nadrobi wielkie, ważne dzieła w swojej twórczości, myli się. Postawa nie zastępuje dzieł. Ale bez postawy nie rodzą się wielkie dzieła”. Niezwykle ważne dla pisarza było to, że znalazł wreszcie swojego wydawcę (wcześniej długo musiał sam nim być); członka węgierskiej diaspory w Toronto.

Długo by cytować najcelniejsze uwagi węgierskiego diarysty, który nawet w późnych latach był przenikliwy w sądach: „Osiemnasty wiek zlikwidował Religię. Dziewiętnasty wiek zlikwidował Boga. Dwudziesty wiek likwiduje Człowieka” – oznajamia w 1970 roku. W tym samym czasie wieszczą: „komuniści pewnego dnia znikną ze sceny świata, ale Rosjanie, niestety, pozostaną. A to niebezpieczny naród, bo ma »poczucie winy« i dlatego sądzi, że może sobie na wszystko pozwolić; najwyżej pożałuje.” „Człowiek zawsze zostaje sam, gdy trzeba przeciąć kabel” – zauważa i trudno się z tym nie zgodzić.

Zdarza mu się jednakowoż przeszarżować, jak wtedy, gdy pisze, że jedyną książką amerykańską z lat 50. i 60., wartą przeczytania, jest *Stary człowiek i morze*. A co z *Uciekaj, króliku* Updike’a, *W drodze* Kerouaca, *Rzeźnią nr 5* Vonneguta, powieściami Bellowa albo wspomnianym *Kompleksem Portnoya* Rotha? Może brakowało mu w tych książkach elementu magicznego, bez którego, jak twierdził, „nie ma twórczości, są tylko popisy”. Podejrzewam, że jednak nie czytał. Znajac jego bardzo tradycyjne, konserwatywne podejście do sztuki, nie zdumiewają mnie jego uprawnione, aczkolwiek nazbyt ostre słowa na temat sztuki współczesnej: „Ten wiek to rzeczywiście wiek upadku: każdy wiek ma takiego Michała Anioła, na jakiego zasługuje. Ten na przykład ma Picassa”.

„W życiu nie liczy się nic poza śmiercią” – pisze w którymś miejscu Marai, jakby cytował wcześniej recenzowanego Ciorana. Tu akurat nie ma racji; nic mniej się w życiu nie liczy od śmierci. ●

Sandor Marai, *Dziennik 1967–1976*, wybór, przekład, opracowanie, przypisy i posłowie Teresy Worowskiej, Czytelnik, Warszawa 2019.

dostawsz się do włoskiej niewoli, mimo niepełnosprawności, wziął udział w ucieczce z internowania – niewiele brakowało, a zakończyłaby się ona sukcesem. Zdążył jeszcze wypełnić misję angielskiego doradcy wojskowego chińskiego dyktatora Czang Kaj-Szeka. Wspomnienia spisał ok. 1950 roku, a żył jeszcze 13 lat, oddając ducha w 83. wiosnie życia – całkiem niezły wynik, jak na człowieka, który się kulom nie kłaniał (przynajmy, jednak dużo skuteczniej niż gen. Świerczewski). Blurba na okładkę książki generała broni Sir Adriana Carton de Wiarta napisał zaprzyjaźniony z nim Winston S. Churchill. Podobne blurby mogliby napisać, i kto wie, czy nie napisali, także inni zaprzyjaźnieni z nim wybitni przywódcy XX wieku, np. generał Charles de Gaulle, czy Carl Gustaf Emil Mannerheim, którego de Wiart był... sekundanem w latach 20., gdy przyszły marszałek Finlandii miał się pojedynkować o kobietę z pewnym polskim obywatelem. Zresztą podobnych ciekawostek historycznych – także w znakomitych przypisach – jest w tej książce mnóstwo: np., że matka carskiego generała Antona Denikina była Polką, a tenże dowódca „białych” Rosjan winą za zwycięstwo bolszewików obarczył w swoich memuarach... Piłsudskiego. Nie wiedziałem również, że francuski dyplomata i generał brygady Zinowi Pechkoff był starszym bratem Jakowa Swierdłowa, bolszewickiego działacza odpowiedzialnego za rozkaz rozstrzelania rodziny carskiej.

Autor *Mojej odysei* ma zmysł obserwacji, wyłapuje wiele rzeczy, które umykają nawet dużo bardziej analitycznym umysłom: „urzędnicy pod każdą szerokością geograficzną potrafią znaleźć sposób, aby najeść się do syta kosztem pozostałych śmiertelników”. Myślę, że do poduszki de Wiart czytywał von Clausewitza, skoro uważał, że

„politycy mogą układać sobie dowolne scenariusze, ale nie można marzyć o zwycięstwie, odrzucając użycie siły, która zazwyczaj pozostaje jedynym realnym i niezastąpionym środkiem do pokonania nieprzyjaciela”. Myślę, że gdyby w 1945 roku alianci mieli więcej takich generałów, jak de Wiart i gen. Patton, a ci mieliby więcej do powiedzenia, to wojna potrwałaby dłużej i wcale nie jest powiedziane, że Rosjanie znaleźliby się w gronie zwycięzców. Strach jednak pomyśleć, do czego byśmy doszli, gdyby ci wojskowi decydowali o losach świata w erze atomowej, a nie politycy – z dwojga złego wybieram tych drugich, bo choć to łachudry ostatniego sortu, to mają przynajmniej instynkt samozachowawczy.

Oczywiście jest też w tych wspomnieniach klasyczne angielskie poczucie humoru; co jakiś czas błyszczą więc rozbijające spostrzeżenia na temat np. muzyki, architektury, czy sportu; autor nie kryje, że te dziedziny działalności człowieka są mu obojętne. De Wiart ma sporo dystansu do świata i swojej osoby. Zastanawiający wydaje mi się wszelako brak wątków obracających się wokół kobiet – tylko z rzadka napomyka np. że żona Czang Kaj-Szeka jest urodziwa; z początku miałem nawet podejrzenia, że może de Wiart w kwestii erotyki był nowoczesny i otwarty na inne „opcje”. Najprawdopodobniej po prostu – jak na dżentelmena przystało – o tych sprawach nie wspomina, w końcu nie był... Philipem Rothem, tylko żołnierzem, więc zajmował się zabijaniem, a nie płodzeniem rekrutów. ●

Adrian Carton de Wiart, *Moja odyseja. Awanturnik, który pokochał Polskę*, tłum. Krzysztof Skonieczny, Bellona, Warszawa 2015.

Szwajcarska precyzja

Niektórzy autorzy potrzebują dziesięciu stron na to, na co Klausowi Merzowi wystarczy pół stroniczki, albo i mniej. Chciałoby się, nawiązując do kraju, z którego pisarz pochodzi, napisać: szwajcarska precyzja. Absolutnie perfekcyjna kondensacja słów: tylko te, które są konieczne, czyli wprowadzenie do literatury zasady niemnożenia bytów poza konieczność. Podoba mi się to i zalecałbym podobną wstrzemięźliwość tym współczesnym pisarzom, co to tłuką setki stron z sobie tylko znanych powodów. I wcale mi nie przeszkadza, że czegoś od razu nie rozumiem, bo cóż szkodzi przeczytać jeszcze raz? Dlatego niektóre z tekstów Merza czytałem dwa, trzy razy. Ba, niektórych nie rozumiałem nawet po kilkukrotnej lekturze, ale czy to mi w czymś przeszkadza? Ależ skąd – to trochę jak z malarstwem, nie trzeba rozumieć, żeby podziwiać. Intuicyjnie przecież rozumiem, o co chodzi autorowi – życie jest rozciągniętym na długie lata szaleństwem, kto tego nie rozumie, ten rzeczywiście może zawiariować. A literatura otacza nas zewsząd, jest w naszych codziennych rozmowach, w pociągach, w miejscach, w których żyjemy na co dzień, które odwiedzamy podczas bliższych czy dalekich podróży, nawet w pozornie banalnych zdarzeniach też jest literatura, tylko trzeba to umieć dostrzec, tak jak

to umie robić Merz. Zdarzają się tu jakby mgnięcia, rozbłyśki zdażeń, które można by rozwinąć, ale to nie jest konieczne, skoro tyle, ile jest, wystarczy – kiedyś coś podobnego tworzył u nas Maciej Malicki. Lubię też to zdyscyplinowane i nienachalne poczucie humoru, jak w opowiadaniu, jednym z najkrótszych, pt. „Marcepan”: „Święta Walpurga wydziela oleisty pot między październikiem a lutym. Jej szczątki przechowywane są w sarkofagu z piaskowca w kaplicy grobowej, a spływający pot zbiera umieszczony pod spodem aluminiowy lejek. Potu nie można jednak kupić, jest rozdawany przez zakonnice jako środek leczniczy. Wystarczy poprosić. To ja już wolę kupić sobie słodką kopię języka świętego Nepomucena, patrona tajemnicy spowiedzi, chroniącego przed zniesławieniem. Płacę i milczę. I zachowuję zdrowie”. Ta miniaturka przypomniła mi poemat *Kasandra idzie przypudrować nosek* Marka K. E. Baczeńskiego, w którym pisze on o czterech czarnych nieśmiałych waleczkach o zapachu lanoliny i drzewa sandałowego, czyli o bobkach świętej Amaranty z przechowywanego we Florencji relikwiarza, i – o dziwo – do wyrażenia tego samego, co prozaik, poeta potrzebował mniej więcej tyle samo słów. To świadczy na korzyść Klaus Merza. Wiele z jego opowiadań nie ma puenty, bo

ogniska. Ta książka była dla Rotha nie tylko sukcesem, ale i przekleństwem, bo według krytyków długo nie mógł napisać powieści, która mogłaby się z nią równać. To go frustrowało, ale jednocześnie mobilizowało do pisania. Wśród jego bohaterów szczególnie ważnym jest pisarz Zuckerman, czyli *porte-parole* Philipa Rotha, który pojawia się w kilku książkach. W ogóle, co chyba nie dziwi, gros spośród jego bohaterów stanowią ludzie pióra, artyści. Fascynujące, jak bardzo niebezpiecznym człowiekiem był Roth, o czym przekonali się wszyscy mu bliscy, bo musieli żyć w stałym zagrożeniu, uszak przedziej czy później stawali się bohaterami jego książek: rodzice, brat, pierwsza żona, czyli *femme fatale* – z którą związek *de facto* ukształtował Rotha jako pisarza, kolejne, zmieniane regularnie kochanki, późniejsza żona, a nawet... Franz Kafka czy Richard Nixon. Roth to pisarz, który seksualność traktował jako jeden z najistotniejszych czynników kształtujących i determinujących człowieka; nie był pierwszym autorem, który potrafił szczerze pisać o seksie, dość wspomnieć Henry'ego Millera – jednak dla autora *Mojego wieku męskiego* seks jest istotny nie ze względu na li tylko radość, jaką może przynieść, ale głównie jako dowód zachowania żywotnych sił. Siebie też tak definiował: dopóki miał ochotę na miłość i pisanie, czuł że jego życie ma sens. Roth był wielkim pisarzem także dlatego, że podejmował tematy wielkie, nie bał się deklaracji politycznych, w ogóle nie bał się pisać szczerze, a do tego wszystkiego chyba najbardziej inspirowały go akurat tematy niebezpieczne; zupełnie się nie dziwię, że stał się z czasem wrogiem dla wielu ustosunkowanych środowisk, z ruchem feministycznym na czele – dziwiłbym się, gdyby do tego nie doszło. Ale pisarz powinien być odważny i Philip

Roth był odważny; nie mógł być na wojnie, gdzie mógłby się wykazać „w boju” jak Hemingway czy James Jones, więc brak heroicznego okresu w biografii powetował sobie w literaturze.

Zaimponował mi Roth także tym, co zrobił dla pisarzy z Europy Środkowo-Wschodniej; zorganizowana przez niego akcja wydawania w Ameryce pisarzy z Czechosłowacji, Węgier czy Polski była bardzo skuteczna i pomogła wielu prześladowanym w rodzinnych krajach autorom nie tylko w pojawieniu się na rynku czytelnicy w krajach angielskojęzycznych, ale także zapewniła im środki do życia. Godna podziwu postawa, rzadka u pisarzy, którzy z definicji są egocentryczni. Z autorów polskich Roth odkrył Bruno Schulza i Witolda Gombrowicza. Można chyba powiedzieć o fascynacji Rotha autorem *Ferdydurke*, o którym czytamy: „znalazł zgrzybliwe dzieła satyryczne (sic! – dop. M.T.) Witolda Gombrowicza, polskiego ziemianina i homoseksualisty, który przeżył dużą część życia w biedzie w Buenos Aires. (...) temat niedojrzałości, który był specjalnością Gombrowicza – ważniejszy niż to, co uchodzi za dojrzałość, i fatalnie niezrozumiany przez krytyków – w szczególny sposób łączył obu pisarzy”.

Książka – zaznaczymy – niespokrewnionej z nim, choć noszącej to samo nazwisko, krytyczki jest ciekawa, może nie iskrzy się dowcipem, jak przeważająca część dorobku Rotha, ale za to jest rzetelna i zachęca do sięgnięcia po jego książki – ja przynajmniej, po tej lekturze, mam taki zamiar. ●

Claudia Roth Pierpont, *Roth wyzwolony. Pisarz i jego książki*, z angielskiego przełożył Krzysztof Puławski, Świat Książki, Warszawa 2015.

Normalnie jak Monty Python

Jest taka scena w skeczu Monty Pythona z żołnierzem brytyjskim, oficerem, który gdzieś w tropikach siedzi w namiocie, z książką w rękę, i wespół z kilkoma towarzyszami broni zastanawia się, jak to się stało, że stracił... nogę. Sam poszkodowany – wskazując na ogromną dziurę w poszyciu namiotu – z niewzruszonym spokojem utrzymuje, że stało się to za sprawą użądlenia przez komara. Scena ta przypominała mi się podczas lektury książki niezwyklej, legendarnej, bo autorstwa jednego z najbardziej sławnych żołnierzy angielskich XX wieku – Adriana Carton de Wiarta. Był to tak niezwykły człowiek, że trudno uwierzyć w jego istnienie. Arystokrata belgijski, który jako żołnierz brytyjski zaliczył nieprawdopodobną liczbę wojen: II burską, I światową, II światową i jeszcze kilkanaście pomniejszych wojen kolonialnych i konfliktów w międzyczasie, podczas których stracił oko, lewą dłoń, doznał niezliczonych postrzałów – jeśli nie liczyć złamania kręgosłupa – „niemal cało” wyszedł z dwóch katastrof lotniczych, co wszelako w ogóle nie zmieniło jego podejścia do samej istoty wojny. W którymś miejscu pisze nawet: „myślę, że tylko cywile odczuwają wielką i szczerą radość z końca wojny”. Nie dziwi więc, że to tego człowieka wysłano w 1918 roku do Polski w charakterze członka Brytyjskiej Misji Wojskowej – przyjechał do nas na kilka tygodni, a został... 20 lat. Dobrze nas poznał

i nie wahał się Polaków krytykować, ale nie krył również fascynacji naszym krajem i Polakami – był przy tym wielbicielem Piłsudskiego (choć dostrzegał jego wady). Pisze np. „Jestem przyjacielem Polaków i szczerze ich podziwiam, ale muszę przyznać, że uwielbiają oni sytuacje kryzysowe. Dopiero wtedy czują się jak ryba w wodzie i zapewne dlatego wywołują je ze stałą częstotliwością, i często nie potrzebują ku temu powodu!”. Po wypełnieniu misji zamieszkał na bagnach Polesia, gdzie gościł go bezpłatnie przez dwie dekady książkę Karol Radziwiłł; de Wiart przy okazji – jako fachowiec w każdym calu – opisał zjawisko tzw. pieczeniarzy, czyli ludzi goszczących przez wiele lat po dworach na koszt swoich gospodarzy. Przez te lata de Wiart zajmował się przede wszystkim łowiectwem, które było jego największą pasją – obok, rzecz jasna, wojny, ale te, ku jego niezadowoleniu, nie wybuchały tak często, jak by tego sobie życzył. Myśliwy podliczył, że podczas bytności na bagnach poleskich ustrzelił co najmniej 20 tysięcy kaczek, a strzelał przecież także do cyranek, dzikich gęsi, bekasów, cietrzewi, gołębi itd. Mimo leciwego już wieku przydał się także podczas II wojny światowej; był w Polsce, dopóki nie uciekły z niej nasze najwyższe władze z Marszałkiem Śmigłym-Rydzem na czele. Następnie przedostał się do Anglii, gdzie szkolił dywizję, brał udział w walkach w Norwegii i w Afryce Północnej;

Zabawna rozpacz

Mam coraz większy problem z tym filozofem, z jego filozofią życia, czy raczej śmierci, bo od jakiegoś czasu Emil Cioran zwyczajnie mnie bawi. Rozpacz może być śmieszna, bo jeśli ktoś rozpacza, lekko licząc ok. 70 lat, to ma się widoczny dowód, że nawet na rozpacz można zbudować coś solidnego – na przykład dojmujące uczucie bezsensu. Cioran przypomina mi moją leciwą sąsiadkę, która od kilkudziesięciu lat nieustannie narzeka, a w tak zwanym międzyczasie dobrze się miała i ma, wychowała i wydała za mąż dwie córki, pochowała męża, a dzień spędza na ławce pod kamienicą, obgadując sąsiadki. Przepraszam bardzo, ale mnie taka rozpacz bawi i w swojej arogancji myślę, że Cioran byłby zadowolony, gdyby wiedział, że ktoś go odbiera w ten sposób. Chyba nawet o tym wiedział. Postawa filozoficzna Ciorana łądząco przypomina wiecznie niezadowolonego osiołka, przyjaciela Puchatka; czyż ten melancholijny pesymista nie jest jedną z najbardziej zabawnych postaci z książek dla dzieci? Rumuński filozof gra jednak w wyższej lidze – w lidze, gdzie pierwsze miejsca okupują kabotyjni (inna sprawa, że oni zawsze wodzą rej). To słowo idealnie pasuje do Ciorana, bo przecież pochodzi z jego ukochanego języka francuskiego: *cabotin*, co dosłownie znaczy: aktor wędrowny, igrzec, komediant. Wypisz wymaluj Cioran, który przywędrował do Francji z Rumunii, i ze swojej filozofii zrobił coś na kształt tragikomedii. Czyż może być większe kabotyństwo niż utrzymywanie, jak to czynił autor *Sylogizmu goryczy*, że lepiej by mu było pozostać w Râșinari i spędzać czas na pasaniu bydła, niż jechać do Paryża i wieść tam życie etatowego mędrca? To oczywiste, że gdyby pozostał w rodzinnym kraju, skończyłby jako apologeta Hitlera, Żelaznej Gwardii, a w konsekwencji przestępca wojenny. Gdyby nie dał się skusić wielkiemu światu, nie mielibyśmy również tej przyjemności obcowania z jego nihilistycznymi złotymi myślami, które niczym podręczne przepisy na zmarnowane życie pakował w niewielkiej, przez to strawnej liczbie, do swoich szczupłych dzieł, dzięki czemu tak wielu je czyta, bo chuda książka łatwiej – jak to mówią – wchodzi. Wznowione

uszelako przez Wydawnictwo Aletheia słynne *Zeszyty 1957–1972* w dwóch aspektach są poniekąd odmienne od tego, co Cioran wydawał przez kilkadziesiąt lat. Po pierwsze opasłe, niczym *Summa teologii* św. Tomasza z Akwinu, a po drugie autor nie był zainteresowany ich wydaniem; więcej, chciał, żeby zostały zniszczone. Skąd my to znamy? Rada dla autorów: jeśli chcecie, żeby wasze dzieła przetrwały, poproście małżonki, przyszłe wdowy, albo najbliższych przyjaciół, by zniszczyli maszynopisy – wtedy na bank się ostaną. Zasadniczo jednak nie ma tu zaskoczenia, bowiem słyszymy wciąż starą śpiewkę, czyli zestaw pytań retorycznych obecnych we wszystkich dziełach Ciorana: po co się rodzić, po co kochać, po co pisać, po co zostawiać ślad, po co Bóg, którego nie ma, po co Bogu, którego nie ma, człowiek, którego życie jest bezsens, po co sens, po co bezsens itp. Dochodzą tylko na ogół niewiele znaczące uwagi o życiu osobistym, jest też nieco życia towarzyskiego Paryża lat 60., w którym autor jednak – chcąc, ale starając się nas przekonać, że nie chcąc – uczestniczył. Zdarzają się wtręty świadczące o – bo ja wiem? – skromności Ciorana, czy bardziej kompleksie, jaki miał wobec pisarzy: „Mniej talentu potrzeba do manipulowania ideami niż słowami. Przykładając się pilnie, można zostać filozofem, ale nie pisarzem”. Czasami natykamy się na nutę sarkastycznego triumfalizmu: „Moim dramatem jest to, że istnieniu wyrąbałem prawdę w oczy”. Myślę, że jego dramatem polegał na czymś innym, na tym mianowicie, że istnienie miało gdzieś to, co Cioran o nim myślał. Na koniec i tak wygrało. Dało radę Pascalowi, Nietzschemu, więc takiego Ciorana wciągnęło nosem. Zgadzam się z Cioranem w tym, że „Niewiedza jest stanem doskonałym”. Tylko co zrobić, jeśli już się wie? Z tym pytaniem nie dałby sobie rady nawet taki fachowiec, jak Sokrates. ●

Emil Cioran, *Zeszyty 1957–1972*, tłum. Ireneusz Kania, Aletheia, Warszawa 2016.

Dojrzewanie Rotha

Czytając książkę Claudii Roth Pierpont pod tytułem *Roth wyzwolony. Pisarz i jego książki* przypomniały mi się siermiężne lata 80. zeszłego wieku i szok, jakiego wtedy doznałem. Tak, to chyba był największy szok, jaki przeżyłem podczas lektury; licealny kolega kupił mi tę książkę w kiosku Ruchu; zgrzebna okładka w kolorze, który kojarzył się z czymś, w co zdarza się nieostrożnie wdepnąć, nie zachęcała do czytania. Tytuł nic mi nie mówił, nazwisko autora też, ale wtedy ważne było, że to Amerykanin, a nie jakiś krajowy literat, którego partia namaściła na pisarza. Mówi

się czasami, że coś się czytało z wypiekami na twarzy; jeśli kiedykolwiek cokolwiek przeczytałem z wypiekami na twarzy, to właśnie tę książkę – *Kompleks Portnoya* autorstwa Philipa Rotha. Z pierwszej lektury zapamiętałem – wiadomo – najbardziej spróśne fragmenty, choćby scenę, gdy rodzina Portnoya zajada się wątróbką, której junior użył wcześniej do... masturbacji. Kolejne lektury były już, że tak powiem, dogłębniejsze. Dostrzegłem źródła konfliktu, jaki tlił się w tej żydowskiej rodzinie, i bunt głównego bohatera, który odrzucał tradycyjną opresyjność domowego



Erazm Furman › Recenzje

Afronty Furmana



dążący do celu. Skorumpowany policjant – amoralny, cyniczny. PRL-owski oficer zwolniony z wojska – paranoik żyjący w poczuciu urojonej krzywdy. Jednak ostatecznie schematyzm ten okazuje się powierzchowny. Kiedy gra pozorów przestaje być możliwa, spod maski – przybranej lub przyprawionej – wychodzi twarz. Wyjątkiem jest dobroduszny wieśniak (żywcem wzięty z XIX-wiecznych baśni); on raczej nikogo nie udaje.

Pochwalić trzeba dialogi, świadczące o dobrym „słuchu” językowym. Autor fachowo indywidualizuje język swoich postaci, równie dobrze imitując spokojną mowę repatrianta ze wschodu, co agresywną wielosłowność kokainisty. Czasem też niezłe nas zaskoczy (na modłę postmodernistyczną, a jakże!), gdy np. policjant z byłym wojskowym, dyskutując na tematy moralne, cytują Biblię. Natomiast rozmowy Anety i Borysa – osób równie inteligentnych i czytanych, ale o antagonistycznych charakterach – iskrzą od celnych ripost. Kiedy Borys mówi, że „się pracuje”, Aneta nie odmawia sobie (złośliwego) zacytowania Stachury. Oboje potrafią dużo rzec w niewiele słowach: „– Chodźmy stąd. Nie mogę tu być. Duszę się. (...) – To tylko smog. – Nie, nie tylko”. Także monologi postaci, nawet jeśli przydługawe, bronią się dzięki ładunkowi emocjonalnemu (np. opowieść Anety o tym, jak odkryła oszustwo swego byłego partnera).

Główną słabością narracji jest natomiast rozwlekłość. Niestety, niewiele tu znajdziemy lapidarności rodem z piosenek Organka. Książka pełna jest prawdziwie poetyckich metafor typu: „Budynek wyglądał na jakieś dwa czy trzy blaszane kontenery, spięte ze sobą niczym więcej niż ambicją właściciela”. Jednak próbując swe przenośnie rozwijać, Autor je rozwadnia. Przykład? „[Rodzina] Nuklearna. Czas połowicznego rozpadu trzydzieści dziewięć lat i sześć miesięcy”. Piękne, mocne, celne. Wszystko o tej rodzinie powiedziane w niewiele ponad jednym zdaniu. Ale nie, narrator brnie dalej w definicję *połowicznego rozpadu* nuklearnego (ciekawe, że nie *rodziny nuklearnej* – kto dziś pamięta, co to?), czym być może dookreśla zamierzony sens tej gry słownej, ale i ją przegaduje. Jako czytelnik nie znoszę, kiedy autor próbuje mi tłumaczyć, co chciał powiedzieć – wolę domyślić się sam.

Rozbudowane opisy nie rzązą tam, gdzie tempo akcji jest wolne. Na przykład kiedy skacowany Borys budzi się w swym mieszkaniu, drobiazgowo relacjonowanie panującego nieładu konweniuje z nastrojem bohatera i z nieuniknioną w jego sytuacji ślamazarnością, zalatując wręcz *Sanatorium* Rafała Wojaczka. Ale jeżeli akcja nabiera tempa – np. gdy Borys w „Zajeździe u Maxa” gorączkowo poszukuje Anety, albo kiedy oboje szukają rodziców po całym domu – opis powinien nabierać zwięzłości; raczej szkicować, niż malować sytuację. Zamiast tego jesteśmy męczeni szczegółową opowieścią o tym, jak brzydko był urządzony dom (co można było opisać wcześniej, kiedy bohaterowie zjawili się tam pierwszy raz). Tym bardziej denerwuje rozwodzenie się nad przypadkowo zobaczonym w lustrze własnym odbiciem (które lepiej by opisać później, choćby w lusterku auta). Uzyskany suspens jest pozorny – zawieszeniu ulega nie akcja, lecz tylko narracja. Zamiast napięcia, rośnie zniecierpliwienie czytającego.

Ważną rolę w powieści Organka pełnią dygresje. Witkacy naważał je kiedyś „całym smakiem powieści”, kładąc atoli nacisk na ich intelektualny poziom. Z tym zazwyczaj nie jest tak źle; gorzej – znów!

– z dyscypliną słowa. Wtrącając dygresję w fabułę, warto dążyć do maksymalnej zwartości (patrz: *Kwiaty polskie* Juliana Tuwima), by narracja zachowywała spójność. Ale nie, Autor wprowadza w tekst coś w rodzaju małych esejów. Ma to swój urok za pierwszym czy drugim razem, potem zaczyna nużyć. Jeszcze gorzej, kiedy w powieść wpleciony zostaje felieton – czy to o obchodzeniu dnia Wszystkich Świętych, czy o świętowaniu niedzieli. Tu już nie ma prawie żadnej świeżej myśli, zostają szablony. Może jeszcze poetycka wizja Zaduszek ma w sobie coś oryginalnego, tyle, że jest trochę „nie na temat” – lepiej byłoby zachować ją do wiersza lub piosenki, a felietonowe wtręty darować sobie zupełnie.

Autor od początku chętnie korzysta z możliwości stwarzanych przez narrację pierwszoosobową, uwyppuklając tym osobisty, nieledwie intymny charakter opowieści. Później wszelako próbuje „zjeść ciastko i mieć ciastko”, wykorzystując zarazem możliwości narratora wszechwiedzącego. Oto kiedy Aneta i Max idą do samochodu, Borysa z nimi nie ma, więc opowiadać o tym nie może – a jednak opowiada ze szczegółami, jak zawsze. Oczywiście i z takiego „zakrętu śmierci” można by zgrabnie wyjść – chociażby zaczynając kolejny rozdział w stylu „O tym wszystkim Aneta opowiedziała mi później; uwięziony w szpie mogłem jedynie...” itd. Niestety, Autor tego nie zrobił, pozostawiając nieprzyjemną lukę fabularną.

Pamiętajmy przy tym, że mamy do czynienia z debiutem. Jak na takowy, jest niezłe, ale nie uprawnia to recenzenta do stosowania taryfy ulgowej.

Cel, jaki debiutujący pisarz sobie postawił, jest przecież ambitniejszy od napisania wciągającej historijki przygodowej, czy nawet powieści o aspiracjach psychologicznych. *Teoria opanowywania trwogi* to próba namalowania portretu własnego pokolenia. Jak zwykle bywa z „portretami własnymi”, wizerunek jest mało pochlebny. W ujęciu Organka, osoby dobijające dziś czterdziestki, ewentualnie mające do niej jeszcze trochę czasu, marzą o miłości, ale nie bardzo rozumieją, czym ona jest. Poza tym albo upijają się w barach i zaczepiają spokojnych klientów, albo są uwikłane w podejrzone interesy swych ojców; w najlepszym razie pracują za niezłe pieniądze, lecz nie wnoszą tym do życia niczego dobrego, tylko na przykład ob smarowują lepszych od siebie w brukowych mass-mediach, lub wciśkają klientom tandetę, wytwarzaną gdzieś w Bangladeszu po osiem centów za sztukę... Tak zwani „zwykli ludzie” (nie mówię o wiejskim gospodarzu, reprezentującym wszak starszą generację) są nieobecni – chowają się w tle, całkiem jak w westernach. A szkoda, bo może mieliby parę interesujących rzeczy do powiedzenia?

Jeszcze jedno! Zazwyczaj bohaterowie powieści (lub filmu) drogi, o ile wychodzą z życiem ze swej przygody życia, zostają nieodwracalnie odmienieni. Raz wytrąceni z inercji, nie są już zdolni do niej wrócić. Duduś obit, natus est Janusz. Zamykając *Teorię opanowywania trwogi*, można zastanawiać się, czy którekolwiek z dwójki protagonistów wyszło z próby choć trochę dojrzałe, czy nauczyła ich ona czegośkolwiek, czy tylko na chwilę przerwała ich wewnętrzna martwość. I to w obrazie średniego pokolenia, widzianym oczami Tomasza Organka, jest chyba najbardziej przygnębiające. ●

BORYS OBIIT ?



Tomasz Organek: *Teoria opanowywania trwogi*; Wydawnictwo WAB, Warszawa 2019.

Dlaczego gwiazdor estrady Tomasz Organek napisał i wydał powieść? Czyżby znudziła mu się kariera piosenkarza, kompozytora i autora tekstów? Wątpię. Raczej przestała mu wystarczyć.

Czy słusznie? Inaczej mówiąc: czy *Teoria opanowywania trwogi* (bo taki tytuł nosi książka) jest dowodem talentu pisarskiego? Moim zdaniem tak. A czy jest to talent w pełni już zrealizowany?

Akcja debiutu powieściowego Tomasza Organka rozpoczyna się w kręgach „modnej Warszauki”, którą (nie całe miasto, tylko wąskie grono niewolników mody i konsumpcjonizmu) ukazuje jako stolicę blichtru i samozadowolenia. Dziennikarz Borys, niedługo przed czterdziestką wyrzucony z redakcji plotkarskiego portalu internetowego, spotyka copywriterkę Anetę, swoją dawną miłość, której właśnie zawałił się związek i – zmarł nagle ojciec. Kobieta potrzebuje wsparcia: chce, by Borys pojechał z nią na pogrzeb. Oboje wyruszają jeepem Grand Cherokee w stronę odległego Wolina. Na prowincjonalnej stacji benzynowej narażają się miejscowemu gangsterowi, który rusza za nimi w pogoń...

Tak rozpoczyna się historia pełna pomysłowych zwrotów akcji. Pierwszy, wyjątkowo ciekawy, następuje na samym początku narracji, kiedy znamy już narratora, ale wciąż nie wiemy, czy głównym bohaterem będzie on, czy jego redakcyjny kolega. Takich „przeurotek” czeka nas jeszcze wiele. Pozorne tryumfy są wstępem do klęsk i *vice versa*, fasada siły maskuje słabość, a słabości – realną siłę, pod udawaną pewnością siebie skrywa się infantylizm... Z konstrukcją fabuły Organek radzi sobie dobrze, szczególnie jak na debiutanta.

Teoria opanowywania trwogi jest powieścią postmodernistycz-

ną. Choć moda na postmodernizm dawno przeminęła, wciąż można się nim bawić, byle umiejętnie. Autor robi to umiejętnie. Zgodnie z ponowoczesną doktryną synkretyzmu gatunkowego, częstuje nas mieszaniną konwencji literackich. Powieść „korporacyjna” przechodzi w powieść drogi, ta w thriller, w tle pobrzmiwa osobliwy romans obficie podlany sosem psychologicznym, później wkrada się jeszcze powieść „rozliczeniowa” o czasach PRL-u... Niemniej wszystko razem układa się w historię całkiem spójną fabularnie.

Równie sprawnie Organek realizuje ponowoczesny postulat intertekstualności, inkrustując tekst licznymi aluzjami do książek, filmów, piosenek... Ze szczególnym upodobaniem bawi się motywami popkulturowymi. Zaczyna już we wstępie, snując refleksje o pewnej reklamie telewizyjnej. Wstęp ten, z pozoru niezwiązany z fabułą, faktycznie ją zapowiada, definiując nie tyle nawet obiektywną sytuację bohaterów, ile ich stan ducha.

Podobnie funkcjonalizuje kolejne nawiązania intertekstualne. Kiedy czytamy, że ktoś ma ręce w kieszeniach, które, niestety, nie są „jak ocean” – znając przywołany szlagier, łatwo odgadniemy trudną relację tej osoby z rzeczywistością. Aluzja do prozy Kerouaca towarzyszy początkowi podróży, uczuciu nagłego odzyskania swobody. Borys z niedojrzałą emocjonalnie Anetą „na głowie” czuje się jak w *Lolice* Nabokova, a pościg na szosie myli tak, jak się nauczył z amerykańskich filmów.

Autor zgrabnie wpisuje się w postmodernizm, rozgrywając stereotypy, szczególnie przy konstruowaniu postaci drugoplanowych. Z początku wydaje się powieść kalki. Gangster – silny, bezwzględny, ale trzeźwo oceniający sytuację, prostą drogą

zrobić niczego złego. Okazuje się, że od złego jesteśmy my – ludzie! Na tym ma niby polegać jego doskonałość, a nasza niedoskonałość? A przecież to widomy dowód braku Jego doskonałości – uszak doskonałe może być tylko zło. Ale zła – tu, gdzie jestem – nie ma! Całe życie żyłem w kłamstwie, że ludzie są zli, świat jest zły i czeka nas wieczne potępienie, a teraz siedzę w tym miłym pokoiku, zawsze jest napalone w kominku, podają mi na śniadanie moje ulubione grzanki, którymi notabene już rzygam, bo proszę przez 30 lat jeść na śniadanie ulubione grzanki! One już przestały być dla mnie ulubione, tylko proszę im tego nie mówić, bo to jedyne zło, jakiego się tutaj – podkreślę: dzięki własnym staraniom – doczekałem. Na obiad jest sznycel po wiedeńsku, tylko na miły Bóg, jakiego oni mają kucharza, chyba też z Polski, bo on nie potrafi zrobić sznycla po wiedeńsku, to jest jakaś galicyjska wersja sznycla, a może to pieczone podeszwy starych wojskowych kamaszów albo skóra zdarta w piekle z bankierów, która ma smak wszystkiego, w co człowiek może przez nieuwagę wleźć, ale na pewno to nie jest sznycel po wiedeńsku...!

M.T.: Ktoś Panu towarzyszy w tym raju?

T.B.: Niestety, mam towarzystwo jakiegoś niewydarzonego chóru anielskiego, oni śpiewają wyjątkowo wysoko, bo to bez wyjątku sami kastraci; wyobrażasz pan to sobie, nieustanny koncert chóru kastratów, który – na marginesie – ma bardzo bogaty repertuar, bo przecież przez setki lat kompozytorzy tworzyli od groma partytur dla eunuchów, i to wybitni kompozytorzy, zwłaszcza austriaccy; banda szubrawców, i to są w przeważającej mierze utwory, których nie znam! Chciałbym słuchać muzyki, którą lubię, a muszę słuchać tego, czego nie miałem okazji polubić...

M.T.: To mi przypomina aksjomat pewnego polskiego inżyniera Mamonia, że podobać się mogą tylko piosenki, które już się słyszało...

T.B.: Logicznie rozumując, ten człowiek miał rację.

M.T.: Inna sprawa, że chyba powinien Pan być z tego zadowolony. Skoro to Pana męczycy, to ten raj zaczyna troszeczkę przypominać piekło. A przecież w to Panu graj!

T.B.: To są drobiazgi, mało istotne detale: kulinaria i muzyka. Wiadomo, w sztuce drobiazgi jest istotny, ale nie decydujący. To samo w życiu, a także – jak się okazuje – po śmierci. Najbardziej brakuje mi w tym wszystkim rozmachu. Czuję się jak stary, wyliniały księgowy, bo trafiłem do raju dla księgowych. Rozumie pan mój dramat?! Poutórzę: nie zasłużyłem sobie na to, albo inaczej: zasłużyłem sobie na coś diametralnie odmiennego – na piekło, na jego taki krąg, jakiego nie potrafił sobie wyobrazić nawet Dante! Tylko ja to potrafiłem, ale ten tam na górze, nieogolony łachudra z jednym ślepym okiem, wystawił mnie do wiatru. Eh, odechciewa się nie żyć...

M.T.: To może z innej beczki: Peter Handke, kolejny po Elfriede Jelinek obywatel Austrii, dostał literackiego Nobla za 2019 rok. Jakoś to Pan skomentuje? Cieszy się Pan?

T.B.: Raczy pan sobie ze mnie żartować? Z czego mam się cieszyć? Że te beztalencia dostały to, co należało się mnie?! Przecież to oczywiste, że dostali tę żalną, zakłamaną i pozbawioną szacunku nagrodę, bo ta banda stetryczających grafomanów ze Sztokholmu podjęła tę decyzję z poczucia winy; oni doskonale zdają sobie sprawę, że o wadze tej nagrody świadczyć ci, którzy jej nie dostali – przede wszystkim ja! Proszę zwrócić uwagę, że Handke otrzymał ją w roku, gdy obchodzona jest – odnoszę wrażenie, iż obchodzona bokiem – 30. rocznica mojej śmierci. Myśli pan, że to przypadek? Nie ma przypadków! Przypadek to zawołowana reguła.

M.T.: Cóż mogę dodać na koniec... Może tylko, z okazji 30-lecia śmierci, złożę Panu wiele płynących prosto z mojego kamiennego serca życzeń, by wiodło się Panu tam, gdzie Pan aktualnie przebywa, jak najgorzej. Podobają się Panu te życzenia?

T.B.: Nie, nie podobają. Ale to dobrze o nich świadczy. Hola, hola (*zerka na zegarek*), zmuszony jestem się pożegnać, bo czekają już na mnie z kolacją. ●

Maksymilian Truteń: Dziękuję, że zgodził się Pan ze mną porozmawiać. Nie wszyscy zmarli pisarze są tak chętni do uczestniczenia w seansach spirytystycznych, czy objawiania się w moich snach...

Thomas Bernhard: Zaciekauił mnie pan. Kto odmówił?

M.T.: Kilka osób, ostatnio Hemingway. Właściwie nie odmówił, tylko zdenerwował się i przeurócił stół. I było po herbacie.

T.B.: Typowe dla tego starego dumnia. Jak sądzę, był pijany. Notabene bardzo słaby pisarz. Pierwsza powieść jeszcze trzymała poziom, a potem już równia pochyła – w dół.

M.T.: A którą ze swoich powieści uważa Pan za najlepszą?

T.B.: Wszystkie są wybitne. Pan uważa, że któraś z moich książek jest nieudana?

M.T.: Nie, skąd, wcale tak nie uważam.
(Thomas Bernhard coś mruknął).

M.T.: Rozglądam się po tym pokoju, z którego zawartością Pan mi się objawił. Widzę tu sporo charakterystycznych mebli, które przywodzą na myśl Pana powieści czy opowiadania. Fotel z uszami, wiadomo: *Wycinka*, fortepian to *Przeegrany*... Gra Pan na fortepianie?

T.B.: Nie, bo nie lubię, gdy mi się karty ślizgają, (*sardoniczny śmiech*)

M.T.: Niemniej pokój wygląda na przytulny, dużo książek... Zaraz, zaraz, to wszystko Pana książki, obcojęzyczne wydania...

T.B.: Tak, trafiłem do raju, choć w ogóle się o to nie prosiłem. To chyba jakiś głupi żart katolickiego Boga albo zemsta tego waszego chłopskiego papieża, co go Watykan uświęcił, a on teraz mści się na mnie za moje krytyczne o nim zdanie.

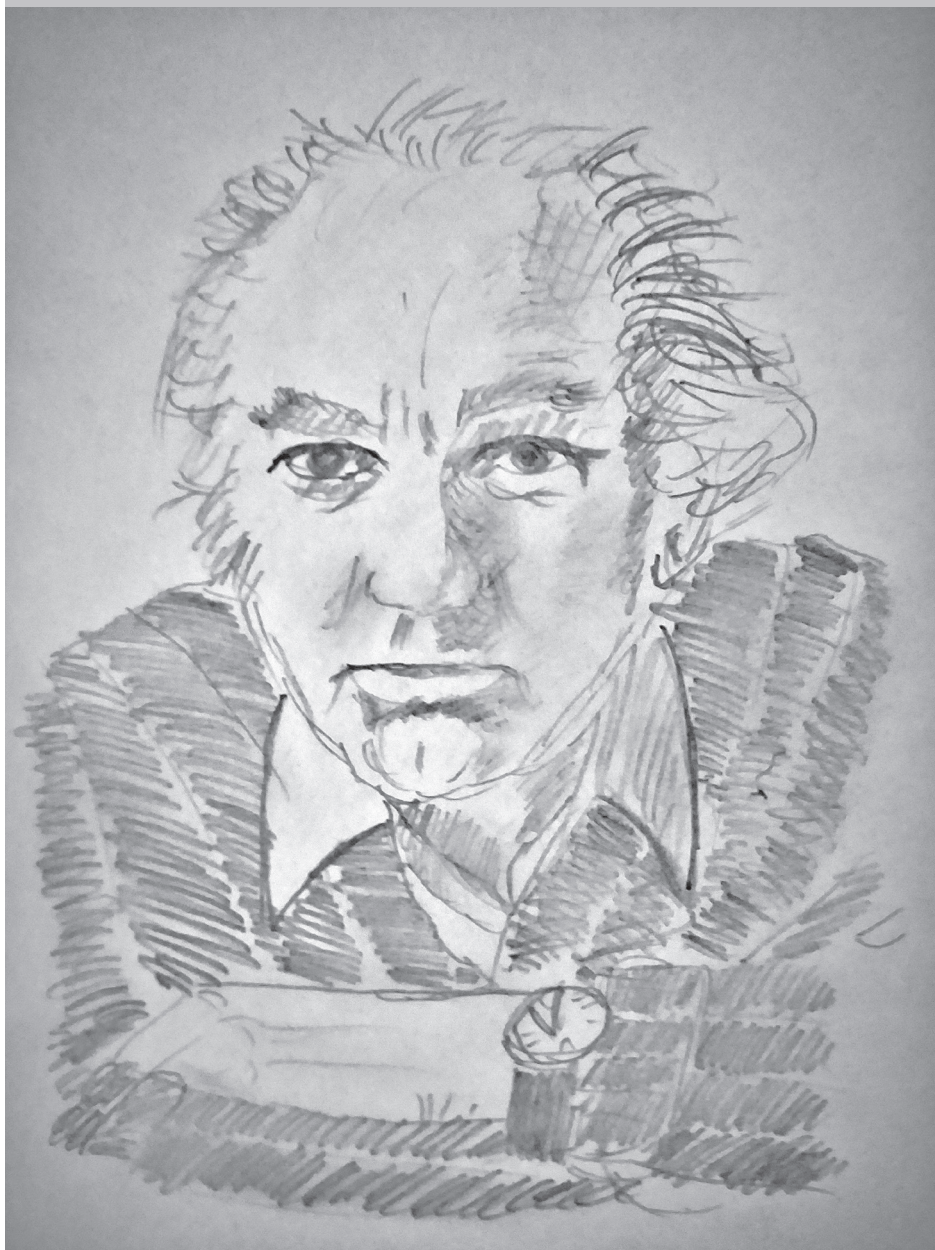
M.T.: Wolałby Pan być w piekle?

T.B.: Oczywiście, idioto, całym swoim życiem, całą moją twórczością zasłużyłem sobie po tysięckroć na piekło! To jedyne miejsce, do którego chciałem trafić, bo jakby stworzone dla mnie! A tymczasem Bóg wpakował mnie do raju, niech go szlag trafi – piękno jest takie nudne, tak cholernie nudne, i tak niewymagające. Jest mi za dobrze, a jak jest mi za dobrze, to nie mogę pisać. I co ja mam ze sobą zrobić? Całe doczesne życie myślałem, byłem tego pewny, na to liczyłem, że po śmierci, w piekle będę robił to, czego tak nienawidziłem, bo przecież ja pisania nienawidziłem, niczego tak nie nienawidziłem, jak pisania, nienawidziłem nawet myślenia o pisaniu, nienawidziłem samego momentu pisania, nienawidziłem całej tej pisarskiej otoczki, więc było dla mnie jasne jak żar bijący z piekielnego pieca, że trafię do miejsca, gdzie będę zmuszony do robienia tego, czego nienawidzę! A ja byłem predestynowany do robienia rzeczy, których nienawidzę. Pisałem nienawiścią, żyłem nienawiścią, nienawiść mnie napędzała, więc produkowałem nienawiść, wydawałem nienawiść, wystawiałem nienawiść na deskach teatralnych. Kto, może poza moimi krajanami, w tym panem Hitlerem, bardziej zasłużył się w sianiu nienawiści, niż ja?! Proszę mi kogoś takiego pokazać, a napluję mu w twarz! Miałem więc święte prawo do piekła. Piekło było mi pisane! Zabierzcie sobie ten parszwyj raj, weźcie ode mnie piękno, wyznaczcie z mojego życia – przepraszam, z mojej śmierci – tę doskonałą harmonię i te zbilansowane, a przy tym pożywne i smaczne posiłki, podawane o ustalonych porach dnia! Gdzie się podziały moje choroby?! Co zrobiono z moimi neurozami?! Jakim prawem uszczęśliwiono mnie na siłę?!

M.T.: No, cóż ja na to poradzę... Czy próbował się Pan odwoływać?

T.B.: Oczywiście! Ma mnie pan za imbecyla? Znam swoją wartość i wiem, jak walczyć o szacunek i godność. No, przecież Bóg jest samą miłością, on daje tylko szczęście i pokój. Ten patałach nie potrafi

Piekło było mi pisane!



Rys. Maksymilian Truteń

Z okazji 30. rocznicy śmierci Thomasa Bernharda,
z autorem *Kalkwerku*, *Przegranego* i *Korekty*
rozmawia Maksymilian Truteń

Если не с теми то точно с другими

cze procent od sprzedaży, a mają w ofercie sporo drogich płyt i ludzie naprawdę je kupują. Są płyty po pięć, są i po 40 tysięcy rubli, na przykład King Crimson [300-2400 zł].

To gdzie teraz właściwie pracujesz?

Pracuję jako redaktor muzyczny, zajmuję się nieustannym poszukiwaniem muzyki w internecie, układam playlisty dla różnych barów, sklepów i innych miejsc według życzeń klienta, a także po prostu segreguję muzykę według gatunków. Mamy już 250 playlist różnych gatunków i ja je regularnie odświeżam, uzupełniam. Opracowaliśmy aplikację pozwalającą zamawiać muzykę dla różnych miejsc. Aplikacja nazywa się Gusli, ona nam mówi, gdzie jesteśmy, co gra, jednak jej główną zaletą jest możliwość zamawiania piosenek w barach i innych knajpach. Oczywiście o ile miejsce jest podłączone do naszej aplikacji. Gość chętnie zostaje dłużej, gdy może zamówić piosenkę i zostawia wtedy więcej pieniędzy. Może opowiem coś zabawnego, przyszedliśmy dzisiaj tutaj nieprzypadkowo. Sama tu nigdy nie byłam, ale wiem, że ta restauracja z nami współpracuje. Co znaczy, że muzykę, która tu gra, wybierałam ja. Postawili na zagraniczny pop i tylko współczesny. Tak więc moja praca polega na tym, że siedzę osiem godzin w biurze i słucham różnej muzyki, a potem słucham muzyki w domu. I przy tym wszystkim trzeba jeszcze znaleźć czas na pisanie swojej muzyki, to bardzo trudne. W domu słucham muzyki w ramach mojej drugiej pracy, gdzie też jestem redaktorem muzycznym. Prowadzę na Kontaktach grupę Świeża Muzyka poświęconą nowościom muzycznym, odpowiadam za zawartość, za wygląd, za wpisy, monitoruję kontent, nowości, trendy, sprzedając reklamy, moje wynagrodzenie oparte jest właśnie o sprzedaż reklamy. Znowu cały ten pop, więc już jestem podwójnie obciążona. I jeszcze od niedawna zajmuję się pisaniem piosenek na sprzedaż, też w stylu pop. Kilka dni temu udało się sprzedać pierwszą piosenkę z moim refrenem. To tylko refren, ale i tak bardzo się cieszę. Na razie nie wiem, która gwiazda rosyjskiej estrady ją kupiła, ale myślę, że niedługo się dowiem.

Słuchasz bez przerwy muzyki, i w domu, i w pracy, nie przeszkadza ci to pisać piosenek?

Bardzo przeszkadza. Często wydaje mi się, że wymyśliłam fajną melodię, a nazajutrz już wiem, że gdzieś ją wcześniej słyszałam. Ostatnio nagrałam piosenkę do nowego albumu, też cały czas miałam jakiś motyw na końcu języka i nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie to było. Rozesłałam znajomym, pytając, czy coś im to przypomina. W końcu się okazało, że to *Nie płacz, Alisa*, piosenka z przełomu lat 80. i 90., skomponował ją i wykonywał Andriej Dierżawin. Znał ją cały Związek Radziecki. Ale po-

warzały się tylko dwie nuty na początku, a potem moja melodia rozwija się inaczej, mogłam się więc uspokoić, że to nie plagiat.

Skoro tak dobrze się orientujesz, mogłabyś polecić parę ciekawych, a mało znanych zespołów.

Przede wszystkim wymieniałabym Bumażnyje Tigry [*Papierowe Tygrysy*], słuchałam ich już na pierwszym roku studiów, bardzo podoba mi się tam wokół w styl szkockich Lowlife i bliskie mi są teksty. Od dawna lubię też Dom Modieliej [*Dom Modeli*], również są znani tylko w bardzo wąskim kręgu. Nie rozumiem, dlaczego nie zdobyli większej popularności. Niedawno się rozpadli, a lider ma teraz nowy projekt Żarok. Jeszcze w ostatnich klasach szkoły bardzo lubiłam zespół Niesmiejana [*postać z rosyjskich bajek, księżniczka, która się nigdy nie uśmiechała – przyp. red.*], to był bardzo perspektywiczny duet, w duchu postsowieckiego disco. Niestety też się rozpadli. O nich przynajmniej mówiło się w mediach i z powodzeniem koncertowali w małych klubach, przyzwoicie rozeszła się płyta na winylu, ale mimo to uznają ich za grupę o znaczeniu lokalnym. Lubię białoruski zespół Nürnberg, ale tak jak w przypadku Mołczat Doma zainteresowanie nimi w Rosji jest minimalne. Z liderem zespołu Nürnberg planujemy wspólną piosenkę w ramach jego drugiego projektu Farforowyye Koty [*Porcelanowe Koty*]. Znakomitych zespołów, których nikt nie zna, jest cała masa, można wyliczać bez końca. Triøxin, Doswidosz, Siem Noziej, Tiema Kriesta...

Dużo dziś opowiedziałas, prawdziwy introvertyk z ciebie.

To jeszcze mało. Mówiłam, żebyśmy rozmawiali na Kontaktach, napisać mogę znacznie więcej. Jeszcze nie rozmawiałaś z Artiomem z Sierpnia, to zobaczysz. On to dopiero opowiada, oszaleć można.

Restauracja Gustogram, Petersburg, 15 czerwca 2019 i dopiski w Kontaktach ●

по ночам просыпаюсь от этого

наступили Никто не просёк твоей суперсилы

wił się w klipie do przeboju grupy Alians *Na zarie* [O świecie], z czarnymi klawiszami. Przy czym kupiłam go, zanim pojawił się klip. Model produkowano od zdaje się 1983 roku, doradził mi go Roma z Mołczat Doma.

Jak to zanim wyszedł klip? Przecież *Na zarie* to lata 80.?

Klip gdzieś zaginął na 30 lat i miał swoją premierę dopiero miesiąc po tym, jak kupiłam syntezator.

I jak będziesz się przebijać z komercyjnym projektem?

Muszę zaczynać od zera. Trzeba będzie rozreklamować. W muzyce pop wszystko zależy od reklamy. Nie ma sensu grać koncertów, dopóki nie ma publiczności. Dopiero jak pojawi się popyt.

Jak w ogóle nadążasz z tym wszystkim, z pracą, z nowym projektem, ze Stereopoliną?

Pracuję pięć dni w tygodniu do piątej. Wracam do domu, trochę posprzątam, zjem kolację i siadam do muzyki. Oczywiście nie codziennie, zależy jaki mam humor, czasem dwa tygodnie nic nie robię. A jak jest nastrój, to piszę muzykę.

A o której wstajesz?

Wpół do ósmej. To wcześnie?

W sam raz. Czy ktoś już o tobie pisał w tradycyjnych czasopiśmiech?

Tylko raz w życiu. To był „Sapsan” [Sokół], czasopismo pokładowe w pociągach dużych prędkości z Moskwy do Petersburga i Niżnego Nowogrodu. Mają tam dział muzyczny, gdzie przedstawiają młodych artystów, albumy, i tam opublikowali recenzję mojego albumu *Sumerecznaja zona*. Zwrócił się do mnie ktoś stamtąd i zapytał o zgodę. Potem koledzy mi pisali – słuchaj, jadę pociągiem, a tu piszą o tobie. To było we wrześniu zeszłego roku. Sama zresztą nie mam tego numeru. Widziałam tylko na zdjęciach.

Co miałaś w swoim zbiorze płyt?

Moja kolekcja kaset, płyt winylowych i CD nie jest duża, doбираłam ją bardzo starannie, zbierałam tylko moje ulubione zespoły, sporą część dostałam od swoich przyjaciół muzyków, na przykład od zespołu Ijulskije Dni. Kasety to przede wszystkim rosyjska nowa fala, jakiej słuchałam w latach 2012-17, różny punk, post punk, electroclash. Mam na przykład bardzo rzadką kasetę, gdzieś z 2014 czy 15 roku, duetu Ubijcy [Zabójcy] z Tomska, zgarnęłam ją pięć minut po tym, jak pojawiła się w sprzedaży. Okładkę robili sami. Oprócz tego mam dwie również bardzo rzadkie

kasety petersburskiego zespołu punk *Poslednije Tanki* w Parize.

Znanego z przeboju *Glaza mientow*.

Ta piosenka była właśnie na kasecie *Gieksagien*, którą dał mi lider zespołu Liocha Nikonow, kiedy się przyjaźniliśmy, a on sam z kolei dostał ją od fana, bo się skończyły. To rok 2002 albo 2003, dzisiaj niewiarygodnie rzadki egzemplarz. Sama też w tej chwili nie mam kaset Stereopoliny, wszystko się rozeszło. Może mi ktoś za 20 lat podaruje? Druga, równie rzadka kasetka Tanków to ich słynny split z zespołem *Naprasnaja Junost'* [Daremna Młodość], też grającym postsowiecki punk. Udało mi się ją kupić jeszcze jak mieszkałam w Kazaniu, też z drugiej ręki. Na płytach winylowych zbierałam ulubione zespoły new wave, Happy Mondays, Gang of Four, Scars i tak dalej. Mam jeszcze sporo postsowieckiego i sowieckiego punka, post punka – Petlia Niestierowa, Automaticzeskije Udowlietworiteli, Banda Czetyrioch, Francuzskoje Soprotiulienije, Zwuki Mu. Z sowieckiego new wave oczywiście Biokonstruktor, Kofe, Telewizor, Matroskaja Tiszina, Centr. Większość kolekcji już sprzedawałam, bo chwilowo mnie nie stać na takie hobby. Zostawiłam tylko kasety i CD swoich przyjaciół, ich nie oddam nikomu. Sama wydałam kasetę *Sumerecznaja zona* i rozeszła się bardzo szybko. Nowy album chcę też wypuścić na kasetach, tym razem u Artioma, który ma swoją wytwórnię Sierpień.

Niszowa propozycja dla miłośników, przecież nikt już nie ma magnetofonu.

Oczywiście. To coś specjalnie dla bardzo zainteresowanych. Sama wyprzedaję swoją kolekcję, bo i za mieszkanie trzeba płacić, i mam inne wydatki, dlatego łatwiej się tego pozbyć. Chciałabym zarabiać więcej, ale nie jest źle. Wystarczy, żeby żyć i coś odłożyć. Mam dwie prace, w drugiej też słucham popu. Sama lubię całkiem inną muzykę. W pracy muszę najczęściej słuchać popu, ale już układając playlisty dla różnych miejsc, wybieram z różnych gatunków muzyki, niektóre są całkiem fajne, bywa post punk, new wave, synth pop. Potem patrzę, kto te playlisty kupuje, rozmaite undergroundowe bary, wiele miejsc w Petersburgu. Ludzie się tak dobrze nie orientują, łatwiej im wziąć playlistę od nas. Taka praca, siedzisz, słuchasz muzyki, analizujesz. Kiedy się tu przeprowadziłam, chciałam pracować w sklepie z płytami analogowymi, jest tu taki znany sklep na ulicy Marata, też tam nieraz kupowałam, ale nie było wolnych miejsc.

Wolałabyś sprzedawać płyty niż układać playlisty?

Chciałabym sprzedawać te winyle, pewnie nawet bym tam lepiej zarabiała. Oprócz zasadniczej pensji pracownik dostaje jesz-

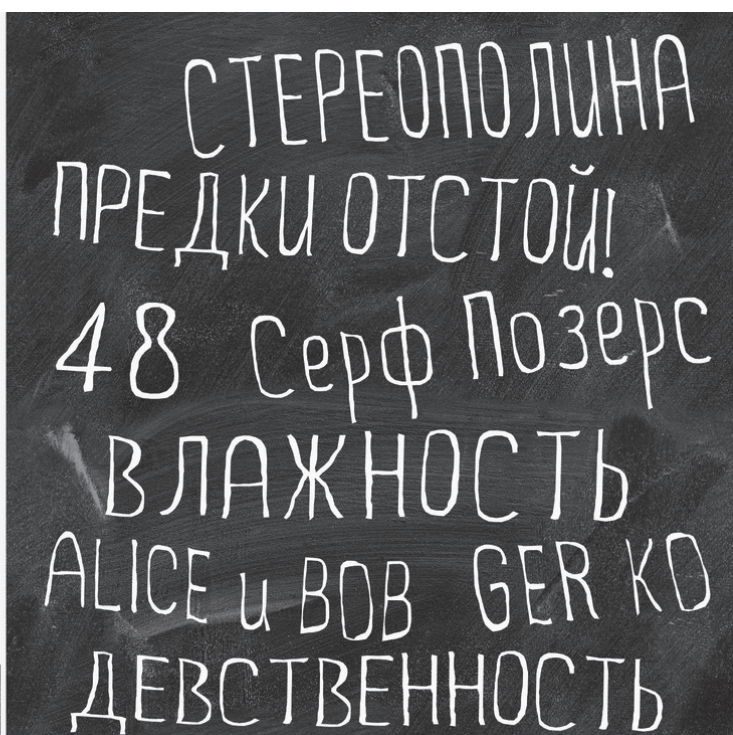
первое разочарование я запомнила навеки До сих пор

спился у друга в квартире Холодные зимы не

i furia w Berlinie Zachodnim, bardzo lubię grupy Malaria! i Shark Vegas właśnie stamtąd. Staram się odnajdywać ciekawe francuskie grupy z tych lat, bardzo często są źle nagrane i trudno się z początku zorientować, ale jest w tym jakaś magia, to są bardzo piękne melodie. Słucham ich i nie rozumiem, dlaczego nikt o nich nie pamięta. Lucie Cries, Baroque Bordello, Excès Nocturne...

A z rosyjskich?

Zwiagincew, Bykow, Bałabanow... Kantemir Bałagow, niedługo wyjdzie jego nowy film. Jeśli chodzi o Bałabanowa, wszyscy pamiętają *Brata* i *Ładunek 200*, a miał wiele innych dobrych filmów. Mało kto wie, że w połowie lat 90. zekranizował *Zamek* Kafki, ze swoim zakończeniem. Świetna rzecz. Chyba najbardziej



Sasza z Naucznowo Sotrudnika polecił mi Kofe i ich przeboje *Stawiam na zero* czy *Balans*.

Trudno uwierzyć, że mieliśmy coś takiego, prawda? Miałam ich na bardzo rzadkiej płycie, ale sprzedałam, jeszcze przed przeprowadzką, jakiemuś chłopakowi z Pitra, za duże pieniądze. Zbierałam płyty, ale teraz wyprzedaję swój zbiór. Jak mieszkalam w Kazaniu, nie musiałam płacić za mieszkanie i miałam sporo pieniędzy. Wszystko szło na płyty, kasety i książki o sztuce. Te płyty, kasety, książki zostały w Kazaniu. Bardzo lubię kino, mam tam sporo książek o swoich ulubionych reżyserach, analizy filmów, a płyty sprzedawałam.

To jakich lubisz reżyserów?

Krzysztofa Kieślowskiego, Romana Polańskiego, Aki Kaurismäki, francuską nową falę, włoski neorealizm. Lubię jeszcze Jerzego Skolimowskiego. Polańskiego obejrzałam wszystko.

spodobał mi się jego film *Dziwadła i ludzie*. Kiedy nagrywałam covery na pianinie, jako ilustrację wstawiałam fragmenty filmów, bardzo często właśnie tego reżysera. Na przykład do moich wersji piosenek zespołu Ploho. Fragmenty filmów jeszcze dzisiaj towarzyszą piosenkom Stereopoliny.

Co teraz będziesz robić?

Niedługo uruchamiam nowy projekt, będę nagrywać muzykę komercyjną. To będzie muzyka pop, dla zupełnie innej publiczności, nie ja będę śpiewać. Sama wszystko piszę, aranżuję, a do śpiewania zaprosiłam przyjaciółkę. Wszystko przygotowuję ja, ona tylko przychodzi i nagrywa śpiew. Zaczniemy od romantycznej i marzycielskiej piosenki Stereopoliny *August [Sierpień]*, ale zupełnie przerobionej, sformatowanej pod radio. Spróbujemy coś zarobić na muzyce popularnej. I piszę ten nowy album Stereopoliny. Ostatnio kupiłam retro syntezator Korg, ale jeszcze nie zdążyłam na nim zagrać, model Poly-800, takim sam, jaki poja-

случайно Это было моё первое разочарование Это

сквозь сёла и реки Я молод и слеп Не вырос и

kładnie, co on tam mówi. Chciałam mieć w piosence wyraźne odniesienie do serialu. Niedawno nakręcono ciąg dalszy, ale nie zamierzam oglądać.

Mamy tam zderzenie dwóch światów, świata korporacji i świata elektryczki z Karelii.

To mój strumień świadomości o ludziach biznesu. W Kazaniu parę lat przepracowałam w teatrze jako główny reżyser dźwięku. Jak przyjechałam tutaj, znalazłam pracę w sferze biznesowej, ale wciąż związanej z muzyką. W windzie spotykałam bardzo poważnych mężczyzn w garniturach. Byłam przyzwyczajona do aktorów, więc było to coś nowego. Stąd się wzięły te obrazy, a jeśli chodzi o pociąg podmiejski z Karelii do Petersburga, to mój chłopak stamtąd pochodzi, jego rodzice tam mieszkają i często jeździliśmy elektryczką do Lachdenpochii, spotykając mnóstwo dziwnych postaci. Dziwne dzieci, dziwni dorośli, nigdy takich ludzi nie widziałam. W tej piosence opisałam, czym tutaj żyję. Teraz, jak już mówiliśmy, trochę się uspokoiłam, więc i teksty piszę spokojniejsze. Chociaż jeszcze nie minęły dwa lata, odkąd przyjechałam. Już się przyzwyczaiłam i nic mnie nie szokuje.

Znam takich, co pięć lat temu przyjechali i wciąż są podekscytowani.

To już nie wiem, skąd oni musieli przyjechać. Ja jednak przyjechałam z miasta-milionnika. Kazań się bardzo rozwinął.

Jak tam wygląda młode środowisko muzyczne?

Tego akurat w Kazaniu nie ma. Do tego stopnia, że nawet nie mogę zagrać koncertu w swoim mieście, bo nikt mi nie zorganizuje i nikt nie przyjdzie. Jest modne indie, funk, house, ale synth popu, ciemnej fali nie ma.

To gdzie jeszcze występowałaś oprócz Moskwy i Petersburga?

Nigdzie. Może się uda w lipcu zagrać w Jarosławiu. W ogóle dałam na razie tylko około dziesięciu koncertów.

Kogo znasz osobiście z nowych zespołów, z kim się kolegujesz?

Znam się z Nikitą z moskiewskiej grupy Włażność [Wilgoć], grają punk, nagraliśmy razem piosenkę. Znam się z kolegami z zespołów Sierpień, Mołczat Doma, Firma Odnodniewka, jest wzajemny szacunek. Znam się z zespołem Rozowyyj Rap. Przez ostatni rok poznałam mnóstwo ludzi. Teraz wystrzeliła kariera Mołczat Doma, ale sama znałam ich już, jak chodziłam do szkoły. Nagrałam wtedy na fortepianie przeróbkę ich piosenki *Liudi nadojeli*, jeszcze z ich pierwszej płyty *Z dachów naszych domów*, i tak się poznaliśmy. Roma Komogorcew zobaczył, dodał mnie do

przyjaciół i od tego czasu jesteśmy w kontakcie. Potem zaczęłam pisać muzykę i nawet występowaliśmy razem. Moi dobrzy koledzy, teraz w czwartek znowu przyjadą.

Tak, też idę.

Koncert bezpłatny, trzeba się tylko zapisać w internecie. Będzie jeszcze Siem Noziej [Siedem Noży], bardzo ich lubię, i Superbesse, też dobry zespół.

Z Nikitą z Włażności nagrałaś *Je suis riche*?

Nikita napisał zwrotki, a ja to, co sama śpiewam. Piosenka mówi o tym, że zasoby są bardzo niesprawiedliwie rozdzielone. Przeciętna pensja w Rosji to 15 tysięcy rubli [900 złotych]. To, co się mówi o zarobkach w Moskwie rzędu 80-100 tysięcy rubli [4,8 - 6 tys. złotych] to bzdura, nikt tyle nie dostaje. W Kazaniu zarabia się tyle, co tutaj, a ceny w Petersburgu, czy to jedzenia, czy mieszkań, są dwa razy wyższe. Zagładasz na portal z ofertami pracy i masz tam propozycje za 15, 20, do 25 tysięcy. 25 tysięcy rubli to maksimum. Podczas gdy samo mieszkanie kosztuje co najmniej 15.

Polskich czytelników pewnie zainteresuje, jak odbierasz biały noc. Nie przeszkadzają?

Trochę się obawiałam, przyjeżdżając tutaj, że mój organizm nie będzie się umiał do tego przystosować i nie będę mogła spać. Ale nie jest tak źle. Zasuwam ciężkie zasłony i mam w pokoju noc. Dwa tygodnie temu zagraliśmy koncert, skończył się o dziesiątej i gdy wyszliśmy z klubu, było jasno jak w dzień. Chcieliśmy się jeszcze pokolegować, a tu zupełnie jasno. Dziwna atmosfera, a do tego pić w dzień nie bardzo wypada.

Czego lubisz słuchać?

Gdy miałam 16 lat, muzyka była dla mnie najważniejsza i tak jest do dzisiaj. Lubię wszystkie zespoły z Factory Records, może wymieniałabym The Names z tych mniej znanych. W latach 80. wydali tylko jeden album, a drugi parę lat temu. Lubię Happy Mondays, The Sounds, oczywiście The Cure. Wiele osób mi wmawia wpływy wczesnej Agaty Christie, mojej ulubionej rosyjskiej grupy. Zauważają to przede wszystkim mężczyźni po czterdziestce, mam sporo fanów w tej grupie wiekowej. Wczesną Agatę oczywiście bardzo lubię i w mojej muzyce to słyszeć. Bardzo lubię wszystkie radzieckie zespoły new wave z lat 80., Biokonstruktor, Nocznej Prospekt, Centr. Możesz obejrzeć film dokumentalny sprzed paru lat o tych zespołach, *Bohaterowie sowieckiego new wave*. Bardzo polubiłam niemiecką nową falę lat 80., jakiś czas temu wyszedł o tym film, u nas nazywa się *B-Movie*. *Hałas*

найденны черепа и скелеты а лишь ракушки завезённые

Правды а правды то нет Пешком до могилы



naszkicowałam muzykę i tego samego wieczora nagrałam głos. W piosence opowiedziałam wszystko, co się stało z Motuzną.

Wśród urażonych wymieniasz również wegan i zwolenników surowej żywności.

To już samo poszło, wciągnęłam się, chciałam wyliczyć w ogóle wszystkich po kolei. Wysłałam piosenkę Motuznej, inni też jej mówili, ale często ludzie nie wierzą, że to akurat o niej. Ona sama spędziła trochę czasu na Litwie, trochę na Ukrainie i u niej wszystko w porządku. Później bywały jeszcze podobne przypadki, ale zagraniczni fani i tak mi nie wierzą, jak im opowiadam, o czym to jest.

Piosenka zwraca uwagę wyrazistym refrenem, gdzie śpiewasz mniej więcej „chciałam urodzić ci dziecko, ale policja znalazła moje sachranionki”. Jak wpadłaś na to, że twojej postaci odechciało się dziecka?

To już metafora. Żyje sobie na przykład dziewczyna z mężem. Planują dziecko, aż tu nagle ktoś znajduje sachranionki i ona idzie siedzieć. Jej wtedy chwilowo nie do dziecka, a potem jej się całkiem odechciewa w takich warunkach. Byłam zła, byłam w emocjach i od razu wtedy przysłała mi do głowy ta fraza z refrenu. Bardzo mnie zdenerwowała ta wiadomość.

Trudny, nieprzyjemny temat powiązany jest tam z bardzo lekką, przebojową, taneczną melodią. Będzie więcej takich melodii teraz?

Tak, mój nowy album będzie bliższy takiego retro popu, sowieckiego disco w stylu zespołów Kombinacja czy Anons. Wszystko okaże się jesienią, może pod koniec roku. Parę dni temu zamieściłam na Kontaktacie nową piosenkę *Nieme kino*, ona zapowiada album.

Z zagadkowym tekstem „pokaż, co potrafisz bez słów i bez wierszy, pokaż, co potrafisz z zamkniętymi ustami”.

To metafora człowieka, który boi się mówić, jest jak niemy.

I skąd się wzięła taka postać? Ze mnie.

Przecież nie tylko mówisz, ale jeszcze piszesz teksty, muzykę i występujesz na koncertach?

To wszystko jest dla mnie bardzo trudne, muszę sama siebie przekroczyć. Łatwiej zresztą napisać piosenkę niż powiedzieć komuś bliskiemu o tym, co nie daje ci spokoju. Zdecydowanie łatwiej napisać piosenkę. Jestem introwertyczką, a jeszcze widzę to samo wśród przyjaciół, oni też boją się mówić o tym, co ich gnębi, o swoich uczuciach, obawach. Trzymają wszystko w sobie. Tak jak ja. Muzyka pomaga o tym porozmawiać.

Zapomniałem z początku zapytać, jaka była twoja pierwsza nagrana piosenka.

Jesień – cover grupy Shake! z początku lat 90. Też nikt ich nie zna. Potem zobaczyłam, że wokalistka tej grupy załajkowała moją wersję. Było mi bardzo miło. Irina Epifanowa zdążyła śpiewać w zespole Bravo w latach 80., a teraz gra w moskiewskim teatrze. Jest już mocno po czterdziestce, ale to znakomita wokalistka. Ich wersja była postpankowa, gitary i bas, ja zrobiłam aranżację elektroniczną. A z moich piosenek jako pierwszą nagrałam *Urodzony w Rosji*.

Skąd wziął się głos po angielsku w tytułowej piosence albumu *Sumerecznaja zona*?

Piosenka nawiązuje do amerykańskiego fantastyczno-naukowego serialu z początku lat 60. pod właśnie takim tytułem. To mój ulubiony serial, a głos należy do reżysera. Nie wiem do-

поле было выкопано мною, но золота не найдено Не

В России в живописном районе На улице

automatycznie. Od razu cały tekst, od początku do końca. Nie zdarza się, żebym rozmyślała, dopisywała przez dwa dni. Od razu jest całość. W takich chwilach jakby wyłączał mi się mózg, włącza się podświadomość i od razu piszę. Czasem zdarza mi się to w metrze, otwieram notatnik w telefonie i piszę. Do gotowej muzyki. W ogóle uważam, że pisać nie umiem. Gdyby to ode mnie zależało, nie pisałabym tekstów i bym nie śpiewała. Lubię tylko pisać muzykę.

Dostajesz jakieś komentarze z zagranicy?

Czasem piszą do mnie na Soundcloudzie, byłam bardzo zdziwiona. Nawet kilka kaset wysłałam za granicę, do Grecji i jeszcze gdzieś. Wszyscy piszą mniej więcej to samo – nie wiem, o czym śpiewasz, ale piosenki są znakomite.

Po co zrobiłaś paszport?

Myślałam, że w sierpniu wezmę urlop i gdzieś pojadę. Ale na razie widzę, że chyba będę musiała się przeprowadzić do Wybörgu. Mojemu chłopakowi tam zaproponowali pracę. To zabawne, bo bardzo lubię Wybörg. Chociaż byłam tam tylko dwa razy. Było tak jak z Petersburgiem: przyjechałam do Wybörgu i się zakochałam. Miasto wydało mi się piękniejsze od Pitra, wszystko takie średniowieczne. Zamki, twierdze, kostka brukowa. Chciałam tam zamieszkać. Cały czas o tym myślałam i proszę bardzo, coś takiego nam z nieba spadło na głowę. Na razie nie wiem, jak to będzie, ale najprawdopodobniej się przeprowadzimy.

Wyjechać z Rosji nie chcesz?

Nie znam języków, może to usprawiedliwienie. Dlatego pewnie nigdy nie wyjadę na dłużej. Nie mam talentu do języków.

A tatarski?

Mówię słabo, ale dobrze rozumiem. W szkole przez jedenaście lat nas intensywnie uczyli tatarskiego. Była też literatura tatarska. Do dziś mi to wraca w sennych koszmarach. To trudny język. Popularny na wsiach Tatarstanu, a ja przecież mieszkałam w Kazaniu, mówiłam po rosyjsku, dla mnie to była abrakadabra. Wkuwałam na pamięć wiersze w niezrozumiałym języku. Chociaż teoretycznie tatarski to mój język ojczysty. Wszyscy mi mówią, żebym nagrała coś po tatarsku, ale przecież na naszej alternatywnej scenie już jest duet Aigiel, gra tam Ilia Baramija ze znanego zespołu elektronicznego Samoje Bolszoe Prostoje Cziśło. On pisze muzykę, a Aigiel recytuje po tatarsku. Czasem po rosyjsku. Bałabym się porównań, dlatego nie próbuję. Jak przyjechałam do Petersburga, czasem słyszałam, że z takim nazwiskiem będzie mi trudno, ale jak na razie nie spotkałam się

z żadnymi utrudnieniami. Tutaj mieszka bardzo dużo Tatarów, w pracy też mam jednego kolegę.

Co znaczy, to też z twojej piosenki, „urodziłeś się w Rosji, bądź łaskaw cierpieć”?

Nie wiem, jak jest gdzie indziej, przecież nigdy nie byłam za granicą. Ale widzę, co się u nas dzieje na ulicach, na mityngach, to straszne.

I co, osobiście też cierpisz?

Osobiście mnie to nie dotknęło.

A co może oznaczać „nikt nie zauważył twojej supersiły”?

To już nie rosyjski problem, tylko ogólny. Kiedy człowiek ma ogromny potencjał i ten potencjał przechodzi niezauważony. Sama śledzę muzykę na bieżąco, jest bardzo dużo świetnych młodych artystów, nikt ich nie zauważa i najprawdopodobniej nikt nie zauważy. Dlatego chciałabym zostać producentem, jak dorosnę. Ale może już dorosłam?

W Komunalce ludzie po trzydziestce wciąż jeszcze myślą, kim zostaną.

Widzę to u wielu swoich znajomych w okolicach trzydziestki, cały czas im się wydaje, że wciąż mają 18 lat i jakby właśnie szli na studia, i że mają całe życie przed sobą. Wciąż nie wiedzą, czym chcieliby się zająć, cały czas pracują tam, gdzie nie chcieliby pracować, widzę coś takiego wszędzie dookoła. Ze mną, chwała Bogu, jest trochę inaczej. Poszłam na studia, które sama sobie wybrałam, rodzice nic mi nie narzucali. Pracuję zgodnie z wykształceniem i bardzo mnie to cieszy.

Zagraniczni fani często nie wiedzą, o czym jest piosenka Sachranionki. Poczynając od samego tytułu.

Jak im wyjaśniam, to są w szoku.

Tak więc tytuł oznacza osobiste pliki przechowywane w komputerze, od słowa „sachraniać” – „zapisywać”, a resztę może sama wyjaśnij. To chyba nie na faktach?

Oczywiście, że na faktach.

Ktoś ci zabrał kartę płatniczą?

Mnie nie. To było tak, że siedziałam w pracy, patrzyłam na pasek informacyjny i zobaczyłam newsa o Marii Motuznej z Barnaulu, że znaleziono u niej w sachranionkach rysunki jakoby obrażające uczucia religijne i inne. Zrobiło to na mnie ogromne wrażenie i napisałam tekst w minutę. Przyszłam do domu,

Я мечтала стать археологом В детстве футбольное

и убегать убегать убегать убегать Родился



Co obecnie najbardziej utrudnia ci życie?

Pewnie brak większych pieniędzy. Gdyby były pieniądze, moje piosenki brzmiałyby znacznie lepiej.

Jest moda na lo-fi.

Wolałabym, żeby lo-fi było wyborem, a nie koniecznością. W tej chwili staram się zgrywać swoje piosenki sama, ale na razie słabo mi wychodzi. Ostatnio jeden chłopak z zespołu Firma Odnodniewka zaproponował mi pomoc przy nowym albumie. Ten zespół mógłby ci się spodobać, ja ich bardzo lubię, właśnie za brzmienie. Mam nadzieję, że do jesieni skończę pisać album i oddam mu do zgrania.

Bardzo spodobała mi się piosenka *Urodzony w Rosji*, tym razem jest o chłopaku, kim jest ten młody człowiek?

Właśnie próbowałam napisać nie o sobie. To zbiorczy obraz życia w naszym kraju, dlatego zresztą piosenka mówi także

o mnie. Nie wiem, jak to wygląda gdzie indziej, ale tutaj chcielibyśmy czegoś lepszego. Sama jeszcze nie byłam za granicą, dopiero teraz zrobiłam sobie paszport, ale wygląda na to, że i w tym roku nigdzie nie wyjadę.

Osobiście coś ci przeszkadza?

Chociażby służba zdrowia. Bezpłatnie nie przyjmą mnie nigdzie, chociaż teoretycznie mam do tego prawo. Albo na przykład podniesiono wiek emerytalny. Już po tym, jak napisałam tę piosenkę.

Przecież masz 24 lata.

Nie zawsze będę taka młoda. A tu tak po prostu wzięli i podwyższyli o pięć lat.

A co znaczy, że „mroźne zimy nie nadeszły”?

Rytm mi podpowiedział. Jak piszę, nie myślę za dużo, piszę

ХОЧЕТСЯ БЫТЬ КОСМОНАВТОМ ИЛИ ЛЁТЧИКОМ ИСПЫТАТЕЛЕМ

красиво улыбаешься мило И некуда деться

a ludzie tak żyją po 20 i po 40 lat. Jest to problem w Rosji, od lat obiecują ich rozkwatować i nic się nie dzieje. Ja wiedziałam, że to tylko tymczasowo i wynajmowałam tam pokój z własnej woli. Moja piosenka to strumień świadomości, trudno o tym opowiedzieć. Tam cały czas ktoś przychodzi, to do nas, to do sąsiadów. Przez korytarz płynie nieustanny potok ludzi, ani przez chwilę nie można być samemu. Zaglądasz do kuchni coś sobie podgrzać, a kuchenka zajęta, już ktoś tam stoi. I co teraz, głodować i czekać, aż wszyscy pójdą, czy jednak wejść? Mój tekst oddaje taki stan. Natomiast trzeba przyznać, że miałam bardzo duży pokój, całe 27 metrów. Przyjechałam do Petersburga, bo poznałam chłopaka, ale bez niego też bym tutaj przyjechała. Planowałam skończyć uniwersytet i się przeprowadzić, po prostu trochę wcześniej spotkałam jego. Dlatego dyplom pisałam już tutaj, a do Kazania pojechałam tylko na obronę. Pierwszy raz przyjechałam do Petersburga, jak miałam 18 lat i od razu zakochałam się w tym mieście. Petersburg nie wychodził mi z głowy. Do tego w Kazaniu trudniej o pracę, szczególnie dla twórczej specjalizacji. W tej chwili moje uczucia do miasta oczywiście już osłabły, odnoszę się do niego spokojnie, wręcz nie bardzo chce mi się już tutaj mieszkać. Zachwył już mi dawno minął. Mieszkać tutaj to zupełnie co innego niż przyjechać na parę dni, żeby spotkać się ze znajomymi. Kiedy tu mieszkasz, jest to zwykłe miasto.

W piosence mamy jeszcze intrygującą wzmiankę o marzeniach związanych z archeologią.

To bezpośrednio o mnie. W dzieciństwie bardzo chciałam zostać archeologiem, często kopałam w ziemi na podwórku. Niestety, oprócz muszelek nic nie znalazłam. Dla dziecka to było ciężkie przeżycie, było mi bardzo smutno. Przecież chciałam odkopać dinozaur. To było wielkie rozczarowanie. Mimo to nawet teraz chciałabym być archeologiem.

Nie udało się wykopać dinozaura, ale udało się napisać i nagrać piosenki.

Mam nadzieję, że tak. Na początku mojej drogi twórczej wszystkie teksty były o mnie. Nie umiałam wymyślić bohatera lirycznego, nie umiałam nic wymyślić. Pisałam o sobie, teraz już czasem umiem od tego odejść. Dlatego *Sumerecznaja zona* jest bardzo osobistym albumem. Tytułowej piosenki też nie śpiewam na koncertach. Jest zbyt osobista, o moich przyjaciółkach, którzy młodo umarli.

I „moje koleżanki ze szkoły okropnie się postarzały”.

Co ja poradzę, naprawdę się postarzały.

To co powiesz, jak będziesz mieć dziesięć lat więcej?

Nie wiem. Swoich koleżanek z klasy już nie poznaję na ulicy. Zostały mi dwie przyjaciółki, a reszty mogę nie rozpoznać. Sama też, jak patrzę w lustro, chciałabym zobaczyć młodą dziewczynę, ale mam już 24 lata. Naprawdę, parę lat temu wydawało mi się, że 24 lata to poważny wiek. Myślałam, że to jakieś starsze panie.

A jak wywiad będzie czytać ktoś po czterdziestce?

Wolę o tym nie myśleć. W tej chwili w ogóle nie odczuwam swojego wieku, wydaje mi się, że wciąż mam 18 lat. Ale jednocześnie widzę, że już następne pokolenie ruwie się na scenę, jakieś nowe zespoły... Wchodzisz na ich profil w Kontaktcie, a tam rok urodzenia 2001. Myślisz sobie, rany boskie, gdzie się tak spieszyacie, młodzi ludzie.

Ile osób było na ostatnim twoim koncercie?

Bardzo mało, bo organizatorzy nie zrobili żadnej reklamy. Ale ogólnie chodzi sporo ludzi, tutaj w Inotece, w Moskwie też. Dużo to znaczy od pięćdziesięciu do stu. Dla mojej muzyki to norma. Ludzie rzadziej chodzą na koncerty, o wiele wygodniej posłuchają muzyki w domu. Sama też mniej chodzę. Do osiemnastych urodzin chodziłam bez przerwy, jeszcze w Kazaniu.

To na co wtedy chodziłaś?

Jak miałam 13 lat, byłam na Public Image Limited. Teraz już mi się nie chce iść na koncert, chyba że sama gram. Codziennie mocno zniechęca, zawsze jest tyle do zrobienia. Lepiej zostać w domu. W Kazaniu co roku odbywał się ciekawy festiwal Sotworenije Mira, gdzie przyjeżdżali muzycy wszystkich gatunków z całego świata, było i etno, i folk, i punk, i wszystko inne. Widziałam tam Patti Smith i Manu Chao. Z rosyjskich zespołów chodziłam wtedy na trochę inne koncerty, na zespół Multifilm, to taki rosyjski brit pop. Zresztą chodziłam na wszystko, Nautilus Pompilus, DDT, mój ojciec się tym interesował. Chodziłam z nim na cały rosyjski rock, jeździł też ze mną do Samary na Limp Bizkit i Garbage. Na Garbage byłam dwa razy, bo w Kazaniu też grali. W domu u nas było zawsze dużo płyt, ojciec miał spory zbiór. To od niego dowiedziałam się o Cocteau Twins. Na koncerty najpierw chodziłam z nim, a później już sama. Pierwszy koncert, na który poszłam sama, to był Animal Jazz w 2009 roku, taki zespół z Petersburga, byli wtedy popularni.

A jakieś polskie zespoły znasz?

Najbardziej lubię Made In Poland. Wydali jakiś czas temu album, ale oczywiście wolę ich z lat 80.

когда вырастите Хотя вам уже немного за 30 А так

в России будь добр страдать За окном так



Tak, oni są stąd, z Petersburga, wydają w wytwórni Aleksandra Ionowa. Aleksander jest właścicielem undergroundowego klubu Ionoteka, gdzie często występuję. I otworzył też bar, gdzie przed chwilą próbowaliśmy wejść, ale było zamknięte. Ma swoją wytwórnię Ionoff, gdzie wydaje sporo młodych zespołów elektronicznych i dużo dark wave. Mnie też zapraszał, ale, krótko mówiąc, odmówiłam.

I okazało się, że świetny zespół *Moj Drug Magnitofon* ma 200 fanów, również bardzo dobry *Koniec Elektroniki z Riazania* ma 800, *Naucznyj Sotrudnik z Rostowa* 1400, a największe obecnie gwiazdy, czyli *Mołczat Doma z Mińska* mają na Kontaktcie 4200 fanów. Jak to się stało, że ty masz 5200?

To są moi fani jeszcze z czasów, kiedy nagrywałam covery na pianinie. Jak zmieniłam nazwę grupy na *Stereopolina*, od razu miałam sporo fanów. A potem zapisywali się nowi, już na *Stereopolinę*. Takich przez rok miałam półtora tysiąca.

Twoich wersji *Joy Division* wciąż można posłuchać?

Wszystkie nagrania się zachowały, są u mnie na profilu *Stereopoliny*, playlista *Osobyj Riezon [Specjalny Powód]*. Niestety tylko w wersji audio. Wcześniej wrzucałam video na Youtube, serwis nie był wtedy jeszcze tak rozbudowany jak dziś, ale i tak miałam dużo obejrzeń. Miałam wtedy 16 lat. Potem nagle wszystko usunęłam, a teraz żałuję. Youtube był wtedy całkiem inny, pewnie wydawało mi się, że lepiej będzie na Kontaktcie. Nikt nie wiedział, że Youtube się tak uspaniale rozwinie.

Wróćmy jeszcze na chwilę do *Komunalki*, jak wyglądała tam przestrzeń osobista?

Takiej przestrzeni tam nie ma. Nagrywałam swój album w pokoju i sąsiedzi wszystko słyszeli. Wcześniej chodziłam po korytarzu, nasłuchiwałam i wiem, że słychać było po prostu wszystko. Wszystko się działo przy sąsiadach. O żadnej przestrzeni osobistej nie mogło być mowy. Mnie się udało wyprowadzić,

провожают тебя и друзей Неизвестно кем вы станете

Но порвано платье и песенка спета Родился

PAWEŁ GOŁOBURDA: Jak spędziłaś wczorajszy Dzień Rosji?

KARINA ABDULKAJUMOWA: Leżałam u siebie w domu. Ja takich świąt nie obchodzę.

No trudno. Trochę mnie zdziwiło, że masz na imię Karina.

Mój muzyczny pseudonim pojawił się zupełnie przypadkowo. „Polina” brzmi nieco łagodniej, bo mamy „l” zamiast „r”. Braliśmy jeszcze pod uwagę Sintibejbi [*SynthBaby*], ale mój chłopak wymyślił Stereopoline.

Wcześniej coś nagrywałaś?

To mój pierwszy oryginalny pomysł. Zaczynałam od coverów na pianinie, jak miałam piętnaście lat. Nagrywałam instrumentalne wersje piosenek Joy Division i wielu innych zespołów, również z rosyjskiej sceny. Wrzucałam to wszystko do internetu i po jakimś czasie miałam już swoją niewielką publiczność. Cztery lata później zaczęłam pisać swoją muzykę. Nigdy wcześniej też nie śpiewałam.

Jak to się stało?

Przeprowadziłam się do Petersburga, zamieszkałam tutaj i po miesiącu zaczęłam pisać i nagrywać swoje piosenki. Przyjechałam do swojego chłopaka, on wtedy grał na perkusji w zespole Crwienich Cwietowa. Równolegle kończyłam wtedy reżyserię dźwięku w Kazaniu. W toku studiów uczyli nas obsługi różnych programów do nagrywania, ale pisać muzykę nikt nas nie uczył. Jak pisać aranżacje, też nas nikt nie uczył. A mój chłopak pokazał mi odpowiednie programy. Wtedy jeszcze nie miałam pracy, a on wychodził rano i zostawiał mnie samą z programem Fruity Loops. Tak to się zaczęło. Zaczęłam pisać muzykę, nagrywać głos, miałam taki tani mikrofon. Wcześniej nigdy nie myślałam, że będę śpiewać, bo nie umiałam i teraz też nie umiem. Śpiewam, bo tak wyszło. Nie chcę oddawać swoich piosenek innym wykonawcom.

Jako reżyser dźwięku robisz wszystko sama?

Tak, wszystko robię sama w domu. Jeśli potrzebna jest elektronika albo bas, wszystko to też mogę nagrać w domu.

W takich warunkach powstały przeboje *Komunałka*, *Urodzony w Rosji* i *Sachranionki*. Ten ostatni tytuł jeszcze wyjąśnimy.

Na początku w Petersburgu zamieszkałam właśnie w komunale, dla mnie była to zupełna nowość i zdaje się, że mocno to na mnie wpłynęło. Wcześniej całe życie mieszkałam w Kazaniu z rodzicami, w bardzo dobrych warunkach, w wysokim standardzie, a tu nagle trafiłam do obszarpanej komunalki. Chciałam

poza tym odejść od synth popu i nagrać taką właśnie elektroniczną. Żeby elektroniczna perkusja przypominała żywą. Na koncertach zawsze mnie pytają, czy będzie *Komunałka*, a ja jeszcze ani razu nie zagrałam tej piosenki, potrzebowałabym perkusisty i gitarzysty. Zwykle zresztą śpiewam repertuar synthpopowy i elektroniczny, ta piosenka tam by nie pasowała. W komunale przeżyłam równo rok, wyprowadziłam się stamtąd w końcu trzy miesiące temu i bardzo mnie to cieszy. Nie miałam żadnych problemów z sąsiadami, to byli sympatyczni młodzi ludzie, problemem jest po prostu sam typ mieszkania, zupełnie nie byłam przyzwyczajona mieszkać z obcymi ludźmi, ze wspólną kuchnią, wspólną łazienką na pięć pokoi. Pięć pokoi to już bardzo dużo ludzi. Teraz mieszkam w lepszych warunkach i nagrywam trochę bardziej pozytywne piosenki. Komunalki to funkcjonujący do dziś spadek po Związku Radzieckim. Napisałam tam cały album *Sumerecznaja zona* [*Strefa mroku*] i debiutancką epkę. Tam też nagrałam *Sachranionki*, i głos, i całą resztę. To było niedaleko stąd, przy stacji metra Instytut Technologiczny. Wystarczy przejść Zagorodnym Prospektem. W końcu sprzedali ją bogatej rodzinie. Pierwszą piosenkę Stereopoliny nagrałam na początku marca 2018. Z następnymi ułożyła się w EP *Piosenki nie twojej młodości* z coverami sowieckich zespołów Telewizor, Obermanken, czyli new wave lat 80., grupy Shake! z początku 90. i takiego tajemniczego projektu Diadia Wasja [*Wujek Wasja*], o którym nikt nic nie wie. Nie wiadomo, kto to nagrał.

Ta ostatnia z twoim tekstem, tak?

Cover piosenki *Noc* nagrałam z oryginalnym tekstem Diadi Wasji. Swój tekst napisałam później do instrumentalnej kompozycji Diadi Wasji *Pierrot*. Poprawiłam, wyczyściłam ich nagranie, wymyśliłam słowa i linię melodyczną dla słów.

Czyli to oni nagrali muzykę do twojej piosenki, nie nagrywałaś jej od nowa.

Tak. Z początku chciałam zagrać sama, ale oryginalna wersja jest bardzo klimatyczna, słychać tam różne sowieckie syntezatory, nawet nie wiem jakie. O zespole Diadia Wasja nikt nic nie wie. Ktoś przywiózł kasetę z Południa. Na kasecie nie było żadnego opisu. Wszystko przeszukałam, wypytałam starszych kolegów, którzy się takimi rzeczami interesują. Niczego się nie dowiedziałam. Wtedy nikt ich nie znał i teraz też nikt ich nie zna.

Próbowałem porównać popularność różnych zespołów i sprawdziłem sympatyków na Kontaktie, a przy okazji trafiłem na nową grupę *Moj Drug Magnitofon*, która bardzo mi się spodobała, znasz ich?

Длинные коридоры коммунальных квартир Встречают



Rosyjski wywiad.

Jak nie zostałam archeologiem

Wschodząca gwiazda rosyjskiej sceny synth pop Karina Abdulkajumowa z Petersburga opowiada Pawłowi Gotoburdzie o swoim solowym projekcie *Stereopolina*

okrucieństwie, przewrotności człowieka traktuję jako nowy materiał do mojego teatru. Nie wiem, czy ta moja dziecięca ufność, radość nie zostaną zdruzgotane przez te doświadczenia. Jest Pani młoda, to będzie pani obserwowała, jakie będą tego reperkusje w mojej twórczości. Cieszę się nowym spektaklem *Pieśni miłości i nienawiści* Leonarda Cohena. W scenariuszu spektaklu jest takie zdanie: „Jakże smutni i piękni byliśmy my, ludzie, z naszym cierpieniem... i z naszymi torturami...”.

A.S.: Ponoć przeciwności służą twórczości. Nie wątpię, że pan profesor obróci je na korzyść swojej sztuki. Na koniec chciałabym zapytać o jeden z ostatnich pana projektów – nagranie audiobooka powieści Jolanty Pietz *Cień zegara słonecznego*. Efekt pana pracy jest fantastyczny. Zastanawiam się, czy dla zawodowego aktora tego rodzaju praca jest równie wymagająca jak każda inna przy przygotowaniu roli?

S.G.: Bardzo wysoko sobie cenię pracę nad wspomnianym audiobookiem. Podobnie jak w przypadku nagrywania wcześniejszego audiobooka *Zwyczajny facet* Małgorzaty Kalicińskiej bardzo starannie przygotowywałem się do pracy nad tą powieścią. To był spory kawałek moich wakacji. Nagrywałem go w zaprzyjaźnionym studio dźwiękowym *Studio153* Bogdana Żywka, z którym współpracuję od bardzo wielu lat.

Główny problem polegał na tym, żeby nie odczytać tej powieści beznamiętnie albo bardziej namiętnie, ale jednym ciągiem. Zależało mi na tym, by wejść w problematykę powieści, zwłaszcza w tę ludzką, emocjonalną problematykę ludzi, których charakterzy zarysowała autorka. Jest to powieść właściwie o kobietach, głównymi bohaterkami są kobiety. Musiałem niejako wejść w ich dusze, zrozumieć, co one czują, co przeżywają. Starałem się nagrywać codziennie po dwie, trzy godziny. Nie była to jakaś gonitwa, a raczej przyjemność pracy, poszukiwania, rozgryzania kolejnych scen. Kilkakrotnie czytałem poszczególne sekwencje, przygotowując się w domu do nagrania, żeby samo nagranie przebiegło jak najsprawniej. I wydaje się, że udało mi się tę powieść nie tylko odczytać, zreferować sytuację, ale też stworzyć pewien ludzki wymiar świata, który odszedł. Udało się nam – autorce, mnie, realizatorom dźwięku – stworzyć niepowtarzalny klimat, klimat ożywiony, który przemawia emocjonalnie do współczesnego słuchacza-czytelnika, pochodzącego zarówno z Trzemeszna [przyp.: akcja powieści rozgrywa się w mieście Trzemeszno] jak i z reszty świata. I to wydaje mi się, że jest jakimś sukcesem, który odnieśliśmy całą audiobookową drużyną. Jestem z tego powodu bardzo szczęśliwy i dumny. Gratuluję autorce, wydawcy, współpracownikom, którzy przyczynili się do powstania tego utworu oraz sponsorom, którzy podjęli ryzyko i zaufali nam.

A.S.: Dziękuję za rozmowę i życzę kolejnych twórczych wyzwań. ●

Prof. Stanisław Górka

Aktor teatralny, filmowy i telewizyjny, pedagog. Absolwent Akademii Teatralnej im. Al. Zelwerowicza w Warszawie. Od ukończenia w 1977 r. studiów występował w zespole Teatru Współczesnego w Warszawie (do 2006 r.), współpracował również z Teatrami: Dramatycznym i Nowym w Warszawie, Bałtyckim Teatrem Dramatycznym w Koszalinie oraz Teatrem Polskim w Bydgoszczy. Wieloletni nauczyciel akademicki w Akademii Teatralnej im. Al. Zelwerowicza w Warszawie, gdzie autorską metodą uczył studentów emisji głosu (impostacji). Widzowie pamiętają Stanisława Górkę przede wszystkim z serialu „Plebania”, w którym grał rolę Zbyszka – kościelnego, ale także z filmów Kazimierza Kutza „Zawrócony”, „Pułkownik Kwiatkowski” i Andrzeja Wajdy „Dyrygent”, „Biesy”. Jest liderem założonego w 1992 r. Towarzystwa Teatralnego *Pod Górkę* – teatru specjalizującego się w kameralnych formach wokarno-aktorskich. Z niemal trzydziestoma premierowymi spektaklami aktorzy Teatru *Pod Górkę* zjeżdżali prawie cały świat, grając ponad dwa tysiące spektakli.

Prof. Stanisław Górka w 2011 r. został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi, w 2013 – Medalem Gloria Artis; w 2015 odebrał z rąk Prezydenta RP akt nadania tytułu profesora sztuk teatralnych.

Narodowego, Dramatycznego, Studio i wielu innych. W tej atmosferze kultu dobrego teatru wzrastałem. Miałem uspaniałych nauczycieli – Tadeusza Łomnickiego, Andrzeja Łapickiego, Zofię Mrozowską, Ludwika René. Ale największy wpływ na ukształtowanie Górki jako aktora, nauczyciela akademickiego, twórcy teatru i człowieka miała Rena Tomaszewska, mało znana aktorka; jeden z najwybitniejszych pedagogów i wielkich autorytetów warszawskiej PWST. A potem 27 lat – że tak powiem – „służby”, bo nie nazwę tego tylko pracą, w Teatrze Współczesnym. To był teatr w tym jak najlepszym znaczeniu – repertuarowy, z fantastycznym zespołem wielkich indywidualności, bardzo zintegrowanym. Bez wątpienia to wszystko miało i ma wpływ na moje myślenie o teatrze. Lubię żarty, nieobce jest mi poczucie humoru na scenie, ale jak biorę na warsztat skecz, to chcę, żeby on miał rangę literacką, taką jak chociażby *Mistyka finansów* – szmonces Juliana Tuwima lub któryś ze skeczy Hemara. Na pewno ta edukacja, którą przeżyłem, ma wpływ na moją determinację, motywację w wyborze repertuaru i rodzaju teatru, który uprawiam. Poza tym wierzę, że tylko z dobrą literaturą, z dobrze skomponowanym od początku do końca spektaklem mam prawo stanąć przed widzami i grać.

AS.: Monodramy profesora były dla mnie wielkim, uspaniałym odkryciem. Wykonuje je pan po mistrzowsku. Miałam okazję obejrzenia na żywo *Colasa Breugnona* i poczucia siły „czarów” profesora. Z punktu widzenia laika monodram wydaje się jedną z trudniejszych form teatralnych, wymagającą od aktora nie tylko przygotowania teatralnego, ale i charyzmy. Obecnie monodram jest w moich oczach znakiem rozpoznawczym Teatru *Pod Górkę*. Może pan profesor podzielić się, jak do niego dojrzał?

S.G.: Długo unikałem grania w monodramie. Jako młody aktor myślałem – „nie wezmę się za monodram, bo nie dam rady”. Nie każdy powie to głośno, ale jest to szalenie trudne i nie każdy nawet zawodowy aktor pociągnie taki spektakl. Rzeczywiście trzeba dużo umieć. Jak dużo, to ja już teraz wiem. Wchodzisz na głęboką wodę, zanurzasz się na 45 minut i musisz płynąć. Musisz cały czas komunikować się z ludźmi. Nie możesz ich znudzić na pół sekundy. To wszystko musi być dobrze skomponowane. Ostatnio nad przygotowaniem jednego spektaklu pracowałem – intensywnie – od stycznia do listopada. To jest rodzaj wielkiego wysiłku. Ludzie zazwyczaj dziwią się: „Jak pan pamiętał ten tekst?”. Trzeba było, to się nauczyłem. [śmiech] Zapamiętanie tekstu to podstawa, a potem dopiero do tego dochodzi milion spraw, szczegółów.

W Teatrze *Pod Górkę* początkowo grałem spektakle z obsadą kilkuosobową. A potem zrobiłem *Wiecznego tułacza*, *Colasa Breugnona* i cały szereg innych monodramów. Monodram daje mi poczucie, że wszystko zależy wyłącznie ode mnie, że to ja jestem głównym nośnikiem tego teatru. Ja, mój talent i moje przedstawienia.

AS.: Temat radości życia jest jednym z najbardziej istotnych w pana monodramach. W *Po-lynych kwiatach* padają takie słowa: „Cieszę się sobą. I tyle mam całej mądrości”. Monodram *Colas Breugnon* jest jedną wielką pochwałą życia. Afirmacja życia takim, jakim jest, akceptacja siebie to pana recepta na życie?

S.G.: Afirmacja życia wynika głęboko z mojej osobowości, psychiki, która – na marginesie – jest dla mnie ciągłą zagadką. [śmiech] Wynika z pogody ducha, którą mam w sobie. Zawsze ją miałem. Byłem mało melancholijny. Ale (!) to powolutku się zmienia.

Inną „receptę na życie” przekazał mi ojciec Ludwik, który mówił: „Jeśli chcesz przeżyć życie, nie możesz być rybą, która płynie brzuchem do góry, z prądem rzeki. Ty musisz płynąć pod prąd! Musisz mieć swoje zdanie, swoje poglądy i musisz się przy nich upierać”. To pewnie spowodowało, że w tym naszym zwariowanym świecie, trzymając się swoich poglądów, wszedłem w konflikty z... Ale pamiętam też o słowach mojej kochanej profesor Reny Tomaszewskiej: „Stasiu, pamiętaj, nie mogą wszyscy kochać Górki. Jeśli chcesz być kimś znaczącym, ty musisz mieć potężnych, bardzo poważnych, bardzo groźnych wrogów. Jeżeli tego nie będzie, to życie będzie marne.”

Doświadczyłem w życiu sytuacji bardzo trudnych, bardzo skomplikowanych, wielu rozczarowań, bólu. I to spowodowało m.in., że teraz jestem gotowy do zagrania dużej szekspirowskiej roli, może Króla Leara? Albo może Wujaszka Wanię Czechowa? Tę moją wiedzę o świecie,

A.S.: Ale jaka jest różnica między pracą aktora nad tekstem poetyckim a każdym innym tekstem z przeznaczeniem na scenę?

S.G.: Potrzebny jest pewien rodzaj wrażliwości, może nawet nadwrażliwości, intuicji.

A.S.: Czyli poezja jest wymagającym twórczym?

S.G.: Tak, bardzo wymagającym. Dla mnie praca z poezją, proces wchodzenia w jej świat, referowania go to magiczne działanie, rodzaj tajemnicy. Oczywiście aktorowi, który ma dobrze postawiony głos, czystą mowę, dobrą dykcję, łatwiej jest tę poezję przekazywać.

A.S.: Jerzy Stuhr w swojej autorskiej rubryce w „Gazecie Krakowskiej” (z 3.03.2018 r.), przywołując Adama Zagajewskiego, który na inauguracji roku akademickiego krakowskiej Akademii Sztuk Teatralnych postawił pytanie, dlaczego poezja uciekła z teatru, a poeci nie garną się do teatru, napisał: „potwierdzam: poezja uciekła z teatru! Plakatowość, hiperrealizm, złość, agresja... Wszystko wyrażane jest zbyt wprost! (...) Dlatego tracę miłość do teatru współczesnego, bo szukam zawsze poezji. Czasem brutalnej, ale poezji!”. Pan profesor od 26 lat w ramach Towarzystwa Teatralnego *Pod Górkę* tworzy taki właśnie teatr – poetycki. To była, jest koncepcja profesora?

S.G.: Tak, to ja odpowiadam za linię repertuarową Teatru *Pod Górkę*. Od początku wiedziałem jedno, że chcę wykonywać małe formy wokalnno-aktorskie. Tą formą wyrażam mój stosunek do świata, do sztuki. Realizuję to, o czym marzę. Teraz mam taki cudowny czas realizacji swoich marzeń poetyckich.

A.S.: A nie spotyka się pan z zarzutem anachronizmu?

S.G.: Oczywiście. Zbieram czasami cięgi od moich przyjaciół. Stawiają mi zarzuty typu – „to jest zbyt ambitne, za wysokie, za bardzo artystyczne”. Ale ja chcę robić taki teatr. To, że on istnieje już 26 lat, świadczy o tym, że sztuka, którą przedstawiam, jest potrzebna.

Teatr, który tworzę, jest różnorodny gatunkowo. Są w nim zarówno piosenki ludowe – w „Pastorałce Leona Schillera”, piosenki literackie Jeremiego Przybory i Jerzego Wasowskiego, pure-nonsensowne utwory Gałczyńskiego i Derfla, ale też elementy kabaretu, np. w *Hemarze mniej znanym*, w *Wiecznym tułaczku* itd. Na marginesie, uważam Hemara za najdowcipniejszego twórcę-poetę XX wieku. Jego satyry – to, co on napisał w latach 20., 30. – są ciągle aktualne. Natomiast spektakl *Gruziński toast albo szkielet śledzia* należy do teatru faktu. *Colas Breugnon* powstał na podstawie powieści noblisty Romaina Rollanda. Moją najnowszą realizacją jest monodram *Pieśni miłości i nienawiści* oparty na piosenkach, wierszach i prozie Leonarda Cohena. Jego prowokujące teksty zmuszają do refleksji, są ważną wypowiedzią dotyczącą współczesności.

A.S.: Zastanawia mnie, co pana profesora determinuje (mimo wspomnianych zarzutów, zmieniających się mód) do robienia tak ambitnego teatru? Czy to wypływa tylko z głębokiego przekonania o słuszności swojej koncepcji, czy też z wyrośnięcia w szkole takich mistrzów jak Tadeusz Łomnicki, ze specyfiki teatru tamtych czasów?

S.G.: Pewnie z jednego i drugiego. Studiowałem w latach 1973–1977, w Warszawie. Wtedy w życiu artystycznym działo się bardzo dużo. Na otwarcie Teatru Powszechnego w Warszawie w 1975 roku Andrzej Wajda wyreżyserował *Sprawę Dantona* Stanisławy Przybyszewskiej. W Teatrze Starym w Krakowie grano *Wyzwolenie* Stanisława Wyspiańskiego w reżyserii Konrada Swinarskiego, a Kantor wykreował swoją *Umartą klasę*. To były przełomowe, wielkie utwory teatralne, nie mówiąc o wysokim poziomie artystycznym, jaki reprezentowały teatry w innych miastach Polski.

Na maturzyście z dęblińskiego liceum wywarło to niezatarty ślad na całe życie. Na pierwszym roku studiów postawiłem sobie zadanie obejrzenia wszystkich przedstawień repertuarowych, które były grane w Warszawie. I ten cel zrealizowałem. Chodziłem do teatrów: Współczesnego,

blińskiego. Recytując wiersze, słuchając, jak wykonują je inni, miałem wyostrzony słuch. Zawsze wiedziałem, kiedy sam kłamię, kiedy to jest wykonawcza nieprawda. Byłem na to szczególnie uciążliwy. Pamiętam znakomicie moment, kiedy zacząłem inaczej mówić.

A.S.: Kiedy to było?

S.G.: Pracowaliśmy wtedy w Towarzystwie Teatralnym *Pod Górkę*, które było wówczas młodym teatrem, zdaje się, że pięcioletnim, nad kolejnym przedstawieniem. Mieliśmy za sobą *Ten drogi Lwów* i *Kolebę na cztery głosy*. Kolejnym spektaklem był *Hemar mniej znany. Lwów-Warszawa-Londyn* w reżyserii i adaptacji Tadeusza Wiśniewskiego. Podczas spaceru z moim ukochanym pieskiem Aro (ogar polski) po swoim osiedlu, późną nocą, wykończony po ciężkiej próbie, myślałem nad interpretacją wiersza Mariana Hemara, który nazywa się „Puścizna”. Opisuje w nim, że posługiwał się wieloma formami literacko-teatralnymi w swojej twórczości, wymienia je, natomiast prosi, żeby ludzie zapamiętali z jego twórczości tylko jedną piosenkę o smaku chleba kulikowskiego („Chlib kulikowski”). Pomyślałem sobie wtedy, że to powinna być konfesja, wyznanie, a nie „klepanka” recytacyjna. Że to powinno wyjść gdzieś z głębi człowieka, zabrzmieć innym dźwiękiem, innym tonem. I tak sobie krocząc rozluźniony za moim pieskiem, zacząłem mówić ten tekst z zupełnie innego miejsca, ze środka. Doświadczenie to przenieśliśmy na scenę i odtąd zawsze starałem się tak mówić.

A.S.: Przez wiele lat uczył pan profesor studentów warszawskiej Akademii Teatralnej im. Aleksandra Zelwerowicza emisji głosu. Jaką świadomość głosu, umiejętność posługiwania się nim mają młodzi ludzie, którzy przychodzą na pierwsze zajęcia?

S.G.: Oni nie mają świadomości głosu. Nie mają często również pewnej świadomości drogi, którą przebywają podczas ćwiczeń, pracy ze mną. Niektórzy nie zauważają zmiany, która następuje w ich głosie. To jest bardzo długi, skomplikowany proces. Trzeba wykonywać wiele ćwiczeń, dzień po dniu. Ja porównuję to do treningu sportowca. Muszą odbyć wiele ćwiczeń nad swoim ciałem, nad jego rozluźnieniem. To jest rzecz podstawowa. A potem nad swoim oddechem i miejscem, z którego wydobywa się dźwięk. Mam wielu absolwentów, u których dokonała się tzw. przebudowa głosu z brzydkiego, płaskiego, nieznośnego do słuchania na piękny, szlachetny, głęboki, przejmujący, wiarygodny. Studenci przychodzili nauczyć się swobody posługiwania się dźwiękiem i ja to im dawałem. To bardzo trudna sprawa. Do prowadzenia takich zajęć trzeba mieć duże doświadczenie aktorskie i pedagogiczne oraz dobry słuch.

A.S.: Powiedział pan kiedyś, że czytanie wierszy jest trudną sztuką nie tylko dla autorów, ale nawet dla zawodowych aktorów. Przywołał pan wówczas postać Wojciecha Siemiona mówiąc, że należał do tych, którzy opanowali tę sztukę perfekcyjnie. Sam pan profesor również czyta wiersze rewelacyjnie. Na czym polega trudność tej sztuki?

S.G.: To prawda, wielu autorów źle czyta swoje wiersze. Według mnie najlepiej z nich czytali Władysław Broniewski i Konstanty Ildefons Gałczyński. Jeśli chodzi o próby interpretacji wierszy, jestem daleki od patetycznej deklamacji przez aktorów czy przez autorów. Moje spojrzenie na to zagadnienie jest szalenie pragmatyczne. Ono wypływa z mojego doświadczenia teatralnego, z doświadczenia czytania poezji. Oczywiście czasami aktor ma dużo większą wiedzę od autora, bo wie, co to jest np. średniówka, biały wiersz... Może był uczniem Siemiona i wie, co to są jamby... Wie, jakie są stopy poetyckie i rytmy. Przy deklamacji poezji rymowanej, poezji posiadającej określoną ilość sylab to ogromnie ważna wiedza. Ale dla mnie kluczową sprawą jest właśnie kwestia czytania, komunikowania się za pomocą poezji z drugim człowiekiem, dotarcia do słuchacza z przekazem intelektualnym i emocjonalnym. Do sukcesu tej komunikacji potrzebna jest wiedza o człowieku, jakaś intuicja co do intencji przekazu autora, ale i wiedza o powstawaniu utworu. Jeśli nie mam tej wiedzy, posługuję się wyobraźnią. Lubię poznawać te zakulisowe opowieści. Ale też sam wyobrażam sobie, jaki rodzaj napięcia, przeżycia towarzyszył autorowi przy pisaniu.

„Tylko z dobrą literaturą,
z dobrze skomponowanym
spektaklem mam prawo
stać przed widzami i grać”

- mówi prof. Stanisław Górka
w rozmowie z Agnieszką Sroczyńską



Stanisław Górka
Fot. Robert Tadla

Agnieszka Sroczyńska: Poznałam pana profesora osobiście podczas finału Konkursu Poetyckiego im. Jana Krzewniaka w Karczewie k. Otwocka. Trochę pan się spóźnił na rozpoczęcie spotkania i przysiadł niedaleko mnie wśród miejsc dla publiczności. Miał pan na sobie białą, lnianą koszulę z podwiniętymi rękawami i słomkowy kapelusz (charakterystyczny dla tamtych stron). A ponieważ nie dostrzegłam pana twarzy spod ronda, sądziłam, że jest pan jakimś lokalnym artystą. Dopiero, kiedy pan wszedł na niewielkie podwyższenie, ściągnął kapelusz i zaczął czytać wiersze laureatów, wówczas dotarło do mnie, jaki zaszczyt mnie spotkał. Jednymi z wyróżnionych wierszy były moje, a pan swoją interpretacją, intonacją nadał im takiej głębi, jakby nie były wierszami amatorki, a zawodowej poetki. Lubię wracać do tego wspomnienia, bo ono wiele mnie nauczyło w kwestii czytania poezji i odkryło siłę, jaką posiada pan w głosie. Kiedy zdał sobie pan z niej sprawę?

Stanisław Górka: Trzeba zacząć od tego, że byłem młodym recytatorem-amatorem, który fascynował się poezją. Zachwyliłem się Brunonem Jasiońskim i jego *Stowem o Jakubie Szeli* za sprawą mojej wspaniałej nauczycielki Marty Jakubowskiej, instruktorki teatralnej z liceum dę-

to wobec mnie może być uczciwy ten kawałek ziemi, w jakiś sposób lojalny. Ten dom, w którym ja wyrastałem. Obok sad. Lubię ten fragment *Noża*, gdzie opisuję ten harmider, źdźbło trawy, biedronkę, czy konika polnego, a w tym wszystkim mój dom, kość domu.

R.K.: Przyszło mi teraz do głowy, że tym *Nożem* może być też tęsknota, która gdzieś tam się rodzi w pewnym momencie, albo która jest schowana, przyklepana codziennością. I nagle coś się wydarza, coś się dzieje i wybuchają ona z siłą wulkanu. Także dla mnie jest to książka o tęsknocie. Jednak.

K.B.: Dużo tu jest tęsknoty, to prawda.

R.K.: Żalu, jak to pięknie powiedziałeś, prawda?

K.B.: Tak... Zawsze powtarzam, że najpiękniejszym polskim słowem jest słowo „żał”. Ale piszę też w pewnym momencie o takiej konstrukcji, że człowiek to jest taki „homo tęsknens”. Chcąc nie chcąc, tęskni. Za czymś zawsze tęskni. Za miłością, która się nigdy nie spełniła, za tym, co już minęło i już nigdy nie wróci.

R.K.: Chciałem Cię jeszcze zapytać o te piękne fotografie w książce (*śmiech*), na których ja osobiście widzę bardzo dużo.

K.B.: (*śmiech*)...antylustracje. Tak. To jest coś, czego nie jesteś w stanie, nie oszukując samego siebie, odrysować czy sfotografować, bo tego człowieka już nie ma. Już dawno odszedł, umarł. Albo ten świat, odszedł, umarł. W *Nożu* te wszystkie puste w środku ramki, mówiące: brak kogoś tam, brak czegoś tam, one pokazują coś takiego, co chciałoby się mieć, a się nie ma. Albo coś, co chciałoby się ciągle widzieć, a tego nie ma. To są te wszystkie mijane istnienia, mijane postacie, obrazy. Mijane przeszłości itd.

R.K.: Tak cudownie się rozmawia, że dopiero teraz zorientowałem się, iż nie poruszyliśmy tematu Deyny, Niemena czy Boga. A przecież przelewają się oni na kartach *Noża* dość często. Co wspólnego ze sobą mają Deyna, Niemen i Bóg?

K.B.: O, to byty samotnicze, odosobnione, samoistne, silne i słabe zarazem. Trzeba *Nóż* przeczytać, by zobaczyć, jak się przez karty książki przewijają. Ale też – jak się wiją, jak ze swoimi buntami uciekają i wracają, jak rodzą się i giną, i znów zmartwychwstają... I jak – czy to Deyna, Niemen czy Bóg – są sobie samotnie wspólni. Jak wpływają na świat i jak się w tym świecie topią. Jak istnieją i jak ich... nie ma.

R.K.: A zatem niech *Nóż* się wbija w świat i niech kroi rzeczywistość... Krzysztofie, bardzo dziękuję za rozmowę.

K.B.: Dziękuję. ●

Krzysztof Bielecki

Urodził się w Płocku w 1960 r. Ukończył filologię polską na Uniwersytecie Łódzkim. Publikował m.in. w „Nowym Wyrazie”, „Piśmie”, a przede wszystkim w „Twórczości”. Wydał tom opowiadań *Nie ma czarów, nie ma aniołów* (Iskry 1987) oraz powieści: *Fistaszek* (Czytelnik 1987), *End and Fin Company* (Akapit 1992), *Gagatek* (Tunia 2005) *Przepaść* (Tunia 2014). Ostatnio ukazała się powieść *Nóż* (PIW 2019). Jest laureatem nagród: im. Stanisława Wyspiańskiego, im. Stanisława Piętaka, im. Natalii Gall, Funduszu Literatury. Tłumaczony na niemiecki, chorwacki, słoweński.

R.K.: Samobójców?

K.B.: Tak. Kilku moich kolegów, z którymi spędziłem cudowne dzieciństwo, popełniło samobójstwa. Z alkoholizmu, z choroby psychicznej jednej, drugiej, trzeciej. Ich już nie ma. Oni dramatycznie uświadomili mi, jak już mieszkałem w Łodzi, a potem jechałem do Berlina, że nie ma już pewnego rodzaju życia i że nie mam szans na powrót. Wiesz, to jest takie fajne spotkanie po latach kogoś z dzieciństwa, usiąść, wypić kawę i porozmawiać. Ja takiej szansy niestety nie mam. Chodzę na jeden cmentarz czy drugi i odwiedzam swoich powieszonych kolegów. Paskudna sprawa w gruncie rzeczy, wiesz, paskudna. Dlatego nie chciałem o tym pisać tak wprost z imienia i z nazwiska.

R.K.: Tak się zastanawiam... Ile jest tych właśnie rzeczy wprost w *Nożu*? Chodzi mi o to, ile tam jest Ciebie? Ile sytuacji prawdziwych? Tych napisanych bez dodatkowych ubrań? Gdzie tu jest ta granica?

K.B.: Wiesz... jak się pisze, to nie można znaleźć granicy. To jest bardzo łatwe do przekroczenia. Zresztą w ogóle to jest tak, że nie powinno się mieć żadnych granic. Jak chce się napisać prawdę i chce się, żeby to ciebie samego dotknęło. Jak to ma dotknąć czytającego, jeśli samego ciebie to nie dotknie i się tym nie przejmiesz? Liz na przykład miała być początkowo postacią, jaką była naprawdę. Nie chciałem jej ubierać w kolejne rzeczy, ale pisanie tak cię niesie, narracja tak cię niesie, i obrazy, że się chce więcej. To jest trochę tak, jak w malarstwie. Ktoś chciałby malować delikatnie, jak Monet na przykład, ale ma w sobie tyle pasji, tej krwi, że będzie malował twardo, mocno. I w *Nożu* czasem tak jest, że postać mi uciekała, wymykała się, przekraczała coś, choć na początku wcale tego nie chciałem. Ale jak się pisze utwór, powinno się być wolnym w tym sensie, że powinno się pozwalać, żeby Cię niesło, i parę rzeczy mnie tak trochę ponosiło i to jest przekoloryzowane. Ja uwielbiam hiperbole. Jak pisałem *Przepaść* i dotykałem roku 2010, to pisałem, że tą wiosną było mnóstwo śniegu w Warszawie; tak naprawdę nie było tam żadnego śniegu. W *Nożu* domek pana Grembeckiego był bardzo mały, ale nie aż tak mały, że tam mieściła się tylko pierzyna i szafa.

R.K.: *Nóż*, a propos tego otwierania się, podążania w tym ufnym zawierzeniu sobie, mnie osobiście doprowadził do tego, że w pewnym momencie zrozumiałem, iż jestem, w jakiejś tam części, każdym z tych bohaterów. Jestem po części Solskim, leżącym gdzieś tam w trawie. Czasem Leżakiem nieudacznikiem. A nawet Liz w jakiś tam sposób.

K.B.: Oszalałmijąco pięknym? (*śmiech*) Niech Ci będzie. (*śmiech*)

R.K.: Nie przesadzajmy (*śmiech*). Ale tak zupełnie poważnie, to to jest właśnie to otwarcie się na *Nóż*. To jest ten uniwersalizm, o którym mówiłem. I jeśli człowiek się odważy i puści wodze wyobraźni, czy też zaufa pojawiającym się w jego głowie różnym konotacjom skojarzeniowym, to pola interpretacyjne otworzą się bardzo szeroko i mogą doprowadzić do wielkich rzeczy.

K.B.: Może powiem banalnie, ale wyobraźnia to wielka zagadka. Wydaje mi się, że wiele osób chodzi po świecie i moim skromnym zdaniem powinno coś pisać, a nie pisze. Powinno coś malować, czy komponować, a nie robi tego. Nie wiem dlaczego. Mają wyobraźnię, ale się boją? Siebie? Własnej wyobraźni? Nie wierzą w siebie, czy siłę swojej wyobraźni? Tak, wyobraźnia zausze ociera się o jakiś lęk, jakąś słabość, jakąś niewiarę.

R.K.: Często też nawet uciekają od tego. I tak sobie myślę, że paradoksem *Noża* jest to, że na pierwszy rzut oka wydaje się, iż jest on o ucieczkach. Ale ja uważam, że tak naprawdę jest on o powrocie do źródła, że w pewnym momencie człowiek dochodzi do takiego etapu, że aby dobrze siebie zrozumieć i siebie poznać, prędzej czy później musi do tego źródła wrócić. Stąd to Kutno? Stąd te wszystkie wątki powrotu do dzieciństwa i opisy świata z perspektywy chłopca?

K.B.: Tak. Wiesz, człowiek w pewnym etapie swojego życia zaczyna sam siebie pytać, skąd właściwie jest. Parę tygodni temu w radio mówiłem, że chodziłoby o coś, co jest w jakiś sposób tobie wierne i wobec ciebie jakoś uczciwe. Jeżeli ja straciłem rok temu mamę, osobę bezwzględnie mnie kochającą,

R.K.: Ale też zadana?

K.B.: Tak. Zadana, mówiąc po papiesku (*śmiech*). Te wszystkie pory dnia i życia, świt i zmierzch, są ubrane w tego rodzaju metaforykę, że czasem czujesz wilgoć. Rozmawiałem z kilkoma osobami w trakcie pisania, ale też jak już skończyłem pisać i niektórzy mówili, że czuli lekkość tej książki, że lepią się do nich jakieś myśli i niepokoje, właśnie te świty i zmierzchy. Wiesz, one otwierają przed nami pewnego rodzaju obrazy, każdy z nas ma inne świty i inne zmierzchy i co innego widzimy. Literatura to przedsięwzięcie głęboko subiektywne i myślę, że warto czasem czytelnika troszkę zaniepokoić, bo książka z przeczuć się rodzi. Pisarz to nie jest człowiek, który coś wie. Wie naukowiec, wie ktoś, kto ulega empirii, doświadczeniu, bierze to i porządkuje. Pisarz jest od mówienia: wciąż nie wiem. Najwyżej przeczuwam, najwyżej sobie wyobrażam, być może się mylę, może jestem w tym śmieszny, może jestem na dnie, ale od przeczuć jestem, od prześwitów, a nie od pewności czegokolwiek.

R.K.: Wróćmy zatem do początku, do przeczuć, do *Noża*. Dlaczego *Nóż*? Bo wiem, że pierwotnym zamysłem było straszne słówko, jak Ty to nazywasz, „Ku”? Choć dla mnie osobiście właśnie to słówko bardziej oddaje tę delikatność prześwitów, czy przeczuć właśnie. Oczywiście mogę się mylić, bo sam też piszę i podchodzę do wszelkich pewników bardzo ostrożnie i z dystansem.

K.B.: „Ku” wbija się w coś jednego, a nóż może się wbić w więcej rzeczy. „Ku” wydaje takie bezdyskusyjne. Ja przez wiele lat byłem oczarowany siedemnastowieczną angielską poezją metafizyczną i tam poeci pokazywali to dążenie. Rodzisz się i już umierasz. Idziesz wciąż w tym samym kierunku. Zresztą Ty też pięknie powiedziałaś, że dla Ciebie *Nóż* jest książką o umieraniu, o chodzeniu ku. O przychodzeniu i odchodzeniu. Ale po jakimś czasie powiedziałem sobie: niech będzie to jednak nóż. Niech on się tam wbija w różne rzeczy i funkcjonuje na wiele sposobów. „Ku” jednak byłoby mylące, bo sugerowałoby, że ta książka jest linearna, a ona taka nie jest. A i ja jestem od dłuższego czasu zadeklarowanym przeciwnikiem linearności. Nie pisz! Nie oszukuj i nie pisz gładkich historii! Nie oszukuj ludzi i samego siebie! Zadawaj im trudne pytania! Szukaj na to odpowiedzi! Czasem w *Nożu* trzeba się przez parę myśli przekopać. Ale czasem, jak się czyta choćby o *Jużwieczorze*, to idzie się gładko przez ten świat. To idzie do przodu i to nie jest tak, że nie ma nic linearnego. Są te przebłyśki, wytchnienia, bo ja tutaj nie zarzynam ludzi nieporządkiem. Nie chodzi o to, żeby głośić ten nieporządek i nic więcej. Jest tu sporo ludzi, którzy żyli autentycznie. Na końcu znajduje się indeks istnień ludzi, którzy żyli. Sporo z nich już umarło.

R.K.: A zatem, pisząc *Nóż*, musiałeś sięgać głęboko w pamięć? Bo przecież ta książka jest pisana właśnie z pamięci.

K.B.: Tak. To jest książka pisana z czasów, w których miałem szczęście i nieszczęście spotkać pewnych ludzi w życiu. I to się jakoś pamięta. Choć ja osobiście nie lubię słowa „pamięć”. Mówiąc o pamięci, mam na myśli słowo „pamiętanie”, jako swoistą czynność życiową. Tak jak chodzenie, mówienie, myślenie czy pisanie.

R.K.: W kontekście pamiętania... na setnej stronie jest taki piękny fragment: „Idzie to cholerne »moje« przeze mnie i przesywa. Moi apostołowie, przeżył, moje państwa i miasta, przeżyte, lubią drasnąć pamięcią. Nożem. Jakby, niechający, człowiek człowiekowi nożem”. A zatem czym jest ten nóż? Pamięcią, która objawia się każdego dnia i z którą człowiek musi się zmagać w samotności, bo ten utwór jednak trochę jest o samotności? Czy może drugim człowiekiem, najczęściej nam bliskim, który odchodzi, zostawiając cięte rany na naszej świadomości? A może tęsknotą za tym, co było? Czy może jeszcze czymś innym?

K.B.: Bardzo mnie bolało, kiedy musiałem o tym napisać, bo miałem to nieszczęście, że mieszkałem przy ulicy samobójców.

Musi być w tym chaosie odrobina sensu. Jakiś porządek. Na przykład: czemu się ożeniłem z tą kobietą? Czemu mam dwoje takich dzieci? Czemu cierpię? Czemu się cieszę? I wydaje się, że tu, na ziemi, jest jak jest, ale gdzieś tam, być może, jestem ja drugi, który się ze mnie śmieje. Wiesz, ja lubię stawiać jakieś problemy i w pewnym momencie napisałem coś, co nazywa się listem do wykołajonego mnie.

R.K.: Fakt. Sporo jest w książce rozważań o Twoim „świecie pierwszym”, mówiąc terminologią Henryka Berezny, przedzielonym nieprzekraczalną granicą torów kolejowych.

K.B.: Tak. W tej książce dzieją się różne rzeczy, dzieją się między innymi tory kolejowe, które gdzieś tam jadą, gdzieś daleko, i one mają jakiś tam sens. Ale też jest mnóstwo takich torów, które grzęzną w jakiejś zapomnianej ziemi, zarastają chwastami i wiemy, że kiedyś tam jeździły jakieś pociągi. One zawsze wywoływały we mnie taki dziwny smutek, kiedy chodziłem na koniec Kutna, na koniec świata i widziałem, jak te pozarastane tory biegną gdzieś bez sensu. Kiedyś było tu życie, a już go tutaj nie ma. W pewnym momencie książki piszę, że te tory tak umierają.

R.K.: To bardzo ciekawe, bo z tego, co mówisz, można wywnioskować, że dość wcześnie zacząłeś widzieć to umieranie, czy też odchodzenie świata w niebyt. A czy miałeś jakiś taki moment przełomowy, kiedy nagle zdałeś sobie sprawę z tego, że nie tylko te tory umierają, ale też świat wokół, łącznie z Tobą?

K.B.: Ważne są te lata, kiedy zaczyna się chodzić do szkoły. Później ważny jest ten moment w życiu, kiedy ma się te 10, czy 12 lat, bo w ogóle tak jest w naszym życiu, że wyszliśmy z dzieciństwa, a ono jest potem strasznie zaniedbywane.

R.K.: A jakie było Twoje?

K.B.: Dla mnie dzieciństwo to jest taka fantastyczna mitologia, taka opowieść, która w człowieku jest, taki opis zdarzeń świata, dotyków, zapachów. Tyle się wtedy chłonęło rzeczy. Ja byłem zakochany w sady, który miał mój, świętej pamięci, dziadek i nigdy nie powiem, że moje dzieciństwo było straszne. Ten 70. rok to taki przełom i nie wiesz, czy już jesteś takim skończonym szczeniakiem, czy już wchodzisz w taką pseudo-dorosłość. Jest taka scena w *Nożu*, kiedy idę z bańką na mleko, a ona mi tak fruwa obok. Idę po mleko prosto od krowy i widzę kapitalnie rozgwieżdżone niebo, czując zachwyty trącony pewnego rodzaju dorosłością. Pierwszy raz zauważam, że ten świat nie kończy się na biedronce czy koniku polnym, tylko jest taki wielki i nigdy tam nie będę, w tych gwiazdach. I to jest prawdziwa scena. Pamiętam, że nigdy wcześniej i nigdy później nie widziałem takiego nieba i tylu gwiazd. Poczułem wtedy, że ten świat jest taki fantastyczny i że ja już zawsze chciałbym żyć. I to jest 67. rok. A już w 77. roku widziałem to wymykanie się tego świata i to była taka ostatnia z prób zachowania w sobie infantylizmu, który jest piękną cechą człowieka, a której się często wstydzimy. Ale ja lubię powtarzać, że naiwność człowieka dorosłego to jest piękna rzecz.

R.K.: Dla mnie ta książka jest genialną literacką szachownicą właśnie wymykania się tego świata, gdzie każda kolejna strona jest takim polem na tej nożowej szachownicy, na którym mówisz: teraz twój ruch, czytelniku. Może uchylił rąbka tajemnicy, jak się do tego zabrać? To znaczy, jak wykonać ten pierwszy ruch, aby ta partia literackich szachów, do której zapraszasz, trwała jak najdłużej i nie zakończyła się zbyt szybko, bo jednak nad tą książką właśnie tak się medytuje, jak Kasparow, zastanawiając się nad każdym kolejnym posunięciem.

K.B.: Bardzo fajnie, że o tym mówisz, bo życie jest ważne i trudne. Partia szachów dla grającego w szachy, a ja kiedyś grałem w szachy, byłem nawet w reprezentacji szkoły, zawsze jest ważna i trudna. Dla mnie to była zawsze jakaś taka gra o życie i w *Nożu* jest tak: pomyślałem sobie, że będę stawiał tę kropkę często nie tam, gdzie trzeba, żeby powiedzieć czytelnikowi: oddaję Ci pole, zobacz, jak można zinterpretować takie a nie inne zdanie, jeżeli postawisz tu kropkę. Bo to jest tak, że książki często są pisane dla przyjemności i to jest jedna rzecz. A druga rzecz to: jeżeli czytelnik jest wyrobiony, to widzi, że to nie jest tylko rzecz podana.

tak jest? Czasem sobie żartuję i mówię, że najważniejsza w *Nożu* jest kropka. I to jest istota rzeczy, to jest ta rana, to jest ta krew.

R.K.: No tak... Ale w *Nożu* tej krwi jest dużo więcej. Mam na myśli te wszystkie czerwone momenty, czyli pojedyncze wyrazy, dwu-wyrazy czy całe zdania, zapisane za pomocą czerwonej czcionki. Czyż sącząca się na wskroś krew kropek nie wystarczy?

K.B.: Przed wydaniem *Noża* w pewnym momencie coś mnie olśniło i postanowiłem dołożyć dodatkowe światło na tę książkę w postaci narratora, który pokaże ból wbijania się noża w to wszystko, co jest żalem za przeszłością, żalem za minionym życiem, że będzie to takie doświetlenie zewnętrzne. Poprosiłem wydawcę, w osobie Pawła Orła, aby to było na czerwono, żeby to była krew tych doznań i w tej książce te czerwone rzeczy to też jest ważna sprawa.

R.K.: Powiem szczerze, że ja osobiście miałem ogromny problem z tym utworem. Zacząłem wnikliwie szukać. Najpierw przeczytałem tylko to, co jest na czerwono, próbując iść za tymi myślami. Potem przeczytałem po kolei, strona po stronie. Za jakiś czas czytałem od końca, gdzie *de facto* jest początek. Potem zacząłem skakać po wątkach Liz, Solskiego, kapitana Leżaka, czy wątkach mówiącego chłopca i wieczności. Koniec końców utwór ten tak mnie zmęczył i doprowadził do takich emocji, że miałem ochotę cisnąć nim w kąt, niejednokrotnie trzymając go już nad głową (*śmiech*). Ale na szczęście zawiesiłem ten ruch, niczym mój ukochany bohater *Noża*, Ziemowit Juźwieczór (cóż za nazwisko!), swoją łopatę nad zasypnym grobem. Wiesz, *Nóż* jest książką bardzo wymagającą, to jedno. Ale niesie też w sobie ogromny ładunek emocjonalny, uchylający drzwi do tajemnic utraty, śmierci i przemijalności. Nie boisz się tego, że oto przyzwyczajony do ciągłości fabularnej czytelnik będzie miał problem z tą przelewającą się, czy też, mówiąc nożową terminologią, nurzającą się niejednoznacznością świata końca lat 70. opisanego na kartach *Noża*? I że nie znajdzie w sobie tyle siły, by odnaleźć tę, jakże wszechobecną, ale ukrytą, uniwersalność przesłań, które żyją swoim własnym, osobnym życiem gdzieś pomiędzy literami, pod nimi, nad nimi?

K.B.: Rzeczywiście tego „pomiędzy” jest dość dużo, ponieważ w nas jest też dość dużo „międzyświatów”. Ale zasadnicze pytanie brzmi: czy książka powinna służyć jedynie przyjemności? Czy naszym przeznaczeniem, mówię jak ksiądz proboszcz (*śmiech*), jest czytanie dla przyjemności? Myślę, że nie zawsze. Czasem chodzi o to, aby ktoś zdecydował się na bardzo ryzykowne pisanie, bo istotą sztuki, jakiegokolwiek, jest olbrzymie ryzyko. Ci wszyscy uznawani teraz za wielkich kiedyś bardzo zarzykowali i zesłi do podziemia na wieki, jako nijacy, anonimowi i dramatycznie przygnębieni swoim losem, swoim przeznaczeniem. Nosi się w sobie jakieś historie, jakieś przeznaczenie. Ja mam fioła na punkcie czasu przeszłego, który jest nam dany od początku do końca, jako jedyny. Nie ma dla mnie czasu teraźniejszego, nie ma przyszłego. Nawet jak piszemy na przykład coś takiego: zaraz podejdzie do niego i go pocałuje, to to jest tak naprawdę czas przeszły. On ma oczywiście formę czasu przyszłego, ale wciąż myśli się tu o przeszłości. Mamy zatem do dyspozycji tylko czas przeszły. Ja w tym czasie przeszłym dostrzegam pewną zmoreę, nieporządek, nielinearność.

W pewnym miejscu w *Nożu* jest takie zdanie w liście do Delfiny Potockiej: „Nie ma przyczyn, nie ma skutków. Zarasta je trawa, ziemia, niebo”. I odwołuję się do takich twórców, którzy obudzili się ze swoim pojmowaniem świata, bo tak trzeba powiedzieć, na przełomie XIX i XX wieku, i wspominam o takich rzeczach, które wydają się eksperymentem, zabawą, a tak naprawdę, jak popatrzymy na tę sztukę, to to jest głęboka prawda o naszym życiu. W *Nożu* coś takiego jest, to znaczy pytanie o to, jak daleko ten chaos może się posunąć, jak może zaniepokoić, jak może ciebie nastraszyć. Pod koniec książki jest coś, co ja bardzo lubię, taka sobowótorność, taka dziwna artystyczna – nieartystyczna schizofrenia, takie przekonanie, że my jesteśmy tu na ziemi jedni, a gdzieś w niebie, gdzieś daleko, między gwiazdami, jest nasze odbicie, nasze drugie ja.

R.K.: Taka trochę „berezowa” oniryczność?

K.B.: Tak. Taka i oniryczność, i taka, nie uciekając od górnolotności nawet, wiesz, wiara w coś więcej. Każdy z nas może sobie powiedzieć: nie może być tak, że nasze życie jest wyłącznie bezsensowne.

Rafał Kasprzyk: Krzysztofie, pozwól, że zacznę od pewnej dygresji związanej z moją pracą, bo po części oddaje ona to, z czym musiałem się zmierzyć, sięgając po Twój utwór. Od kilku już lat pracuję jako górnik, ale doskonale pamiętam, jak wyglądał mój pierwszy dzień. Jakie emocje i lęki towarzyszyły mi przed pierwszym zjazdem pod ziemię, a potem, jak bałem się, gdy już byłem pod ziemią. Bałem się tych wszystkich korytarzy. Tej świadomości, że oto wchodzę w czeluści ziemi, skąd jest tylko jedno wyjście. Bałem się, że mogę się po prostu zgubić i mieć problem, aby wrócić.

Kiedy uziąłem do ręki Twoją, nie boję się użyć tego słowa, symfonię przeciekania wieczności, która nie chce być tym, czym wydaje się tylko pozornie, a więc kryminałem, historią niespełnionej miłości, czy też opowieścią o miejscach, ludziach i wydarzeniach, i kiedy zacząłem, nazwijmy to, przedlekturowe przeglądanie, zdałem sobie sprawę, iż mnogość różnorodnych wątków i refleksji w niej zawartych jest swego rodzaju labiryntem ciemnych, niedostępnych czasem, właśnie takich kopalnianych korytarzy, w których można łatwo się pogubić. Jest wręcz naszpikowana, mówiąc po „nożowemu”, „skrzyżowaniami Konopnickiej i Orzeszkowej, jest rogiem myśli i przecięć. Skrzyżowaniem pełności i zawahania, w którą stronę iść”.

I dokładnie to zadziało się ze mną. Takie zawahanie połączone z dezorientacją. Ale na szczęście na początku książki, w liście do Delfiny Potockiej, znalazłem pewne wskazówki, które *de facto* wcale nie ułatwiają poszukiwań zrozumienia, ale wręcz przeciwnie, jeszcze bardziej gmatwują całą sprawę. Co oczywiście jest bardzo dobre dla czytelnika, bo wymaga od niego zaangażowania, wywołując na początku pewien dyskomfort.

Czy właśnie o to chodziło? Aby taki dyskomfort, w jego pozytywnym aspekcie, wzbudzić w czytelniku, by zatrzymał się na dłużej? Bo niewątpliwie kompozycja książki do tego prowokuje. Ba, wymaga dużej pokory i czułości na szczegól, by odczytać te wszystkie symbole, znaczenia, czy porównania?

Krzysztof Bielecki: Na pewno tak. Tylko na początku trzeba by było zadać sobie pytanie, czy sytuacja życiowa może być sytuacją dyskomfortową, czy komfortową? Dorosłem do takiego przekonania, że sytuacja życiowa, jakakolwiek, ta najmniejsza, zamykająca się w sekundzie, czy ta otwierająca się na wieczność, nie może być sytuacją komfortową. Człowiek na co dzień nurza się w refleksjach, to po pierwsze. Po drugie zaś, dość szybko zauważa, że nie może sobie pozwolić na refleksję linearną, ciągłą, że jego życie nie może być – i jest wobec tego bezradny – piękną, jedyną w swoim wyrazie ciągłością. Tak, czy siak, jakby tego nie chciał, jak mocna by była jego refleksja, jak silne przekonanie, nawet filozoficzne, teologiczne, czy jeszcze inne, będzie nosił w sobie taki namysł i będzie w tym wszystkim niewinny z jednej strony, a z drugiej właśnie nieporadny, aż w końcu uzna, iż jego życie nie może być jedynie zachwytem, pełnią, którą by nazwał urodą życia. Zawsze będzie to podszyte jakimś niepokojem i niepewnością bytu. Będzie nosił w sobie pewnego rodzaju rozchwiewanie. Zahaczając o Twe słowa z początku rozmowy: każdy będzie zjeżdżał do swojej własnej kopalni i będzie szukał innego światła – i w poszukiwaniu tego światła będzie zauważał... ciemność. Ty zjeżdżasz na dół po ciemność i z tej ciemności, z tego nurzania się w różnego rodzaju, powiedzmy, niepokojach, wydobywasz się na światło i widzisz życie inaczej.

R.K.: Tak, to prawda. Z jednej strony widzę świat inaczej, ale z drugiej czuję się jakoś dotknięty tą ciemnością, nawet powiedziałbym, że zraniony.

K.B.: Podobnie jest z *Nożem*. Nóż jest książką zranioną i świadomie zdekomponowaną, bo istotą życia jest nieporządek i taka nieokiełznana chaotyczność, a w ostatnich latach nawet agresja tej chaotyczności. Ta napaść tytułu informacji, tytułu bodźców naraz, czasem powoduje, że chcielibyśmy się zamknąć, jak średniowieczny mnich w swoim klasztorze. Ale niestety jest to niemożliwe. My wciąż wychodzimy na światło i zderzamy się z rzeczami, które raz są przychylne i przyjazne, ale często też nieprzychylne i nieprzyjazne. Pomyślałem sobie, że to, co sygnalizowałem w *Przepsaści* z 2015 roku, to w *Nożu* trzeba pogłębić. I tak, jak w *Przepsaści* prowadziłem historie bardzo linearnie, w pewnym sensie bawiłem się datami, rzecz toczyła się dzień za dniem, bardzo wolno i z mozołem, tak w *Nożu* postanowiłem zrobić tak, jak sygnalizuję we wstępie, czyli ucinąć pewne rzeczy. Powiedzieć coś i zamknąć kropką. Sprowokować czytelnika do zadania samemu sobie pytania: co tutaj robi ta kropka? Przecież jej tu nie powinno być! Podobnie jest ze strachem w naszym życiu. Co robi ileś tam strachów w moim życiu? Przecież one nie powinny tu być. A jednak są. Co one tu robią? Skąd to się we mnie bierze? I dlatego to

KASPRZYKÓWKI

czyli
tarasowe rozmowy o literaturze

Z Krzysztofem Bieleckim o powieści *Nóż*
rozmawia Rafał Kasprzyk



Krzysztof Bielecki
Fot. Archiwum prywatne

Krzysztof Bielecki

W Y W I A D

Bożena Boba-Dyga › felieton

O zaletach małych piersi

Kiedy w Berlinie poznałam Jusarę (pół-Brazylijkę), zazdrościłam jej pełnych piersi, niczym z hellenistycznych posągów. Na studiach w Akademii Sztuk Pięknych oswajali nas zarówno z widokiem historyczno-sztucznych nagości, jak i z zazwyczaj szpetną i starą nagością naszych modeli. To był dobry filtr dla świadomości wpływu czasu i dla wyobraźni. Jednak piersi Jusary podziwiane w tureckim hammamie wydawały się zbyt idealne na to, by się starzeć. Za to ich właścicielka zniechęcająco opowiadała o tym, jakie są ciężkie, jak niewygodnie się z nimi zbiega w dół schodów, że nie sposób chodzić bez stanika, który wpija się w ramiona, a w upalny dzień pod piersiami pojawiają się odparzenia, czy w ogóle jak to się nosi – te kilka kilogramów – jak plecak zawsze z przodu. „Mów se ta, mów, a ja swoje wiem, próbujesz nas pocieszać i tyle” – myślałam zazdrośnie. Jakoś trudno było uwierzyć w te empirycznie niepotwierdzone historie pozostające całkowicie poza obszarem doświadczeń właścicielki małych piersi. O, za to o ich wadach mogłabym napisać wówczas coś dłuższego niż skromne opowiadanie. Nie dość, że małe, to w ogóle ociążały się z pojawieniem, a potem z rośnięciem. Prawie wszystkie koleżanki miały już na co włożyć stanik, a ja? Mogłam co najwyżej pod nieobecność mamy (również właścicielki małych piersi) pożyć jej stanik i wypchać przed lustrem watą.

Kiedyś zapomniałam o tym rekwizycie i ubrana w obcisły podkoszulek z wizerunkiem Bolka i Lolka, kiedy zadzwonił dzwonek, pobiegłam otworzyć drzwi, za którymi stał... Jacek Krzysica – poeta, przyjaciel mego ojca. Zapaść się pod ziemię i to głęboko – to właśnie było moim marzeniem, absolutną potrzebą i koniecznością. Stałam w piasach, twarz mi pałała wstydem i cała uwaga skupiła się na tym, czy aby Jacek nie zauważył sztucznych piersi. Jednak potrzeba posiadania tego symbolu dorastania była tak silna, że jeszcze długo w zaciszu i samotności używałam waty. Kiedy wreszcie się pojawiły, nie lada wyzwaniem było kupienie tak małego stanika. Wierszyki typu „dziewczyzna Tereska z tyłu deska z przodu deska” albo dowcipy o plecach z przodu i możliwości pomylenia piersi z łopatkami zatruwały mi wyobraźnię. Na szczęście (jakby w ramach rekompensaty) były (choć) kształtne. Dopiero z biegiem lat odkryłam empirycznie ich zalety. Dla małych piersi bowiem czas jest łaskawy. Każde mają widać swój czas (dłuższy niż 5 minut). Dorodne, duże piersi mają swoje najlepsze lata w młodości, potem wypada za to zapłacić, kiedy to – jak pisze na fb poetka Roma Jegor – *robią się długie*. Małe są zawsze takie same. Niezmienne, wieczne. Nie zwiększają długości, nie zwisają pod własnym ciężarem. Małe piersi – mały kłopot. ●

Mam na tym poziomie także i osobiste doświadczenia, którym zazwyczaj towarzyszył uciążliwy stupor mózgu, zupełnie jakbym był poetą „z wyrokiem skazującym na ciężkie Norwidy” z wiersza pani Wisławej. Jakże często z chwilą „pierwszego dzwonka” nagle uświadamiałem sobie, że oto naprzeciwko przygotowanego prowadzącego miejsce zajął ktoś kompletnie przypadkowy. Kulminacją takiego stanu był mój wieczór autorski w pewnej bibliotece, do której dotarłem podczas moich spotkań autorskich zaplanowanych w dwóch odległych od siebie miejscowościach. O ile w czasie pierwszego z nich, na które dotarłem PKS-em z przesiadką w stolicy i półgodzinnym postojem po drodze na parkingu leśnego zajazdu, gdzie zupa pomidorowa kosztowała dwadzieścia złotych, zachowałem przynajmniej pozory pewnego pionu literackiego, to drugoczącą kłeską okazał się ten drugi. W tym miejscu muszę umieścić pewną dygresję – otóż mój pech polega najprawdopodobniej na tym, że większość ludzi uważa mnie za człowieka otwartego i serdecznego, stąd nie wymagającego specjalnych zachodów. Nic bardziej mylnego. Jedyłą osobą, która na pierwszy rzut oka trafnie mnie oceniła, był Krzysztof Siwczyk, który w czasie obiadu przed swoim spotkaniem autorskim w moim rodzinnym mieście powiedział: „Ty się tak często śmiejesz, że na pewno masz depresję”. Nie tylko ją. Posiadam również chorobę lokomocyjną, która w zależności od środka transportu (pasażer samochodu osobowego/pasażer autobusu) zuwała mnie z nóg. Żeby nie wchodzić w medyczne szczegóły, napiszę tylko, że w ramach jej bezpardonowego ataku w moim ciele odbywa się masowa emigracja płynów ustrojowych, chcących się przedostać poza jego granice wszelkimi naturalnymi otworami. Dlatego, kiedy gościnny gospodarz i zarazem organizator spotkania, od razu po wyjściu z rozklekotanego PKS-u, śmierdzącego paliwem i brudnymi oparciami siedzeń, zaprasza mnie na wódkę albo na szybką wycieczkę po lokalnych zabytkach – jestem w zasadzie już na starcie przegrany.

Wracając do wspomnianego drugiego spotkania, byłem wtedy po długiej podróży na to pierwsze (dwoma PKS-ami z przesiadką), po szybkiej i męczącej marszrucie po lokalnych atrakcjach, wreszcie też po długiej nocy w mieszkaniu rozmownego gospodarza, który w towarzystwie dwóch butelek rieslinga dotrzymywał mi towarzysystwa przez całą noc, a o świcie odprowadził na przystanek PKS. Tylko te dziesięć minut chłodnego poranka w drodze na dworzec stanowiły dla mnie jaki taki powrót do formy. Potem znów czekał na moje udręczone członki autobus i jego woń zmieszana z moją nieświeżą wonią, i oczekujący na mnie w kolejnej miejscowości inny gospodarz-organizator z własnym samochodem osobowym (*o tempora!, o mores!*). I bez spoczynku, od razu dewastująca mój chory błędnik szybka jazda po wyboistych bezdrożach (nie wiem, jakim nadludzkim wysiłkiem udało mi się nie skalać jasnej tapicerki), by w końcu wysiąść przed gmachem biblioteki tuż przed planowaną imprezą. I tego obryzganego własnym smrodem człowieka zaczęto grzecznie pytać o poezję... Gdybym tylko wtedy zdobył się na serdeczne: „spierdalać!” albo chociaż zuymiotował na własne buty, mógłbym jeszcze cokolwiek uratować. Ale nie, ja mimo wszystko usiłowałem powiedzieć coś sensownego, stąd mówiłem bez sensu. To już (czując, że organizator spotkania i zarazem mój gospodarz od chwili jego zakończenia patrzy na mnie z wyrzutem) wolałbym zaliczyć jeszcze jedno spotkanie sprzed kilku lat, na które nikt nie

przyszedł. Nawet nie było mi przykro, a wręcz odetchnąłem z ulgą. Nie wiem, czy taką samą ulgę czuł Zbigniew Wodecki, swojego czasu próbujący swoich sił jako pisarz, autor autobiografii „Pszczola, Bach i skrzypce”, na którego spotkanie w jednym z trójmiejskich domów handlowych nikt nie dotarł. Podobno wielki muzyk i wokalista robił dobrą minę do złej gry, popijając kawę i ucinając sobie pogawędkę z moderatorem niedosłęgo wieczoru autorskiego. Natomiast ja byłem wtedy w takiej fazie depresji, że sam na swoje spotkanie też bym chyba się nie wybrał. Podobnie jak i na to w pewnym pięknym, wielkim i starym polskim mieście, na którym prowadząca zapowiedziała mnie jako „wybitnego poetę młodego pokolenia” (byłem wówczas już po czterdziestce i do wybitności wciąż było mi równie daleko jak do Lampedusy) i nie zadając przy tym ani jednego pytania, zostawiła na pastwę publiczności. Nieodżałowany Zdzisław Jaskuła robił to po mistrzowsku. Nawet jeśli nie przeczytał książki autora (ewentualnie zapoznał się zaledwie z pierwszym i ostatnim wierszem tomu), którego wieczór miał poprowadzić, jego wrodzona intuicja i uwaga skupiona na nawet tak skąpych tekście pozwalała mu na gładkie prowadzenie rozmowy, a nawet wytwarzała wśród jej słuchaczy wrażenie, że Zdzisław jest krytykiem towarzyszącym indagowanemu poetę.

O dziwo, zaliczyłem również kilka spotkań, które wszyscy – oprócz mnie – uznali za udane. Najczęściej docierałem na nie jako kierowca własnego samochodu albo miałem przed nimi kilka godzin na odpoczynek po znoonej podróży, ewentualnie odbywały się one w moim mieście (mogłem dotrzeć na rowerze lub przyjść pieszo). Wtedy stupor ustępował, towarzyszyła mi wyłącznie mobilizująca trema. Upřednio nie zmasakrowany ciężką podróżą, mogłem nie tylko zaprezentować własne wiersze, ale i niejednokrotnie dać odpór wątpięcym. Między innymi pewnemu zadufanemu w sobie wykładowcy, który zarzucił mi brak pokory, skoro śmiem (użył tego właśnie słowa) występować na spotkaniach autorskich, mając na koncie wydanie ledwie dwóch książek poetyckich (tyle wtedy miałem). Poczulem się jak główny bohater filmu „Wojacek” (w tytułowej roli Siwczyk), który zapytany przez Stachurę (granego przez Roberta Gawlińskiego): „Pan coś studiuje?”, odpowiedział: „Nie jestem aż tak małostkowy”.

Podobno formuła spotkania autorskiego jest na wyczerpaniu. Na pewno w moim przypadku. Na szczęście dane mi było zobaczyć prawdziwych mistrzów (celebrantów) spotkań z czytelnikiem. Ironicznie-infantylnego Marcina Świetlickiego, erudycyjnego (z domieszką szlachetnego narcyzmu) Piotra Sommera, skupionego, pogłębionego Andrzeja Sosnowskiego, narracyjno-gawędziarskiego Bronisława Maja, dystyngowanego Jacka Dehnela, agresywno-pasywnego Konrada Górę, inteligentko-knjackiego Roberta Rybickiego, pantomimiczno-kompulsywnego Eugeniusza Tkaczyszyna-Dyckiego i wielu, wielu innych, którym wyposażony przez dopust boży w przewrażliwiony rozumek i rozmaite psychofizyczne doznania nie dorastam nawet do pięt. Bo najwidoczniej urodziłem się spoconym skrybą, którego nie tuczy pańskie oko. ●

łożył mi na szyję jedwabny biały szal. Uśmiechnął się przyjaźnie i zrobił gest w kierunku księgi.

Ktoś uderzył w wielki gong, wibrujący dźwięk rozszedł się w powietrzu po całych Himalajach. Zza Buddy wyszedł Lama. Przez chwilę nie mogłem rozróżnić, kto miał bardziej uduchowione oblicze: Budda czy on? Ich oczy – wrota nieba – zwierciadła przepastnej duszy. Poczulem wypełniające mnie ciepło, zamarłem.

Lama weszła gestem nowicjusza, który podarował mi powitalny szal. Chłopiec podszedł i coś wyszeptał do ucha Lamy. Mistrz zachichotał jak dziecko i klasnął z rozmachem w dłonie. Wskazał małemu miejsce przed Buddą: „A co mówi ci twój instynkt?”

Nowicjusz milczał przez chwilę, po czym zaczął się kręcić, tańczył jak szalony, wirował tak szybko, że jego szaty fruwały w powietrzu, porywając ze sobą do tańca dymy kadzideł i świec. Jego

postać się zamazała. Ostry pozostał tylko posąg Buddy. Trans trwał, aż Lama znowu klasnął. Nowicjusz, jak rażony piorunem, zatrzymał się. Parował jak koń po wyczerpującym biegu.

„Słuchaj instynktu, bo inaczej upłynie pół wieku” – pouczył go Lama. Spojrzałem w stronę nowicjusza, który w przeciągu chwili zamienił się na moich oczach w sześćdziesięcioletniego mężczyznę. Był teraz gotów na zadawanie pytań, ale ich nie zadał.

Klasnąłem w dłonie, aż mnie zapiekły. Chciałem sprawdzić, czy ja też jestem gotów. Spojrzałem na księgę, słowa same zaczęły się czytać: „Dopełnij przeznaczenia” – szeptał mój instynkt. ●



Piotr Gajda > Felieton

Pańskie oko

*Dwanaście osób jest na sali,
już czas, żebyśmy zaczęli.*

Wisława Szymborska, „Wieczór autorski”

Spotkania autorskie to stały element życia literackiego, chleb powszedni pisarzy i poetów, którzy wydali przynajmniej jedną książkę, a czasem i nie wydali, za to ktoś znajomy zrobił im spotkanie z czytelnikami, ponieważ mieli zadatki na jej napisanie. Autor znany i popularny może liczyć na spotkanie zorganizowane profesjonalnie, zawodowo, z odpowiednią reklamą. Plankton poetycki ma na to znacznie mniejsze szanse i niemal z definicji skazany jest raczej na bluesa niż na masową pieśń niesioną na ustach tłumów. Zostawmy zatem komuś innemu omówienie sukcesu literackiego Wisławy Szymborskiej we Włoszech albo prestiżu, jakim cieszył się Czesław Miłosz jako pisarz obszaru Zatoki San Francisco. Darujmy sobie przyczynę niesłabnącego powodzenia spotkań autorskich Marcina Świetlickiego, na których poeta – ku ucieście gawiedzi – przekształca się z Mr. Hyde’a w Mr. Hyde’a, tzn. ze Świetlickiego w Świetlika. Pochylmy się raczej nad spotkaniami autorskimi poetów, których

twórczość zna ich wydawca, kilku znajomych z branżowych portali i paru zaprzyjaźnionych poetów z okolicznych miast. Tutaj sprawa opiera się wyłącznie na dobrej woli i koleżeństwie (niekoniecznie w tej kolejności), a spotkania mają wymiar *stricte* „sekiarski”, czyli przychodzi na nie kilka wtajemniczonych osób (najczęściej z tej samej gałęzi towarzysko-literackiej). Spotkania tego rodzaju bywają niekiedy traumatyczne dla obu stron (mowa o prelegencie i o publiczności). Za przykład niech posłuży pewien festiwal, na którym organizatorzy zaplanowali cykl spotkań autorskich (jedno po drugim) z poetyckimi debiutantami, po dziewięćdziesiąt minut każde, kiedy do wypełnienia ich merytoryczną treścią wystarczyłoby jedna dziesiąta przewidzianego „czasu antenowego”. Albo kiedy prowadząca spotkanie z poetą na wstępie wyznaje, że nie lubi i nie rozumie poezji, ale podjęła się tej roli, ponieważ takie polecenie wydała jej pani dyrektor macierzystej instytucji. Lub w okolicznościach, w których skądinąd sensowne i erudycyjne wypowiedzi doskonale zorientowanego w historii i filozofii literatury interlokutora – ze względu na stan jego emocjonalnego pobudzenia, bądź alkoholowego podrażnienia – stają się groźnymi i deklaracyjnymi obietnicami kierowanymi wobec przerażonego całą sytuacją otoczenia.

Santa Monica, May 2019



Instykt nowicjusza

Nasz stały korespondent z Hollywood – MAREK PROBOSZ

Nie wiem, jak znalazłem się w tym pustym klasztorze tybetańskim. Nie tylko widok majaczącego za oknem Mount Everestu zapierał dech w piersiach, również wysokość pięciu tysięcy metrów sprawiała, że w błogiej ciszy słyszałem, jak mi serce wali na alarm.

Kolory, zapach kadzideł, spalające roślinny tłuszcz świece, złoty posąg Buddy – onieśmiały Europejczyk. Jak mam się zachować? Stać? Usiąść? Klęknąć? Podobne emocje dopadły mnie rok temu w Rosji, w Tatarstanie, kiedy przewodniczka pozostawiła mnie samego pośrodku muzułmańskiego meczetu, boso, na perskim dywanie. Tylko z Allachem, Koranem, promieniami słońca tańczącymi na kolorowych witrażach i żyrandolach.

Bezwiednie klęknąłem, a następnie usiadłem na piętach. Ani to modlitwa, ani medytacja. W myślach próbowałem rozwiązać zagadkę tej wizyty w zupełnie odrębnym, innym od wszystkiego, co dotąd znałem, świecie. Jakbym zamienił się w kamień i oczekiwał wśród

pustyni na samego siebie.

Z zamkniętymi powiekami czułem spokój i harmonię. Brak pytań, odpowiedzi, upływu czasu. Z błogostanu wyrwał mnie dopiero cichy szept, nie, to były szmerzące po drewnianej podłodze boscie stopy. Nie odwracając za bardzo głowy, zauważyłem za plecami tybetańskich mnichów w czerwonych szatach. Po dwóch, po pięciu, wypełniali klasztor, było ich kilkuset. Nikt nie usiadł przede mną. Wreszcie ucichło.

Nagle zatrzepotało coś w oknie, do środka wleciał purpurowy ptak – Olśniak Himalajski – i wylądował tuż przy mnie, po czym wypuścił z dziobu małą księgę, chcąc uwić w niej gniazdo. Ktoś mocno klasnął w dłonie, płosząc przepięknego ptaka. Odleciał, pozostawiając po sobie złożone w harmonię arkusze papieru, zapisane tajemniczymi znakami. Och! Jakże chciałem je zrozumieć. Ale cóż?

Wtedy podszedł do mnie mały chłopiec, mnich nowicjusz, i za-

ką i terkoczącą tarczą. Wykręcał numer, tak jakby nas nie było w drzwiach, i pytał, czy ktoś przyjdzie. Tyłem do nas, przodem do niewielkiego pulpitu stał drugi stary Żyd i cicho powtarzał słowa modlitwy. Zrozumieliśmy w mig, że to, co tutaj widzimy, to przygotowanie do nabożeństwa szabasowego, że ten, który stoi do nas tyłem, to Rabin, a ten drugi dzwoni do członków gminy, żeby się upewnić, czy będzie na modlitwie wystarczająca liczba mężczyzn.

Staliśmy tak w tym bladym świetle chwili, ale chyba trwała krótko, bo coś nas złapało za nogi i gardła i w ogóle nas całych i wybiegliśmy, zdaje się, nic nie mówiąc. I zdaje się, że gubiąc się wcześniej kilka razy, teraz znaleźliśmy szybko drogę na ulicę Berka Joselewicza. Dopiero wieczorem, pałac „Kapitana” z miękkiej paczki, któryś z nas zaczął, ale oszczędnie:

- Aleśmy upadli na tego Rabina.
- No, aż do tej pory coś mnie za gardło trzyma...
- Ale że co...?
- A ciebie nie trzyma?
- Noooo, trzyma... tylko powiedz ty pierwszy.

– Wiesz, że po tym wszystkim, co tutaj się stało, oni tu dalej są, że się nie dali, że ich modlitwa dalej jest odmawiana, że zbierają się nawet w kilku.

- Że tamtym się nie udało?
- Tak, taki wiesz, triumf życia i prawości nad zbrodnią...
- Nooo...

W małym telewizorku marki „Elektronika” leciała właśnie retransmisja z jakiegoś jazzowego festiwalu w Warszawie. Było bez znaczenia, kto pytał, a kto odpowiadał. To były słowa, które były do wypowiedzenia, tak czy inaczej. Albo i nie.

I tak się zaczęła ta podróż w głąb. Nazwij ją jak chcesz. Albo i nie.

Sen 16416. Sonderaktion Belostok

Ci ludzie są serdeczni, częstują kiszka ziemniaczaną i kartaczami. Polewają wódkę i bimber aż miło. Aż nie chce się wychodzić, rezygnować z gościny. Tym bardziej, że na mieście niespokojnie. Słychać śmigłowce, strzały. Marcin siedzi przy oknie. Mówi cicho, że zaatakowano nasz autobus. Przepraszam na chwilę i wstajemy od stołu, idziemy na balkon, żeby zorientować się w sytuacji, ale tak, żeby nikt z zewnątrz nie widział. Siedzimy w kucki i patrzymy przez szpary w obudowie. Rzeczywiście tłum wytatuowanych kibiców wali pięściami w blachę, kołysze pojazdem, w środku zdezorientowany kierowca, który drzemał w czasie przerwy coś krzyczy, gestykuluje, próbuje wyjaśnić przez uchylony łufcik. Stąd go nie słychać, nie widać też zbyt dokładnie twarzy, nie da się czytać z ruchu warg. No tak, autobus ze stylizowanym napisem „Rainbow tours” z boku. To musiało się tak skończyć.

W końcu do tłumu dołącza policja z pałkami. Tłum bije brawo, słychać pojedyncze głosy przez rumor, oderwane frazy. Coś jak:

- Bra-wo-psy! Bra-wo-psy!

Władza z ludem, lud z władzą. Wybijają drzwi, policjantka, która była pierwsza, bije kierowcę pięścią w twarz. Raz. I drugi. Dołączają inni. Wywalają rzeczy ze schowków.

– Ożesz kurwa – mówię do Marcina, który patrzy w milczeniu – zapomniałem książki zabrać z przedniego siedzenia... I widzę, że już je mają, rozkładają kartki, rzucają do góry, jakby

myśleli, że to, co ważne, można jedynie ukryć między kartkami, w wyżłobionej skrytce.

– No to co z tego? – szepcze Marcin, co jest zabawne, bo przecież z tej odległości nikt nas nie może usłyszeć. W każdym razie nikt z tych w autobusie.

– No jak to co? – mówię normalnym głosem. – Autobus „Rainbow Tours”, a w nim literatura o Zagładzie, wspomnienia Perechodnika, dzienniki Korczaka. Na pewno też przy kierowcy została lista noclegów, adresy, nazwiska...

Słyszę, jak Marcin przełyka ślinę i słyszę, że robi to z trudem, a potem mówi zduszonym głosem:

- O kurwa... stary, musimy stąd spierdalać.

– No to już – mówię – zaraz. Plecaki są w przedpokoju, powiemy, że idziemy po papierosy do kiosku za rogiem.

- Nie uwierzą.

– Jak są mili, to uwierzą, wiedzą, skąd przyjechaliśmy, słyszą, co się dzieje na mieście.

Wchodzimy do pokoju, rodzina patrzy na nas w milczeniu. No cóż, nie było nas dosyć długo.

– My z kolegą musimy skoczyć po fajki do kiosku... – zaczynam niezdarnie i wtedy ojciec rodziny, zażywny Pan Tolek, podnosi się z krzesła, podchodzi do nas, podaje rękę i mówi:

– Ja wszystko rozumiem, bagaże są spakowane, żona dała troszku kiszki na drogę, proszę o nas źle nie myśleć, my wszystko rozumiemy...

– A drogą niech Panowie nie idą – dodaje Walentyna, żona Pana Tola. – Tam wszystko już obstawione, trzeba tutaj niedaleko w polu torry znając, tam pociągi nocą zwalniają, posiedzieć w krzakach trzeba za dnia, a jak się ściemni – hyc na towarowy, na węglu się położyć i jechać. Jak minie Łapy i będzie już w stronę Bugu – wyskoczyć. Tylko ostrożnie, żeby nogi nie zwichnąć czy złamać, bo tamci czasem chodzą wzdłuż torów i jak kogo znajdo, to bój się Boga...

– A i jeszcze jedno – rzuca Pan Tolo, kiedy zakładamy buty. – Tak z tymi plecakami, razem za bardzo się nie pokazujcie, wiecie co dzisiaj na mieście, ja wiem, że wy nie ten, no tego, ale wiecie, dwóch chłopaków, plecaki, w plecakach książki, to znaczy dzisiaj same kłopoty... No, z Bogiem...

Widać, że nas nie poganiają, ale rozumieją powagę sytuacji i wprawdzie nie wskazują drzwi, ale już pora na nas.

Faktycznie, chce się palić. A nie paliłem już piętnaście lat, ale to jedna z tych chwil, kiedy się należy. Przez moment się zatrzymujemy przed wyjściem z budynku. Marcin wyciąga z plecaka vouchery podróżne „Rainbow tours”, ja robię to samo. Chwila zawahania, czy wyrzucać tutaj do zsypu na śmieci na klatce. Znajdą jakieś opiłki i cała klatka będzie trzepana, że przyjaciele lewackich szmat, a tu dzieci, starsi ludzie.

– Wywalimy po drodze, po kawałku, tak żeby wiatr rozniósł, to nikt nie będzie miał kłopotów – słowa Marcina brzmią jak dobry plan.

– Ty, to może naprawdę się rozdzielmy – mówię. – Wiesz, nas dwóch, te plecaki, książki, jeszcze jakiś zwitek z podróży z kieszeni wypadnie...

- Weź nie pierdol – mówi i kopniakiem otwiera drzwi. – Idziemy. Do zmirzchu pozostało nam jeszcze kilka godzin. ●

– Żydzi, tak, od tamtego czasu, są wszędzie – zaczęła od razu, nie wiedzieć dlaczego, dyszeć – wszędzie się pchają, szkoda, że ich rozumianie nie wytknęło w tej ich Palestynie, ile by to załatwiło, byłby spokój, a tak teraz wszędzie, wszędzie, w Polsce, na świecie, w bankach ... uch... kurwaaaa...

Ostatnie słowo tak do niej nie pasowało, że aż Nosiciel podniósł wzrok, a myśmy z Tomkiem i Artkiem spojrzeli po sobie rozszerzonymi źrenicami. Na co Tomek spojrział na nią i powiedział:

– Blanka, ale uważaj, co mówisz – i łypnął na mnie znacząco okiem – przecież Radek to jest jeden z N I C H, popatrz, jaką ma brodę, nos, czaszkę...

Blanka jeszcze z czerwonymi plamami na twarzy, jak jakaś krwawa salamandra, spojrzała na mnie z półotwartymi ustami, a ja beznamiętnie powiedziałem tylko, patrząc ponad jej głowę:

– Ekhm, ja tu skręcę, na razie...

I skręciłem bez słowa w stronę Studenckiej 13. Kiedy się spotkaliśmy tego wieczora w sali telewizyjnej PTSM, chłopcy pokładali się ze śmiechu z udanego dowcipu. Mówili, że Blanka cały czas dopytowała się, czy aby na pewno ten Radek jest Żydem i skąd oni to wiedzą, a oni, robiąc mądre miny, dorzucali co chwila jakiś nowy szczegół, a że wymyślali na bieżąco, dopasowując podaż do popytu, to po półgodzinie byłem już cadymkiem, rabinem, agentem Mossadu i attaché wojskowym ambasady Izraela oraz współpracownikiem Simona Wiesenthala. I ona we wszystko to uwierzyła.

– Mówcie mi Kirschbaum – powiedziałem, a oni nie tyle wybuchli śmiechem, co śmiali się dalej. Bo cała ta Blanka była jeszcze bardziej śmieszna od skinów, Stolzmana i Leszka Bubla razem wziętych. Była daleko za progiem tego, co uznawaliśmy za oswojone i normalne, stąd ten śmiech.

Na kolokwium z historii starożytnej Bliskiego Wschodu zdarzyło się, że Blanka siedziała przede mną. Chyba miała kłopoty, bo próbowała coś podejrzeć spod ramienia. A ja, chociaż nikomu nie bronięm ściągac i bywało, że sam zapuszczałem żurawia tu i ówdzie, teraz i później, to jakoś tym razem pilnowałem, żeby moja prawa ręka, albo lewa ręka, utrudniała ogląd kartki. Podwijałem górną krawędź papieru niby to coś czytując, potem zasłaniałem całą dłoń, niby to pisząc w zapamiętaniu. Po prawdzie też niewiele miałem do powiedzenia, ale udawałem, że idzie mi świetnie. Wreszcie Blanka skręciła się wokół szczupłej kibici, zarzuciła włosami i w teatralnym geście wysunęła w moją stronę rękę z piórem, pewnie jakimś Mont Blanc albo Waterman.

– A wiesz, Żydku – pochyliła się ku mnie i szepnęła konfidencjonalnie – to pióro kosztowało tysiąc złotych...

Podsunałem jej pod nos tani długopis Bic, kupiony gdzieś w kiosku koło dworca, ze śladami zębów na skuwce.

– A wiesz – uśmiechnąłem się bez pokazywania zębów – to jest darmowy długopis z biura Mossadu, mogę ci odsprzedać za dwa złote, bierzesz?

Momentalnie nabrała kolorów na twarzy jak wspomniana wyżej salamandra i odwróciła się do swojej ławki z takim rozmachem, że spadła jej kartka z egzaminem.

Nie odezwała się już do mnie ani słowem do końca roku akademickiego – czyli przez cały semestr.

Zresztą do Tomka i Artura też.

A gdzie się zaczyna ta historia, ach gdzie?

Krzywy mieszkał wtedy w wynajmowanym pokoju u starszego Pana przy ulicy Berka Joselewicza w Krakowie, która – jak się później dowiedziałem – uchodziła za umowną granicę Krakowa i Kazimierza, chociaż tą granicą, dużo bardziej wyraźną, było stare koryto Wisły zamienione w XIX wieku na ulicę Dietla. Co zjazd umawialiśmy się, jak to mówiliśmy, „na herbatkę u starego Suchockiego”, nawet gdy stary Suchocki zmarł i w ogóle go nie było.

Zdaje się późną jesienią 1993 roku, w jeden z moich długich weekendów, Krzywy zaprosił mnie na spacer po Kazimierzu. Musiał być piątek. Byliśmy obaj świeżo po obejrzeniu „Listy Schindlera”, która była filmem ważnym. Teraz pewnie inaczej bym na nią spojrział, ale była ważna. Także dlatego, że ta produkcja miała miejsce w Polsce, że grały w niej polskie pejzaże, a nawet polscy aktorzy w jakichś epizodach, że posypały się Oscary. Ale chyba istotne było także to, że do naszych niespełna dwudziestoletnich głów pasyjnych serialami typu „Cztery Pancerni i pies” – dotarło, że jednak doświadczenie żydowskie i polskie tego, co zbiorowo nazywało się okupacją hitlerowską, było krańcowo inne. I nie chodzi o to, czy film był świetny, czy nie, czy czasem nie było tak, że jego obejrzenie poprzedzała lektura wspomnień Szymona Wiesenthala. A chyba tak było, bo z tzw. kawałów o Żydach przestałem się śmiać i przestałem je tolerować w swoim otoczeniu jakoś przed maturą. I było to w ścisłym związku z tą lekturą. Istotne jest, że coś nam świtało w tych durnych łbach.

Kazimierz był zupełnie innym miejscem niż teraz. Wiele domów wyglądało, jakby czekało na wyburzenie, nie było ciągów knajp, księgarń, sklepików, pubów. Była wszechładna pustka, a na wiele, wydawałoby się zamkniętych, podwórek, do wielu zamkniętych klatek można było wejść ot tak. Era domofonów była daleko przed nami. Podobnie jak era kamer monitoringu. Zarazem jednak to włączenie się po ruinie, po podwórkach-studniach, naciskanie zardzewiałych klamek, skrzyń zawiasów, trzeszczenie desek w schodach dawało poczucie obcowania z czymś naprawdę. To nie była maskownica, makieta, która miała dawać wyobrażenie tego-co-było. Bo to, co było – wcale jeszcze nie przeminęło. To trwało. Poznawaliśmy całe kadry z „Listy Schindlera” i błędziliśmy w miejscach, gdzie kamera nigdy nie zbłądziła. I to całkiem poważnie. W jednym miejscu, w jakiejś studni wymarłej kamienicy spłoszyliśmy nagle wszystkie gołębie. Zrobił się huk, palba, jakby ktoś strzelał. Uciekliśmy na oślep.

I tak łażąc, dokonując co jakiś czas tzw. „wtargnięcia”, weszliśmy w jakieś drzwi na tyłach ulicy Szerokiej, albo od frontu, nie pamiętam. Pukaliśmy, nikt nie odpowiedział, nacisnęliśmy klamkę – nie było zamknięte. Było już późno, piątek jesienią szybko chylił się ku końcowi. Weszliśmy do ciemnego korytarzyka, na końcu którego jaśniały słabym blaskiem resztek dziennego światła drzwi. Poszliśmy w tamtą stronę, tym bardziej że było słychać stamtąd ludzkie głosy. Trudno w to uwierzyć, ale nie spotkaliśmy w czasie kilkugodzinnego spaceru zbyt wielu osób.

Weszliśmy do pomieszczenia, w którym bokiem do nas siedział stary Żyd w kipu na głowie i wykręcał numery ze starego stacjonarnego, bakelitowego aparatu telefonicznego. Takiego ze słuchaw-

Trzeba, ludzie powinni wiedzieć, na kogo głosują, tu jest sejm, a nie kneset! Musicie, Panowie, być tego świadomi, musicie to wiedzieć. Jakoś nie podejmowaliśmy tematu, czekaliśmy, co będzie dalej.

– No, wymieńcie jakiegos polityka, no, powiedzcie mi na przykład, kto jest ministrem obrony narodowej, no.

– Nooo – powiedziałem – ...eee, Janusz Onyszkiewicz.

Stolzman aż podskoczył znouu na krześle, łypnął wytrzeszczonymi oczami i krzyknął:

– O właśnie! Jaki on Onyszkiewicz, to jest, to jest – nabrał powietrza w płuca – J o j n e G r i n b e r g! Ż y d!

Trochę nas zatkało, więc pomiędzy kolejnymi podskokami Stolzman dopiliśmy herbatę z rumem i tłumacząc się, że rano egzaminy wstępne, ewakuowaliśmy się do spania. Rano poleciliśmy szparko na uczelnię, ale Pan Stolzman uparł się, że musi nas odprowadzić na dworzec po egzaminach. A nas jakby coś ugryzło po wczorajszym wieczorze i zaczął chyba Krzywy:

– Panie Stolzman, bo tak rozmawialiśmy z kolegą wczoraj wieczorem, że to rzeczywiście nie powinno być dłużej ukrywane i chcieliśmy Pana zapytać, jak się nazywa ta Żydówka, no ta, co teraz premierem jest, no, jak jej tam...

– Mówią, że Suchocka – dorzuciłem z boku z pokerowym wyrazem twarzy.

– A tak, tak – powiedział Krzywy – i jeszcze ten Żyd od finansów...

– Balcerowicz – dorzuciłem w takt – i jeszcze minister spraw zagranicznych...

Stolzman zrobił się czerwony na twarzy, zatrzymał się i wycedził tylko:

– Dobrej podróży Panom życzę...

Po czym zaurócił w kierunku domu. Ledwo zniknął za zakrętem, a gruchnęliśmy serdecznym śmiechem, który nie opuszczał nas dobrą chwilę, tym bardziej że Krzywy co chwila robił głupie miny, podskakiwał, przeuracał oczami i udawał, że krzyczy:

– Jojne Grinberg! Jojne Grinberg!

Ten cały Stolzman wydał nam się kompletnie absurdalną postacią, tak jak skin z piosenki zespołu „Big Cyc”, którą się śpiewało na każdym ognisku, przy winie i bez wina. I jeszcze to nazwisko, i ta Matka Boska, i trzy razy rumu pod wersalką czy tam kanapą. To wszystko nie mogła być prawda, a jeżeli była to jakaś prawda, to w rodzaju wiarygodności literackiej postaci, która była potrzebna do narracji, ktoś ją wymyślił, napisał, ale była tak nieudana, że ją zostawił w tym mieszkaniu w modernistycznej kamienicy w Krakowie i porzucił jakieś sześćdziesiąt lat temu za czasów pierwszej endecji.

Nie podejrzewaliśmy nawet, że życie udzieliło nam właśnie pierwszej lekcji o tym, że porzucone postaci literackie bywają nader często bardziej żywotne, niż to się z pozoru wydaje. Nigdzie im się nie spieszy. Siedzą, piją rum i czekają cierpliwie na swoją kolej. Mają czas.

Narodziny Radka Kirschbauma

Wtedy, kiedy nocowaliśmy u Stolzmana razem z jego 3 kratami rumu, nie dostałem się na psychologię. Krzywy się dostał, a ja nie. I Krzywy zamieszkał w wynajętym pokoju w starego Suchockiego na ulicy Berka Joselewicza, dokładnie tam, gdzie świeżo co wmurowano tablicę pamiątkową Mordechaja Gebirtiga. Na Berka Joselewicza wi-

dywaliśmy się z Krzywym najczęściej wtedy, kiedy na zajęcia przyjeżdżałem w piątek rano, uzględnie czwartek wieczór prosto z kursów czarów-marów i bioenergoterapii z Katowic, czyli raz na dwa tygodnie. Zamiast na psychologię dzienną, zostałem wstawiony na historię zaoczną UJ. Niby niedaleko, wówczas ledwie piętro wyżej od psychologii w Collegium Witkowskiego, Gołębia 13. Ale jednak daleko.

Była z nas niezła zbieranina, nauczycielki na przekwalifikowanie czy podnoszenie kompetencji zawodowych, kilku uciekinierów przed wojskiem i sporo tych, którym noga na wstępnych się powinęła tu i ówdzie, i snuli plany, co będą robili za rok, kiedy powetują sobie nie najlepszy występ z tego roku. Razem gdzieś ze 130 osób, w wieku od 19 do 79 lat, na różne sposoby kombinujących, jak obniżyć koszty, wysiłek, nakład pracy i jakoś się dotoczyć do nowego roku. Wielkiego zapалу nie było do niczego. Razem z nowo poznanymi kumplami – Arturem i Tomkiem wybraliśmy wariant noclegowy na zbiorowej sali w PTSM na Oleandrów. Do 26 roku życia płaciło się tam ułamek ceny rynkowej; przypominam rok 1993, nie wszystko jeszcze było na sprzedaż. Było blisko na zajęcia, w miarę blisko do dworca na piechotę. Artur był z Nowego Sącza, Tomek z Rabki, ja z Brzegu. Małomiasteczkowa batiarka. Kiedy zaczynałem studia, w zasadzie nie paliłem. Ale o ile w piątek widywałem się z Krzywym, to w sobotę, niedzielę sił po zajęciach było tylko na nasiadówkę w sali telewizyjnej PTSM z kolegami z roku. Nie pamiętam, czy piliśmy piwo, ale koledzy kopcili ogromne ilości papierosów i zawsze po bratersku kładli otwartą paczkę na stół, żeby kto chciał się częstował. A że było nas trzech, to częstowałem się ja. I tak to się zaczęło na nowo z tymi fajkami. Sporo gadaliśmy, nie pamiętam już o czym, po czym walił się w piętrowe pryce na kilkunastoosobowej sali razem z handlarzami nart jesienią i zimą oraz małolatami z wycieczek licealnych latem i wiosną.

Na roku mieliśmy koleżankę, krakuskę z krwi i kości, dosyć wydawałoby się dystygowaną mimo młodego wieku, urody delikatnej, ale w rodzaju tej delikatności porcelany, co to się boisz wziąć do ręki, kichnąć, bo masz przeświadczenie, że zaraz pęknie i już nie posklejasz. I oczywiście od pierwszego zjazdu wszyscy się zastanawiali, co ona, ewidentnie dobrze sytuowana miejscowa panna na wydaniu, robi na zaocznych studiach. Jeden kolega to nawet tak się tym zafrapował, że od pierwszych zajęć zaczął nosić za Blanką torbę, jak to bywało w przedwojennej szkole podobno. Taki adorator-nosiciel się z niego zrobił. I kiedyś idziemy plantami na przerwę obiadową. Blanka i jej Nosiciel do Chimery albo cholera wie gdzie, Tomek z Arturem do mlecznego na Floriańską, a ja do jadłodajni Hare Kriszna na Studencką 13. Była sobota, więc kasę wydałem wówczas już na książki, miałem kupiony bilet na pociąg powrotny i cztery butelki mineralnej, żeby z pragnienia nie umrzeć. U Hare Kriszna płaciło się zdaje się 5 złotych i jadło się tyle, ile było potrzeba. Nie więcej i nie mniej, żeby nie wyrzucać. I na taki miałem w sobotę i niedzielę limit na jedzenie. Mama nic nie wiedziała, że przejadam zaskórniaki rodziny na książki, zamiast się porządnie odżywiać. Bywało, że zostawałem w niedzielę tylko o wodzie mineralnej i fajkach od chłopaków.

Idziemy więc, gadamy coś o starożytnej, bo akurat sesja się zbliżała. I coś było o rzymianach, powstaniu za czasów Flawiusza, kiedy nagle w Blankę jakby ktoś roztopionego metalu wstrzyknął. Cała poczerwieniała i w takt stukotu obcasików na alejce zaczęła z siebie wyrzucać urywane zdania:



E s e j

Polin.

Po marginesach

Radostaw Wiśniewski

Jojne Grinberg

*Nalóż czapkę skinie, skinie nalóż czapkę
Kiedy wicher wieje, gdy pogoda w kratkę
Uszka się przeziebią, kark zlodowacieje
Resztki myśli z mózgu wiaterek przewieje
(Big Cyc, „Ballada o smutnym skinie”)*

To był czerwiec 1993 roku. Mieliliśmy właśnie jechać na egzaminy wstępne na studia. Babcia Krzywego jakoś o nas się troszczyła, uznała chyba, że to ważny moment w życiu i tak jak potrafiła, chciała mieć w nim swój udział. Poleciała nas swojemu koledze z komunistycznego więzienia we Wronkach. Wiedziała, że mieszka w Krakowie, opodal Kleparza. Nie pamiętam już, czy ustalała to telefonicznie, czy listownie, w każdym razie Pan Stolzman miał na nas czekać w swoim mieszkaniu. Tam mieliśmy się zainstalować na dzień, dwa, na czas egzaminów, przekazać chyba kilka słów od Babci Krzywego i w razie czego, gdyby zaszła taka potrzeba, znający lokalne układy Pan Stolzman miałby nam też pomóc jesienią przy poszukiwaniu lokum. No, szansa była mierna, by obu nam się udało sztuka dostania się na studia, które uchodziły wówczas za bardzo elitarne – w roku, w którym zdawaliśmy, było jedno miejsce na ponad dwadzieścia osób. No ale trzeba było spróbować. Czerwiec był ciepły. Z dworca do mieszkania, kierując się adresem zapisanym na zwitku papieru, szliśmy jakieś dwadzieścia minut. Zadzwoniliśmy domofonem, bo był w klatce taki zamontowany, i weszliśmy do chłodnej, modernistycznej kamienicy.

Mieszkanie było urządzone skromnie – głównie przedwojenne sprzęty albo wyglądające na przedwojenne; szafy, krzesła stół, wersalka i do tego niewątpliwie powojenny czarno-biały telewizor. Pan

Stolzman był początkowo bardzo serdeczny, nie poczęstował nas niczym do jedzenia, ale od razu zaproponował rum albo herbatę z rumem. Na tę ostatnią zgodziliśmy się obaj, zresztą była paskudna paskudnością rumu. Zresztą kiedy Pan Stolzman poszedł znowu po coś do kuchni, ale raczej nie po jedzenie, któryś z nas zajął przypadkiem pod kanapę, pod którą odkryliśmy trzy buteleki najpodlejszego rumu „Golden” prosto ze sklepu firmowego „Polmos”. Dopiero kiedy Pan Stolzman wrócił, mówiąc coś o córce, z której jest bardzo dumny, bo skończyła medycynę – dostrzeżliśmy na jego twarzy delikatne pajęczki rozszerzonych naczynek krwionośnych na policzkach i nosie. Po pierwszej herbatce przyszła kolej na drugą, nasz gospodarz trochę się rozluźnił, zaczął wyciągać świadectwa swojej patriotycznej postawy, jakieś dokumenty dotyczące zatrzymania, kawałek bibuły o Narodowych Siłach Zbrojnych z lat 80-tych. Opowiadał o tym, jak Matka Boska ostrzegła go we śnie przed aresztowaniem, ale widać nieskutecznie, bo złapali go i wsadzili do więzienia razem z byłymi AK-owcami, tam właśnie, gdzie poznał Babcię Krzywego. W tle ciągle pracował czarno-biały telewizor, było otwarte okno, jedna żarówka nad stołem dawała żółtawy poblask w mieszkaniu, które i bez tego wydawało się poźółkłe i zakurzone. Widać było, że mieszka tutaj sam, z trzema, a może więcej, kratami paskudnego rumu, którego niewątpliwie na co dzień nie mieszał z herbatą.

Nagle ożywił się i wrzasnął, widząc jakiegoś polityka w telewizji: – No patrzcie, Panowie, patrzcie, wszędzie te Żydy teraz się pchają! Popatrzylimy na siebie z Krzywym zdziwieni i chyba to było po nas widać, bo Stolzman usiadł ciężko na krześle i powiedział: – No wszędzie się pchają, nie wiercie im, oni są wszędzie. I jeszcze nie pod swoim nazwiskiem, tylko Polaków udają! Jak ten Michnik, ten Kuroń, wszystko Żydy jeden w drugiego! A to trzeba ujawniać!

księdzem Jakubem, spełnia jego polecenie nie do niej skierowane i przypląca to życiem. Staszko Indorek, nadurazliwy i autystyczny, beznadziejnie zakochany jest w Grażynce, która go lekceważy i źle traktuje, poświęca dla niej życie. *Pogrzeb kartofla* – niemowa Pasiasia zakochany jest w miłości Jurka i dziedziczki, którą obserwuje i którą się cieszy, ma smutną świadomość, że sam nigdy takiej nie przeżyje. *Historia kina w Popielawach* – beznogi Kulawik beznadziejnie kocha Chanutkę Piątą, ale nie może liczyć na jej wzajemność, kupuje więc jedno zbliżenie z nią za przysługę, jaką ma być spalenie kinomaszyny, zazdrość o Józefa Piątego doprowadza go do samobójstwa. *Grający z talerza* – skrzypek Lunda ma złamane serce, ponieważ jego ukochana porzuciła go dla innego mężczyzny, który kupił jej sukienkę i zbudował dla niej dom, czego on, jako artysta oddany swej sztuce, nie potrafił uczynić.

W Jańciolandzie istnieje jeszcze jeden wzorzec miłości – łączący ludzi starych. W powszechnym przekonaniu taka miłość jest społecznie wstydliva, choć filmowe melodramaty i komedie romantyczne powoli ją osuwają, życzliwie pokazując dojrzałych wiekiem kochanków – m.in. *Jesienna miłość* (1994), *Co się zdarzyło w Madison County?* (1995), *Wróżby kumaka* (2005), *Po prostu miłość* (2008), *Do zakochania jeden krok* (2017). W *Piejo kury piejo* (1996), *Umieranku* (1984) i *Ładnym dniu* (1988) bohaterowie są naprawdę starzy, przeżyli ze sobą pół wieku, nie w głowie im już miłosne egzaltacje, darzą się za to szacunkiem i troską, są ze sobą związani silniej niż niejedna młoda para. Przypominają dwoje rozbitków na bezludnej wyspie, zdanych tylko na siebie i w sobie szukających oparcia przed kłopotami życiowymi i przede wszystkim przed śmiercią. Ich miłość nierozdzielnie związana jest bowiem z lękiem przed tym, które umrze pierwsze. Zupełnie jak w wierszu Józefa Ignacego Kraszewskiego „Dziad i baba”:

(...) Żyli bardzo szczęśliwie
I spokojnie jak w niebie,
Czemu ja się nie dziwię,
Bo przywykli do siebie.
Tylko smutno im było,
Że umierać musieli,
Że się kiedyś mogiłą
Długie życie rozdzieli.
I modlili się szczerze,
Aby Bożym rozkazem,
Kiedy śmierć ich zabierze.
Brała oboje razem. (...)

W *Umieranku* i *Ładnym dniu* mężowie umierają pierwsi, pozostawiając samotne żony w „chatkach maleńkich”, z których pewnie zostaną odstawione przez dzieci do domu starców, jak to się dzieje w *A gdzie moje kare konie* (1996). W *Piejo kury, piejo* staruszek przywozi do domu kurczątko, symbol wiecznie odradzającego się życia, i siada wraz z żoną na przyzbie, oboje zdają się czekać na śmierć sygnalizowaną przechodzącym mimo konduktem pogrzebowym.

Nie można pominąć jeszcze jednej miłości, specyficznej, ale niezwykle silnej, jaka pojawia się w *Historii kina w Popielawach* – miłości do kina. W połowie XIX wieku kowal Józef Andryszek

Pierwszy konstruuje maszynę do ożywiania nieruchomych obrazów – z pomocą św. Rocha, który podpowiada mu dwa istotne rozwiązania techniczne: jak zrobić „serce maszyny”, czyli element do przesuwania taśmy o kształcie kromki chleba, oraz rybnie pęcherze i macherynię (wysuszony pęcherz zwierzęcy) na błonę przepuszczającą światło. Twórcza pasja Józefa przesłania mu cały świat. O wszystkim mówi niechętnie „wcale mnie to nie cieszy”, gdyż pochłonięty jest swą *idée fixe* i w nic więcej tak naprawdę się nie angażuje. Gdy kocha się z żoną, nagle przerywa pieszczoty, by dorysować jakiś element do rysunku maszyny wiszącego nad łóżkiem. Potem w ogóle unika miłosnych kontaktów z Jagodą, która go prosi: „Jestem młoda, mam krew, serce i nie chcę dłużej czekać”, Józef: „Ona też ma serce i krew (...) Maszyna... Ona jest jak człowiek, który chce, żeby go ożywić. Nie potrafię jej odmówić”. Andryszek nie wydaje się specjalnie zazdrośny o dziedzica, który egzekwuje prawo pierwszej nocy z jego żoną, nie szaleje za piękną dziedzicową, ale wykorzystuje ją jako modelkę do naszkicowania faz jej tańca. Nawet przy Chanutce Pierwszej myśli o nie skończonej maszynie, do której nie zdążył wymyślić źródła światła. Gdy umiera samotnie na zaśnieżonym polu, nie wspomina rodziny czy pozostawionej Chanutki, w przedśmiertnej wizji widzi swą maszynę, którą uruchamia spadająca gwiazda. Przez lata maszyna była zwiędłą rywalką trzech kobiet Józefa Pierwszego. Nic dziwnego, że po jego śmierci Jagoda sprzedała jej prototyp, pewnie z mściwą satysfakcją, panom Lumière’om z Paryża i sprawiła mężowi „piękny pogrzeb”.

W środku XX wieku maszyna pradziada stała się rywalką Weroniki, żony Józefa Piątego, która „nie lubiła tej maszyny”. A Chanutka Piąta, nie mogąc zniszczyć pamięci Józefa Piątego o zmarłej Weronice, wynajmuje Kulawika, by spalił remizę wraz z aparatem kinowym, to jest jej „zemsta z miłości”. Udręczony Józef niszczy konstrukcyjne rysunki Józefa Pierwszego, ale potem odtwarza je z pamięci, udowadniając, że także obdarzony jest talentem twórczym. Maszyna i kino stały się obsesją następnego Andryszka, Szustka. Ojciec próbuje go przed nimi uchronić, prosi: „Zostaw to, synuś. To miesza w głowach”, ale już jest za późno, Szustek nie chce być kowalem, a wynalazcą. Zakochuje się w Jadźce, bohaterce z filmu Janusza Nasfetera *Kolorowe pończochy* (1960), i ona przychodzi do niego we śnie, by go pocałować i uleczyć z gruźlicy. Jego przyjaciel Staszek konkluduje: „Szustek wierzy, że to film przywrócił mu zdrowie. Jeżeli to prawda, to kino ma naprawdę wielką siłę”.

We wszystkich jańciolandzkich romansach objawia się przeświadczenie, że filmowi bohaterowie spotykają partnerów przeznaczonych im przez los. Dominuje w nich wiara w siłę i trwałość miłości łączącej dwoje ludzi we wspólnym życiu, a gdy z różnych powodów muszą się oni rozstać, to w wiecznie zachowaną pamięć o tym uczuciu. Przejawia się także krzepiąca nadzieja na odzyskanie miłości utraconej i jej ponowne rozkwitnięcie. ●

Kochają się oboje stateczną małżeńską miłością. Starają się usilnie, acz osobliwym sposobem, o potomstwo. W tym celu Jańcio już jedenasty raz zawiesza żonę na belce głową w dół, aby – jak mówi – za sprawą „mocy obciążenia ziemskiego (...) co potrzeba spływało, dokąd potrzeba, żeby się tam zagnieździć tak, jak potrzeba”. Gdy Weronka nieśmiało protestuje, że inne kobiety zachodzą w ciążę bez tego sposobu, Jańcio stanowczo stwierdza: „Inne może bez sposobu, na ciebie taki sposób”.

Gdy Jańcio zyskuje pewność, że ma wyruszyć w świat, by pełnić misję uzdrawiacza jego zdaniem nadaną mu przez Boga, bez najmniejszych skrupułów zostawia ciężarną już Weronkę i gospodarstwo. Nie różni się w tym od większości mężczyzn realizujących to, co uważają za swe powołanie, bez oglądania się na rodzinę i konsekwencje. Jedynie, czego się obawia, to niewierności młodej i urodziwej żony, dlatego kochająca go szczerze Weronka proponuje, by ją oszpecił i uciął jej język, bo wtedy „lżej mu będzie w świecie odchodzić”. Jańcio odrzuca podawaną mu brzytwę i krzyczy: „Jezu, dlaczego wyrzywasz mi duszę?”. Nie zmienia jednak swej decyzji, a Weronka nie protestuje, pomaga mu wziąć na plecy cebrzyk z cudowną wodą i zostaje sama, śpiewając:

Co ja biedna zrobię?
Pójdę w pole, żal wypłaczę,
Z losem się pogodzę.
Taka mała – nic nie znaczę.
Jak kamień na drodze.

Weronka zajmuje się gospodarstwem, nosi ciężę i czeka na męża. Najpierw oboje za sobą tęsknią i porozumiewają się telepatycznie, on: „Weronka, lato idzie, tęskno mi do ciebie, ale muszę ponieść swój ciężar”, ona: „Jańcio, lato idzie, tęskno mi do ciebie, ale jakoś zmożę tęsknotę”. Potem, gdy sława Jańcia staje się coraz większa, ich więź się urywa, bo on zapomina o żonie. Wreszcie przybywa w odwiedzin, nie jest już dobrodusznym wiejskim mędrce, ale nadętym pychą paniskiem, otoczonym barwnym, rozpustnym dworem. Przed opuszczeniem domu Jańcio domagał się od Weronki dochowania mu wierności, sam natomiast swobodnie korzysta z nadarzających się okazji i względów, jakimi darzą go wdzięczne kobiety. Pogardliwie gardzi wiernością żony: „Ja wierności mam pod dostatkiem”, oczekiwany przez nią dzieckiem: „Ja takich brzuchów zrobiłem na okolicę z kilkanaście”, jej barchanową bielizną: „To ja przy tym mam zostać? Przy barchanie?” – dziewczyny z jego haremu noszą bowiem seksowne, koronkowe *dessous*.

Dopiero po klęsce swej misji i nieudanej próbie zawrócenia czasu Jańcio uświadamia sobie, jak ważna jest dla niego miłość żony. Trwała przy nim niezłomnie, gdy snuł rojenia o staniu się Jezusem z Brzustowa, pokornie zaakceptowała jego odejście z domu. Gdy wątpił, czy będzie mu wierna podczas jego nieobecności, zaproponowała, by ją oszpecił, ucinając język. Potem cierpliwie czekała na jego powrót, przeżyła dotkliwe upokorzenie, gdy ją porównywał z rozpustnymi kobietami ze swego orszaku odpustowego uzdrowiciela, samotnie nosiła ciężę, a po porodzie zanosła mu synka – idąc, tak śpiewała:

Wszystko jest, jak było,

Nic się nie zmieniło.
Świat żywy dokoła,
Wszystko jest, jak było.
Śpiewa ptak na niebie,
Ja idę do ciebie.
Jańcio miły...

Wreszcie przyjęła go z powrotem do domu, nie czyniąc żadnych wyrzutów. Ale na pytanie Jańcia, czy gdyby ponownie wybrał się w świat, dałaby się dla niego oszpecił, Weronka wskazuje na piec kuchenny: „Wygasło pod kuchnią. Nie dołożyłeś drewna, Jańcio, bo uznałeś, że tylko ja od tego jestem”. I ta groźna przestroga uzmysławia Jańciowi, że opuszczenie domu i wędrówka poza linię brzustowskiego horyzontu były wielkim i niepotrzebnym ryzykiem.

Odmieńcem jest także Józef Magneto z filmu *Magneto* (1993), którego ciało przyciąga metalowe przedmioty. Nabył tej umiejętności w dzieciństwie, w dramatycznych okolicznościach zagrożenia życia i potem miał z nią tylko kłopot. Gdy jeszcze jako dziecko wyciągnął gwóźdź z krzyża Chrystusa, ksiądz go wychłostał za „cyrkowe sztuczki”, a gdy już jako dorosły przeniósł medale z piersi rosyjskiego oficera na własną, doprowadził do politycznego skandalu, z powodu którego zamierzał popełnić samobójstwo. Magneto zaczyna pracować w cyrku przywabiony do niego urodą dziewczyny nazywanej Wodą – bo „widać przeze mnie każdą myśl”. Są ze sobą bardzo szczęśliwi, ale w Wodzie kocha się też rzucający nożami Kosa – „Ja ciebie tak kocham, że mogę zabić” – i wprowadza dziewczynę. Magneto wyjeżdża do Gołubina na Ziemiach Odzyskanych, gdzie zostaje sekretarzem partii. Nie może zapomnieć o Wodzie, ale żeni się, chyba bez miłości, ma córkę Lenę. Kiedy dowiaduje się, że żona go zdradza, zabija ją i jej kochanka, za co trafia do więzienia, gdzie przekazuje swój życiorys i umiejętność przyciągania metalu pozbawionemu pamięci Zanikowi. Jak się okazuje, Woda także urodziła mu córkę Linkę, która została lalkarką; wędrując po wsiach, opowiada widzom o romansie swych rodziców, śpiewając przy tym prościutką piosenkę:

Była kobietą, którą pamięta
Magneta złamane serce.
Co dzień, od święta
Wciąż ją pamięta
Na zawsze już w poniewierce.

Fabula *Magneta* jest spleciona, poszczególne etapy życia bohatera przedstawiane są niechronologicznie, przez długi czas zachowana zostaje tajemnica jego biografii rozdzielonej na dwie postaci, Magneta i Zanika. Miłość do Wody stanowi jednak tak ważny jej element – „miesiące szczęścia” – że Magneto nie przekazał go Zanikowi wraz ze swym życiorysem i umiejętnością przyciągania metalu. Ostatecznie to Linkę, córkę Wody, wybiera Magneto – a nie Lenę, która przyjechała z Francji, by szukać ojca – i w finale filmu odjeżdża z nią lalkarskim wozem.

W Jańciolandzie odmieńcami jest jeszcze pięcioro bohaterów, Olesia, Staszko Indorek, Pasiasia, Kulawik i Lunda, wszyscy są zakochani – nieszczęśliwie. *Cudowne miejsce* – Olesia, młoda i ładna mężatka, obdarzona cudowną mocą mediumiczną pozwalającą jej widzieć sprawy przyszłe i słyszeć na odległość, jest zauroczona

śmiewiskiem. Razem znakomicie się dopełniają, darzą miłością i zaufaniem, żyją w pogodnej harmonii. Leżąc wieczorem we wspólnym łóżku, rozmawiają o „sprawiedliwości na tym świecie”, kłopotach z poczęciem dziecka, „zaplemniki” i „sitku”, przez które musi się on precyzować. Podczas jednej z takich rozmów Kuścyczka pyta męża, jak ładnie określić to, że są razem. Pograbeł próbuje ująć w słowa swe uczucia do żony, ale peszy się i milknie: „Kiedy indzi powiem”. Wycina za to dla niej drewnianą podszewkę do trzewika, która ma zlikwidować utykanie: „Przez cały kościół przejdiesz, nikt nie zauważy”, Kuścyczka zaś towarzyszy mężowi w lesie, gdzie otwiera on żyły chorym zwierzętom.

Do pełni szczęścia potrzebne jest im tylko dziecko, jednak Kuścyczka nie może „zaciążyć”. Decydują się więc na kupno dziecka od Stasiny, którego młoda żona zaszła w ciążę za sprawą Heńka Materki z Popielaw. Ale Julka zrywa umowę, ponieważ chce zatrzymać niemowlę dla siebie. Stasina radzi więc zrozpaczonemu Pograbełowi, by skorzystał z pomocy Materki: „Pójdź ty, Pograbeł, do niego, jak u ciebie nasienie za słabe”. Pograbeł najpierw nie chce zgodzić się na ten pomysł, gniewa się i cierpi z zazdrości, Stasina jednak radzi spokojnie: „Sam przypilnujesz, żeby to nie dla przyjemności było, ale dla interesu”. Pograbeł uznaje więc, że kowal Materka rzeczywiście stanowi jedyne rozwiązanie problemu. Kuścyczka też je akceptuje. Mąż daje jej kopiowy ołówek, by mogła narysować i wyciąć w nocnej koszuli stosowne kółko, za co ona z wdzięczności całuje go w rękę. Pograbeł załatwia porozumienie z Heńkiem, ku wielkiej zresztą jego radości. Pocięsza się potem: „Wielkie mi rzeczy... Widziało się w życiu to i tamto... Wielkie mi rzeczy”.

Materka potrafi jednak nie tylko sprokurować ciążę, ale także uwieść kobietę. To przystojny wiejski Casanova, który wie, jak zalecać się do kobiet, jak z nimi rozmawiać i prawić im dusery. Umie nawet na poczekaniu tworzyć rymowanki. Gdy przychodzi do przestraszonej i onieśmiałej Kuścyczki, od progu mówi jej komplementy, nazywa Anią, układa wierszyki: „Jasnowłosa Ania na chłopaka czeka, więc przybywa do niej kawaler z daleka”, przepija „brudzia”, a nawet śpiewa: „Moja córuś, dać mu było, przecie by ci nie ubyło”. Kuścyczka nie tylko mu ulega, ale daje się „otumanić”, zabiera krowę i pierzynę, i przenosi się do domu Materki w Popielawach.

Teraz Pograbeł już wie, jak wyznać żonie miłość: „Trzeba powiedzieć, trzeba, że ja kocham, kocham ciebie, Kuścyczka, jak nikogo na świecie”. Postanawia działać: „Wiem, co nie jest moje, ale też wiem, co jest moje”. Idzie do Popielaw i grozi Materce ostrym scyzorykiem, którym otwiera żyły starych zwierząt: „Ty się, Materka, nie patrz na to, że ja słaby jestem i nikomu jeszcze krzywdy nie zrobiłem. Nie zrobiłem, to zrobić”. Pokonany jego determinacją Heniek oddaje mu Kuścyczkę wraz z krową i pierzyną. Po drodze do domu Kuścyczka tłumaczy oczarowanie kowalem jego umiejętnością rymowania: „Zapomniałam się (...), otumanił mnie ten Materka (...) wiersze mówił tak zgrabnie i tak jakoś miękciutko”. Rozżalony Pograbeł uderza ją w czoło, Kuścyczka upada, a gdy mąż zamierza ją kopnąć, prosi: „Nie po brzuchu...” i Pograbeł rezygnuje. Kuścyczka szczęśliwie „zaciążyła”, a Pograbeł nauczył się, że miłość należy wyznawać ukochanej kobiecie słowami, także rymowanym, więc mówi:

Jak będzie taka potrzeba,
żeby zamiast kielbase
wiersz dawać do chleba –
to zrymuję czasem...

Kuścyczka jest zachwycona, a on konkluduje: „Wielkie rzeczy, jak trzeba, to się wierszem mówi...”. Idą razem zgodnie do domu.

Kolejną niezwykłą parą jańciolandzką są dwutwarzowy Morka i niskorosła Janka w *Grającym z talerza* (1995). On jest dziwolągiem zdeformowanym cielesnie, uciekinierem z cyrku, gdzie pokazywano go widzom jako osobliwość. Ukrywa się przed światem i ludźmi w studni znajdującej się w gospodarstwie starego Marczyka, który donosi mu jedzenie i sprawuje nad nim opiekę. Ona jest karliczką, której nie przyjęto do szkoły pielęgnarskiej; z tego powodu chciała się zabić, stając na torach kolejowych, jej także Marczyk dał schronienie w swoim domu. Po jego śmierci Morka i Janka czują się opuszczeni i bezradni. Dlatego Janka kolejny raz próbuje popełnić samobójstwo, skacząc do studni, ratuje ją Morka.

Dwoje odmieńców spotyka się w dramatycznych okolicznościach i rodzi się między nimi miłość. Łączą swoje samotności w opozycji do świata i do zasad narzucanych przez tzw. normalnych ludzi. Wzajemnie akceptują swoje wyglądy: „Jesteś śliczna” – „Jesteś ładniejszy niż myślałam”, razem prowadzą gospodarstwo, orzą pole krową, sieją zboże, cieszą się wzajemnym pożądaniem, są szczęśliwi. Janka zaczyna rosnąć, „z miłości” – jak mówi, ale teraz, gdy wygląda jak normalna kobieta, pragnie czegoś więcej, kontaktu ze światem, który dotąd ją lekceważył – „Takie małe byle co” – i odrzucał. Reprezentuje go wędrowny cyrki, który rozbił obóz niedaleko posesji Marczyka, i pracujący w nim przystojny młodzieniec.

Skrzypek Lunda przekonuje Morkę, że jako dwutwarzowy potwór nie pasuje teraz do pięknej, normalnej Janki. Morka ucieka do miasta i znowu występuje w cyrku jako bratożerca bliźniaka i kochanek liliputki, sprzedając publiczności swój wygląd i historię. Po dwu latach Lunda odnajduje go i namawia do powrotu, bo Janka na niego czeka. „Ale czy ja pasuję do niej?” – pyta niepewny Morka, a Lunda odpowiada: „Teraz znowu do niej pasujesz, tak jak jeden dziwoląg może pasować do drugiego”. Morka wraca. Okazuje się, że Janka stała się olbrzymką. „Tylko jak my będziemy żyli?” – pyta przestraszony Morka. „Zwyczajnie, jak ludzie” – odpowiada mu Janka. Dwoje odmieńców dostało drugą szansę na miłość, na wspólne życie, może na uboczu świata, może w opozycji do niego, ale razem, akceptując swój osobliwy wygląd, różne braki i niedoskonałości. Ludzie pewnie będą ich postrzegać jako dziwolągów, „wybrakowanych” i „szkaradnych” – jak mawiał o nich Marczyk – ale dla siebie są normalni i piękni.

Nietypową parę stanowią także Jańcio i jego żona Weronka w *Jańciu Wodniku*. On jest dwa razy od niej starszy, wygląda i zachowuje się jak siwowłosy mędrzec, mówi apodyktycznym tonem, decyduje o wszystkim, co dzieje się w domu, z wielką pewnością siebie objaśnia żonie prawa rządzące światem, a ona posłusznie mu ulega i wierzy w jego słowa. Jańcio dba o zachowanie dystansu wobec innych ludzi z Brzustowa, gdzie mieszkają, bo uważa się za kogoś lepszego od nich, na kogo Pan Bóg ma „osobne pomyslenie”.

kelnerka zapatrzona w urodziwego księdza jak w cudowny obraz – i biorąc łyżkę od Grażynki, dotyka jej dłoni. Grażynka: „No i co my teraz zrobimy?”. Jakub: „Nie wiem...”.

Grażynka znajduje pretekst, by spotkać Jakuba raz jeszcze. Przychodzi do kościoła i klęka przy konfesjonale. Ksiądz zaczyna płakać. To nie jest spowiedź, a dialog kochanków świadomych wzajemnego uczucia. Jakub: „Masz sprawę do Pana Boga czy... do mnie?”. „Do ciebie” – odpowiada Grażynka. „Do księdza” – poprawia ją Jakub. „Do ciebie” – powtarza Grażynka. Jakub: „Wiesz, co mówisz?”. Ona: „Tak, wiem”. „Więc co?” – pyta ksiądz, ciężko wzdychając. Grażynka ze wzruszeniem: „Brakuje mi ciebie”. Jakub stuka na znak zakończonej spowiedzi. „Ale ja jeszcze nie skończyłam...” – protestuje kobieta. Jakub: „Skończyłaś”. Grażynka całuje stulę i przytula policzek do jego ręki.

Ostatnie spotkanie odbywa się po ataku sąsiadów wrogich „inny” na dom Andryszków. Grażynka wychodzi na podwórze, ma posiniaczoną twarz. Ksiądz Jakub zbliża się do niej i czule dotyka jej policzka na oczach swych parafian. Zenek Jakiel zamierza się, by ugodzić go nożem w plecy. Staszko Indorek zastawia księdza swoim ciałem, krzycząc: „Grażynka”, jakby wiedział, że cios wymierzony w Jakuba zabije także i ją.

Miłość księdza, delikatnego i nieśmiałego, pogubionego w swych uczuciach i powinnościach, oraz kobiety doświadczonej życiowo i pozbawionej złudzeń to w *Cudownym miejscu* rozpaczliwe uczucie dwojga ludzi głęboko samotnych, zlaknionych obecności kogoś drugiego i „paru dobrych słów”. Ale miłość księdza i jego parafianki zawsze wzbudza niechęć otoczenia, stanowi przekroczenie normy kościelnej i obyczajowej. Dlatego Jakub w ostatniej scenie filmu odchodzi z Łaznowa. Zakończenie nie jest jednoznaczne i nie wiadomo, jaką ostatecznie ksiądz podejmuje decyzję. Nie idzie dalej żadną z dwu dróg wyraźnie przetartych w śniegu wśród lasu, skręca na wąską, boczną ścieżkę. Czy kieruje się na stację kolejową, by wyjechać do Warszawy, czy też wraca do Łaznowa walczyć o dusze swych parafian lub o miłość Grażynki, a może w ogóle rezygnuje i na zawsze schodzi z drogi swego religijnego powołania?

W Jańciolandzie miłości niemożliwe udaje się jednak czasem doprowadzić do szczęśliwego finału, nawet po wielu latach i przez nowe pokolenia powiązane ze sobą wspólnym losem. W *Historii kina w Popielawach* (1998) w połowie XIX wieku Józef Andryszek Pierwszy żeni się z Jagodą, rodzi im się syn Józef Drugi, nawiązuje romans z piękną żoną dziedzica, którą uwiecznia na błonie do wyświetlania w wynalazionej przez siebie kinomaszynie. Ale życie go nie cieszy, w ogóle nic go nie cieszy poza konstruowaniem, z pomocą św. Rocha, wynalazku ożywiającego nieruchome fotografie. Gdy wybucha powstanie styczniowe, Józef włącza się do walki zawabiony urodą i patriotycznym żarem Chanutki Pierwszej: „Zagarnęła Józefa jednym spojrzeniem. Nawet nie zauważył kiedy. Miłość jest takim wynalazkiem, któremu nie potrzeba miesiocy namysłu”. Ich miłość – zakazana, uszak Józef jest żonaty – rodzi się w wojennej zawierusze, kiedy normy społeczne są poluzowane, może on wtedy bezkarnie opuścić dom i rodzinę: „To było jego kolejne odkrycie, że tak łatwo się zapomina”. Kochają się, ale zostają rozdzieleni, bo Józef odnosi ranę i umiera. Przed rozstaniem Cha-

nutka obiecuje, że urodzi córkę, Chanutkę Drugą, która z Józefem Drugim „dokończy tę naszą niedokończoną miłość”. Czy tak się stało? – nie wiadomo. Może zły los przenosił się także na kolejne pokolenia?

Sto lat później, już w piątej generacji, również nie zanoszą się na realizację przyrzeczenia antenatów, bo Józef Piąty stale oplakuje swą zmarłą żonę. Weronika nie żyje już kilka lat, ale on ciągle cierpi, pije, źle traktuje syna Szustka i nie jest w stanie pokochać Chanutki Piątej. Zostaje jej kochankiem, ale odmawia zauroczonej nim dziewczynie – „Nieba ci przychyłę, stopy będą całować każdego rana (...) Zaszuję na to, że mnie pokochasz” – swej miłości: „Ja już kochałem, Chanuta, już wystarczy kochania”. Tabuizacja śmierci żony i pogrążenie się w rozpacz utrudniają Józefowi powrót do równowagi emocjonalnej. W pięciostopniowej skali przepracowania żałoby – zaprzeczenie, gniew, złość, pertraktacje, akceptacja – Józef zatrzymał się na gniewie i złości. Zrozpaczona Chanutka opuszcza Popielawy i wyjeżdża do Łodzi. Dopiero poważna choroba Szustka, zagrażająca jego życiu, uświadamia Józefowi Piątemu, że ciągle ma jeszcze kogoś do kochania i do stracenia. Zmienia więc także swój stosunek do Chanutki Piątej, jedzie do miasta i przywozi ją z powrotem do Popielaw.

Podobnie układa się historia dwu miłości pokoleniowych w *Szabli od Komendanta* (1995). Stary Jakubek Szewczyk troskliwie pielęgnuje pamięć o ślicznej „Brzózce”, która umarła przed pół wiekiem. Mimo że przeżył ten czas w małżeństwie z Honorką, po śmierci spodziewa się spotkać w niebie nie ją, ale „Brzózkę”, w której był naprawdę zakochany. Aby tak się stało, miłość musi zrealizować się także w kolejnym pokoleniu, bo warunkiem wejścia Jakubka do raju jest przekazanie wnukowi szabli z wojny bolszewickiej. Bez tego komendant Piłsudski nie wpuści go do nieba i „Brzózki”. Ale syn Jakubka, Janeczek, nie kwapi się do małżeństwa i prokreacji, dlatego Jakubek z pomocą trzech przyjaciół z legionów próbuje skłonić nieśmiałego młodzieńca, zajętego głównie eksperymentami botanicznymi, do ożenku. Wybiera dla niego seksowną Hankę, która jednak nie budzi zainteresowania młodzieńca. Na szczęście Janeczek zakochuje się sam, bez przymusu, w nauczycielce Mariannie, równie jak on nieśmiałej. Ich miłość, mimo że początkowo zbyt dobrze nie rokuje, wysnuwa się jednak z obopólnego zakłopotania, zahamowań i uroczych niezręczności w rytm radosnej piosenki: „Nie ma problemu, wszystkim nad głową słońeczko świeci już jednakowo”. Wspólnie wypita sliwówka i karabin, którym Jakubek napędza dwoje nieśmiałych okularników do siebie, przynoszą wreszcie pożądane skutki. Rodzi się co prawda dziewczynka, ale Jakubek zyskuje jednak potomka do przejęcia zabytkowej szabli i otwiera się przed nim droga do „Brzózki”, która czeka na niego – odmłodzonego – u bram raju.

Zupełnie inny typ melodramatu reprezentują miłości jańciolandskich odmieńców. Budują one przekaz o uczuciu łączącym ludzi niepełnosprawnych, jakoś upośledzonych, którym jeszcze do niedawna w ogóle odmawiano prawa do miłości, a już szczególnie erotycznej. Pogrąbek i Kuścyczka stanowią w *Pograbku* (1992) taką właśnie parę, on jest miłym pocziwcem, nieco opóźnionym w rozwoju, ona kuleje, co czyni ją we wsi po-

„Z tego miejsca ją zobaczę..., a tu się z nią spotkam..., a tu wezmę ją w ramiona...”. Jego młodzieńcza uroda i żywiołowa radość łączą się z promienną aurą wiosennego dnia. Woła do biegnącego za nim Pasiasi: „Wiosna jest piękna!” i uczy go wypowiadać to zdanie. W tle widać białego konia symbolizującego niewinność, ale i zapowiedź śmierci. Połączenie Erosa i Thanatosa jest częste w tym typie melodramatów. Kolejne wspomnienie Pasiasi przedstawia niemą scenę rozstania kochanków podglądaną przez niego przez otwarte okno: jest wieczór, Jurek w oficerskim mundurze żegna dziedziczkę ubraną w koronkową suknię i sznur pereł – idzie walczyć. Sen Pasiasi o radosnym spotkaniu kochanków, gdy dziedziczka przybiega do Jurka i w pełni szczęścia zaczynają się całować, pojawia się podczas jego czuwania przy długim konaniu rannego młodzieńca. Doczołgał się do czworaków, ale sąsiedzi nie wezwali lekarza, biernie czekali na jego śmierć w obawie, że pomoc udzielona żołnierzowi AK walczącemu z nową władzą mogłaby pozbawić ich ziemi z reformy rolnej. Jurek umarł i został w tajemnicy pogrzebany pod rozwidloną brzozą poza cmentarzem i bez krzyża, a dziedziczka oszalała po gwałcie, na jaki wydali ją chłopci. Pasiasia przynosi jej jedzenie do pokoju w pałacu, gdzie pozwolono jej jeszcze mieszkać, za co dostaje obrazy, które wiesza w swojej chałupie. Jeden z nich przedstawia dom Jurka wiosną. Razem słuchają z gramofonu przedwojennej piosenki śpiewanej przez Mieczysława Fogga (słowa – Julian Tuwim):

Nie żal mi ciebie,
Nie żal mi siebie,
Żal mi tylko nas.
Wspólnej gwiazdy w niebie,
Która nie wie, nie wie,
Że była, że nam świeciła
I że nastał czas,
Gdy...

Tu scena się kończy, a dalszy tekst brzmi: „...nam nasza gwiazda zgasa”.

Kolejną modelową opowieść o miłości niemożliwej przynosi *Cudowne miejsce* (1994). W wiejskiej parafii rozkwita uczucie katolickiego księdza Jakuba zobowiązanego do życia w celibacie i Grażynki Andryszkównej, kelnerki w miejscowej gospodzie, która nie odmawia chętnym swych względów. Wydają się być krańcowo różni, on jest wykształcony, delikatny i nieśmiały, przyjechał na wieś ze stolicy, pochodzi z dobrej rodziny (jego stryj jest biskupem), ślubował celibat, ona nieco starsza, doświadczona życiowo, pozbawiona złudzeń i dobrej opinii. A jednak...

Ich kontakty prowadzą się do serii przypadkowych spotkań brzemiennych w skutki. Już pierwsze ma charakter wysoce melodramatyczny. Jakub, jadąc rowerem bez sutanny i z sztygą omotaną szalikiem ukrywającym koloratkę, zatrzymuje się przy stojącym na polu kotle do gotowania wikliny pilnowanym przez Grażynkę i Staszka Indorka. Pyta Grażynkę o drogę do Popielaw, ale bierze ją za chłopca, gdyż kobieta ma na sobie męskie ubranie i czapkę uszankę. Niby banalny, niegroźny kontakt, jednak gdy „chłopiec” zdejmuje czapkę, ujawnia jasne włosy i kobiecy powab. Jakub skromnie spuszcza oczy, ale już się stało – zakochał

się od pierwszego wejrzenia, nie odjeżdża, mówi, że jest mu zimno i siada przy ciepłym kotle. Grażynce on także się spodobał, pyta więc uwodzicielsko: „A czego może szukać w Popielawach taki ładny mężczyzna? Nowy nauczyciel?”, wysysa Jakubowi zraniony palec, mówi mu o długiej linii życia widocznej na jego dłoni i przepowiada gorące uczucie, co uprawia księdza w popłoch. Zrywa się, potyka i wspiera na niej. Nagłe zniknięcie dzielącego ich dystansu zmusza go do panicznej ucieczki; wsiada na rower i odjeżdża. Każde kolejne spotkanie tej pary będzie się kończyć ich kontaktem cielesnym, drobnym, ale ponieważ zakazanym, dlatego tak ważnym emocjonalnie.

Drugie spotkanie jest jeszcze bardziej spektakularne. Jakub w sutannie i widocznej koloratce jedzie rowerem, przewraca się i rani w czoło. Pojawia się Grażynka, już wie, że on jest księdzem, dlatego nie dotyka go, rzuca mu chusteczkę, aby się sam otarł. Mówi żartobliwie: „A gdzie to ksiądz zabłądził w te pola? Taki ładny mężczyzna, jeszcze kto porwie?”. Idą razem i rozmawiają, kobieta usłużnie prowadzi jego rower, wyznaje, że nie chodzi do kościoła, bo „daleko stąd uszędzie, nawet do Pana Boga”, a ksiądz surowo i naiwnie poucza ją, że w kilometrach nie da się tego wyliczyć. Wyjaśnia, że jedzie szukać Andryszkównej, kobiety ze stygmatami Chrystusowymi. Jest nią Grażynka, ale on tego jeszcze nie wie. Bezpieczny dystans między nimi został przywrócony, jednak nie na długo. Bo oto zaczyna padać deszcz, ksiądz siada na bagażnik roweru za Grażynką, przemoknięci dojeżdżają do stodoły. Jakub nie chce do niej wejść, Grażynka wciąga go za rękę, potykają się i przewracają razem na siano. Ta nagła bliskość grozi wybuchem namiętności, uniemożliwiają ją dzieci, które też się tam schroniły. Leżąc obok Grażynki na sianie w sąsiedku, Jakub zaczyna płakać, może ze strachu przed własną słabością, a może z żalu za tym, co się nie wydarzyło. Grażynka przysuwa się do niego i ujmuje jego rękę. Jakub ucieka ze stodoły, ale wraca. Suszą ubrania, siedzą nadzy, osobno zagrzebani w sianie. Sytuacja jest jednak bardzo intymna, on bąka o konieczności dokonania pomiarów jej stygmatów, które Grażynka lekceważy, uznając za rodzinną chorobę (jej matka też miała takie objawy), i zwierza się: „Mnie nie trzeba długo namawiać, ja jestem łatwa. A ksiądz wie, czego szuka taka kobieta jak ja? No byle czego szuka, trochę uczucia, parę dobrych słów”.

Następne spotkanie jeszcze bardziej zaciekawia łączące ich więzy. Jakub jest świadkiem, jak w lesie Grażynkę molestuje jeden z jej absztyfikantów, któremu tym razem nie chce ulec. Rzuca się jej na ratunek z okrzykiem: „To nie jest dziewczyna uliczna, to nie jest zwyczajna kobieta!”. Zostaje uderzony i może tylko bezsilnie grozić napastnikowi, że nie da mu rozgrzeszenia i wypomni w kościele. Potem znowu płacze i przytula się do Grażynki jak dziecko szukające ukojenia do matki.

Jakub pojawia się w restauracji „Pod dębem”, gdzie Grażynka pracuje jako kelnerka, by prosić ją o pozwolenie zbadania jej stygmatów. Ale w międzyczasie ona obmyśla się w cudownym jeziorze, do którego zaprowadził ją Staszko Indorek, jańciolandzki odmieniec, i stygmaty się zblizniły. Ksiądz rozumie, że znikł jedyny pretekst, usprawiedliwiający ich kontakty. Rozmowa na pozór dotyczy stygmatów, ale jest wypełniona dodatkową treścią. Jakub: „To co ja teraz zrobię?”. Na jej prośbę zamawia zupę – przynosi ją druga

Miłość w Jańciolandzie¹

(fragment)

Grażyna Stachówna



Kadr z filmu *Jańcio Wodnik*

W świecie Jańciolandu – Mitycznej Krainie stworzonej przez Jana Jakuba Kolskiego w jego ośmiu filmach fabularnych i sześciu krótkometrażowych, a nazwanej tak od tytułu *Jańcio Wodnik* (1993) – miłość odgrywa nader istotną rolę. W każdym z nich pojawia się bowiem wyraziście zarysowany wątek romansowy, który pełni ważną funkcję fabularną i narracyjną: dopełnia charakterystykę bohaterów, przydaje motywacji ich poczynaniom, buduje dramaturgię i stosowną aurę emocjonalną, jest przeciw wagą dla dziejącego się zła. Ludzie zakochani, nawet jeśli czasem błędzą lub przegrywają, to jednak zawsze sytuują się po stronie dobra i nadziei. Łaska miłości spływa na różnych mieszkańców Jańciolandu, młodych i starych, ładnych i brzydkich, normalnych i osobliwych, stawia przed nimi wiele wyzwań, czasem daje im szczęście, często pogrąża w rozpacz, ale stanowi bezdyskusyjną wartość pozytywną.

¹ Artykuł jest fragmentem książki o filmowej twórczości Jana Jakuba Kolskiego przygotowywanej przez Autorkę.

Najbardziej typowy jest wariant melodramatyczny tworzący opowieść o tzw. miłości niemożliwej, która łączy dwoje osób, ale z jakiegoś powodu nie może się rozwinąć i dobrze skończyć. Kształt idealny zyskał on w *Pogrzebie kartofla* (1990). Zakochani to Jurek Szweczyk i dziedziczka Lachowiczowa – nie wiadomo, jaki jest jej stan cywilny, ale bardziej pasowałoby do niej panieńskie brzmienie nazwiska Lachowiczówna, jest bowiem młodą i śliczną dziewczyną. Wydaje się, że różnica klas społecznych nie ma znaczenia i nie stoi na przeszkodzie wzajemnej miłości syna popielawskiego rymarza, ale także oficera Armii Krajowej, i panny ze szlacheckiego dworu. Zauważą na niej okoliczności historyczne i zły los. W fabule filmowej miłość Jurka i dziedziczki należy już do przeszłości, pozostała tylko w pamięci Pasiasi, wiejskiego głupka i niemowy, a w istocie typowego jańciolandzkiego odmieńca, wrażliwego i dobrego. Był jej świadkiem i obserwatorem, trzykrotnie przywołuje ją w swych wspomnieniach.

Na podwórzu przed domem Jurek czeka na ukochaną i marzy:

spodni, koszulek z jakimkolwiek logo, wyciągać telefonów, zdejmować kamizelek. Nie posiadamy szatni, ani nawet szafek – wszystko jakby wykalkulowane, żebyś ani przez chwilę nie poczuł się sobą. Wracając do domu, tłuczesz się trzema autobusami, ubrudzony, spocony, w niebieskich ciuchach roboczych – co równocześnie znaczy, że fabryka zakłada, że praca to całe twoje życie, nie przyjdzie tym skurwysynom do głowy, że może chciałbym po zmianie pojechać do biblioteki albo pójść na kurs francuskiego, że może pragnę jakoś wykorzystać te pozostałe cztery godziny. Że może przydałoby się najpierw przebrać i umyć... Pedał w biurze mówił o czterech dniach po dziesięć godzin. Cóż, dni jest pięć. I wliczcie w to soboty. Czy ma to coś wspólnego ze współczynnikiem godzin industrialnych? Nie wiem, ale wszystko to jest bardzo podejrzane. Już po tygodniu przedłużyli nam zmianę o trzydzieści pięć minut. Zaczynamy o 5:55 i kończymy o 16:10, co oznacza, że wstaję o 3:40 i jestem w domu o 17:20. Nie na to się pisałem... Robiłem to już tyle razy, a wciąż nasuwają mi się te same pytania; uderzają mnie

z zawrotną prędkością, gdy kończę zapełniać kolejny wózek metalowymi częściami, których przeznaczenia nie śmiem podejrzewać. JAK CI LUDZIE TO WYTRZYMUJĄ? JAK DŁUGO JESZCZE POCIĄGNĄ? JAK SZYBKO DALI SIĘ WYKOŃCZYĆ? ILU Z NICH JEST ALKOHOLIKAMI? Alkoholików rozpoznaję na kilometr. Widzę to po ich twarzach i zubożniałych, sfatygowanych oczach, widzę w ich sposobie poruszania; przez całą zmianę toczą walkę z własnym ciałem...

Jeśli chodzi o mnie, kończę kolejny wózek. Biorę się za następny. I kolejny. Staram się nie odzywać. Ale i tak przyczepia się do mnie jakiś łysy idiota i zalewa bełkotem będącym podłą mieszanką w trzech językach. Żeby odwrócić od niego uwagę, próbuję obliczyć wartość dodatkową otrzymaną z 10-godzinnego dnia pracy. Zgodziłem się oddać ciało. Nie oddam umysłu! Jebane skurwysyny! Po 10-godzinnej zmianie jestem gotów zostać marksistą... Gdy docieram do pokoju, chcę jedynie moczyć stopy, pić schłodzone wino i słuchać Chopina. ●

MAXI

Spotkałem Maxiego jakiś czas później w centrum, gdzie stojąc z gitarą, próbował zarobić jakieś drobne na kolację. Ledwo słyszałem jego głos. Burczał coś pod nosem. Gdy mnie zobaczył, zaraz się ożywił.

– Znowu ujebali mnie w nogę!

Znowu zaczął podwijać spodnie.

– Skurwysyny! Faszyci! Już ledwo zipię, stary. Jeszcze dziesięć lat pochodzę, to może mi przejdzie. Jak ci się podoba Lipsk? Masz już jakąś pracę?

Odpowiedziałem, że pracuję w fabryce BMW, jestem zatrudniony przez pośrednika i powoli coś we mnie umiera. Spytał, czy mu coś załatwię.

– Jakbym miał pracę, to może by się odpięprzyli. Mógłbym w końcu nająć adwokata.

Podrapałem się po głowie i wręczyłem mu wizytówkę.

– Lepiej byś mnie umówił.

Nie zrobię tego, bo jak faceta zobaczą, to jeszcze mnie wywalą. Zaczynam czuć się zmęczony. Nie jestem w najlepszej formie, a czuję się zupełnie tak, jakby ktoś wyssał ze mnie

życie. Pomimo to wlokę się za nim do sklepu. Przed wejściem do Penny'ego mijamy jakąś parę w dreadach.

– Słyszałeś?

– Nie – odpowiadam.

– Jakbyś słyszał, to byś się zdziwił. Nigdzie mi, chuj, nie odpuszczają!

Biorę tęgi łyk wina z butelki, którą miałem w plecaku, i to samo proponuje Maxiemu, żeby nieco się rozluźnił, ale odpowiada, że nie pija.

– Nie mogę, *jakbym zaczął pić, całkiem by mnie załatwili*.

Biorę kolejny i nie mogę się nadziwić, z jaką gracją ten facet balansuje na granicy rzeczywistości i iluzji. Podtrzymuje narrację, ale zdaje się, że przynajmniej częściowo jest świadomy swojej sytuacji. Z jego słów wyczyta drugie dno, z tej strony rzeczywistości. Jego wybór jest psychologicznie uzasadniony. ●

W dodatku roi się tu od nazistów. – W tym momencie zaczął nerwowo podrygiwać głową i oglądać się za siebie.

– Nazistów? – pytam retorycznie. – Chyba nie może być gorzej niż na polskim blokowisku?

– Żebyś się nie zdziwił, przyjacielu. Żebyś wiedział, ile ja przez tych skurwysynów wycierpiałem.

Nic nie odpowiadam, bo wiem, że zaraz i tak mi opowie. Jeszcze chwilę rozgląda się za wódką i kontynuuje. Na parkiecie tańczą poloneza. Maxi zgina się w pół i nachyla w moją stronę.

– MICROWELLEN TERROR DEUTSCHLAND! Słyszałeś?

Jak nie słyszałeś, to wpisz w Google.

W tym momencie ktoś zarył łbem o parkiet. Ktoś inny stłukł kufel i uderzył łbem o ladę. Maxi podwija spodnie i podstawi mi pod nos otłuszczoną nogę. Tu go napierdalają, promieniami, od dołu. Chędożeni faszyści! To samo co w '39, tylko inne metody. MICROWELLEN TERROR DEUTSCHLAND! Nie słyszałeś, to wpisz w Google.

No i wpisałem, a co smutniejsze, zostałem tam jeszcze kilka godzin.

Mało tego, wymieniliśmy się nawet numerami. ●

GEISBLERSTRASSE 4

Oczywiście nie mogłem wylądować w porządnej dzielnicy, jakżeby inaczej. Wylądowałem w najgorszej. To niemal oficjalne. Okolice Eisenbahnstraße nie schodzi z ust całego miasta. Nie trafiłem na pozytywnych, poukładanych ludzi mnożących możliwości. Zresztą, z tą moją wschodnią aparycją... Niech ją szlag. Geißlerstraße 4 od samego początku zapowiadała kłopoty.

Od razu wiedziałem też, że z J. jest coś nie tak. Wpadamy czasem na ludzi, którzy emanują tak fatalną energią, że masz ochotę podciąć sobie żyły. Mają coś w oczach, jakieś połączenie obłądki i cierpienia, i J. był jednym z nich. Podejrzałem, że facet cierpiał na zespół maniakalno-depresyjny. Żył w pętli. Gdy tylko czuł się nie najlepiej, zaczynał pić i ćpać, następnego dnia czuł się gorzej, ale biedak nie mógł rozgryźć dlaczego, więc sięgał po więcej. Dawka wzrastała. To bardzo kiepska strategia... J. jest żalony. Jego jedyna narracja to narracja ofiary. O swoje niepowodzenia oskarża świat i nie dopuszcza myśli, że mogłyby być wynikiem jego idiotycznych decyzji.

J. nie potrafi utrzymać pracy dłużej niż dwa tygodnie, posprzątać kuchni, zrobić wystarczających zakupów, gasić światła w łazience i zawsze, gdy tylko wyjdzie na ulicę, dostaje lanie. Facet nie potrafi się nawet wyspać. Gdy rano spotykamy się w kuchni, ledwo trzyma się na nogach. Gdy wracam wieczorem, wali w drzwi mojego pokoju jak pokręcony. Zmieniają się nawet jego pozdrowienia. W nocy wyjada moje żarcie.

Powoli mam tego dosyć. J. przypomina mi pewnego kumpla, który, nie zdziwiłbym się, dzisiaj pewnie już nie żyje. J. przypomina mnie na progu dwudziestki... Drugi współlokator jest nieco bardziej poukładany i w nim pokładam nadzieje, ale gość wkrótce się wyprowadza. Wprowadza się kolejny ćpun i teraz wyjadają moje żarcie kolektywnie – za każdym razem, gdy przypalą. To typ wegański, chodzący na boso i zindoktrynowany przez neomarksistów... Jest nie najlepiej, ale przynajmniej biblioteka w centrum jest otwarta całą dobę.

Cena wynajmu jest niższa niż w Berlinie. ●

BMW WERK 7.10.

Nic nie mogło mnie przygotować na fabrykę BMW w Lipsku. Naprawdę, nie tego się spodziewałem. Nie to, że bym był wybredny, ale ten ciota w biurze naprawdę pozytywnie mnie nastroił. Uśmiechał się do mnie, podszczypywał i tłumaczył przelicznik godzin industrialnych. Nie rozumiałem ani słowa. Na kilometr wyczuwałem Marksa.

Nic bardziej mylnego. Jest 5:13 i pod Dworzec Główny podjeżdżają dwa firmowe autobusy. Wchodząc do środka, staram się nie przymykać oczu. Tak to właśnie się zaczyna. Zamykasz oczy i już po tobie. Autobus podjeżdża pod Zentralgebäude o 5:45, co oznacza, że masz piętnaście minut, żeby dotrzeć

do swojej hali, odbić się i zameldować na zbiórkę. Wszystko obliczone na minuty. Nie masz czasu się przebrać, ani czasu wysrać, nie zdążysz nawet podrapać się po tyłku. Zdążysz założyć kamizelkę; dali nam te kurewskie, pomarańczowe kamizelki i niebieskie spodnie z poliestru, które podrażniają krocze. Zaraz trafi mnie szlag, a nie minęła jeszcze godzina. Podzielono nas na dwie grupy. Dzielimy się na pracowników BMW i podwykonawców. Dzielimy się na pracowników produkcji i magazynu. Druga grupa ulega jeszcze rozwarstwieniu, gdyż każdy podwykonawca najmuje pracowników tymczasowych. To właśnie moja kategoria. Nie wolno nam: nosić własnych

Tanger - Lipsk

Z Tangeru przyleciałem do Berlina. W Berlinie wsiadłem w autobus do Lipska. Wsiadłem na dworcu i zarejestrowałem się w hostelu po wschodniej stronie miasta. Widziałem wiele hosteli, ale ten – przynajmniej z zewnątrz – wyglądał naprawdę okropnie. W środku było nieco lepiej i odetchnąłem z ulgą. Nie po to wróciłem do Europy, żeby w dalszym ciągu brać zimne prysznicze i liczyć karaluchy przemykające po ścianie.

Odstawiłem plecak i zacząłem się rozpakowywać. Pulchna Angielka z recepcji przedstawiła mi szczupłą Kandydję wiercącej się na kanapie w holu i zaraz wyjąłem piwo z lodówki, czując, że lada chwila stracę siłę rozpędu. Zawsze przerażało mnie to całe dzielenie pokoju. Człowiek pozbawiony prywatności zamienia się w lepka, gumiatą masę. Musiałem jak najszybciej znaleźć pokój. Potem równie szybko znaleźć pracę. Wypiliśmy z Kanadyjką butelkę rumu, a gdy zaczęła smalić do mnie oczy, wybiegłem na ulicę i poszedłem się przejść. Nazajutrz dopiłem resztki piwa, które znalazłem przy łóżku, zaparzyłem kawę i poszedłem biegać. W środku mam trzysta trzydzieści trzy odmiany krwiozerczych demonów i cały jestem poskręcany! Odbijać zaczęło mi gdzieś w maju, to jest kiedy w Tangerze zaczęli pojawiać się turyści i zawodowi naciągacze z całego kraju. Wciąż nie mogę się pozbierać.

Próbuję medytować. Wszystko na nic... Mijają dwa, trzy dni i oglądam trzy, cztery pokoje na dzień. Wszędzie spotykam te delikatne, wycyzelowane stworzenia. Większość to mieszkania studenckie. Sadzają cię w kuchni, wypytują o pracę i każą o sobie opowiadać. Chodzi o to, żeby jak najciekawiej zaprezentować swoją nieciekawą personę. Na samą myśl robi mi się niedobrze. Te skurwysyny urządzają sobie castingi! I czasem siedzisz w kuchni równolegle z innymi kandydatami. Niech ich szlag! Byłem naprawdę bliski wzięcia pokoju w tej zapyziałej norze zajętej przez Azjatów. Naprawdę nie wiedziałem, jak wywrzeć wrażenie na tych, w przeważającej ilości, niemieckich studentach – z tą moją wschodnią, prostacką aparycją i historią rodziny emigrantów... W dodatku każą sobie czekać tydzień albo dwa na werdykt! Większość w ogóle nie odpowiada. Siedząc w którejś kuchni z kolei, przyznałem, że czuję się jak robak z „Przemiany”.

A potem znalazłem pokój przy najgorszej ulicy w mieście. Główny najemca jest ćpunem i cierpi na zaburzenia psychiczne. Wzdłuż głównej ulicy nie ujrysz łacińskiego alfabetu na budkach z kebabem. Zdaje się, że wcale nie wróciłem do Europy. Ktoś znowu wciska mi hasz do ręki. Nie widzę ani jednej białej twarzy. ●

MICROWELLEN TERROR DEUTSCHLAND

A potem przestałem przestrzegać własnych reguł i zacząłem mieszać wino z piwem. Wylądowałem w jakimś barze z muzyką na żywo, gdzie odbywał się wieczór słowiański, i znów wpadłem w objęcia moich rodaków. Stado pijanych, spracowanych Polaków, kilku Rosjan, sporo Słowaków. Gdy pijesz i zaczynasz bełkotać, słowacki brzmi zupełnie jak polski. Przynajmniej dla mnie. Było dobrze po 1:00 i większość klienteli wyglądała na zmęczoną. Większość zwiesiła głowy. Nie ufając własnemu osądowi ani koordynacji, podzielili się na męską i damską część widowni. Pomimo to na scenę wychodzi jeszcze jedna kapela, gra jeszcze jedną piosenkę, jakaś para znów wychodzi na parkiet i wszystko zaczyna się od nowa. Obserwowałem tę nerwową pląsanicę z pozycji schodków przy wejściu. Byłem gotowy znieść naprawdę wiele. Zaraz usłyszałem język polski, brzęk butelek i oczywiście trafiłem na największe faktotum w tym lokalu.

Nazywał się Maxi i zazwyczaj grał na ulicy. Tego wieczoru

skończył występ wcześniej i teraz czekał na wypłatę i darmową wódkę, która jakoś się nie pojawiała. Okrążyli nas Polacy z najtańszym piwem, jakie dostaniesz w dyskoncie, na myśl o którym robi mi się nie dobrze, ale nie mogę się ruszyć. Dziś wieczór czuję się naprawdę samotnie. Spoglądam na Maxi'ego. Facet ma przetłuszczone, krzywo obcięte włosy, ubrudzony T-shirt, jest groteskowo otyły i posiada naprawdę pokaźny zestaw męskich cycków.

– Pierdolę to miasto! – krzyczy, a jego rozbiegane oczy skaczą po całej sali. – Skąd jesteś, przyjacielu? – zwraca się do mnie. – Po cholere żes tu przyjechał?

– Jestem z Wrocławia – odpowiadam. – Przyleciałem prosto z Maroka. Zazwyczaj siedzę w Berlinie.

– Po cholere wyjechałeś z Berlina? Lipsk to pierdolona wiocha!

– W Berlinie jest zbyt drogo.

– W tym mieście nic nie zarobisz. Może jedną trzecią.

Łamali się suchym kamieniem i uważnie patrzyli mi w myśli. Przemówili: my już nie odstępimy od ciebie, wszak ty wciąż nie wiesz, nasz ukochany synu, co też ci czynić. Cugli ci trzeba i szpicruty... W głosach mieli ołowianą czerń, a za oknem przystanął wiatr, ten sam wiatr, który dmie i dziś, a wtedy złowieszco potrząsał gałęziami drzew. Pierwszy, który siedział najbliżej, unióśł się z zydła i podszedł do mnie. Miał głowę białą, okrągłą i gładką jak jajko. Ze skórzanej sakwy wyjął brzytwę i jednym zręcznym ruchem rozciął twarz, nieco powyżej podbródka, a jego krwawiąca rana wyszeptala:

przed świtem przyszli
i zbudzili mnie w zaroślach
czarnego bzu

niebo było jeszcze pełne gwiazd
a w sylwetkach drzew spała łagodna zieleń rzeki
w której wśród raków zamieszkał obcy topielec

była to noc Walpurgi
owa noc bieli i czerwieni kiedy demony
jak robactwo wyłazą na świat

nie chciałem iść z nimi
ale powiedzieli
że koniecznie powinienem zobaczyć człowieka
który kolcem głogu próbuje otworzyć żyłę
musimy go odszukać i nauczyć – tak powiedzieli
– że nie ma nic bardziej ciemniejszego od myśli poety

popatrz chłopcze – zaśpiewała jego otwarta rana:
ten mąż rudobrody i błękitnooki to Erlkönig
i to właśnie on zdecydował że zamiast srebrnego obola
damy ci czarne ziarenko maku pod język
i skorupę orzecha
w której jest zamknięte nasze bezkresne
królestwo

...Ale ja nie rozpoznałem wśród nich Króla Olch... Jedyny, który wydawał mi się znajomy, miał mechaniczną pamięć z kukulką, a na poczerwiałej ze starości twarzy, na obliczu bardziej płaskim niż emaliowany cyferblat zegara, który popołudniami z dostojnością wydzwaniał godziny w salonie babci, malowały się zniekształcone rysy ojca, zaś w ustach mełł zetlałe ścierwo wodnego szczura. Był to duchowy skąpiec, ciemny prorok nicości o udręczonym spojrzeniu, szafarz złych snów, prastara zjawia, która o zmroku fosforyzuje cicho w próchnie starych wierzb, rosnących gdzieś (ale nie pamiętam już dobrze gdzie), chyba gdzieś na rozstajach. I podszedł do mnie zaraz ten drugi, ten o nabrzmiałej i sonej twarzy wisielca, z grubym powrozem na szyi, z otwartą księgą w dłoniach...

popatrz – rzekł przewracając spuchniętym językiem stronę
– popatrz na to pobojuwisko
gdzie wciąż poruszają się grudy ziemi
i w blasku księżycy cicho dyszy czerwienią krwi

zdeptana trawa...

...Lecz wtedy do ciemnej izby gospody wbiegł z krzykiem dziki łowca, który o zmroku przemierza knieje na złatorogim jeleniu, ein Grüner Mann, jeden z tych, którzy mają szalasy w głębi odległego boru, gdzie w gęstych zaroślach leszczyn. Powiedział, że to już nazbyt wiele, i że on nie życzy sobie obecności w tych stronach upadłych demonów, a potem czekał na nich jak wiejski kundel. Ale oni, zupełnie nie zważając na gniew dzikiego łowcy, wstali i ze złowrogim uśmiechem w oczach zapłacili karczmarzowi szyszkami olchy oraz rybią łuską.

– Jeszcze się kiedyś spotkamy – blaszanym głosem, imitującym odległy grzmot ostatniej tamtej jesieni burzy, z głębi sieni przepastnej jak senny koszmar ozwała się zjawia o twarzy ojca.

Nie wiem do kogo, do karczmarza, do mnie, czy może do jeźdźca jelenia? I tak właśnie utraciłem tamtej nocy mój ostatni szaniec ufności...

jakże rozpaczliwie pragnąłem wtedy myśleć wyłącznie o tobie
lecz przede mną stał już cynowy kubek
a kropla jadu złowrogo błyszczała na jego dnie

zneruchomiła w mrocznym fermentie własnej trucizny
kryształiczna i tylko jedna ale nawet i ona okazała się jeszcze zbyt słaba
by złamać pierwszy zamek we wrotach twierdzy mego szaleństwa
i zbyt mocna bym mógł oprzeć się
konieczności zwątpienia
która w moich oczach zaraz przywdziała ten szkarłatny
i obłudny kostium pozornie niewinnej zachęty

wybacz mi siostrze że jedyna pamiątka
jaką ci pozostawiam to ten głogowy cieni

najlepiej spal go w ofierze
przed okrytym czarnym kirem zwierciadłem
a potem już nigdy
nie pisz wierszy unikaj marzeń pustych gospód
gwiazd wina sztyletów sennych widziadeł nocy
strzeż się życia...

i nigdy nie patrz za siebie na rozstajach
gdzie w dziuplach starych wierzb
owładnięte bagienną gorączką
świecą oczy
nienazwanych demonów rozdroży ●

Ta kanalia, kapitan von Cergovsky, cały czerwony z oburzenia, wyszczał krótką mowę o obowiązku i honorze, a potem rozkazał rozejść się i sumiennie wypełniać nasze zadania. Na szczęście Gottseidank tym razem milczał. Nagle pociemniało mi w oczach i zapomniawszy, gdzie jestem i kim jestem, ruszyłem biegiem, prosto przed siebie, w stronę bagien.

* * *

Gdyby nie sierżant Vaněk, zapewne nie znaleziono by mnie nigdy. A właściwie już nie mnie, tylko rozdygotanej bryły cierpiącego mięsa. I tak byłoby chyba dla wszystkich, a przynajmniej dla mnie samego, najlepiej. Siedziałem nad szklanką wódki w owej bagiennej gospodzie, słuchając szumu otaczających ją drzew, a przede mną otwarty leżał mój notatnik, w którym ktoś obcy zapisał moją dłonią wiersz:

milczące lasy w poświęcie Księżyca
i srebrny piasek pod powiekami
ludzi znieruchomiałych w solne obeliski
samotności z wyboru bez wyboru

posępna równina na której
z czaszki błazna
wyrosły czarne zamki
strzegące zakazanych księgozbiorów
bogate w hieroglify
w stężale grymasy i maski

nie ma tam grozy pól bitewnych
gangreną cuchnących lazaretów polowych
(na nie przyjdzie jeszcze czas)
rozszerzonych źrenic Gorgony
krwawej piany bieżących wydarzeń

tylko despotyzm
rozsadzającej skronie ciszy

gdybyż przynajmniej raz
spoza trawiastego wzgórza
przemówił najłżejszy szmer wiatru

Von Cergovsky mógłby powieścić także i mnie, albo raczej rozstrzelać, wszak byłem oficerem, jednak odwieziono mnie do Krakowa. Nie wiem, dlaczego potraktował mnie inaczej, mógł mnie przecież oskarżyć o dezercję. Być może ustawił się za mną feldkurat. Przez dwa tygodnie trzymano mnie w zamkniętym oddziale ponurego zakładu dla obłąkanych, pełnego strachu, pajęczyn i szczurów. Psychiatrizy wojskowi bardzo się starali mi pomóc i dokonali prawdziwego cudu, którego nie sprawiłyby modlitwy Gottseidanka. W końcu zdecydowano, że już można wypuścić mnie ze szpitala. Jeszcze przez dwa tygodnie, zanim wrócę na front, miałem być pod ich obserwacją. Ale oni nic przecież nie rozumieli. Wszystko tłumaczyli nadwrażliwością i przemęczeniem, a także niezaleconą traumą wywołaną samobójstwem matki, która jednak – jak powiedział ordynator – jest niczym tłusta plama ropy pływająca po powierzchni bajora i trzeba

by sięgnąć głębiej, ale jest wojna i nie ma na to czasu. Nieprzypadkowo – jego zdaniem – uciekłem właśnie na bagna. On i inni, podobni mu mędracy, usiłowali dopatrzeć się jakiejś dewiacji w nieskalanym uczuciu, jakie nas łączy. Nazwali ją *psychopatia sexualis*. Oni nie są w stanie zrozumieć, że ty i ja nie jesteśmy kobietą i mężczyzną, lecz siostrą i bratem, niepodzielną duchową istotą kroczącą cierniową drogą w doczesnym świecie obłudy. Głupcy. Niech sobie myślą, co tylko chcą. To, co jest naprawdę ważne, wydarzyło się przecież w gospodzie, zanim odnalazł mnie sierżant Vaněk. Gdyby dotarł tam jeszcze za dnia albo przynajmniej godzinę wcześniej! Wtedy wszystko mogłoby się jeszcze potoczyć inaczej. Ale on w ciemności pomylił drogę i długo błąkał się po mokradłach niczym w labiryncie, wciąż pouracając do owej wierzyby, do której strzelał Bajurak. Ja jednak niczego nie żałuję. Bo to musiało skończyć się właśnie tak, jak jest teraz, i właśnie tak jest dobrze.

Wyszedłem na ulicę. Miasto, choć jego ulicami wędrowali liczni przechodnie, sprawiało wrażenie martwego. Odłożyłem wszystko aż do wieczora, gdy noc zastąpi ów budzący we mnie zgrozę półmrok. Najpierw poszedłem obejrzeć królewski zamek, a to, co tam ujrzałem, tę strasliwą hańbę, za którą odpowiadała nasza armia, splugawiony zamek dawnych władców, z którymi Habsburgowie niejednokrotnie zawierali małżeńskie związki, napawało mnie wstydem. U stóp wawelskiej skały szara Wisła toczyła swe ołowiane wody. I ujrzałem w nich, jak zacierają się wszelkie różnice pomiędzy tym, co martwe, co żywe, co nieśmiertelne. Wtedy poczułem, że nie mam innego wyjścia.

Odwiędziłem kilka aptek i knajp. Bez większego trudu zdobyłem większy zapas morfiny i kupiłem butelkę wódki. Przez kilka godzin włóczyłem się po mieście, a gdy zmrok złuzował szarówek, wróciłem na kwaterę, żeby napisać do ciebie pożegnalny list. Czuję potrzebę usprawiedliwienia się przed tobą z mojego czynu, którym tak straszliwie cię okaleczę. Od martwych gwiazd wiał lodowaty wiatr, serce dymiło mi krwią, a moje palce były jak z wosku.

* * *

Kraków, 3 listopada

wybacz mi siostrze że piszę ten list dopiero teraz
kiedy wiatr wieje od grobów królów
i niesie zapach hiacyntów

jest listopad
ta strasliwa pora roku
gdy w ustach potępieńców na nowo ożywa szaleństwo
dzisiaj o zmierzchu zapaliłem świecę i ujrzałem cię
jak pobladała wychodziłaś z niebieskiego zuwierciadła

ale to stało się (jeśli to się stało)
gdzieś indziej i znacznie wcześniej...

...Siedziałem wtedy samotnie pod okopconymi belkami powały w odludnej przydrożnej gospodzie, gdy nagle otworzyły się drzwi i do izby, jeden po drugim, weszli Oni. Zrzucili czarne opończe, po czym zasiedli przy szerokiej ławie, zaś milczący karczmarsz z namaszczeniem nalewał im do cynowych kubków gęsty jad czerwonych węży.

z podszeptu diabła
wiatr lekko potrząsa gałęziami
poduszki mchów szepcą: zaśnij
zaśnij...

w głębokiej toni
księżyc topielec w orszaku żab
błady jak Ofelia

Przerwałem, bo ogarnęły mnie wątpliwości, czy zrozumiał, co mam na myśli.

– Wiecie może, kto to Ofelia, sierżancie?

– No przecież! Narzeczona księcia Hamleta!

– Skąd to wiecie?

– U nas, w Nuslech, mamy własny teatr amatorski. Ja czasem grywam jakieś podrzędne role. Jak pan widzi, żeby występować na scenie, to ja niespecjalnie mam warunki. Ale Falstaffa zagrałem niezgorzej... Repertuar mamy raczej narodowy. Grywamy Klicperę i Tyla, Zeyera, Jiráska, ale Shakespeare'a też.

– A w cywilu, Vaněk, to kim jesteście?

– Szwecem, panie poruczniku.

Zaskoczył mnie i nie wiedziałem, co powiedzieć. Czytałem więc dalej...

czarne opończe bagiennych wdów
w ich włosach krew
zapach błota
przeciekające czółno rybaka
zapomnienie
na czole przewodnika kainowe znamię
które przyświeca na drogę

posępny krzyk czapli
mąci sen

Tu kończył się mój wiersz, ale miałem poczucie, że to jeszcze nie wszystko, że czegoś ważnego w nim brakuje. Sierżant Vaněk słuchał mnie uważnie i zaciągał się gryzącym dymem. A potem odezwał się już nie sierżant, ale szwec i aktor amatorskiego teatru z Pragi, Oldřich Vaněk:

– Tak właśnie jest, jak pan napisał, panie poruczniku, na czole przewodnika kainowe znamię...

Bajurak kończył piec rybę i żywo gestykulując, zapraszał nas do siebie. Vaněk wstał i rozejrzał się dookoła.

– Czy zauważył pan, jaki dziwny wieczór? Proszę tylko popatrzeć na niebo... wygląda tak, jak jeziorna toń.

Miał rację. Wiatr rozegnał chmury, a niebo zdawało się zlewać ze stojącą wodą mokradeł w nierozdzielne continuum. Księżyc świecił z dołu i odbijał się w lustrzanym niebie. Bajurak dzielił rybę. Dopi-
sałem zakończenie mojego wiersza:

srebrzyste lustro wody odbicie
w ciemniejącym błękicie nieba

Zanim odeszliśmy, Bajurak nagle chwycił karabin i wypalił prosto w dziuplę drugiej wierzby, pochylającej się obok drogi nad rowem, którym leniwie płynęła cuchnąca zbutwiałymi liśćmi woda. Upierał się, że w środku pustego pnia siedziała jakaś niewiele większa od kuny istota, która wpatrywała się w niego z nienawiścią w oczach.

Vaněk pokręcił głową, ale zarazem dyskretnie splunął przez lewe ramię.

* * *

Nie minął tydzień, a otrzymaliśmy wieści o morderczej bitwie. Kapitan von Cergovsky posłał swój wóz z kierowcą i Bajurakiem, żeby przywieźli dwóch rannych oficerów. Ja razem z sierżantem wyszedłem na trakt, którym miał nadejść konwój z pozostałymi rannymi. Najpierw nadjechał samochód wiozący felczera i tych dwóch oficerów, jeden był już martwy. Dwie godziny później ujrzałem upiorną procesję zużytego armatniego mięsa. Wijący się drogą wąż ludzi pełznących na czworakach, skaczących na jednej nodze, podtrzymujących się nawzajem jak ślepcy z obrazu Bruegla, lecz nie sześcioro, jak na tamtej desce, lecz kilkudziesięciu, z obandażowanymi kikutami kończyn, z opatrunkami nasiąkniętymi zielonożółtymi wyciekami ropy, z zakrzepłą krwią we włosach i obłędem w oczach. A przed nimi strzelec Bajurak, to grający skocznie na fujarce, to pokrzykujący:

– Давайце, хлопці, і жваво, бо ми запізнамося на вечерю!

– Bydlę! – Moja ręka sama znalazła kaburę, ale powstrzymała mnie sierżant Vaněk.

– Nie, panie poruczniku, proszę. On nie bydlę. On zwariował.

Podszedł do Bajuraka i mocno uderzył go dłonią w twarz. Bajurak skurczył się, a potem usiadł na drodze i zaczął płakać. Sierżant skinął na dwóch żołnierzy z eskorty, którzy zaraz go rozbili i wepchnęli w tłum kalek.

Nadszedł wieczór. Konwój dotarł na miejsce. Armatnie mięso szybko się psuje. Chirurdzy pracowali ciężko przez kilka godzin, a gdy już skończyli, wycięczeni pojechali do miasta, żeby się spić. Pozostała po nich sterta zakrwawionych kończyn. Nagle ujrzałem w niej całe Cesarstwo, jednorodne i zjednoczone, w którym ręka Słowaka czule głaskała chorwacką stopę, a poszarpane palce Węgry leżały obok niemieckich i żydowskich, splecione z nimi papilarnymi liniami w jeden uniwersalny i coraz mniej czytelny wzór. Nie mieliśmy żadnych środków przeciwbólowych i cały lazaret jęczał we wszystkich językach naraz, albo w tym nietrudnym do zrozumienia wolapiku cierpiących, składającym się z nieartykułowanych odgłosów, od których włosy same stają dęba na głowie. Nad ranem tę litanię skarg rozdarł wystrzał z pistoletu. Jeden z sanitariuszy, młody Polak ze Luowa, student filozofii, pod osłoną ciemności dał swoją broń jakiemuś wyjącemu z bólu żołnierzowi, a on zaraz zastrzelił się. Jedyne możliwe humanitarne gest. Coup de grâce. Nazajutrz kapitan von Cergovsky rozkazał tego Polaka powiesić. Gottseidank przytknęła do warg biednego chłopca, patrzącego na wszystkich z osłupieniem, drewniany krzyż. W chwilę potem jeden z żołnierzy kopnął stółek, na którym stał zdający się niczego nie rozumieć z tej niekantowskiej metafizyki niebytu młody sanitariusz. Jak tylko jego stopy straciły oparcie, przez całe ciało przebiegły konwulsyjne drgawki, zwieracze puściły i z nogawek popłynęły strużki moczu i rzadkiego gówna. Było szare.

kreu...

– Wiemy, Najjaśniejszy Panie. Nie urodziliśmy się wczoraj. Po to ona jest! – miał mu odpowiedzieć minister Krobotin. – Nie będziemy jej skąpic dla Waszej Cesarskiej Mości.

– Mamy nadprodukcję taniej krwi... – dodał arcyksiążę Karol. – Trzeba jej nieco upuścić, bo się gotuje i burzy. Lepiej przelewać ją na froncie niż w rewolucjach i ulicznych demonstracjach. Albo w bójkach po jarmarkach i wiejskich gospodach.

Czułem, że sierżant Vaněk ma rację, ale czułem również, że istnieje jeszcze inna, odmienna racja, a choć równie prawdziwa, to przecież niemożliwa do pogodzenia z tamtą. Dlatego odpowiadałem mu z przekorą:

– Pomyslcie, sierżancie, przez chwilę. Czy nie lepiej jest naprawić Cesarstwo, niż je burzyć? A jeśli wasze państwa narodowe też będą piekłem, w którym ma zapanować jednomyślność, a jej brak okaże się przestępstwem wobec nowej racji stanu? Gdy rozkazywać wam będą nie obcy, lecz swoi, którzy równie mocno wezmą was za pysk? Co będzie, jeśli dawniej uciśnieni, sami teraz zaczną uciskać innych, kiedyś tak samo uciskanych jak oni? Tych, którzy pozostali, bo tam, gdzie się urodzili, czuli się u siebie i dlatego nie chcieli wynieść się gdzieś indziej, a potem stali się dla swoich dawnych sąsiadów obcy i niepożądani? Albo jeśli zaczną się nieustanne wojny o dwie czy trzy przygraniczne wsie lub o zatokę? Zali nie zatęsknicie do dawnego porządku, ale wtedy już nie będzie do niego powrotu? A jeśli sąsiad z widłami i siekierą ruszy na sąsiada, a zięć powstanie przeciw teściowi, jak wtedy będziemy żyć?

Sierżant pokiwiał głową, ale patrząc na jego twarz, widziałem, że choć zasiałem w nim ziarno wątpliwości, to jednak go nie przekonałem. Siebie samego też, bo coraz częściej myślałem, że jak by w przyszłości nie miało być, dobrze już na pewno nie będzie. Grau. Das Grauen. Die Grausamkeit. Nasza przyszłość. Szarzyzna i okrucieństwo. Bagienna pustka jest przy niej dobrotliwa. Bankructwo wszelkich ideałów. Nicość pochylająca nad światem zdruzgotane czoło.

Nagle w ustach zaroiły mi się śliskie robaki. Gdzieś w głębi Ziemi, w jej mrocznych trzewiach, tajemnicze podziemne ciekły pulsowały ofiarą krwią poległych, która wsiąkała w biteczne pola. Płynęły w odwrotnym kierunku niż życiodajna woda tryskająca ze źródeł. Rozlewały się i zastygały w zgangrenowany czarny skrzep. Niczym doświadczony różdżkarz, jakimś nieznanym mi zmysłem słyszałem ich zew, cichy skowyt padłych w boju, wyczuwałem pod stopami ów złowrogi nurt budzący gwałtowne mdłości. Potrafiłbym wskazać miejsca, w których zaraz trysnęłaby fontanna krwi, gdybym kazał sierżantowi uderzyć tam łopatą. Może ta wojna kiedyś się skończy, ale podziemne skrzepy pozostaną na zawsze i szybko odnajdą je kopacze sangwiny. Będą nią na murach miast pisać wzniosłe hasła i rysować ludziom na czołach ślepe znamiona śmierci. Rozsypią cykutę po polach, zatrują dusze, wyjąłowią glebę. Narodzi się nowy Piłat, który umyje uwalane gównem ręce we krwi. A potem znów będziemy musieli dokonywać wyborów, do których nikt nie może być dobrze przygotowany. Jedyne rozwiązanie, jakie przychodziło mi na myśl, to odmowa udziału, ucieczka w odwieczny sen, zanim archeolodzy i hierofanci imponderabiliów rozpoczną swoje upiorne wykopki. Dlatego od twardej ziemi wolałem pozabawiony jakichkolwiek ontologicznych rozstępów grząski bez-grunt i półpłynny męt bagien. Na razie to jeszcze wystarczało, ale nie miałem złudzeń, że to już nie na długo.

Na wypadek, gdybyśmy musieli dźwigać upolowane ptaki, zabie-

raliśmy ze sobą strzelca Bajuraka, ponurego Hucuła, który tęsknił do swoich polonin i owiec. Do polowania miał smykałkę. Zwykle jednak uracaliśmy z niczym. Wojna wypłoszyła życie nawet z mokradeł położonych za linią frontu. Pozostała tylko roślinna vegetacja butwiejąca powoli w stojącej wodzie. Ale tak naprawdę to przecież nie o żadne łowy szło w tych naszych wyprawach. To były tylko drobne wprawki, jakieś bezradne impromptu i etiudy przed wyprawą w prawdziwy mrok. Przynajmniej dla mnie, bo sierżant Vaněk... Myślę, że lękał się o mój stan ducha i dlatego mi towarzyszył.

Najczęściej wyruszaliśmy wkrótce po obiedzie, a powracaliśmy po zmroku albo następnego dnia rano, jeśli przyszło nam nocować w gospodzie. Nigdy nie miała wielu gości, bo kto bez potrzeby zapuszczałby się w te strony, zwłaszcza teraz, gdy ruch na drogach zamarł, jedni uciekli, inni zaszyli się po domach? Karczmarz otwierał gospodę chyba tylko z nawyku; bił z niej przykrych odór stęchlizny i samotności. Inaczej sam musiałby pić, pograżając się coraz głębiej, niczym w bagnie, w rozdygotane delirium. A tak przynajmniej czekał na coś, co nie nadejdzie, a choć o tym wiedział, to jednak czekał.

Szliśmy raz wąską groblą pośród trzciny, w której zaplątał się szept wiatru. W pewnym miejscu, gdzie nasza grobla krzyżowała się z szeroką drogą, zatrzymaliśmy się, żeby coś zjeść. Do gospody mieliśmy przed sobą jeszcze dwie mile. Szliśmy tam jedynie na nocleg, bo przecież nic tam do zjedzenia nie było. Była tylko wódka, prawdopodobnie z przemytu. Bajurak na poboczu drogi rozpałił ognisko, a ja usiadłem na pniu powalonej wierzbki i wyciągnąwszy notes, zapisałem to, co mi chodziło po głowie:

olchy wśród mokradeł
stoją przy grobli zapatrzone
w rysunek trzciny

z podszeptu diabła
wiatr lekko potrząsa gałęziami
poduszki mchów szepczą: zaśnij
zaśnij...

Gdzieś w oddali płacząco porykiwały krowy, a po szarym niebie przemknął nerwowym lotem nietoperz. Pomiędzy chmurami, pędzącymi niczym piechota atakująca okopy nieprzyjaciela, co chwila pojawiała się twierdza nie do zdobycia; blade Księżyce. Vaněk usiadł obok mnie z nabitą fajką. Patrzył na Bajuraka oprawiającego rybę, którą niedawno złowił w jednym z mijanych wcześniej oczek wodnych. Po chwili milczenia zapytał:

– Pisze pan list?
– List? Nie. To nie jest list. Piszę wiersz...
– Wiersz?
– Tak...

Przez chwilę milczał, pociągając z fajki. Tytoń, którym ją nabił, był podłego gatunku, może to nawet nie był żaden tytoń, tylko jakaś okropna mieszanka własnego pomysłu.

– Czy przeczyta mi go pan?
– To was ciekawi, Vaněk?
– Ano, ciekawi...

Zupełnie mnie zaskoczył. Ale zarazem jego prośba zrobiła mi przyjemność.

Szarość jest przerażająca. W ciemności przynajmniej można się ukryć. Lecz tam, gdzie jest szaro, samemu trzeba stać się szarym, żeby nie być widocznym. I jeszcze znieruchomieć. Szary wojskowy szynel połowy pośród szarych skib. Szare szczyry w latrynie. Szare ze zmęczenia twarze w szarym błocku okopów. Jedynie krew nie jest szara. Kiedyś coś o tym powiedział sierżant Vaněk:

– Na wojnie... – zaczął, lecz zaraz zamilkł. Jednak w końcu zdobył się na odwagę i wyrzucił to z siebie: – Na wojnie tylko gównu i krew nie są szare. Ale jak ta wojna szybko się nie skończy, to i one będą.

Cóż to za potworna gra słów. Grau. Das Grauen. Die Grausamkeit. Idę ulicą tego szarego od wszechobecnego brudu miasteczka, a nad moją głową zbierają się szare chmury. Szare chmury zbierają się nad Ojczyzną i nad całą Europą. Na poczcie, z upstrzonego przez muchy portretu, dobrotliwie patrzą na mnie szare oczy cesarza. Powinny być błękitne, ale na tym portrecie są szare. On już to wszystko od dawna wie (nic przecież nie zostało mu oszczędzone) i poddał się pożerającej stary świat szarzyźnie skradającej się po cichu przyszłości.

Ten pocztowy referent to bałwan. Nie potrafi znaleźć twojego listu. Mówię mu, że jeszcze wczoraj go nie było, więc mógł przyjść dopiero dziś, oczywiście, o ile nadszedł w ogóle, więc jeśli tak, to musi go mieć gdzieś na wierzchu. Ale on przetrząsa ogromne sterty dokumentów zapewne pamietających jeszcze Kongres Wiedeński. W powietrzu wirują szare pyłki kurzu, od których kręci mnie w nosie. Obłądnie tańczą w świetle elektrycznej lampy, a ja zaczynam recytować Lukrecjusza:

Patrzej: niejeden pyłek, nagle czymś pchnięty z boku

Albo z tyłu odskoczony i innym dąży chodem,

Abym znów w drodze znaleźć zderzenie lub przeszkodę¹.

Urzędnik przerywa swoje poszukiwania i słucha mnie z zamkniętymi oczyma. Czuję się zakłopotany, więc milknę. Pyłki nadal wirują, choć już powoli opadają na nowe miejsca, w których będą latami czekać na okazję, by przez chwilę zaistnieć i być może zmienić losy świata. On zaś zastygł w bezruchu i o czymś śni. Jest młody, zapewne niedawno zrobił maturę. Wyraźnie utyka i dlatego nie został zmobilizowany. Cicho chrząkam. Budzi się z odrętwienia. Przez chwilę wytrzeszcza oczy i patrzy na mnie nieprzytomnym wzrokiem, a potem zrywa się i kuśtykając na zaplecze, woła:

– Bardzo pana przepraszam, byłbym zupełnie zapomnian!

Po chwili wraca i z tryumfem wymalowanym na twarzy wręcza mi twój list. Mija prawie godzina, odkąd tu przyszedłem.

Zmrok o tej porze roku nadciąga niezauważalnie i szybko, dopiero ciemność nocy przynosi mi ulgę. Nie potrzebuję morfiny ani wódki. Już na kwaterze rzucam się na łóżko, rozrywam kopertę i pożeram oczyma pisane twoją dłonią zdania. Potem czytam jeszcze raz, a potem trzeci i czwarty. Litery blakną i odnoszę wrażenie, że patrzę na pustą kartkę papieru zapisaną sympatycznym atramentem. Jedynie zapach, twój zapach, którego nie mogę pomylić z jakimkolwiek innym, daje mi pewność, że jeszcze niedawno się nad nią pochylałaś. Przez chwilę czuję purpurowy ogień rozkoszy, a potem lodowatą pustkę twojej nieobecności. Rozłąka z tobą sprawia, że sam sobie czuję się obcy.

Noc, odkąd tylko pamiętam, zawsze była królestwem matki. Dzień zawsze należał do ojca. Nawet wtedy, gdy go nie było w domu, za

dnia obowiązywały ustanowione przezeń reguły i prawa. Wtedy matka tkwiła w głębi jednej z licznych w naszym mieszkaniu szaf, podczas gdy jej emanacja, chuda i blada, z okrucieństwem właściwym kobietom jej stanu, uczyła nas siedzieć sztywno przy stole i nie patrzeć w talerz, kroić mięso na drobne kawałki, a potem z obojętnością wsuwać je widelcem między ledwie rozchylone wargi. Po obiedzie czytywała nam pełen okropności poemat Dantego, z którego nie rozumieliśmy nic, oprócz grozy, albo równie potworne powieści Mary Shelley. Dzień przynosi oświecenie, z którego dopiero wyzwała noc. Właśnie noc należała do niej. Późnym wieczorem, gdy mieszkanie wypełniało się przypominającym czerwcową burzę chrapaniem ojca, matka, ta prawdziwa, zbudziwszy się z letargu, zjawiała się przy naszych łóżkach, by utulić nas do snu, a jej pieśczęoty miały w sobie coś z łaskoliwego dotknięcia owego dziwnego demona z obrazu Füssliego, w niczym niegroźnego wobec tego, co dopiero miało nadejść.

* * *

Jeśli kiedyś myślałem, że wiem, czym jest piekło, to bardzo się myliłem. Co prawda nadal nie wiem, czym ono jest, ale już wiem, czym jest jego przedsionek – szpitalem polowym, w którym zabrakło wszystkiego prócz bezradnego personelu. Nasz dług był pusty, ale nie mieliśmy wątpliwości, że wkrótce się wypełni. Równe rzędy przycznionych szarymi pledami czekały na świeże mięso armatnie. To będzie doskonałe miejsce na praktykę dla młodych i dobrze zapowiadających się chirurgów. Dziewięćdziesiąt pięć miejsc, zaimprovizowana sala operacyjna. Dowódcą został kapitan rezerwy Ignaz von Cergovsky, któremu jako zastępcę przydzielono feldkurata Gottseidanka. Nazывал się Sepp Parler, ale wołano na niego Gottseidank, bo tymi słowami kończył każdą swoją przemowę. Pozostały personel składał się z dwóch lekarzy, czterech sanitariuszy i mnie, któremu powierzono opiekę nad źle wyposażoną apteką, bo miałem za sobą siedem zaliczonych semestrów farmacji. Do tego eskorta: pięciu strzelców, którymi dowodzi sierżant Vaněk. Kapitan z feldkuratatem całymi dniami byli nieobecni, być może przesiadywali w knajpie, ale nie w tym szarym miasteczku, tylko jeździli gdzieś dalej, zabierając nasz jedyny samochód, którym kierował strzelec Antczak. Lekarze pili w lazarecie, a ja z sierżantem wypuszczaliśmy się na bagna, żeby postrzelać do kaczek. Właściwie nie dla tych kaczek, do których nigdy wcześniej nie strzelałem, a nawet nie rozumiałem myśliwskiej pasji ojca, ale po to, żeby okłamywać siebie samych, że jesteśmy tu z własnej woli, a wojna jest tylko jakimś nieprzyjemnym snem. Z czasem zrodziła się między nami pewna komitowa i sierżant Vaněk nie bał się powiedzieć mi, o czym myśli.

– Proszę się nie gniewać, panie poruczniku, ale ja myślę, że ta wojna to jest pogrzeb Cesarstwa. Żyjemy tu obok siebie od setek lat, tyle narodów, a coraz bardziej się nienawidzimy. To przecież musi kiedyś pęknąć. Jak wzbierający wrzód. Bo my wszyscy coraz bardziej chcemy mieć własne państwa. W których nikt obcy nie będzie nam rozkazywał, jak mamy żyć i co myśleć. Wspólnie przelewana na froncie krew zwykle łączy towarzyszy broni. Ale my już nie przelewamy jej wspólnie. My ją przelewamy obok siebie i wbrew sobie, a czasem nawet i przeciw sobie. Razem biegniemy do szturm, ale umieramy osobno.

Czułem, że Vaněk ma rację. I cesarz też to dobrze wiedział. Dlatego nie chciał tej wojny, w której zgorzeje wszystko, co było dotąd. Podobno zapytał swoich ministrów:

– Czy panowie byli kiedykolwiek na wojnie, bo ja tak... Tam się leje

1 Titus Lucretius Carus, *De rerum natura*, przekład Edward Szymański.

Opowiadanie

SZARO...

Krzysztof Rejmer

Czworaki i chłopci pańszczyźniani to było ponad *półtora wieku temu*”.

Nasz wniosek został odrzucony przez komisję w PISF-ie, której członkami byli po pierwsze Janusz Zaorski (reżyser *Piłkarskiego pokera*, któremu ostatecznie nie udało się nakręcić jego kontynuacji, chociaż parokrotnie o to usilnie zabiegał) oraz Michał Kwieciński (producent *Boiska bezdomnych*, a więc filmu, który miał zblizoną tematykę; w dodatku kiedyś proponowałem mu produkcję *Transferu*, ale odmówił, bo w planach miał już *Boisko*). Czyżby to był przypadek, taki dobór komisji dla naszego projektu? Ostatecznie zamiast pełnometrażowej „piłkarskiej” fabuły muszę się zadowolić 8-minutowym dokumentem Piotra Kawki, będącym relacją z meczu piłki błotnej *Błoto dla zuchwałych* (2011), nawiązującym do meczu na wodzie Niemcy – Polska z 1974 roku. Wystąpiłem w tym filmie jako piłkarz – zdobyłem pięknego gola przeurotką. Ten filmik bardzo spodobał się Barańskiemu.

Na sali byli obecni moi koledzy z BKS Roztocze Krasnobród. Jeden z nich zapytał, czy udało mi się w końcu znaleźć harmonię ciała i umysłu, o której tyle mówi się w filmie. Odpowiedziałem, że to chyba właśnie się dzieje. Dowód? Tego samego dnia „Gazeta Zamojska” w artykule „Bo zabrakło błota” opisała mnie jako utalentowanego piłkarza, a z kolei w gazetce festiwalowej „Zwierzyniec filmowy” ukazał się artykuł o mnie i o *Księżwie* – „Koniec z sielankami”.

W ramach LAF, na godzinę przed pokazem *Księżwa*, w ratuszu odbyło się spotkanie z redakcją „Akcentu”. Prowadził je Bogusław Wróblewski. Przypomniały mi się czasy, kiedy przychodziłem do „Akcentu”, przynosząc do czytania swoje pierwsze teksty. Patrząc na Wróblewskiego, zastanawiałem się, czy pamięta, jak podczas jednej z wizyt wylałem mu przypadkiem na redaktorskie biurko kubek kawy, zalewając wszystkie ważne papiery. Chyba pamiętał, bo odwrócił wzrok.

Do Zwierzynca zabrałem żonę i czteroletniego wtedy synka – okazało się, że LAF to festiwal rodzinny. Wśród widzów dominowały pary, w wieku między dwadzieścia kilka a trzydzieści kilka lat – pewnie dzieciaki zostawili w czymś w rodzaju festiwalowego przedszkola, gdzie maluchy także mają filmy do oglądania. Wiktorrek obejrzał z uwagą *Hotel dla psów*, wybierał się też na filmy o autach i mrówkach. To się nazywa edukacja filmowa przyszyłych pokoleń.

Zwierzyniec stał się miejscem, gdzie przyjeżdżaliśmy systematycznie, były to takie filmowe wakacje, ale też piłkarskie. Mieliliśmy tutaj sporo znajomych. Najbardziej zaprzyjaźniłem się z Piotrem Kotowskim, który przez 20 lat był rektorem Letniej Akademii Filmowej. Od początku marzył o imprezie, która byłaby dla publiczności, dla ludzi, którzy po prostu kochają kino. Nie chciał kolejnego festiwalu z konkursami i nagrodami, które z powodu liczby się dewaluują i nikt już nie pamięta co, gdzie i za co dostał.

W 2000 roku rozłożył mapę i szukał jakiegoś wyjątkowego, nieodkrytego miejsca. Wybór padł na Zwierzyniec, piękne, spokojne miasteczko na Roztoczu, nieoblężone przez turystów. W Zwierzyncu było wtedy kino, ale zamknięte na cztery spusty. Panowała wówczas osobliwa moda zamykania małych kin na prowincji, bo wchodziły multipleksy i zmieniały się standardy oglądania filmów. Drzwi do kina „Skarb” Piotr otwierał ze ściśniętym sercem w obawie, czy ktoś nie wpadł na to, żeby rzucić rządy foteli na stos i pozbyć się aparatury projekcyjnej. Szczęśliwie wszystko było na swoim miejscu, wystarczyło wywietrzyć i odkurzyć. Udało się porozumieć z miejscowym browarem, który udostępnił Akademii przestrzeń na kino nocne, i tak to się zaczęło. O dziwo,

na tej pierwszej edycji pojawiło się tylu ludzi, że zapełnili zarówno salę kina „Skarb”, jak i dziedziniec browaru.

Do Zwierzynca przyjeżdżają głównie młodzi ludzie, studenci i licealiści, oni zresztą stanowią trzon widowni kinowej w Polsce, i to tej bardziej wyedukowanej, której nie wystarczy popcornowy repertuar. Do Zwierzynca trafiają filmy z jednorazowych, ekskluzywnych pokazów, których nie można obejrzeć nigdzie indziej.

LAF słynie z oryginalnych przeglądów. Kiedyś zaprezentowano dwie kinematografie, których oficjalnie nie ma – kurdyjską i palestyńską, za to są reżyserzy, którzy kręcą filmy o problemach swoich narodów. Nazwa „akademia” zobowiązuje, jest rektor, chce kształcić i pokazywać, że kino nie zaczęło się wczoraj.

Piotr znaczną część życia spędza na festiwalach filmowych. Kino jest jego pasją, nie ma takiego dnia, żeby nie obejrzał jakiegoś filmu. Kinowa produkcja jest teraz tak ogromna, że nie da się wszystkiego zobaczyć. Trzeba więc dokonywać jakiejś selekcji. Kotowski unika współczesnego Hollywoodu, bo uważa, że jeśli się widziało dziesięć filmów danego gatunku, to się widziało wszystko i szkoda na to czasu. Stara się odkrywać to, co powstaje na obrzeżach.

Od kilku lat Zwierzyniec robi się powoli za ciasny na LAF. Chodzi zarówno o ilość sal kinowych, ale też miejsc noclegowych. Wprawdzie ta baza zuiększa się co roku, powstają nowe pensjonaty, organizatorzy starają się zaadaptować kolejne miejsce pod salę kinową, ale ten przyrost nie nadąza za wzrostem liczby uczestników. Nie wiadomo, jak temu zaradzić. Jednego roku Kotowski próbował zniechęcić widzów do przyjazdu do Zwierzynca, organizując cykl „Najgorsze filmy świata”... Niestety, odniosło to odwrotny skutek.

Letnia Akademia Filmowa znalazła swoje miejsce w kalendarzu imprez filmowych. Jest rozpoznawalna. I ściąga coraz więcej osób. Znajduje się na uznoszącej fali. Kiedy Piotr spogląda wstecz, nie do końca potrafi zrozumieć, dlaczego tak się stało. LAF to był pretekst, żeby zrobić coś dla siebie. Kotowski twierdzi, że powołał LAF do życia z pobudek czysto egoistycznych. Osobie prywatnej nikt by filmów nie wypożyczył. A jako organizator miał prawo do ich ściągnięcia z różnych zakątków Europy, czy nawet z trochę dalszych miejsc.

Już kilka lat temu w „Zwierzynku filmowym” (bezpłatnej gazetce festiwalowej) Grzegorz Pieńkowski żartował w swoim felietonie, że Kotowski powinien zamienić Akademię Filmową w Korespondencyjną Akademię Filmową – nie zapraszać nikogo, tylko rozsyłać opisy scen i listy dialogowe do zainteresowanych uczestników.

Jeżeli LAF będzie się jeszcze rozwijać (lub upadnie), to bez Kotowskiego. Po 20 latach rektorowania przestał pełnić swoją funkcję. Ale tego, co osiągnął, nikt mu nie odbierze. Rzadko kiedy jakaś impreza artystyczna tak bardzo odciska swoje piętno na miejscu, w którym się odbywa, jak Letnia Akademia Filmowa na Zwierzyncu. Przez 20 lat rozbudowała się baza noclegowa, miasto stało się zadbane, więcej ludzi ma pracę, no i rozwinęła się turystyka. Sztuka zrobiła coś dla ludzi.

LAF się zmienia, chociaż jej idea pozostaje taka sama – pokazać jak najwięcej dobrych filmów z całego świata, które trudno zobaczyć gdzie indziej, bo nie zawsze trafiają do kin. To także okazja do spotkania z ich twórcami i możliwość wymiany poglądów.

Jedynie, co mnie niezmiennie rozczarowuje, to fakt, że w Zwierzynku nie ma ZOO. Bo jak naiwnie sądziłem – skoro „zwierzyniec”, to musi być ZOO. A najbliższe ZOO jest w Zamościu. ●

Jeśli coś łączyło ich wszystkich, były to erudycja, dowcip i otwartość. Otwartość rozmówców wydaje się tutaj kluczowa – bez niej rozmowy by się nie powiodły.

Zanussi – w swoim stylu – subtelnie narzuca innym swoje zdanie. Niejednokrotnie wyczytać jednak można rady i podpowiedzi, których udziela twórcom, aby kino stało się bogatsze i głębsze. Zwraca uwagę na tematy, z którymi filmowcy sobie nie radzą, bądź których z pewnych względów wolą unikać. Do tego dodaje szczyptę humoru i snuje ciekawe anegdoty. Gruza jawi się tutaj nie tylko jako autor filmów i seriali popularnych – ale także jako miłośnik kina, któremu losy i przyszłość kinematografii są bardzo bliskie. Kutz to prostaczek-plebejusz, który stał się filozofem.

Drżące kadry nie powinny być rozpatrywane ani jako krytyka, ani obrona PRL-u. To był przecież autorytarny reżim, który tłamsił obywateli. Jeśli w *Drżących kadrach* pojawia się jakaś nostalgia, jest to prywatna nostalgia rozmówców Czerkawskiego, tęsknota za utraconą młodością, przyjaciółmi, niespożytymi siłami twórczymi. Krytyka PRL-u również się w tych rozmowach zawiera, ale przyjęła ona formę ironiczno-kpiarską. Książkę czyta się dobrze, ale pozostaje niedosyt, bo – odnoszę takie wrażenie – mimo wszystko można było wyciągnąć z „przesłu-

chiwanych” jeszcze więcej. Każdy rozdział bardziej przypomina szkic do kolejnych rozmów niż zamkniętą strukturę. Rozumiem, że w tej formule książki nie było na to miejsca.

Z pewnością wybór rozmówców jest subiektywny. Osobiście żałuję, że Czerkawski nie zrobił jeszcze jednego wywiadu – z moim ulubionym Andrzejem Barańskim, którego, jak mi wiadomo, Czerkawski również bardzo ceni. Barański także tworzył większość swego kina w siermiężnym PRL-u i doskonale zna tamten klimat. Chyba że Piotr szykuje jakąś specjalną książkę – wywiad z Barańskim, wtedy mogę mu to przeoczenie wybaczyć.

Przeczytałem tę publikację szybko, podczas podróży pociągiem z Warszawy do Berlina. Warto jednak nie spieszyć się z jej lekturą, czytać wolno, by mieć czas wszystko przemyśleć, przetworzyć przez własne emocje. Fantastyczna lektura, która dotyka i porusza. Cudownie, że w czasach, kiedy wszystko jest podszyte blichtrzem, wciąż można odnaleźć szczerze, inteligentne rozmowy z ludźmi, którzy nie kokietują, nie silą się na sztuczny intelektualizm i nie prawią komunałów, tylko opowiadają o rzeczach głęboko ludzkich, niezwykle prawdziwych i dzięki temu ważnych. Te rozmowy wiodą do podobnej konkluzji – w tym, co się robi, trzeba być sobą. ●

Zbigniew Masternak > Wspomnienie

20 LAF minęło

O Piotrze Kotowskim usłyszałem w 1999 roku, popijając piwo w klubie studenckim „Chatka Żaka”, kiedy byłem studentem wydziału prawa UMCS w Lublinie. Szefował prężnie działającemu w „Chatce” DKF-owi. Miałem wtedy jeszcze dość naiwne wyobrażenie o kinematografii – zaproponowałem mu sfilmowanie mojego pierwszego opowiadania *Ki diabeł?*. Popatrzył na mnie jak na wariata – w DKF-ach o filmach się dyskutuje, a nie zajmuje ich produkcją. I nasze drogi się rozeszły. Kotowski był zajęty przygotowaniem pierwszej edycji Letniej Akademii Filmowej w Zwierzyńcu. Nie wierzyłem, że mu się uda.

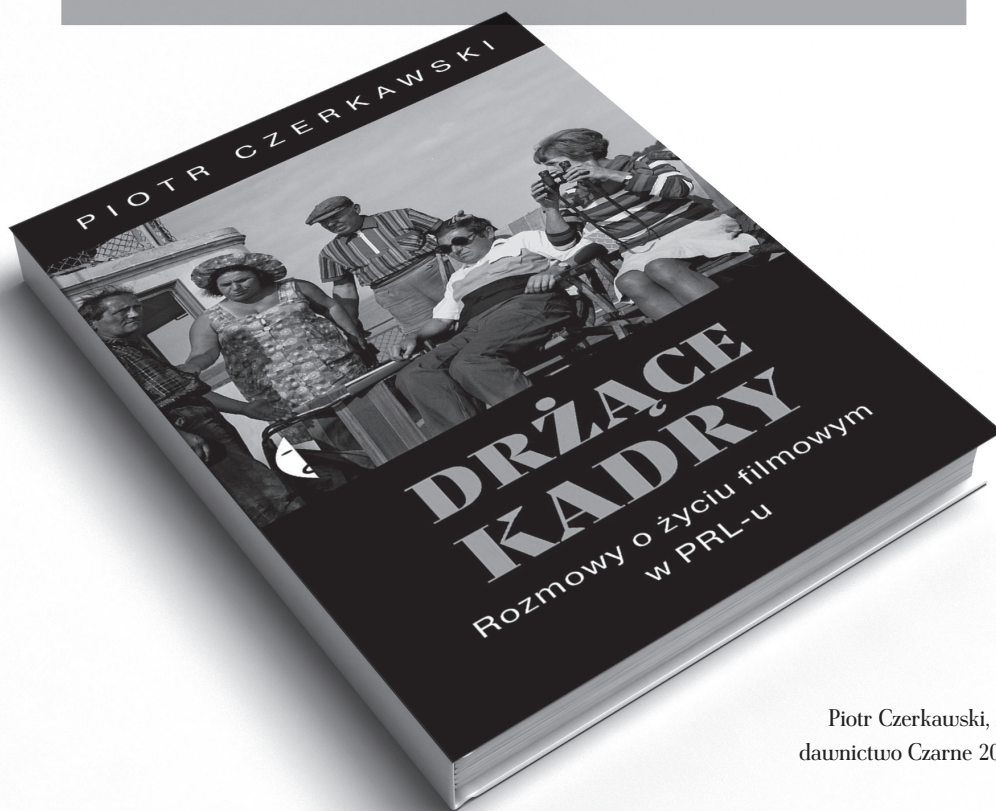
Minęło 12 lat i zaprosił mnie na jej XII edycję – do Zwierzyńca przyjechałem z *Księstwem*. Opowiadanie, które chciałem kiedyś nakręcić, zostało sfilmowane przez Barańskiego. Kotowski to zauważył – po pokazie pouspominaliśmy wydarzenia sprzed 12 lat.

Ekipę filmu reprezentowałem ja i Zbyszek II, czyli Rafał Zawierucha. Po pokazie na widowni zostało ¾ widzów. Większości film się podobał – ktoś stwierdził, że to taka polska prowincja w pigule, ktoś wyraził zdziwienie, że film został przemilczany w Gdyni. Na koniec trafił się też głos krytyczny. Chodziło o ostatnią scenę – że jest nieprawdziwa, bo kałasznikow inaczej strzela i jest to błąd. Ja na to, że nie znam się na broni. Dodałem, że u mnie w książce główny bohater

nie ginie, tylko ktoś mu grozi bronią. Czy mógłbym uśmiercić go już w pierwszej książce, skoro zaplanowałem wieloczęściowy cykl? Ostatnia scena nastrończyła jeszcze jeden problem – w Kazimierzu Dolnym przeczepił się do niej Grzegorz Królikiewicz. *Że* zbyt jaśnie nawiązuje do *Popiołu i diamentu*. O czym nawet nie pomyślałem. Profesor z powrotem odesłał mnie do szkoły scenariuszowej, gdzie mnie kiedyś uczył. Może był zły za to, że jednak *Transfer*, piłkarski film, który miał produkować, nie powstanie? *Że* jego syn, Jacek, radzi sobie znacznie gorzej ode mnie? Do tego stopnia, że kazał mu sobie zmienić nazwisko z Królikiewicz na Raginiś? Królikiewiczowi opowiedziałem o moim projekcie filmu francuskiego, który pisałem dla Zanussiego. O tym, że mój bohater, chłopak z prostej chłopskiej rodziny trafia do wielkiego świata, do Paryża, gdzie ma się mierzyć z Wielką Emigracją. Królikiewicz się wkurzył i spytał, dlaczego to niby mam być ja, chłopski syn? I dodał, że kiedyś tacy jak ja mogliby być co najwyżej wiejskimi skrybami i pisać listy do naczelnika gminy. A tak – mogę się porzywać na Wielką Emigrację. Wściekłem się. Jakby był młodszy, zajełabym mu z bani w tej „Filmowa Cafe” w Kazimierzu, w towarzystwie Grażynki Torbickiej, która słyszała, jak rozmawiamy. Odpowiedziałem mu: „Panie Grzegorzu, chyba się panu epoki pomyliły.

Zbigniew Masternak › Recenzja

Filmowcy o PRL-u



Piotr Czerkawski, *Drżące kadry*, Wydawnictwo Czarne 2019.

Drżące kadry to zbiór 13 szczerých rozmów, jakie przeprowadził Piotr Czerkawski w wybitnymi przedstawicielami polskiego filmu. Pełne wątków osobistych wywiady w ciekawym, często nowym świetle ukazują ludzi, którzy tworzyli polskie kino w czasach PRL-u. Do każdej rozmowy zastosował autor indywidualny klucz, stworzył jak gdyby osobną strefę, w której poruszają się jego interlokutorzy. Wybrał ich z rozmysłem. Filmowcy reprezentują różne nurty (od Jerzego Gruzę przez Kazimierza Kutza po Krzysztofa Zanussiego). Dopiero kiedy tak „czyta się” ich wszystkich razem, widać, jak są różni.

Na książkę Czerkawskiego czekałem od dawna. Ale warto było, bo to przecież jeden z najciekawszych krytyków filmowych młodego pokolenia, który jednak przebywa w środowisku filmowym na tyle długo, że poznał je od podszewki.

Wydaje się, że tego typu książka jest samograjem – jeśli się ma takich interlokutorów, jak Gruza czy Zanussi albo Kutz, można tak myśleć – ale to tylko pozornie jest takie proste. Są to jednak ludzie, których dzieła są powszechnie znane, więc wydobycie z nich czegoś nowego, co nie padło w innych wywiadach, nie jest łatwe. Na

szczęście Czerkawskiemu to się udaje. Bo Piotr potrafi rozmawiać. Zmusił swoich rozmówców do wygrzebania z pamięci mniej znanych faktów i ciekawostek; niektórzy pokusili się nawet o dogłębną analizę czasów, w jakich przyszło im żyć i tworzyć. Zanotowane opowieści są zajmujące. Niepozorna z wyglądu książka, z czarno-białym kadrem z *Rejsu* na okładce, zawiera ogromny ładunek emocji i mądrości. Każdy z reżyserów – a są to ludzie już w zaawansowanym wieku – ma coś istotnego do powiedzenia. Obraz, który wyłania się z książki, jest różnorodny, a przez to ciekawy. Z jednej strony – wiadomo, tworzenie sztuki, gorączka kreatywności, poczucie przynależności do elity, a z drugiej ta irytująca szarość za oknem, która zatruwała wszystkim smak życia i od której nijak nie dawało im się uciec. Większość rozmówców Czerkawskiego urodziła się w czasie wojny bądź niedługo po niej. Poczucie niepewności jutra mogło tłamsić, ale artystom często dodawało odwagi, wyposażało ich w niesamowitą pewność siebie, którą z dzisiejszej perspektywy można pomylić z brawurą. Bez niej nie sposób byłoby jednak odnieść sukces. Każdy z tych rozmówców to inna, barwna osobowość.

– Czyli jak? – żona stawiała się coraz bardziej upierdliwa.

– A niby skąd mam wiedzieć?! Przecież jeszcze nie jestem cudotwórcą. Dopiero jak skończę kurs przewodników, pewnie nim zostanę.

– A co będzie z nami? – załkała żona.

– Ze wsi pochodzisz, na wieś powrócisz.

Nagle odwrócił się w stronę okna i z przerażeniem stwierdził, iż znajduje się w Łomży.

Morału nie będzie, gdyż los wszystkich motorniczych tramwajów pewnie jest podobny. Z wyjątkiem tych, którzy prowadzą autobusy. Lub traktory jednojajowe.

4.

Z początku sprawa wyglądała na prostą. Jest dziecko, piaskownica, plakat wyborczy partii niby rządzącej oraz linia prosta w pewnym momencie przechodząca w krzywą, czyli dokładnie, kurwa, nie wiadomo co.

Sześć opiekunek zajmujących się w porywach półtora dzieckiem, popijając tak zwaną kawę, dyskutowało o zawiłościach związanych z mężczyznami, czyli ich nieprzystosowaniu do życia. W łózkach.

Koło godziny czwartej po południu rodzice półtora dziecka zgłosili się po swoje półtoje pociechy i zbaranieli. Poza sześcioma opiekunkami, dalej sączącymi kawę, na placu zabaw zamiast ich pociechy siedział klaun. Ubrany jak wypadła w jego zawodzie, czyli w nic. Do tego franca palił papierosy, jednego za drugim, a niedopałki zakopywał w piasek.

– Gdzie moje półtoje pociechy?! – rozdarła się niby aktor w polskim filmie ni to matka, ni ojciec.

– Skąd, u diabła, mamy wiedzieć? – oburzyły się opiekunki. – My tutaj tylko pracujemy. Do tego za marne grosze! Może poszło zapisać się do Nowoczesnej? Albo podobnego świństwa. Kto tam wie, co bękartowi mogło strzelić do głowy!

Naturalnie wezwano policję, straż miejską i tym podobne służby, ale nie doszły one do żadnego, wspólnego wniosku.

Półtora dziecka po prostu znikło. I tyle go było widać.

Nagle, jak bywa w podobnych sytuacjach, zaczął padać deszcz i sprawa zniknięcia półtora dziecka rozmyła się. Na trzy lata.

Po upływie tych kilku lat dziecko – tym razem nie półtora, ale całe – odnalazło się. W Rumunii. Pędziło tam spokojne życie uchodzący przyjętego z kraju zagrożonego demokracją. Galopującą.

Dziecko szybko wydorosłało, zmężniało, o rodzicach i opiekunkach popijających wyłącznie kawę w godzinach pracy szybko zapomniało.

Zostało specjalistą od niczego, czyli rozdzielania funduszy unijnych dla tych, którym przysługują tego rodzaju zapomogi. Czyli większość przyznało sobie. Nic nowego.

5.

Uliczka jest wąska, brudna, od czasów Stalina nie posiada żadnej nazwy, a przede wszystkim jest jedyną drogą prowadzącą na Zamek.

Ten wysniony wzór doskonałości, wszelkich cnót, a przede wszystkim miejsce przetrzymywania kasy, czyli kilku monet wybitych jeszcze za pradziadka obecnego władcy, składa się z budy zbitej zardzewiałymi deskami, wygódki z, o dziwo, nienaruszoną rolką papieru toaletowego oraz lustrem. Po co w sraczu lustro, tego nikt nie rozumie.

Rządzi tym wszystkim gówniarz, który – podobno – ma dopiero cztery lata, albo biskupi zafałszowali jego metrykę, by móc dożywotnio sprawować władzę nie tylko nad sprawami ducha. Diabli wiedzą.

W każdym razie pewnego deszczowego popołudnia tę wąską uliczkę zatarasował najnowszy model mercedesa, wygramolił się z niego byczy kark z grubym, złotym łańcuchem na wszystkim co możliwe i pogardliwe zapytał przypadkowego kmiotka:

– Te, którąś do burdelu?

Kmiotek ze strachu i przerażenia popuścił trochę moczu w nylonowe spodnie i bąknął:

– U nas ostatni taki przybytek zlikwidowano zaraz po bitwie pod Płowcami.

– Że co? – niecierpliwiał się byczy kark. – Więc w jaki sposób załatwiacie wiadome sprawy?

– Modlitwą. I to aż do utraty przytomności.

Z rozbawienia byczy kark poczęstował kmiotka resztką ledwie jeszcze tłącego się papierosa marki Marlboro i ruszył w stronę Zamku.

Nie przeszedł jednak więcej niż sześć kroków, kiedy zatrzymała go straż miejska w postaci jednego, już na pierwszy rzut oka niedożywionego fajtlapy, który miał czelność poprosić obcego o wylegitymowanie się.

W odpowiedzi dostał w dziób i tak byczy kark już przez niko go nie niepokoiony dotarł na Zamek.

Tam uderł się do komnaty, czyli kurnej izby nieopalanej od wieków, z niesmakiem spojrzął na czteroletniego władcę i wyrecytował:

– W imieniu partii właśnie powstałej z kolan mianuję waszą dziurę stolicą województwa. Jej nazwę wybierzcie sobie sami, tylko musi się – koniecznie – dobrze kojarzyć – najlepiej z żołnierkami wyklętymi.

– Przez kogo? – bąknął chłopczyk.

– Destrukcyjną lewicę.

Następnie wręczył zdumionemu dziecku jakiś świstek papieru, przeżegnał się i z ulgą wyszedł.

Padło i z trudem dotarł do miejsca, w którym pozostawił mercedesa, ale po nim nie pozostał już ślad.

Miejscowa ludność ot tak, po prostu przerobiła ten świstek papieru na święte relikwie, które ich potomkowie noszą do dzisiaj, ale tylko w dni wielkich świąt.

Na przykład w niehandlowe niedziele. ●

Ochlapał się w pobliskim stawie przeznaczonym głównie dla jeży, z krzaków wytargał walizkę firmy Louis Vuitton, przebrał się w najlepsze ubranie od Armani, buty od Versace, a złoty sygnet całą noc trzymany w ustach założył na najmniejszy palec.

Łachmany zapakował do walizki i starannie ukrył w krzakach, do których nikt poza nim nie miał prawa wstępu. Wywalczył ten szczególnie przywilej latami walk, popijania ze starszymi od niego lumpami i niekończącymi się opowieściami o odsiadkach w stanie wojennym i w kilka lat później.

Następnie z rozkoszą zapalił Lucky Strike i w poczuciu dobrze spędzonej nocy udał się do pobliskiego banku, którego od czasów reformacji, albo deformacji 1989 roku nieprzerwanie był prezesem.

Nowe czasy wymagają nietuzinkowych menadżerów, pomyślał, mijając recepcję, za którą królował pan Wojtek, ubek na zasłużonej emeryturze, ale przydatny. Do wszystkiego.

2.

Z jakiegoś powodu kobieta nie wiedziała, z której strony wsiąść na rower. Zwykły, poobijany jak życie i do tego bez hamulców.

Męczyła się z trzy tygodnie, aż w końcu poszła po poradę do lekarza. Ten – o dziwo – przyjął ją już po sześciu nieprzespanych dyżurach.

– Słucham – burknął spoza, o dziwo, krystalicznie wysprzątanego biurka.

– Nie potrafię wgramolić się na rower – powiedziała wyraźnie skonfundowana.

– Ja także nie. W czym problem?

– Muszę jeździć na rowerze, inaczej mój prestiż upadnie w całej okolicy.

– A posiada pani jeszcze coś takiego?

– Naturalnie – oburzyła się – może z wyjątkiem księdza proboszcza.

Lekarz na chwilę zamyślił się. Lub zasnął.

– Przepiszę pani środki uspokajające, lewatywę i może jeszcze – na wszelki wypadek – pastylkę 24 godziny po.

– Po czym? – zdumiała się.

– 24 godziny po dostąpieniu szczytu wdrapania się na rower.

– Słyszałam – bąknęła nieśmiało – że te pastylki działają na coś zupełnie innego.

– Niby na co? – lekarz nagle stał się bardzo poirytowany.

– Podobno na niechcianą ciążę.

– A czy jadąc na rowerze, nie może pani zająć w ciążę?

– Teoretycznie tak.

– Przed laty, jako początkujący lekarz, miałem następujący przypadek: zgłosiła się do mnie pacjentka – do tego na ostry dyżur – twierdząc, iż jest Jarosławem Iwaszkiewiczem. I dodała, że właśnie pisze *Sławę i chwałę*.

– I co?

– Rzeczywiście nim była. Czy to nie dziwne?

– Dla mnie dziwne, panie doktorze – przepraszam za śmiałość

– to są czyraki.

Lekarz roześmiał się, wypisał stosowne recepty i życzył miłej przejażdżki.

Ale nic z tego. Podczas pobytu w przychodni ukradziono jej ten – od wielu lat wyłącznie wyimaginowany – rower.

3.

Warszawa. Miasto na wyciągnięcie ręki bardziej niż nijakie. Niby historia, niby centralne władze, kluby piłkarskie Ursus i Polonia, setki lat tak zwanej tradycji, ale jak przyjdzie coś do tak zwanego czegoś: pustka. Plus niezliczona ilość przychodni dentystycznych i tym podobnych.

Trwało to aż do 16 maja 2018 roku, kiedy to kompletnie trzydziesty motorniczy tramwaju numer 17 co kilka minut (nie wiadomo jakim cudem) zmieniał tory (z lewego na prawy, a po chwili na odwrot).

W mieście zapanowała panika porównywalna jedynie z czasami przeniesienia stolicy z Krakówka do wiadomo gdzie. Chaos powstał niesamowity – porównywalny chyba jedynie z powstaniem z 1944 roku.

A motorniczy tramwaju numer 17 nic sobie z zamieszania, które wywołał, nie robił. Mówiąc obrazowo: miał to w dupie.

Wszystko – jak to czasami bywa w życiu – przez kobietę. Mia nowicie o godzinie trzeciej dziesiąt nad ranem, kiedy wstawał do pracy (jak przez ostatnie 16 lat), ta nagle zapragnęła się kochać.

Biedny motorniczy już lata temu zapomniał, na czym seks polega, a przede wszystkim bał się, iż przez te kilka niezaplanowanych z odpowiednim wyprzedzeniem ruchów kobieta nie zdąży przygotować mu kanapek na drugie śniadanie.

A przecież jeżdżenie po Warszawie tramwajem bez kanapek równa się samobójstwu. Na szczęście w jego przypadku nic takiego się nie zdarzyło, ale spowodował bałagan na skalę niespotykaną nawet w UE.

Kiedy w końcu służby porządkowe jakoś go obezwładniły, a łapiduchy medyczne zaaplikowały stosowne środki uspokajające (o 300 procent przekraczające dopuszczalną dawkę), pan motorniczy jakimś cudem dotarł do domu.

Za dużo powiedziane: wersalka, teściowa w kuchni przy oknie, żona zła jak poseł Petru, dzieci w nieładzie porozrzucane do kątach.

– Jak było? – żona zadała sakramentalne pytanie.

– Normalnie, tylko jakiś wariat jeździł tramwajem numer 17 pod prąd, nie po wyznaczonych torach i tak dalej.

– Coś mi się wydaje, że to byłeś ty! W TVN 24 pokazywali cię nawet z dość bliska.

– I cóż tego wynika? – zapytał dość zaczepnie.

– Nic.

– Tak ci się tylko wydaje. Jutro wracasz na wieś ze wszystkimi przyległościami, a ja zapisałem się na kurs przewodników muzealnych. A po drugie, wstąpiłem do partii.

– Jezus Maria! – krzyknęła teściowa. – Czyżby PZPR odżyła?

– Jakby. Tylko trochę inaczej.

Einstein przez całe życie cierpiał na łagodną formę echolalii i lubił powtarzać wielokrotnie różne zdania, zwłaszcza gdy go bawiły. Twierdził: „rzadko myślę słowami”. Prawie jak dzisiaj w niekończących się dyskusjach o niczym prowadzonych codziennie przez tych samych dżentelmenów o ściśle określonych porach. A co do stwierdzenia, „iż rzadko myślę słowami”, powinno ono stać się mottem „nowych krakowskich poetów w brudnych swetrach, którzy z początkiem października z niecierpliwością czekają na wiadomość o literackim Noblu, którego dostaną jedynie pod warunkiem, że »posłubią krakowską mieszczańkę, a Nobla przyznają sobie sami«”.

Podczas studiów uczył się według własnych upodobań i zainteresowań. Chociaż chętnie się, że jest „wagabundą i samotnikiem”, zaczął bywać w kawiarniach. Nie unikał towarzystwa „bratnich dusz” z bohemy. To akurat rozumiem. W Krakowie przecież nie istnieje nic poza „bohema”.

„Względność jest właściwie koncepcją prostą. Chodzi o to, że podstawowe prawa fizyki obowiązują niezależnie od tego, w którym spośród dwóch poruszających się względem siebie układów występują”.

Jest to pewnie jeden z niewielu przypadków, kiedy wybitny uczony się pomylił. Znam – i to całkiem dobrze – osobników potrafiących w tym samym czasie bywać w: Klubie Dziennikarzy, Dymie, Bunkrze, na czterech niby to wernisażach, a jednocześnie wmawiać żonie, iż od tygodnia nie wychodzą z domu. Krakowianin potrafi.

Żona Mistrza „po spojrzeniu męża rozpoznawała, kiedy zagłębiał się w jakimś problemie”. Wiedziała, że nie wolno mu wtedy przeszkadzać.

Kiedy krakowskie kobiety w końcu docenią „samodzielność myślenia i podejmowania decyzji przez męża lub partnera”? Pewnie nigdy.

I na koniec. Światopogląd Einsteina określał zestaw jasnych zasad. Kreatywność wymaga nonkonformizmu. Ten zaś potrzebuje troski o wolność myśli. A do tego potrzebny jest z kolei „duch tolerancji”.

Wypisz i wymaluj, Kraków Anno domini 2017.

Świat widział wielu zadufanych w sobie geniuszy. Ale przecież w Krakowie prawie każdy z nas jest Einsteinem, lecz nikt (poza samym zainteresowanym) o tym nie wie. I niech tak pozostanie na wieki – czasu i przestrzeni. ●

Proza

Instrukcja dla adeptów baletu i reszty hołoty.

Sto opowiadań o niczym szczególnym

(początek)

Roman Wysogład

1.

Dzień wstawał w odwrotnym niż zazwyczaj kierunku. Nie wiedział, jak praktycznie było to możliwe, ale tego ranka absolutnie nie ten problem zajmował jego lekko naruszony poprzednim wieczorem umysł.

Z trudem podniósł się z kolan, przypomniał mu się obraz jakiegoś abstrakcjonisty przedstawiający – w zarysie – podobną sytuację, potknął się, zachwiał, ale jakoś dobrnął do najbliższej ławki.

Przypominała bardziej Berlin w maju 45 roku, niż wysprzątany park w centrum Krakowa.

Na ławce – nie wiadomo z jakiego powodu – leżało dzisiejsze, poranne wydanie „New York Journal”.

Zdziwił się, przecież fizyczną niemożliwością było dostarcze-

nie gazety w kilka sekund na tak znaczną odległość.

Ale z ciekawości otworzył ją na pierwszej lepszej stronie. Zdjęcie Radka Sikorskiego i jego żony Anne Apfelbaum zajmowało całą szpaltę.

– Miałem przecucie, że ten dzień nie zacznie się dla mnie szczęśliwie, ale taki afront! Nigdy bym się po przeznaczeniu czegoś takiego się nie spodziewał!

W pobliżu ławki, na której dogorywał, przejechał traktor, Ursus z początku budowania tak zwanego państwa sprawiedliwości społecznej.

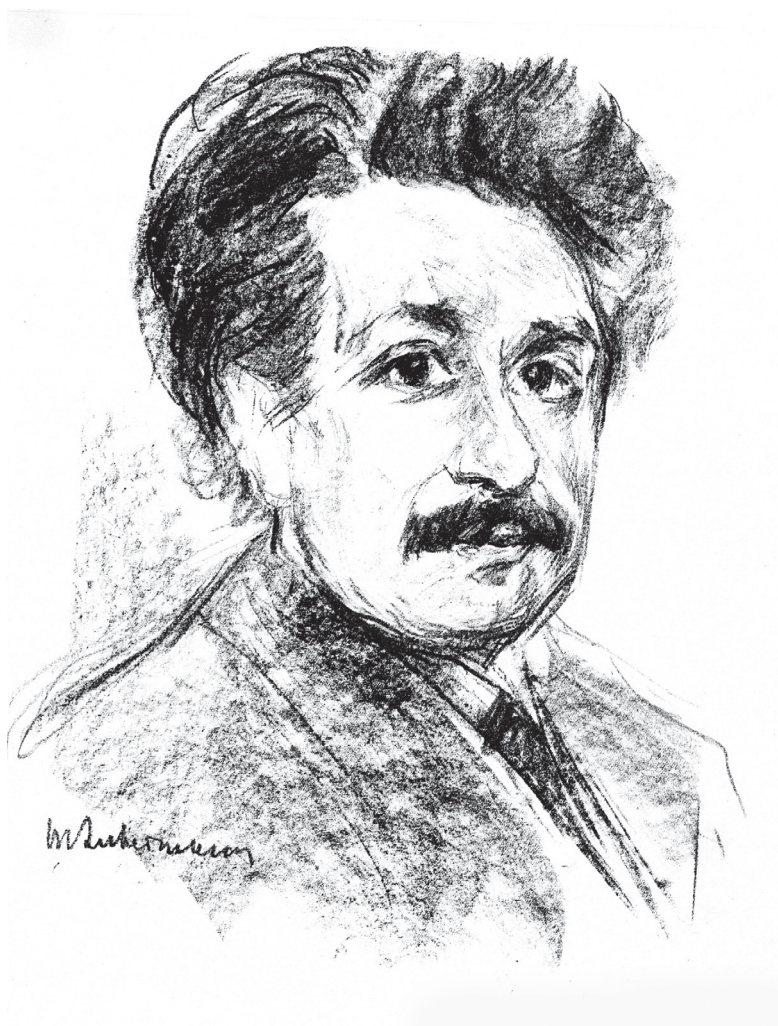
– Brakuje jeszcze Ciccioliny – burknął pod nosem – a może i wezwania do Urzędu Podatkowego.

Nagle zaczęło robić się ciepło. Zdjął więc kufajkę, kalesony, czapkę, rękawiczki i wszystko, co przyzwoity człowiek posiada na sobie, nocując w parku.

Proza

Nieznana, krakowska karta Alberta Einsteina

Roman Wysogład



Jak powszechnie wiadomo, nasze miasto skrywa jeszcze wiele tajemnic, niewyjaśnionych zagadek, czy po prostu wizyt w Krakowie nietuzinkowych osobowości, o których nie mieliśmy zielonego pojęcia.

Jedną z takich osób jest wybitny fizyk, myśliciel, ojciec trójki dzieci, obywatel czterech państw, zmarły w Princeton Laureat Nagrody Nobla z 1921 roku.

Pewnie tylko jedyny w swoim rodzaju profesor Wiśniewski wie, kiedy pan Albert bawił w Krakowie, u kogo mieszkał, z kim się kontaktował.

Na razie musimy się jednak oprzeć na jego korespondencji odno-

szącej się do pobytu w naszym grodzie.

Wszystkie cytaty pochodzą z książki Waltera Isaacsona w tłumaczeniu Jarosława Skowrońskiego.

I tak w tekście do „Czasu” pisał: „Obiecuję ci cztery artykuły. Do adresata (Paweł Głowacki?) zuracał się Einstein per »ty mrożony wielorybie«, przepraszając za swoją chaotyczną paplaninę. Dopiero doszedłszy do wyjaśnienia, czemu poświęcone są zapowiedziane artykuły, zaczął dawać do zrozumienia, że przeczuwa jednak znaczenie owych tekstów, które pisał w chwilach po pracy w urzędzie”.

Co do „Piwnicy pod Baranami”, to pewnie do tej legendarnej instytucji odnoszą się słowa: „Światopogląd sprawił, iż Einstein był buntownikiem (więc do Piwnicy pasował idealnie) szanującym jednak historię natury, człowiekiem umiejącym połączyć we właściwy sposób wyobraźnię i mądrość (jak na przykład Pan Piotr S.), aby odmienić nasze rozumienie świata. Te przymioty były ważne w XX wieku, gdy twórca teorii względności stał się akuszerem nowoczesności, jak i dzisiaj, gdy sukces zależy od siły naszej kreatywności”.

Codobywaniu w kawiarniach, to pewnie one, pomogły w ukształtowaniu się jego ludzkiego oblicza. Owszem, lubił trzymać dystans, ale był człowiekiem skromnym i była to skromność płynąca z jego natury. Bywał wyniosły wobec znajomych, ale generalnie odnosił się do ludzi z autentyczną uprzejmością, delikatnością i sympatią”.

Słowa powyższe jak ulał pasują do stosunków panujących dzisiaj w Rio, Dymie czy Vis à Vis!

Pewnie także do nastrojów szerzących się wśród krakowskich uczonych odnoszą się słowa: „zainteresowanie sukcesami nauk jest pozytywną cechą dobrego społeczeństwa. Pomaga zachować dziecięcy zachwyt wobec takich »cudów« codziennego życia, jak spadające jabłko czy winda”.

W 2014 roku słowa o „cudach”, jak spadające jabłko czy winda, nadal są wiodącymi motywami, którymi kieruje się krakowska nauka.

Co do kobiet, nie tylko krakowskich – Einstein zawołał kiedyś do swej kochanki, a później żony: „niech żyje tupet!”. Tego akurat do dzisiaj krakowskim „kobitkom” nie brakuje, mają go aż w nadmiarze.

GŁOS: Wciąż tego samego.

BABEL: Czyli?

GŁOS: Miłości.

Cisza.

GŁOS: Miłości, którą darzysz Giganta i Kaczeńca.

BABEL: Miłości nie da się nikomu odebrać.

GŁOS: Masz rację. Miłość można jedynie podarować.

BABEL: Nie podaruję ci mojej miłości. To jedyne, co mam.

GŁOS: Jesteś tego pewna?

Słychać szum radia, które stoi na stoliku nocnym. Po chwili słychać głos.

GŁOS: Babel... Babel...

BABEL bierze radio w ręce i kładzie na kolanach. Słucha uważnie, Głos jest bardzo słaby, ciągle przerywa.

GŁOS: Babel... to ja...

BABEL: Gigant?

GIGANT: Miałaś rację... cały czas miałaś rację...

BABEL: Gdzie jesteś?!

GIGANT: Jestem gdzieś... pomiędzy...

BABEL: Pomiedzy?

GIGANT: Kaczeniec też tu jest... ten Cień nas...

BABEL: Co on wam zrobił?!

GIGANT: Musisz uciekać... uciekaj... jak najdalej... dopadnie cię i...

BABEL: Nie mam zamiaru uciekać. Nigdy więcej.

GIGANT: Babel... błagam... ucie...

Radio przestaje działać. BABEL nerwowo porusza pokrętłem, ale to nic nie daje. Odkłada je na stolik i wychodzi z łóżka. Chodzi po kawalerce i krzyczy.

BABEL: Gdzie jesteś?! Pokaż się! Teraz ty się mnie boisz?

Cień pojawia się za nią. Chwyta ją za ramiona i obraca w swoją stronę. Oboje patrzą się na siebie. Cień nie ma oczu.

BABEL: Zaprowadź mnie do niego.

GŁOS: Czyli podarujesz mi swoją miłość?

BABEL: Powiedziałam – zaprowadź mnie do niego.

GŁOS: Jak sobie życzysz.

Cień wyciąga dłoń w stronę BABEL, a ta chwyta ją bez wahania.

Wychodzi z mieszkania. Zostaje tylko zepsute radio. I cisza.

23. Szarość spowija przestrzeń. Jest tylko ona i jej Cień. I lustro.

BABEL: Mam na imię Babel, bo... wszystko mi się pomieszało. Gdziekolwiek pójde, rzucam inny cień.

GŁOS: Ja ci tylko podpowiadam... jedynie wskazuję ci drogę.

BABEL staje przed lustrem, które odbija szarość. Z szarości wyłania się jej twarz, ale po chwili w jej miejsce pojawia się GIGANT. BABEL przykłada rękę do zimnej tafli, GIGANT robi to samo. Nie wiadomo, jak długo trwają w tej chwili, czas nie ma już znaczenia. Twarz GIGANTA powoli zaczyna się rozmywać, ustępując miejsca odbiciu BABEL. Później ona też znika. Zostaje tylko szarość. I głośna cisza. ●

Słownik

Pareidolia – zjawisko dopatrywania się znanych kształtów w przypadkowych szczegółach, czemu towarzyszy poczucie niezręczystego charakteru owych spostrzeżeń (co odróżnia je od iluzji), przeważnie pojawiające się przy pełnej świadomości [Wikipedia].

Porażenie przysenne (paraliż senny, **paraliż przysenny**) – stan występujący podczas zasypiania lub rzadziej podczas przejścia ze snu do czuwania, objawiający się porażeniem mięśni (katapleksja) przy jednoczesnym zachowaniu pełnej świadomości [Wikipedia].

EVP (Electronic Voice Phenomena) – dźwięki zarejestrowane w postaci nagrań, zarówno cyfrowe jak i analogowe, o niezidentyfikowanym źródle i pochodzeniu. Są to mniej lub bardziej zniekształcone głosy ludzkie, wypowiadające pojedyncze słowa lub krótkie frazy. Badacze tego zjawiska, którzy wierzą w jego paranormalne pochodzenie, zakładają możliwość, że są to głosy osób zmarłych, przekazy psychiczne od samych badaczy, bądź też przekazy od inteligentnych istot niebędących ludźmi [Wikipedia].

anegdoty literackie

*
Charles Baudelaire zmuszony był kiedyś do zjedzenia obiadu u pewnego mieszczucha. Wielki poeta zwraca się do szczęśliwego ojca trzech córek z pytaniem, wypowiedzianym w wielce ugrzecznionej formie:

– A którą z tych dam przeznacza szanowny pan do prostytucji?

*
Młody autor czytał Tristanowi Bernard swoją sztukę. Bernard słuchał cierpliwie i po odczytaniu całego dramatu zapytał:

– Więc jak to było przy końcu, co się stało z bohaterką?

– Otruła się.

– Radzę panu, żeby się lepiej zastrzeżeliła. Huk – rozumie pan – huk! Trzeba przecież publiczność obudzić.

(*Anegdoty, dykteryjki...*, zebrał i opracował Kiejstut Roman Szymański, Warszawa 1988)

jak cię znaleźć. A wiesz dlaczego? Dlatego, że nie masz żadnych przyjaciół! Byłem tylko ja i nikt więcej, ale nawet tego nie jesteś w stanie docenić.

Słysząc kolejny trzask.

BABEL: Proszę...

GIGANT: Przyjechałem do ciebie, stanąłem pod drzwiami i czekałem. Czekałem wiele godzin. Wiedziałem, że jesteś w środku. Mówiłem do ciebie, ale milczałaś. Jesteś naprawdę okrutna.

BABEL (krzyczy): Zamknij się!

Słysząc trzeci trzask i radio samo zaczyna szukać kanału, aż zatrzymuje się na jednym.

Z szumu wyłaniają się głosy.

GŁOS: ...powiedziałaś Kaczeńcowi? A co on może zrobić?! Jest tylko starym człowiekiem, który przeżył wojnę... Jest taki jak my. Nie, to ty nie jesteś taki jak my... Dziś wcale nie jest jak Wczoraj. A kiedy wyjedziesz, moje Jutro nie będzie twoim Jutrem. Wszystko się zmienia, tylko ja stoję w miejscu... Każda noc to koszmar. Ciemność wkrada mi się do płuc, dusi mnie. Jestem sama, zupełnie sama... Masz mnie, Kaczeńca... Ale jak długo?! ...Nadal chcesz to zrobić? Tak. Czemu? Wierzę, że to co cię nie zabije, uczyni cię... dziwniejszym.

GIGANT kuca koło radia, które znowu zaczyna szumieć. Nie słysząc już głosów. Bierze je w ręce i ogląda z każdej strony. Wylącza. Siada na trawie i patrzy na BABEL.

GIGANT: Co to było? To jakiś żart?

BABEL: To byliśmy my. My z Wczoraj.

21. *Jutro. Najstarsze drzewo w mieście. BABEL i GIGANT siedzą naprzeciw siebie.*

GIGANT: Wielka moc to także wielka odpowiedzialność.

BABEL (półprzyciemnie): Co?

GIGANT: Spiderman. To zdanie powiedział wujek Ben do Petera Parkera.

BABEL: Wiem, skąd jest ten cytat, ale dlaczego teraz?

GIGANT: Kwestia chwili.

Chwilę milczą.

BABEL: Teraz mi wierzysz?

GIGANT: Właśnie słyszeliśmy naszą rozmowę sprzed dziesięciu lat. Jeśli nie nagrałaś jej potajemnie i nie zrobiłaś mi głupiego żartu, to znaczy, że głosy z Wczoraj istnieją.

BABEL (ironicznie): Tak, czekałam całe dziesięć lat, żeby zrobić z ciebie idiotę. Ten żart to moje opus magnum.

GIGANT: Przepraszam za to, co mówiłem wcześniej...

BABEL: Nie. To wszystko prawda. I nie jestem sama. Mam ciebie.

GIGANT uśmiecha się i zamyka jej dłoń w swoich dłoniach. BABEL czuje, że powoli zapada się w ciemność, jakby opuszczając swoje ciało i zostawiała je daleko za sobą.

GŁOS (jak ze studni): ...to tak traktuje się przyjaciół... czego chcesz... miłości...

BABEL kręci głową, jakby chciała obudzić się ze snu. Powoli dociera do niej głos GIGANTA.

GIGANT: Nadal go słyszysz?

BABEL (mrużąc oczy): Przychodzi każdej nocy. Kiedy wyjechałam z miasta, słyszałam go rzadziej, potrafiłam go kontrolować.

Przynajmniej tak mi się wydawało. Gdy wróciłam, czuję go na każdym kroku. Wystarczy, że zawieje silniejszy wiatr albo zobaczę własny cień... wydaje mi się, że widziałam go także w lustrze.

GIGANT: Dlatego ścierałaś włosy?

GIGANT dotyka jej krótkich włosów. BABEL mruży oczy, obraz zaczyna jej się rozmywać.

GŁOS (raz ciszej, raz głośniej): ... miłości którą darzysz Giganta i Kaczeńca... to jedyne, co mam... jesteś tego pewna...

BABEL: Sądziłam, że w ten sposób demony odejdą. Zabobon...

GIGANT ściska jej dłoń i lekko się uśmiecha. To dziwny uśmiech, obcy.

GIGANT: Nie, dlaczego? Najciemniej jest zawsze przed świtem.

BABEL: Co?

GIGANT: To świat, którego nigdy nie zrozumiesz. I zawsze będziesz się go bała.

Ale nigdy nie zrozumiesz.

BABEL: O czym ty mówisz?

GIGANT: Nie ma się czego bać. Jest tylko strach.

BABEL wyrwa rękę i odsuwa się od GIGANTA. Nagle robi się bardzo ciemno, zrywa się silny wiatr. Miasto niknie w mroku, a GIGANT się podnosi. BABEL słyszy diabelski śmiech, ten sam, który prześladowuje ją każdej nocy. Chowa radio do torby i zabiera pióro Haliny. Wstaje i próbuje uciekać, ale nic nie widzi. Nagle przed nią pojawia się GIGANT. Nie ma oczu. BABEL krzyczy z całych sił, ale jej głos niknie w szumie wiatru.

GIGANT: Wiesz, dlaczego spadamy, Babel? Żeby się podnieść.

GIGANT idzie w jej stronę. BABEL bez zastanowienia wbija mu ostrą część pióra w pustkę po oku. Wiatr ustaje, a ciemność znika.

22. *Jutro. Stara kawalerka. BABEL budzi się z krzykiem, leży w łóżku. Jest cała mokra. Za oknem ciemność ustępuje miejsca porankowi.*

BABEL: To tylko sen... to był tylko sen.

GŁOS: To nigdy nie jest tylko sen.

Rozgląda się nerwowo po pokoju, ale nic nie widzi. Próbuje wstać, zsuwa z siebie kołdrę, ale zauważa coś dziwnego. Patrzy na swoją dłoń, jest cała we krwi. Przerazona wyciera ją w pościel.

GŁOS: To tak traktuje się przyjaciół?

BABEL: Gdzie jesteś i czego ode mnie chcesz?

GŁOS (jak echo):

jestem tutaj	tutaj!	
i tutaj		a właśnie
że tutaj		
	i tutaj	
		nie
bo tutaj		
tu		
	taj	
		t u t a j

BABEL czuje lekkie dotknięcie w okolicy serca. Przed oczami widzi GIGANTA, który zrobił dokładnie to samo.

BABEL: Czego chcesz?

GIGANT: Znowu się spotykamy.

BABEL powoli odwraca się. *Chłopak stoi pod drzewem, dłonie ma ukryte w kieszeniach. Lekko się uśmiecha. BABEL jest śmiertelnie poważna.*

BABEL: Za dziesięć lat w tym samym miejscu.

GIGANT: Udało nam się. *(Wskazuje palcem na pióro)* I widzę, że się znalazło.

BABEL: Nigdy się nie zgubiło.

Milczą. GIGANT siada pod drzewem i klepieniem ręki daje znak BABEL, żeby dołączyła. Dziewczyna się waha, ale po chwili podchodzi i siada, w lekkim oddaleniu.

GIGANT: Tak ci obrzydłem przez te dziesięć lat?

BABEL: Nie odzywałeś się.

GIGANT *milknie, uśmiech znika mu z twarzy. Mówi po dłuższej chwili.*

GIGANT: To był dla mnie trudny czas...

BABEL: Napisałeś dziesięć listów. Przychodziły zawsze w dniu...

GIGANT: W rocznicę naszej przysięgi.

BABEL *odkłada pióro i wyciąga z torby plik listów w otwartych kopertach.*

GIGANT: Czytałaś je.

BABEL: Wiele razy.

GIGANT: Czemu na żaden nie odpisałaś?

Cisza. BABEL patrzy na listy.

GIGANT: Miałem tylko twój adres. Żadnego telefonu, maila...

BABEL: Czemu nie przyjechałaś?

GIGANT *patrzy na BABEL. Ona wciąż przygląda się listom, przekłada je z ręki do ręki.*

GIGANT: Przyjechałem. *(BABEL nie odpowiada)* Przyjechałem, ale mnie nie wpuściłaś. Nie pamiętasz?

BABEL: Nie pamiętam.

GIGANT: Babel, przecież dobrze wiedziałaś, że tak będzie. Że wyjedziemy z tego miasta, że się uwolnimy, że zaczniemy w końcu oddychać.

BABEL: Zostawiłaś mnie...

GIGANT: Sama wiesz, że to nie prawda. W tym miejscu obiecaliśmy sobie, że cokolwiek się zdarzy, zobaczymy się za dziesięć lat. Minęło dziesięć lat i oboje tu jesteśmy. Z własnej woli.

BABEL: ...nie ma.

GIGANT: Czego nie ma?

BABEL: Ciebie nie ma.

GIGANT: Czy ty siebie słyszysz?

BABEL: Ciebie... nie ma.

GIGANT *chwytą ją za ramiona i potrząsa. BABEL wypuszcza listy i patrzy na niego. Jeszcze nigdy jej oczy nie były tak obce.*

GIGANT: Chorera, Babel! Co z tobą?!

BABEL: Ale on jest...

GIGANT: Kto jest?!

BABEL: Kaczeniec...

GIGANT *puszcza ją, BABEL zbiera listy i wkłada je do torby. Wyjmuje radio.*

GIGANT: Babel, jest mi strasznie przykro, że Kaczeniec... *(próbuje dobrać odpowiednie słowo)* odszedł, ale zawsze będzie tutaj.

Dotyka palcem okolic serca BABEL, ale szybko odsuwa rękę. Ba-

BEL nawet na niego nie patrzy, skupia uwagę na radiu.

BABEL: On jest. Tutaj.

GIGANT: Tak, masz rację. Zawsze będzie tutaj.

BABEL *(wskazuje na radio)*: Nie rozumiesz. On jest tutaj.

GIGANT: Gdzie? W tym starym radiu?

BABEL: To jest radio, które naprawiał dla mnie. To dzięki niemu słyszał głosy z Wczoraj.

GIGANT: Głosy z Wczoraj?

BABEL: Nie pamiętasz?

GIGANT: Babel, błagam cię, nie jesteśmy dziećmi. Przecież nie sądzisz, że twój dziadek naprawdę słyszał głosy z przeszłości.

BABEL: Nie wiem, co on słyszał. Wiem, co sama słyszałam.

GIGANT: Dobra, ok, jesteś smutna i zła. To normalne w takiej sytuacji, w sytuacji... straty. To radio przypomina ci o Kaczeńcu; słuchając go, czujesz się lepiej. To dobrze, to doskonale, ale Babel... jego tam nie ma. To tylko zwykłe radio.

BABEL: Posłuchaj.

BABEL ignoruje go i włącza radio. Słychać szumy. Kładzie je na trawie między nimi.

GIGANT: Nie łapie sygnału? Przecież to idealne miejsce.

BABEL: Musimy poczekać.

GIGANT: Poczekać na co?

BABEL: Aż do nas przyjdzie.

GIGANT: Zaczynasz mnie przerażać.

BABEL: Słyszałam nie tylko jego, słyszałam też innych...

GIGANT: Słuchaj, Babel... kiedyś czytałem o takim zjawisku, o tak zwanym podsłuchiowaniu duchów, ale to zwykły fake. Ludzie bawią się starymi radiami, wchodzą na fale wojskowe czy lotnicze i sądzą, że słyszą głosy z zaświatów. Przyznam, że to fajna zabawa, ale tylko zabawa.

BABEL: Nie wierzysz mi?

GIGANT: Nie mówię, że ci nie wierzę, po prostu...

BABEL: Kiedyś sobie ufaliśmy. Wierzyliśmy w każde słowo.

GIGANT: Zaufanie nie ma tu nic do rzeczy! Byliśmy dziećmi, które przebijały sobie palce piórem z kurzej dupy, a potem wylizywały z nich krew. Udawaliśmy, że droga to rzeka, a przez cmentarz przebiega stado fikcyjnych zwierząt. Nawet rozmawialiśmy z kurami i psem. To wszystko było tylko zabawą...

BABEL: Udawaliśmy? Tylko zabawą?

GIGANT: Błagam cię, nie histeryzuj...

BABEL gwałtownie podnosi się z ziemi. Krzyczy.

BABEL: Ja histeryzuję?! To ty właśnie powiedziałaś mi prosto w twarz, że jestem dla ciebie nikim.

GIGANT również wstaje.

GIGANT: Nic takiego nie powiedziałem! Głucha jesteś czy co?! Chorera, zawsze miałaś skłonność do wyolbrzymiania i robienia z siebie ofiary. *(Przedrzeźnia ją)* Mam na imię Babel. Żyję trochę we Wczoraj, a trochę w Dziś, bo brakuje mi tchu, aby wejść w Jutro.

Słychać pojedynczy trzask w radio, ale BABEL i GIGANT są zbyt pochłonięci kłótnią, aby go usłyszeć.

BABEL: Przestań...

GIGANT: A właśnie, że nie! Dziesięć lat, rok w rok, pisałem do ciebie i ani razu nie otrzymałem odpowiedzi. Nikt nie wiedział,

BABEL zaczyna śpiewać.

GŁOS i BABEL: W średnich miastach nie szarpiesz się, nie szastasz
Spokojem tchną przedziwnym takie miasta

Miejscowości tych nie jestem entuzjasta

Ale przyznam urok jakiś jest w tych miastach.

*BABEL przestaje śpiewać i przysłuchuje się uważnie. Nagle GŁOS
zaczyna przerywać, aż w końcu słycać tylko szum. BABEL ru-
sza pokrętem w każdą stronę, ale szum nie znika. Wyłącza
radio.*

BABEL: Jesteś bliżej niż mi się wydaje.

Pakuje radio do pudełka i zabiera je ze sobą. Wychodzi.

16. *Jutro. Cmentarz. Późny wieczór. BABEL chodzi między gro-
bami i zatrzymuje się dopiero, gdy odnajduje najstarszy z nich.
Siada przy nim, wyjmuje radio, włącza je i szuka odpowied-
niego kanału. Słycać szum.*

BABEL: No to posłuchajmy głosów z Wczoraj.

*Radio nadal szumi, ale BABEL uparcie siedzi przed grobem.
Rusza pokrętem, aż w końcu z szumu wyłaniają się trzaski,
a potem wątły głos.*

GŁOS: Wkrótce... zobaczymy... tęsknić za... tak, ale... wróć, kie-
dy... świt... martwić... bądź zdrow... pozdrów matkę i... choruje
bardzo... (Coraz głośniej, przechodzi w krzyk) To jest straszne...
wojna zabiera wszystko... zabrała mi cie... nie chcę umierać... nie
chcę umierać, nie chcę umierać!

*Z radia słycać już tylko przeciągłe jęczenie, wyłącza je. Prze-
rażona wstaje z ławki i opuszcza cmentarz.*

17. *Jutro. Pochmurne popołudnie. Droga wzdłuż torów kole-
jowych. BABEL spaceruje śladami KACZEŃCA, kopie żwir pod no-
gami, przechodzi przez tory i siada na skraju lasu. Wyciąga
radio, ale waha się przed włączeniem. W końcu przekręca
pokrętko i szuka odpowiedniego kanału.*

BABEL: Dziadku, jesteś tam? (Po chwili pyta raz jeszcze) Jesteś...
tu?

Odpowiada jej cizsa. BABEL mówi do radia.

BABEL: Zostawiłeś to radio dla mnie, prawda? Przecież mówiłeś,
że trzeba naprawiać to, co zepsute. Pracowałeś nad nim tyle lat,
żebym mogła cię odnaleźć. Kiedy będziesz już daleko. Ale wcale
nie jesteś daleko. Jesteś tutaj, prawda?

*Radio zaczyna lekko szumieć. Zrywa się wiatr, kołyszże gałęzie
drzew.*

BABEL: Wróciłam, ale było za późno... nie zdążyłeś opowiedzieć
mi o wojnie... żałuję, że wtedy wyszłam. Żałuję, że wyjechałam
z tego miasta. Jestem sama, zupełnie sama... Gigant... Gigant jest
zbyt daleko.

Dlaczego mnie zostawiłeś? Dlaczego właśnie teraz, kiedy... kiedy
najbardziej cię potrzebuję.

On wkrótce mnie dopadnie, nie opuszcza mnie na krok...

Proszę, odpowiedz mi...

*Radio zaczyna samo zmieniać kanały, BABEL rzuca je z ko-
lan. Wstaje i obchodzi je z każdej strony.*

BABEL: Jesteś tam... jesteś tam! To ja, Babel.

Pokrętko zatrzymuje się na jednym kanale. Cizsa. Po chwili

słycać głos KACZEŃCA.

GŁOS: ...wtedy też byliśmy przy torach. Stał pociąg, siedziałem
w ostatnim wagonie. Wojska inżynieryjne, wiesz, co to znaczy?
... i tego dnia nasz skład wyleciał w powietrze. W niektóre dni
wciąż czuję ich krew w powietrzu... miałem wiele szczęścia, mia-
łem wiele szczęścia...

*BABEL kłęka i bierze radio w dłonie. Nie może oderwać od nie-
go wzroku.*

BABEL: Te słowa... już je gdzieś słycałam... opowiadałeś mi o tym,
o wojnie, o wagonie, o wybuchu. Dwadzieścia lat temu. W tym
miejscu.

GŁOS: ...widzisz te drzewa? Ich gęstość? Słyszysz, jak wiatr szumi
między ich gałęziami? ...jesteście do siebie podobni. Jesteśmy do
siebie podobni.

*BABEL przytula radio do piersi i kładzie się na ziemi. Płacze jak
nigdy wcześniej.*

GŁOS: ...trzeba naprawiać to, co zepsute...

BABEL: Trzeba naprawiać to, co zepsute.

*Słońce powoli znika za chmurami. Niebo robi się czarne. Łzy
BABEL mieszają się z kroplami deszczu. Radio cichnie. Wiatr
ustaje. Las tonie w ciszy.*

18. *Jutro. Droga ze szkoły do domu. BABEL spaceruje ścieżką,
którą codziennie wracała z GIGANTEM do domu. Zatrzymuje
się przy ogrodzeniu, przez które przeciskali chleb dla HALINY.
Kury chodzą po podwórku.*

BABEL: Halina?

*BABEL pyta najbliższej stojącej kury. Nie otrzymuje odpowiedzi.
Jeszcze chwilę stoi przy ogrodzeniu, następnie odchodzi bez
słowa.*

19. *Jutro. Droga ze szkoły do domu. BABEL zatrzymuje się przy
bramie MURZYNA. Po chwili z budy wychodzi czarny pies.*

BABEL: Dawno się nie widzieliśmy.

*Pies milczy i siada przed bramą. BABEL uważnie mu się przy-
gląda.*

BABEL: Murzyn?

MURZYN: Nic nie jest takie, jakim się wydaje.

BABEL: Co?

MURZYN: To chciał ci powiedzieć Murzyn dwadzieścia lat temu.

BABEL: Nie jesteś Murzynem?

MURZYN: Mam taką samą sierść, dali mi to samo imię. Zanim od-
szedł, prosił, żebyś mi to przekazał. Czekał za długo.

BABEL: Nic nie jest takie, jakim się wydaje. Co miał na myśli?

MURZYN: Dokładnie to, co powiedział.

BABEL: Nie rozumiem...

MURZYN: Już czas. Idź.

*BABEL odwraca się i szybkim krokiem odchodzi od bramy. Mu-
RZYN patrzy tak długo, aż dziewczyna zniknie mu z oczu.*

20. *Jutro. Najstarsze drzewo w mieście. BABEL stoi na skraju
wniesienia i patrzy na miasto. Panuje głucha i ciężka cizsa,
jakby niebo miało zaraz spaść i rozbić się na kawałki. W rękę
trzymają kurze pióro, które obraca w palcach. Nuci pod nosem
na melodię „Średnie miasta” Przybory i Wasowskiego.*

ko ona. Leży nieruchomo na łóżku. Z jej otwartych oczu płyną łzy.

13. *Jutro. Cmentarz. BABKA stoi nad grobem i zawodzi. MATKA stoi na uboczu, w ciszy. 27-letnia BABEL tyłem do grobu patrzy na zielone korony brzoź.*

BABEL: Nie zdążyłeś opowiedzieć mi o wojnie...

BABKA odwraca się do niej z mordem w oczach. Sarka i pluje w jej stronę.

BABKA: Wojna... skaranie boskie z tym dzieckiem. Dziadka posłała do grobu!

BABEL nadal stoi tyłem.

BABEL: Może w końcu porozmawiasz z nim jak z człowiekiem...?

BABKA (do MATKI): Słyszała ją?

MATKA bez słowa odchodzi od grobu, zostawia je same. BABEL odwraca się i patrzy BABCE w oczy.

BABEL (głośno i wyrażnie): Nigdy go nie słuchałaś. Ani razu nie spojrzałaś mu w oczy.

BABKA: Przebrzydła dziewczucha.

BABEL z każdym słowem zbliża się do BABKI przypierając ją do grobu.

BABEL: Był dla ciebie za dobry... ty nic dobrego dla niego nie zrobiłaś.

BABKA: Zamknij morde, smarkulo...

BABEL: Powinnaś być z siebie dumna, przecież cmentarz to twoje środowisko naturalne.

BABKA: Co ty do mnie gadosz?!?

BABEL: Zabiłaś go... to ty go zabiłaś.

BABKA: Ty, ty... jak cie zara przez łeb czepne!

BABKA stoi oparta o grób, BABEL patrzy jej prosto w oczy. Ich twarze są tak blisko, że BABEL czuje zapach papierosów.

BABEL: Masz mi jeszcze coś do powiedzenia?

BABKA (po chwili milczenia): Nic.

BABEL: Nic to jest dobre na oczy.

BABEL odsuwa się od BABKI i odchodzi od grobu. Po chwili zatrzymuje się i odwraca w jej stronę.

BABEL: Jego tam nie ma, rozumiesz? To tylko ciało, które wkrótce zniknie. Został tylko Ciebie. Ty też wkrótce znikniesz, ale po tobie nic nie zostanie.

Odwraca się i zostawia BABKĘ za sobą.

14. *Jutro. Zakład fryzjerski. BABEL, FRYZJERKA i lustro. Kobieta lekko przeczesuje dłońmi długie włosy Babel, które lekko opadają na oparcie fotela.*

FRYZJERKA:

Zły cień przeminął

Zeszłej jesieni gdy ty

Byłaś gdzie indziej

BABEL (patrzy w odbicie FRYZJERKI): Chciałabym ściąć włosy.

FRYZJERKA:

Gdy wiosna wzejdzie

Wszystkie ptaki zrzucają

Swoje odzienie

BABEL: Kolor proszę zostawić.

FRYZJERKA: Popatrz w lustro i

Oczy zamknij na świat

Zobaczysz więcej

BABEL: Chciałabym choć na chwilę stać się kimś innym.

FRYZJERKA włącza stare radio i zaczyna ścinać włosy BABEL. Słychać fragment piosenki Przybory i Wasowskiego, a kosmyki włosów opadają miękko na podłogę.

GŁOS: ... Średnie miasta wyrzyły zamiast hasła,

Nad bramą swą jedyne słowo – basta,

Gdy za tobą brama taka się zatrzaśła,

Trudno będzie tobie wyjść z takiego miasta...

BABEL: Krócej.

FRYZJERKA:

Bez dna to piekło

BABEL: Krócej.

FRYZJERKA:

Jak lśnienie zeszłej nocy

BABEL: Krócej.

FRYZJERKA:

Żegna nas tchnieniem

BABEL: Stop.

FRYZJERKA odkłada nożyczki i przeczesuje jej krótkie włosy dłońmi. BABEL przygląda się swojemu odbiciu. Po chwili spogląda na stare radio stojące w kącie zakładu.

BABEL: Skąd pani ma to radio?

FRYZJERKA milczy. Uśmiecha się do odbicia BABEL i wychodzi. Radio powoli cichnie. BABEL jeszcze przez chwilę patrzy w swoje odbicie, a potem wstaje i również wychodzi.

15. *Jutro. Stara kawalerka. BABEL siedzi sama w kuchni, pije wodę z cytryną i cukrem. Radio jest wyłączone, panuje cisza. Na stole leży pudełko owinięte w gazetę.*

BABEL: Naprawdę zostałam sama.

Kaczeniec odszedł. Nie. On umarł. Zostało po nim puste ciało. Zimne i obce.

Nigdy nie był bardziej szczęśliwy. Tak spokojny, jakby nie mógł się doczekać końca.

Nie miał się czego bać. Strach pozostał we mnie.

Gigant wyjechał. Dostałam kilka listów. Tęsknota uwiecznia się na papierze.

Sama w obcym mieście. Sama we własnym mieście.

Kiedy byłam daleko stąd, Głos przestał mnie dręczyć. Sądziłam, że gdy zetnę włosy, demony odejdą. Myliłam się.

Podszepty wiatru skryte w koronach drzew, cienie nieodstępujące mnie na krok, odbicie w lustrze. Wystarczyło, że przestąpiłam próg tego miasta i on wrócił. Jak najlepszy przyjaciel.

I najgorszy wróg.

BABEL otwiera pudełko. Jest w nim radio, które KACZENIEC naprawiał przez wiele lat.

BABEL: W końcu ci się udało.

Włącza radio i przerzuca stacje. Zatrzymuje się, gdy słyszy znajomą melodię.

GŁOS: ...gdzie żaden dom nad inne nie wyраста

W takich miastach mężczyzna czy niewiasta

Niezwykli są współziomków swych przeraść.

GIGANT: W szkole też z nim rozmawiałaś, prawda?

BABEL: Jest ich coraz więcej.

GIGANT: Powiedziałaś Kaczeńcowi?

BABEL (*odwraca się w jego stronę, ze złością*): A co on może zrobić?! Jest tylko starym człowiekiem, który przeżył wojnę...

GIGANT: Jest taki jak my.

BABEL: Nie, to ty nie jesteś taki jak my! Kiedy ostatni raz coś widziałeś?

GIGANT *milczy.*

BABEL: No właśnie... Dziś wcale nie jest jak Wczoraj. A kiedy wyjedziesz, moje Jutro nie będzie twoim Jutrem. Wszystko się zmienia, tylko ja stoję w miejscu. Słyszę ich coraz więcej, rozsadzają mi głowę. Każda noc to koszmar. Ciemność wkrada mi się do płuc, dusi mnie. Jestem sama, zupełnie sama...

GIGANT *wstaje i idzie w jej stronę.*

GIGANT: Masz mnie, Kaczeńca...

BABEL (*ze łzami w oczach*): Ale jak długo?!

GIGANT *przytula ją. Stoją tak długo, aż BABEL przestaje płakać.*

GIGANT: Nie mamy przy sobie pióra Haliny, ale może uda się złożyć przysięgę bez przelewu krwi?

BABEL: Nadal chcesz to zrobić?

GIGANT: Tak.

BABEL: Czemu?

GIGANT: Wierzę, że to, co cię nie zabije, uczyni cię... dziwniejszym.

BABEL: Joker.

GIGANT: Chorera! Jak ty to robisz?! Czemu zawsze wiesz, kogo cytuję?

BABEL (*śmiejąc się*): Ja wiem wszystko. No to co, za dziesięć lat w tym samym miejscu?

GIGANT *i BABEL krzyżują małe palce u prawej dłoni.*

GIGANT: Za dziesięć lat w tym samym miejscu.

Na tle zachodzącego słońca powoli nikną ich sylwetki. Nadchodzi noc. A z nią koszmary.

12. *Dziś. Noc. BABEL śpi, w drzwiach pojawia się Cień.*

BABEL: o o o o o o o

o

odejdz

zo zo zo

zostaw mnie

w spokoju u

zostaw go

zo staw

Wiatr szumi za oknem. Cień stoi w drzwiach sypialni MATKI.

BABEL *nagle się budzi. Wstaje z łóżka i wchodzi do przedpokoju. Widzi go i zastęga bez słowa. Cień stoi nad łóżkiem MATKI, przygląda się jej.*

BABEL (*drżącym głosem*): Zostaw ją.

Cień powoli odwraca się w jej stronę.

BABEL: Zostaw ją w spokoju!

Cień zostawia MATKĘ i idzie w stronę BABEL. Ona biegnie do swojego pokoju, zamyka drzwi i chowa się pod kołdrę. Próbuje zapalić lampkę nocną, ale nie działa. Zamyka oczy i leży bez ruchu. Słyszy kroki w przedpokoju. Cień stoi za drzwiami. Ba-

BEL słyszy pukanie. Trzy donośne stuknięcia.

BABEL (*bardzo cicho*): Zostaw nas, zostaw nas... zostaw mnie w spokoju.

Słychać skrzypienie otwieranych drzwi. Cień wchodzi do pokoju i po chwili siada na łóżku. BABEL czuje ciężar na kołdrze. Nie może się ruszyć. Czuję, jak Cień przesuwają się po jej ciele, zatrzymując się na jej twarzy.

GŁOS: Jeśli cię zostawię, będziesz sama. Zupełnie sama.

BABEL: Nieprawda... mam Giganta, Kaczeńca...

GŁOS: Ale jak długo?

Cień ściąga kołdrę z twarzy BABEL. Dziewczyna ma wciąż mocno zamknięte oczy. Na policzkach widać ślady łez. Cień dotyka jej twarzy.

GŁOS: Oni wyjadą, umrą, zostawią cię. Będziesz sama. Sama sobie nie poradzisz. Dlatego jestem ja... My. Zawsze będę z tobą... Będziemy.

BABEL: Kim... jesteś?

GŁOS: Kim jestem... jesteśmy? Przecież dobrze wiesz.

BABEL: Nic nie wiem... ja nic nie wiem...

GŁOS: Otwórz oczy. Mają taki piękny kolor...

BABEL *otwiera oczy. Widzi ciemność.*

GŁOS: Jestem tobą... jesteśmy tobą. Nikim więcej, nikim mniej.

BABEL: Kłamiesz...

GŁOS: Nigdy nie kłamie... my.

GŁOS zaczyna brzmieć jak echo. BABEL próbuje zakryć uszy, ale to nic nie daje. GŁOS jest coraz bardziej wyraźny. BABEL czuje, że zapada się w ciemność.

GŁOS:

on nigdy cię nie zrozumie

on nas nie słyszy

on nas nie widzi

wyjedzie i cię zostawi

jak zbędny

bagaż

jak

balast

BABEL: Złożyliśmy... przysięgę...

GŁOS:

za dziesięć lat w tym samym miejscu

on zniknie

miasto zniknie

drzewo zniknie

ale ja będę

my

będziemy

BABEL: Błagam...

GŁOS:

kocham

y cię

zawsze będziemy przy tobie

w tobie

Cień przybliży się do twarzy BABEL i dotyka jej ust. Dziewczyna próbuje się uwolnić, ale ciemność wnika w jej ciało. BABEL dusi się, nie może złapać powietrza. Cień powoli znika. Zostaje tyl-

GŁOS odbija się echem w jej głowie. Zamyka oczy.

BABEL (*cicho*): Nie boję się was... nie boję się...

GŁOS: co ona mówi?

BABEL (*głośniej*): Nie boję się was!

GŁOS: chuj z tobą

BABEL (*otwiera oczy*): I z duchem twoim.

GŁOS milknie, dzwoni dzwonek na lekcję. Uczniowie wracają do klas. Przed BABEL stoi GIGANT i wyciąga do niej dłoń.

GIGANT: Wszystko w porządku?

BABEL: Tak... Nigdy nie było lepiej.

10. *Dziś. Kuchnia w starej kawalerce. BABEL i KACZENIEC siedzą przy stole. Dziadek naprawia stare radio, wnuczka opiera się o stół i pije wodę z cytryną i cukrem. BABKA stoi na balkonie i pali papierosa za papierosem. Co jakiś czas dym dochodzi przez okno w kuchni. W radio leci jedna z piosenek Przybory i Wasowskiego.*

GŁOS: Średnie miasta, są takie średnie miasta,

Gdzie żaden dom nad inne nie wyrasta.

W średnich miastach pomniki bluszcz zarasta,

Niewielkie są pomniki w takich miastach.

Średnie miasta wyrzyły zamiast hasła,

Nad bramą swą jedyne słowo – basta,

Gdy za tobą brama taka się zatrzaśła,

Trudno będzie tobie wyjść z takiego miasta.

BABEL: Trudno będzie wyjść z takiego miasta...

KACZENIEC: Co mówisz?

BABEL: Czemu ciągle naprawiasz to radio?

KACZENIEC: Trzeba naprawiać to, co zepsute.

BABEL: Naprawiasz je, odkąd pamiętam.

KACZENIEC: Naprawiam je, żeby mogło być kiedyś twoje.

BABEL: Po co mi takie stare radio?

KACZENIEC: Kiedyś będzie ci potrzebne.

BABEL (*lekceważąco*): Z pewnością...

KACZENIEC: Za rok o tej samej porze już cię tutaj nie będzie.

BABEL: A gdzie będę?

KACZENIEC: Daleko.

BABEL: Jak daleko?

KACZENIEC: Tak daleko, że będzie ci potrzebne radio, które naprawiam, odkąd pamiętasz.

BABEL uśmiecha się i odkłada pustą szklankę na stół.

BABEL: Tak daleko, że będę za tobą tęsknić.

KACZENIEC: Tak daleko, że najbliższy cmentarz będzie dopiero w następnym mieście.

Śmieją się oboje, ale przestają, gdy do kuchni wchodzi BABKA.

BABKA: Co robicie?

BABEL: Nic.

BABKA: Nic to jest dobre na oczy. Wzięłybyś się za jako robotę, a nie. Dziadek cały boży dzień naprawia radio. A ty...

BABEL: Mówi się dziadziuś.

BABKA: Co?

BABEL: Dziadek to pod kościołem stoi.

BABKA odwraca się tyłem do BABEL i zaczyna myć naczynia.

BABKA: Jak bedziesz w moim wieku...

BABEL (*bardzo wyraźnie*): Nie dożyję twojego wieku.

BABEL wstaje, wkłada pustą szklankę do zlewu, całuje KACZENIA w policzek i kieruje się do drzwi.

KACZENIEC: Ale jeszcze nie zdążyłem ci opowiedzieć o wojnie...

BABEL zatrzymuje się w progu, odwraca do niego i mówi z uśmiechem.

BABEL: Jeszcze zdążysz. Nigdzie się nie wybieram.

Wychodzi.

11. *Dziś. Najstarsze drzewo w mieście. BABEL siedzi w jego cieniu i przygląda się miastu z góry.*

BABEL (*pod nosem*): W tym samym miejscu, o tej samej porze, za dziesięć lat...

GIGANT: ... znów się spotkamy.

GIGANT siada obok niej. Przez chwilę przyglądają się miastu w milczeniu.

BABEL (*ironicznie*): Przez ostatnie dziesięć lat wcale nie widywaliśmy się codziennie...

GIGANT (*z uśmiechem*): Wcale.

BABEL: Byliśmy głupimi dziećmi. Przebijać palce piórem z kurzej dupy?

GIGANT: Wtedy w to wierzyliśmy.

BABEL: Wtedy... a teraz?

GIGANT: Co teraz?

BABEL: Jak jest teraz?

GIGANT milczy, kładzie się na trawie. Słońce przebija się przez gałęzie i tworzy cienie na jego twarzy. BABEL wciąż patrzy na panoramę miasta.

GIGANT: Jest tak samo, jak było Wczoraj. Tylko my postarzelśmy się o dziesięć lat.

BABEL (*patrzy na niego*): Jest tak samo, jak było Wczoraj...

GIGANT: Co ci jest? Jesteś jakaś nieswoja.

BABEL: ...nieswoja.

GIGANT: Możesz nie powtarzać po mnie?

BABEL: ...po mnie.

GIGANT: Chorera, daj spokój.

BABEL: ...spokój.

GIGANT łapie ją za ramię i przyciąga do siebie. Dziewczyna łąduje na trawie, z głową na jego piersi. Długi czas leżą w ciszy.

GIGANT: Złożmy przysięgę jeszcze raz.

BABEL: Już raz złożyliśmy.

GIGANT: I jej dotrzyaliśmy.

BABEL: To nie był ponadludzki wysiłek...

GIGANT: Tym razem będzie trudniej.

BABEL: Czemu?

GIGANT: Bo z pewnością oboje wyjdziemy z tego miasta.

BABEL: Nie chcę, żebyś wyjechał.

GIGANT: Czemu?

BABEL (*po dłuższej chwili*): Ja będę na ciebie czekać. Tutaj.

GIGANT: Przecież nienawidzisz tego miasta.

BABEL: To miasto nie ma nic do mojej nienawiści.

BABEL podnosi się z trawy i podchodzi do skarpy. GIGANT opiera się o drzewo.

GIGANT: Znów miałaś ten dziwny sen?

BABEL: To nie jest sen. Przynajmniej on tak mówi.

bramy. Oboje w pośpiechu wyjmują wędlinę z kieszeni, z wielkim pietyzmem przekazują ją psu. Pies mówi bez pośpiechu.

MURZYN: Długo kazaliście na siebie czekać.

BABEL: Przepraszamy... dziś jest ważny dzień. Pod starym drzewem złożyliśmy przysięgę.

MURZYN: To wiele tłumaczy... Jesteście młodzi, a wiecie już tak wiele. Tylko wy przystajecie przy mojej bramie. Wszyscy się mnie boją.

GIGANT: My się nie boimy!

MURZYN: Nie...?

BABEL (*lekko chyląc głowę*): My tylko okazujemy należny ci szacunek.

MURZYN: Kiedyś było inaczej... Moja brama była otwarta dla wszystkich. Dziś mogę patrzeć jedynie zza krat.

BABEL: My zawsze będziemy cię odwiedzać, prawda?

GIGANT: Prawda!

MURZYN w ciszy zjada wędlinę. Po chwili spogląda na BABEL i bez słowa odchodzi.

BABEL: Zaczekaj!

MURZYN: Tak...?

BABEL: Wydawało mi się, że chcesz mi coś powiedzieć.

MURZYN (*po chwili milczenia*): Wkrótce zrozumiesz.

MURZYN odchodzi od bramy, ale BABEL wciąż patrzy w jego kierunku.

GIGANT: O co mogło mu chodzić?

BABEL: Nie wiem... jeszcze nie wiem.

6. *Wczoraj. Słoneczne popołudnie. Droga wzdłuż torów kolejowych. BABEL spaceruje z KACZENIEM.*

KACZENIEC (*wskażuje na niebo*): Co widzisz?

BABEL: Niebo, chmury, słońce.

KACZENIEC: A co naprawdę widzisz?

BABEL (*po chwili*): Twarze.

KACZENIEC: Czyje twarze?

BABEL *nie odpowiada. Idą w milczeniu.*

KACZENIEC: Mnie możesz powiedzieć.

BABEL: Babcia nigdy mi nie wierzy...

KACZENIEC: Ja ci wierzę.

BABEL *idzie powoli wzdłuż torów, patrzy to w niebo, to na KACZENIĄ. Po chwili odpowiada niepewnie.*

BABEL: Widzę twarze ludzi, których nie ma.

KACZENIEC: Ludzi, których nie ma.

BABEL: Kiedy idę z babcią na cmentarz, widzę ich twarze w koronach drzew. Są przeróżne. Małe, duże, okrągłe, podłużne. Uśmiechają się lub smucą. Czasem są stare, a czasem młode.

KACZENIEC: Oczy. Jakie mają oczy?

BABEL *milczy. Zatrzymuje się i kopie kamienie, które ma pod nogami.*

BABEL: Nie mają oczu.

KACZENIEC: Rozumiem.

BABEL (*ze zdziwieniem*): Naprawdę?

KACZENIEC: Opowiadałem ci o tym, jak byłem na wojnie?

BABEL: Tak, byłeś saperem.

KACZENIEC: A saper myli się tylko raz.

BABEL: Ale ty się nie pomyliłeś.

KACZENIEC (*ze śmiechem*): Nie, ani razu. Wtedy też byliśmy przy torach. Stał pociąg, siedziałem w ostatnim wagonie. Wojska inżynierijne, wiesz, co to znaczy? (**BABEL kręci głową, że nie**) Naszą rolą było zabezpieczanie innych, rozbijanie bomb i niewypałów. I tego dnia nasz skład wyleciał w powietrze. W niektóre dni wciąż czuję ich krew w powietrzu. Ocalał tylko mój wagon. Miałem wiele szczęścia, miałem wiele szczęścia...

BABEL: Ty też widzisz twarze?

KACZENIEC: Widziałem przez długi czas. Teraz czasem słyszę tych, których nie ma.

BABEL: Słyszysz?

KACZENIEC (*pokazuje ręką na las za torami*): Widzisz te drzewa? Ich gęstość? Słyszysz, jak wiatr szumi między gałęziami? Słyszę zbiór głosów, z roku na rok rozumiem coraz mniej, pojedyncze słowa, zbitki rozmów.

BABEL: W lesie?

KACZENIEC: Nie, w radiu.

BABEL: W radiu? A babcia...

KACZENIEC: Ona słyszy tylko siebie.

BABEL wzdycha i przechodzi przez tory w stronę lasu. Kiedy do niego dochodzi, siada na trawie. KACZENIEC siada obok niej.

BABEL: Mam tylko ciebie...

KACZENIEC: A twój kolega?

BABEL: Gigant... jest jak część mojej duszy. Rozumiemy się bez słów.

KACZENIEC: Jesteście do siebie podobni. Jesteśmy do siebie podobni.

BABEL: Opowiedz jeszcze o tych głosach z radia.

KACZENIEC: Nazywam je głosami z Wczoraj.

BABEL: Z wczoraj?

KACZENIEC: Słuchając ich, czuję, jakbym przeniósł się w przeszłość. Czasem słyszę też samego siebie.

BABEL: Samego siebie...?

KACZENIEC: Gdy byłem w wojsku lub w szkole. Strzępy słów, nic więcej.

BABEL: Nie boisz się?

KACZENIEC: Czemu?

BABEL: Że usłyszysz coś, czego nie chcesz wiedzieć.

KACZENIEC: Ja już się niczego nie boję.

7. *Wczoraj. Cmentarz. BABEL i GIGANT chodzą między grobami.*

GIGANT: O chorera! Seryjnie? Chodźcie codziennie na cmentarz?

BABEL: Tak, z babcią...

GIGANT: A twoja mama?

BABEL: Nigdy jej nie ma.

GIGANT: A dziadek?

BABEL: Kaczeniec woli spędzać czas słuchając radia i majsterkując.

GIGANT: W sumie... czemu mówisz na niego Kaczeniec?

BABEL (*chwile się zastanawia, z uśmiechem*): Przy stawie rosną kaczeńce. Wyglądają zupełnie jak on. Lubimy na nie patrzeć, ale nigdy nie zrywamy. Dziadek nie zabija. Nigdy nikogo nie zabił.

GIGANT: Ale był na wojnie!

dla dzieci.

GŁOS: I pamiętajcie kochane dzieci, każdy z was potrzebuje przyjaciela. Bez niego wasz świat legnie w gruzach.

BABEL stoi na klatce schodowej. Przed wyjściem ściąga kokardę i gumkę. Wychodzi w rozpuszczonych włosach.

4. Wczoraj. Droga ze szkoły do domu. *BABEL biegnie przed siebie i zagradza drogę GIGANTOWI. GIGANT ma siedem lat i jest jej przyjacielem. Od zawsze.*

BABEL: No to zaczynamy.

GIGANT: Babel, to co będziemy dziś robić?

BABEL: Dokładnie to, co robimy codziennie. Opanowywać świat! Rzucają tornistry na chodnik i wybiegają na ulicę.

GIGANT: Droga to rzeka! Trzeba się czegoś złapać!

BABEL: Krawężnik!

GIGANT: Zderzak!

GIGANT podbiega do samochodu, kładzie się pod nim, chwytając za zderzak i wymachuje wściekle nogami. BABEL siada na krawężniku, zapiera się rękami i nogami. Wrzeszczą do siebie.

GIGANT: O chorera! Trzymaj się!

BABEL: Nie dam rady! Nurt jest za silny, zaraz mnie wciągnie!

GIGANT: Nie puszczaj krawężnika!

BABEL: Nie-dam-ra-dy! Jestem za słaba!

GIGANT (z natchnieniem): By pokonać strach, musisz nim zostać. Musisz przeniknąć w strach drugiego człowieka. Człowiek najbardziej boi się tego, czego nie widzi. Musisz się stać niczym straszliwa myśl. Zjawia. Masz być jak myśl!

BABEL: Batman!

GIGANT: Chorera! Stoooooop!

GIGANT wychodzi spod samochodu, a BABEL wstaje z krawężnika.

GIGANT: Czy ty zawsze musisz wszystko wiedzieć?!

BABEL (śmiejąc się): Zawsze!

GIGANT: No to co teraz?

BABEL: Idziemy odwiedzić Halinę i dziewczynę.

Zabierają tornistry i idą dalej. Zatrzymują się przy starym domu ogrodzonym siatką. Po podwórku biegają kury. Oboje wydobywają z tornistrów bułki, a z bułek wędlinę. Wkładają ją do kieszeni. Rozdrobnione pieczywo przeciskają przez dziurki w ogrodzeniu. Podchodzi do nich HALINA. HALINA jest kurą.

HALINA: Przyjszliście wreszcie. Sama buła?

BABEL: Sama.

HALINA (lekko krzywiąc dziób): Długo wam zejszło.

BABEL: Trafiliśmy na rwącą rzekę, musieliśmy się przeprawić.

HALINA (filozoficznie): Z dnia na dzień rzeki są coraz bardziej poryjwce.

GIGANT: Raczej poryjwiste...

HALINA: Nie poprawiaj mnie, młody człowieku!

GIGANT: Te, Halina, a co było pierwsze: jajko czy kura?

HALINA: Pozostawię to pytanie bez odpowiedzi.

GIGANT: Niewiedza to błogosławieństwo.

BABEL: Znów Batman.

GIGANT: No bez jaj!

BABEL: Daj spokój, dziś jest ważny dzień. Jesteśmy już spóźnieni.

HALINA: No dobrze, już dobrze. Macie. (*HALINA wyrzuca jedno pióro i podaje BABEL*) Możecie już iść, ale jutro się nie spóźnijcie!

GIGANT (salutując): Tak jest, kapitanie!

BABEL chowa pióro do kieszeni i idą dalej. Zatrzymują się przy najstarszym drzewie w mieście, rosnącym na wzniesieniu. GIGANT podchodzi do drzewa, opukuje z kilku stron, przystawia ucho do kory i nasłuchuje. Po chwili macha ręką, żeby podeszła.

GIGANT: To tutaj.

BABEL podchodzi i wyciąga pióro z kieszeni. Z tornistra wyjmują garść innych piór. Układają z nich krąg pod drzewem. Oboje wchodzi do kręgu.

BABEL: Podaj prawą dłoń.

Ostrą stroną pióra przekuwa mu mały palec. Po chwili cieknie z niego ciemna, gęsta krew. Podaje mu pióro, GIGANT powtarza rytuał na palcu BABEL. Krzyżują małe palce, ich krew tworzy jeden strumień. Mówią z powagą.

BABEL: W tym samym miejscu...

GIGANT: ...o tej samej porze...

BABEL: ...za dziesięć lat...

GIGANT: ... znów się spotkamy.

BABEL: Niech najstarsze drzewo w mieście...

GIGANT: ...i dusze w nim mieszkające...

BABEL: ...będą świadkami naszej przysięgi.

GIGANT (na melodię): Tak nam dopomóż Bóg!

BABEL (karcącym głosem): Głupi jesteś, Bóg nie ma nic do tego.

GIGANT: I co teraz?

BABEL: Musimy wypić swoją krew.

GIGANT: Jak Nosferatu?

BABEL (ironicznie): Nie, jak Dracula... Głupi jesteś, czy co? Ja z twojego palca, a ty z mojego. Tak, żeby nie został ślad. Babcia mnie zabije, jak się dowie, co robiliśmy.

GIGANT: Ale to obrzydliwe. I niehigieniczne.

BABEL: Ale z ciebie strachopurtek, dawaj palec.

GIGANT: No dobra... ale na raz.

Wkładają palce do ust i wylizują krew.

BABEL: Nie było tak złe.

GIGANT: Słodka jesteś...

BABEL (zawstydzona uderza go w ramię): Głupi jesteś... moja krew jest słodka?

GIGANT: Przecież mówię.

BABEL: A twoja gorzka!

GIGANT: To przez ten twój jad...

BABEL: Mój jad?!

Zaczynają się przekomarzać i bić na niby. Ostatecznie lądują pod drzewem, cali w kurzych piórach. Leżąc, BABEL chwytają jego dłoń.

BABEL: Myślisz, że się spełni?

GIGANT: Wszystko zależy od nas.

BABEL: Chciałabym, żebyśmy zostali tutaj na zawsze.

GIGANT: Ja też.

5. Wczoraj. Droga ze szkoły do domu. *BABEL i GIGANT stoją pod wielką bramą. Czekają na ostatnim przystanku swojej codziennej podróży. Z budy wychodzi stary czarny pies. Podchodzi do*

przez nią dym we własne płuca. Takiego diabła mamy w sobie wszyscy. Choćby małą część. Dziedziczymy po przodkach.

GŁOS (*przedrzeźnia BABEL*): Mam na imię Babel. Żyję trochę we Wczoraj, a trochę w Dziś, bo brakuje mi tchu, aby wejść w Jutro.

BABEL (*zamyka oczy i bierze głęboki wdech*): Kiedy zamykam oczy i biorę głęboki wdech, to czasem słyszę, jak własny cień mnie przedrzeźnia. Nic na to nie poradzę, od cienia nie da się uciec. Można jedynie słuchać.

BABEL (*odwraca się w stronę lustra, które odbija szarość. Z szarości wyłania się jej twarz*).

BABEL: Mam na imię Babel, bo... wszystko mi się pomieszało. Gdziekolwiek pójde, rzucam inny cień. Słyszę więcej, niż bym chciała. A mówię mniej, niż inni oczekują.

GŁOS: Ja ci tylko podpowiadam... jedynie wskazuję ci drogę.

BABEL: Widzę twarz, która nie jest moja. Wyglądam jak ja, ale nie jestem mną. Lustro skrywa coś więcej. Coś, czego jeszcze nie odkryłam. Coś, czego jeszcze nie rozumiem.

GŁOS: Dowiesz się Jutro.

BABEL: Jutro będzie futro.

2. *Wczoraj. Cmentarz. Siedmioletnia BABEL, jej MATKA i BABKA stoją nad grobem. Brzozy mają czerwone korony. BABEL stoi tyłem do grobu, patrzy na drzewa. Wiatr z łowrogo szepcze.*

GŁOS (*do ucha BABEL*): Wkrótce do nich dołączysz.

BABKA: Dej jeszcze tego zielonego. O, o, tu. Tutej. Mówie: tutej. Wskazuje palcem na środek grobu. **MATKA** wspina się na grób i dokłada sztucznych gałązek.

BABKA: Kładź ten znicz. Tam. No obok tego, no... tego zielonego.

MATKA wraca po znicz i kładzie obok wiązanki.

BABKA: No dobre, dobre... Podej zmiotkie.

BABEL nie słyszy, że **BABKA** mówi do niej.

BABKA (*głośnie*): Podej zmiotkie.

BABEL nie odrywa oczu od drzew górujących nad lasem grobów.

BABKA podchodzi do niej, łapie za ramię i potrzęsa z agresją.

BABKA: Ty nyugusie, ty... Słuchej, jak do ciebie godom! Partaczu ty, gnido mała...

BABEL (*patrzy w ziemię*): Przepraszam...

BABKA: Nie ryczże, podej zmiotkie. Nadej się na co.

BABEL wyciąga zmiotkę z prowizorycznego ogródka pod grobem i podaje **MATCE**, która bez słowa wchodzi ponownie na grób. *Zamiata.*

BABKA: Baniok napełnij.

BABEL zabiera baniak i idzie do ujęcia wody. Napełnia i bierze go w obie ręce. *Jest dla niej za ciężki, ale powoli wraca, skąd przyszła. Wiatr rozwiewa jej włosy.*

GŁOS: Nie masz wyboru, musisz jej słuchać. Ale jeszcze chwila, jeszcze momencik...

BABEL: Przestań, przez ciebie jest na mnie zła.

GŁOS: Przeze mnie? Nie robię nic złego.

BABEL: Wiem, ale...

GŁOS: Ale?

BABEL: Ale ona cię nie słyszy. Nie widzi tego, co ja. Mówi, że kłamie, gdy...

GŁOS: Gdy?

BABEL: Nieważne.

GŁOS (*z uśmiechem*): Wracaj szybko, bo będzie tylko gorzej.

BABEL wraca z baniakiem wody. Podaje go **MATCE**, ona myje grób. **BABKA** pod nosem zmawia różaniec. **BABEL** znowu patrzy na poczerwieniałe brzozy. *To, co widzi, wie tylko ona. Wiatr się wzmagą, drzewa szumią.*

BABEL (*do siebie*): Nie boję się was. Nie boję się...

3. *Wczoraj. Stara kawalerka. W pokoju, na dywanie przed telewizorem, siedzi BABEL. W telewizji leci „Jedyneczka”. BABEL śpiewa czotówkę. W progu stoi BABKA.*

BABEL: Jedyneczka, jedyneczka, łyk słoneczka w pochmurny dzień...

BABKA: Wstawej z dywanu, bo wilka złapiesz.

BABEL: Jedyneczka, jedyneczka, smaczna jak malinowy krem...

BABKA: Siadej no do stołu, spóźnisz się do szkoły.

BABEL: Jedyneczka, jedyneczka, każdy w oczach uśmiech ma...

BABKA: Jak nie wstaniesz, oddam ci złemu panu.

BABEL: Jedyneczka, kto nie widział temu żal!

BABKA: Musim rozczesać te kołtuny...

BABEL wstaje i siada przy stole. *Nie rusza kanapki, pije wodę z cytryną i cukrem.*

BABKA: Dej włoski, rozczeszem.

BABKA zaczyna czesać włosy **BABEL**, długie poplątane kosmyki opadają na oparcie krzesła. **BABKA** ciągnie z całej siły, a szczotka co chwilę zatrzymuje się na kołtunie. **BABEL** bezgłośnie grymasi, trzymając szklankę przy ustach.

BABKA: Musim rozczesać, żeby w szkole się z ciebie nie śmieli. Bedo się śmieli, gdy przyjdiesz z kołtunem. (*Zawiązuje gumkę na czubku głowy BABEL, prawie nad czołem*) I jeszcze kokardka.

Z kuchni słychać muzykę. Starszy mężczyzna siedzi przy stole i naprawia zepsute radio. Krzyczy do BABKI.

KACZENIEC: Daj jej spokój, niech już idzie do szkoły. Kolega już pewnie czeka na dole.

Dzwoni domofon. BABKA odbiera i po chwili odkłada słuchawkę.

BABKA: Kolega czeka na dole.

KACZENIEC: Mówiłem.

BABEL wkłada buty i zakłada tornister. **KACZENIEC** śpiewa cicho.

KACZENIEC: Średnie miasta, są takie średnie miasta...

BABKA wchodzi do kuchni i zaczyna tłuc się garami, jakby chciała załuszyć śpiew **KACZEŃCA**.

BABKA: Dej głośnie radio! Słuchać się ciebie nie da.

KACZENIEC (*niewzruszony*): ...w takich miastach mężczyzna czy niewiasta niezwykli są...

BABKA (*z nożem w ręku*): A idźże do tej szkoły już. Tylko wróć na obiad, bo więcej żryć nie dostaniesz.

BABEL: Pa, dziadku!

BABKA: Mówi się: dziadziuś. Dziadek to pod kościołem stoi.

BABEL (*głośno i wyraźnie*): Pa, dziadziuś!

KACZENIEC: ...spokojem tchną przedziwnym takie miasta...

BABKA: Skaranie boskie z tym dzieckiem.

BABEL zamyka drzwi. *Z pokoju słychać końcówkę programu*

D r a m a t

Pareidolia

Katarzyna Skręt

„Ludzie tacy jak my, wierzący w fizykę, wiedzą, że różnica między przeszłością, teraźniejszością i przyszłością jest tylko uparcie obecną iluzją”.

Albert Einstein

BABEL – dziewczyna w wieku 7, 17 i 27 lat; zawsze zbyt poważna jak na swój wiek; widzi więcej niż inni; ma obcość w oczach

GŁOS – obecność przybierająca różne postaci

KACZENIEC – człowiek, który przeżył wojnę

GIGANT – chłopiec w wieku 7, 17 i 27 lat; przyjaciel Babel; ma wyczulone zmysły; lubi cytować postaci z komiksów

BABKA – bardzo prosta kobieta

MATKA – postać niema

MURZYN – pies

HALINA – kura

FRYZJERKA – ma niezwykle zamiłowanie do kultury Wschodu

0. *Jutro*

BABEL: Lustro w zakładzie fryzjerskim nie kłamie. Wystarczy, że usiądziesz w fotelu i zapytasz: kto jest najpiękniejszy w świecie? Zawsze powie prawdę.

Nie lubię patrzeć w lustro.

Od razu widać, kim naprawdę jestem.

1. *Szarość spowija przestrzeń. Jest tylko ona i jej Cień. I lustro.*

BABEL: Mam na imię Babel. Wczoraj mam 7 lat, Dziś mam 17 lat, a Jutro... Jutro mam 27. Łatwiej liczyć czas co dekadę. Jutro będzie futro, tak mówiła moja babcia. Mówiła też: nie patrz w lustro, bo zobaczysz diabła. A przed przejściem przez ulicę łapała mnie za rękę i wspólnie recytowałyśmy: w prawo, w lewo, w prawo, nic nie jedzie, przechodzimy. A po drugiej stronie pachniało pieczonym kurczakiem.

GŁOS: Tak było Wczoraj. A jak będzie Jutro?

BABEL: Pewnie chcecie wiedzieć, czy w końcu zobaczyłam tego diabła. Tak, po wielu latach. Ale nie w lustrze, tylko w kuchni. W łazience. W dużym pokoju. Na balkonie z papierosem. Trzymałam jej rękę na przejściu dla pieszych, wtulałam się w jej futro na cmentarzu we Wszystkich Świętych, wdychałam wydychany



AFRONT Kwartalnik literacko-artystyczny

Siedziba redakcji: 32-332 Bukowno, ul. Wiśniowa 7A
tel. 502 405 437, 668 118 267
www.afront.org.pl, afront.fundacja@wp.pl
Olgerd Dziechciarz – redaktor naczelny
Agnieszka Zub – sekretarz redakcji
Jarosław Nowosad – redaktor

Stali współpracownicy: Marcin Bałczewski, Anna Dominiak, Piotr Gajda, Paweł Garwol, Rafał Gawin,
Paweł Gołoburda (Rosja), Mirosław G. Majewski, Zbigniew Masternak, Kamil Pietrzyk, Marek Probosz (Los Angeles),
Agnieszka Sroczyńska, Joanna Szarras, Agnieszka Żuchowska-Arendt

Okładka: Aleksandra Hońko, Basen, 140 x 100 cm (XI 2018 3)

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania, redakcyjnego opracowania oraz zmian tytułów nadesłanych materiałów.
Teksty kwalifikowane są do druku wyłącznie na podstawie kryteriów czysto literackich. Redakcja nie zawsze i niekoniecznie
w pełni podziela wyrażane w nich poglądy.
Nadsyłane do druku teksty i zdjęcia publikowane są nieodpłatnie.


MAŁOPOLSKA

Projekt realizowany przy
wspieraniu finansowym
Województwa Małopolskiego

Katarzyna Skręt

Rocznik '90. Olkuszanka i – z wyboru – łodzianka. Kulturoznawca, teatrolog, performer. Redaktor wortalu e-teatr.pl. W swoich działaniach łączy elementy teatru dokumentalnego, performansu i tekstu. Debiutowała opowiadaniem „#ciemnagra” w miesięczniku „Śląsk”, publikowała też w magazynie „Helikopter”. Brała udział w Szkole Pisania Sztuk prowadzonej przez Artura Pałygę i w Czarnych Warsztatach Pisania Prozą organizowanych przez Wydawnictwo Czarne. Otrzymała II miejsce w kategorii „Kryminał dzisiaj” w konkursie na opowiadanie kryminalne lub sensacyjne „Stulecie polskiego kryminału”.

Agnieszka Sroczyńska

Patrz noty w części: Poezja.

Grażyna Stachówna

Teoretyk i historyk filmu, profesor. Ukończyła polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim. W 1994 w Instytucie Filologii Polskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim uzyskała tytuł doktora habilitowanego na podstawie rozprawy „Roman Polański i jego filmy”; w 2003 r. otrzymała tytuł profesora belwederskiego nauk humanistycznych. W Instytucie Sztuk Audiowizualnych Uniwersytetu Jagiellońskiego wykłada historię filmu powszechnego, analizę dzieła filmowego oraz krytykę filmową, prowadzi seminaria magisterskie i doktoranckie. Członkini Polskiej Akademii Nauk w Komitecie Nauk o Sztuce. Mieszka w Krakowie.

Maksymilian Truteń

Wywiadowca bez dorobku, ale z pasją. Z potrzeby chwili także rysownik.

Radostaw Wiśniewski

Urodzony w 1974 r. w Warszawie. Poeta, krytyk literacki, współzałożyciel i redaktor naczelny kwartalnika „Red” (2006–2013). Absolwent UJ w Krakowie; ponadto studiował w Opolu i Toronto. Współzałożyciel i aktywny członek działającej w Brzegu grupy poetyckiej Stowarzyszenie Żyjących Poetów. Był jednym z głównych twórców wydawanego przez tę grupę w latach 1998–2004 artzina „BregArt”. W latach 2002–2003 był stałym współpracownikiem pisma „Undergrunt”; w latach 2000–2001 naczelny i jedyny redaktor „Informatora Kulturalnego Opolszczyzny”. Od 2015 redaktor reaktywowanego artzina „Nowy BregArt”. Jest laureatem wielu wyróżnień i nagród literackich, między innymi Literackiej Nagrody Młodych im. Marka Jodłowskiego (1999), Ogólnopolskiej Literackiej Nagrody Młodych warszawskiego oddziału ZLP (1999), a także Nagrody Marszałka Województwa Opolskiego dla animatorów kultury (2008), Stypendysta Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w roku 2004 oraz w roku 2016. Był inicjatorem akcji artystycznych pod hasłem „Poeci dla Tybetu” (w latach 2010 i 2015). Autor, m.in.: *Nikt z przydomkiem* (Undergrunt, Toruń 2003), *Albedo* (Zielona Sowa, Kraków 2006), *NeoNoe* (Fundacja Pogranicze, Sejny 2009), *Abdykacja – wiersze zaangażowane i nie* (Muzeum Witolda Gombrowicza, Wsola 2013), *Inne bluesy* (Galeria BWA Olkusz/Biblioteka „Frazy”, Olkusz 2015), *Psalm do św. Sabiny* (Stowarzyszenie Żyjących Poetów, Brzeg 2016), *Dzienniki Zenona Kałuży* (Biblioteka Arterii, Łódź 2017), *Kwestionariusz putinowski i inne medytacje w czasach postprawdy* (Biblioteka Arterii, Łódź 2018), *Palimpsest Powstanie* (e-book, wyd. Fundacja Nowoczesna Polska, Warszawa 2019). Mieszka w Brzegu, pracuje we Wrocławiu.

Roman Wysogład

Urodził się w Krakowie, jak sam pisze: „podobno 20 lipca 1949 roku. Mnie przy tym w każdym razie nie było.” Jako poeta debiutował w 1970 r.; jako prozaik – dwa lata później. Był współzałożycielem Grupy poetyckiej 848. Wydał: *Przekrętkę* – tom opowiadań (Warszawa 1985), *Moskwę za trzy dni* – powieść (Warszawa 1985), *Obudzonego o zmierzchu* – czarny kryminał (Kraków 1988), *Codziennie i przez cały czas* – powieść (Warszawa 1989), *Dzieci niespecjalnej troski* – opowiadania (1989), *Nie ma w nas ciepła* – opowiadania (1990) oraz powieść *Smutne poranki, radosne wieczory* (2015). Oprócz wyżej wymienionej prozy ukazały się także jego tomiki poetyckie: *Na granicy do niczego* (2008), *Ręczna historia hamulca* (2013), *Poetą nie wypada bywać w każdej chwili życia* (2012), *Wiersze tak zwanego pieruszego kontaktu* (2012), *Na chuj poecie wyobraźnia* (2011), *Prawda bez potwierdzenia odbioru* (2012), *Nie istnieje nic konkretnego poza pustką* (2012), *Rozkojarzone drobiazgi z pogranicza snu i wyobraźni* (2012), *Na skrzyżowaniu siebie* (2013). Poza tym wydał też *Poczet potworów krakowskich* (2014), w którym opisał ponad 130 znajomych oraz miejsc w Krakowie szczególnie mu bliskich, z których większość już nie istnieje. Regularnie, co dwa lata, drukuje nowe teksty w „Twórczości”. Uehonorowano go także nagrodami: im. Andrzeja Bursy (1986) oraz im. Natalii Cal (także 1986) za najlepszy tom opowiadań w kraju (*Przekrętka*).

Rafał Kasprzyk

Rocznik '80. Pochodzi z Kopek. Zakochany bez pamięci w prozie Andrzeja Łuczeńczyka. Zadebiutował w 2018 r. tomem *Interakcje (czyli życie oparte na węglu)*. Wiersze publikował m.in. w „Dzienniku Polskim”, „Odrze”, „Frazie”, „Helikopterze”, „Tlenie Literackim”, „Arkuszach Literackich”, czy kwartalniku mniejszości polskiej na Ukrainie „Krynica”. Laureat wielu ogólnopolskich konkursów poetyckich. Od kilku lat mieszka na bagnach Pojezierza Łęczyńsko-Włodauskiego, gdzie rokrocznie próbuje zgłębić fenomen nagłego pojawiania się niezliczonej ilości komarów. Kończy pracę nad kolejną książką, która nosi tytuł *Dychotomia*.

Zbigniew Masternak

Urodzony w 1978 r. Prozaik, autor scenariuszy filmowych, reportażysta, piłkarz. W 2009 r. ukończył scenariopisarstwo w Krakowskiej Szkole Filmu i Komunikacji Audiowizualnej. Jako prozaik debiutował na łamach „Twórczości” w 2000 r. Pracuje nad autobiograficznym cyklem powieściowym *Księstwo*; w latach 2006–2008 ukazały się 3 księgi: *Chmurotap*, *Niech żyje wolność* i *Scyzoryk*, na podstawie których reżyser Andrzej Barański nakręcił film „Księstwo” (2011). W 2014 r. ukazała się księga czwarta pt. *Nędzole*. Jest autorem noweli filmowej „Jezus na prezydental” (2010), stypendystą „Homines Urbani” w Willi Decjusza w Krakowie (2007) i laureatem Świętokrzyskiej Nagrody Kultury (2011). W 2012 r. został uhonorowany Nagrodą im. Władysława Orkana. Jego książki i opowiadania tłumaczono na języki niemiecki, serbski, bułgarski, rosyjski, białoruski, ukraiński, macedoński, wietnamski i mongolski. Jest kapitanem Reprezentacji Polskich Pisarzy w Piłce Nożnej.

Jarosław Nowosad

Patrz noty w części: Poezja.

Kamil Pietrzyk

Urodził się w 1989 r. Poeta i recenzent muzyczny. Ukończył polonistykę na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach. W 2015 r. ukazał się jego debiut poetycki *Labirynt kretyński* (Fundacji Przyroda i Człowiek). W 2019 r., dzięki stypendium Prezydenta Miasta Zawiercie w dziedzinie kultury dla osób zajmujących się twórczością artystyczną, ukazała się jego druga książka poetycka zatytułowana *Formuła Eden* (wydawca Fundacja Kultury AFRONT). Mieszka w Zawierciu.

Marek Probosz

Urodzony w 1959 r. w Żorach. Aktor, reżyser, scenarzysta, producent filmowy, pisarz i wykładowca. Debiutował na małym ekranie w serialu *Ślad na ziemi* (1978), rok później pojawił się w kinowej adaptacji powieści Emila Zegadłowicza *Zmory* w reżyserii Wojciecha Marczeńskiego. W 1983 ukończył Wydział Aktorski w PWSFTviT w Łodzi. Jego scenicznym profesjonalnym debiutem była komedia Williama Shakespeare’a *Wieczór Trzech Króli* (1984) na scenie Teatru Polskiego w Warszawie. Pod koniec lat 80. wyjechał do Hollywood i zamieszkał w Los Angeles. Okazjonalnie pojawiał się na ekranie; w dramacie wojennym *I skrzypce przestały grać* (*And the Violins Stopped Playing*, 1988) u boku Horsta Buchholza, dramacie Jerzego Skolimowskiego *Ferdynand* (*Fort 13*, 1991) na podstawie powieści Witolda Gombrowicza z Crispinem Gloverem oraz melodramacie *Przygoda miłosa* (*Love Affair*, 1994) u boku Warrenna Beatty, Annette Bening, Katharine Hepburn, Kate Capshaw i Pierce’a Brosnana. W 1993 ukończył wydział reżyserii filmowej w The American Film Institute w Los Angeles. Jest wykładowcą aktorstwa (Visiting Assistant Professor) na Wydziale Teatralnym University of California. Zagrał w ponad pięćdziesięciu filmach, m.in.: *Helter Skelter*, *Śmierć rotmistrza Pileckiego*, *Janosik*, *Prawdziwa historia*, *Rewers*. Polskiej publiczności znany jest również z seriali *M jak miłość* i *Klan*. W USA debiutował jako reżyser i scenarzysta filmem fabularnym *Y.M.I.*, nagrodzonym w 2004 roku na festiwalu *The Other Venice*. Jest autorem dwóch książek: *Eldorado* (2008) i *Zadzwonił, jak cię zabiją* (2011).

Krzysztof Rejmer

Fizyk, tłumacz literatury naukowej, popularnonaukowej i pięknej, poeta. Studiował fizykę na UAM w Poznaniu oraz na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie w 1996 r. obronił pracę doktorską. W latach 1986–2010 pracował na Uniwersytecie Warszawskim (Zakład Teorii Pola i Fizyki Statystycznej, a następnie Katedra Teorii Materii Skondensowanej). Od roku 2010 był wolnym twórcą. Oprócz prac *stricto* naukowych jest autorem licznych artykułów popularnonaukowych, dwóch podręczników fizyki dla liceum, tomiku wierszy oraz drobnych publikacji poetyckich i prozatorskich. Zmarł w 2019 r.

Marcin Rusin (Kreskonauta)

Rysownik. Pochodzi z Tarnowa. Od kilkunastu lat mieszka z rodziną w Perth, w Australii. Rysuje od niedawna.

A u t o r z y › P r o z a

Marcin Bałczewski

Urodzony w 1981 r. w Łodzi. Prozaik, autor książek *W poszukiwaniu straconego miejsca* (2002), *Malone* (2010) oraz *Eva Morales de Nacho Lima* (2013). Tłumaczony na norweski, niemiecki, angielski i białoruski. Nominowany do nagrody Fundacji Kultury „Promocja najnowszej literatury polskiej” (2007 i 2008). Stypendysta „Dagny” Willi Decjusza (wiosna 2011). Prowadzi serwis Plaster Łódzki; sekretarz redakcji „Tygła Kultury”. Mieszka w Łodzi.

Bożena Boba-Dyga

Poetka, pisarka, artystka intermedialna, kompozytorka i wokalistka, konserwatorka dzieł sztuki i designer oraz animatorka kultury. Autorka 9 tomików wierszy i dwóch wyborów oraz płyt z piosenką artystyczną i muzyką improwizowaną. Tłumaczona na 8 języków. Członkini Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, Muzyki Centrum, Związku Polskich Artystów Plastyków, wiceprzewodnicząca Ogólnopolskiej Rady Konserwatorów Dzieł Sztuki przy ZG ZPAP, wiceprzewodnicząca Sekcji Konserwacji Okręgu Krakowskiego ZPAP, twórcza i opiekunka Koła Młodych OK ZPAP oraz założycielka i prezes Fundacji Art Forum, organizatorka Krakowskiego Festiwalu Akordeonowego. Odznaczona m.in. Złotym Krzyżem Zasługi i odznaką Zasłużony dla Kultury Polskiej.

Victor Ficnerski

Urodzony w 1990 r. w Berlinie. Matura we Wrocławiu. Dwa podejścia na Wydziale Nauk Społecznych. Przypadkowe posady, podróże. Publikacje w „Wyspie” i „Fabulariach”. Obecnie przebywa w Lipsku; wykonuje zawód spedytora.

Erazm Furman

Urodzony za późnego Gomułki. Recenzent. Czyta wszystko, co wpadnie mu w ręce, poza wezwaniem do „skarbówki”.

Piotr Gajda

Urodzony w 1966 r. w Tomaszowie Mazowieckim. Poeta, autor książek poetyckich *Hostel* (Łódź 2008), *Zwłoka* (Łódź 2010), *Demoludy* (Mikołów 2013), *Golem* (Mikołów 2014) i *Śruba Archimedesesa* (Łódź 2016). Krytyk muzyczny, współpracownik „Arterii” oraz Gazety Literackiej „Migotania”. Wiersze publikował m.in. w „44”, „Tygła Kultury”, „Opcjach”, „Toposie”, „Frazie”, „Gazecie Wyborczej”, „Odrze”, „Cegle”, „Ricie Baum”, „Czasie Kultury” oraz w pismach internetowych, m.in. „sZAFa”, „Helikopter”, „Fragment”, w antologii łódzkich debiutantów *Na grani* (Łódź 2008) oraz w antologiach: *Pociąg do poezji. Intercity* (Kutno 2011), *Węzły, sukienki, żagle. Nowa poezja, ojczyzna i dziewczyna* (Kutno 2013), *Przewodnik po zaminowanym terenie* (Wrocław 2016), *Ani ziemia jałowa, ani obiecana / Weder wüstes Land noch gelobtes* (Dom Literatury w Łodzi, 2016). W 2018 r. ukazał się tom wierszy *To bruk* (Dom Literatury w Łodzi i Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Łodzi). Laureat Nagrody Otoczaka 2014. Stypendysta Funduszu Popierania Twórczości ZAIKS w roku 2016. Jego wiersze przetłumaczono na język niemiecki. Prowadzi bloga Hostel – <http://pgajda.blogspot.com/>.

Paweł Gołoburda

Były sekretarz redakcji miesięcznika „Lampa”. Jako rosyjski korespondent „Afrontu” przedstawia czytelnikom m.in. najciekawsze zjawiska tamtejszej sceny post-punk.

Małgorzata Kanikuła

Urodzona w 1962 r. w Krakowie, studiowała iberystkę (dyplom 1986 r.) i historię sztuki, pracowała w Gabinetie Rycin Muzeum Narodowego w Krakowie, w Wydawnictwie Literackim (1988 r.), w DESIE na ul. Św. Jana 3, od 1994 r. pracuje w Muzeum Fotografii. Publikowała miniesejse o fotografiach w „Biuletynie Fotograficznym” i w miesięczniku „Kraków”. W dzieciństwie jeździła do Maroka, gdzie ojciec pracował jako lekarz, po maturze wyjechała do Hiszpanii, gdzie mieszkała przez 9 miesięcy w Granadzie. Podróże te wywarły wielki wpływ na jej wyobraźnię i upodobania literackie.

Fundacja Kultury AFRONT

Zbieramy pieniądze na Chatę Artystyczną Fundacji Kultury AFRONT

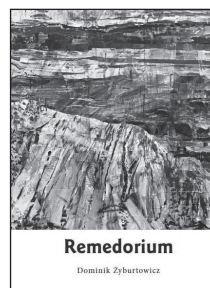
Zdążyliśmy się przyzwyczaić, że jesteśmy bezdomni. Da się tak żyć, a nawet prowadzić fundację kulturalną, ale ile można?! Nie mamy dużych wymagań, byle starczyło na kwartalnik literacko-artystyczny, od czasu do czasu na jakąś książkę poetycką, z rzadka nawet na obszerniejsze wydawnictwo prozatorskie. Ale ostatnio zaczęliśmy marzyć, bo kto zabroni marzyć, nawet takiej małej fundacji, jak nasza? Chcielibyśmy mieć coś własnego, ale nie tylko dla siebie, bo jak napisaliśmy wyżej, jakoś dajemy radę; chcielibyśmy mieć dom, najlepiej jakąś starą, tradycyjną chatę, w której moglibyśmy gościć poetów, prozaików, malarzy, czyli artystów, którym brakuje miejsca do pracy twórczej. Znamy ten problem z autopsji: dom, praca, rodzina, obowiązki... A gdzie czas na twórczość, gdzie miejsce, w którym można by zostać sam na sam ze sobą i móc dokończyć rozgrzebaną powieść, dopisać kilka wierszy do przygotowywanego od lat, ze znojem i trudem, tomu poetyckiego, namalować kilka awangardowych obrazów? Chcielibyśmy mieć miejsce, w którym będziemy mogli organizować spotkania autorskie, kameralne koncerty, spokojnie pracować...

Taka chata, z niewielkim splechciem ziemi, w mniej uczęszczanym turystycznie, niezbyt atrakcyjnym miejscu w Polsce kosztuje co najmniej 150 tysięcy złotych. Pomóżecie nam uzbierać taką kwotę? Sami nie zasypiamy gruszek w popiele, staramy się o środki, ale łatwo nie jest, oj, nie jest! Wierzymy, że z Waszą pomocą uda nam się stworzyć Chatę Artystyczną Fundacji Kultury AFRONT. Razem można wiele. Razem można przenosić góry! Wierzymy – bo gdybyśmy nie wierzyli, nie organizowalibyśmy tej zbiórki – że powstanie takie miejsce, że jest to możliwe.

Jeśli się nie uda, zebraną kwotę przeznaczymy na cele statutowe naszej fundacji, w tym wydawanie kwartalnika „Afront”, wydawanie tomów poetyckich i książek prozatorskich.

Liczmy na Was i – do zobaczenia w naszej Chacie Artystycznej. Przecież marzenia się spełniają!

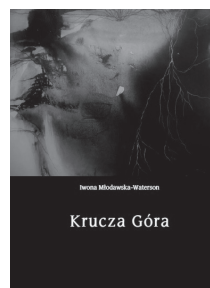
<https://zrzutka.pl/ph73ww>



15 zł + 9 zł koszty przesyłki



25 zł + 9 zł koszty przesyłki



15 zł + 9 zł koszty przesyłki



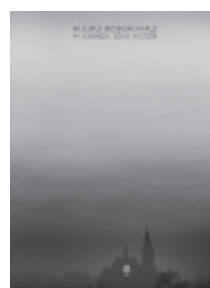
15 zł + 9 zł koszty przesyłki



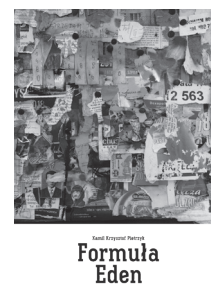
40 zł + 9 zł koszty przesyłki



30 zł + 9 zł koszty przesyłki



30 zł + 9 zł koszty przesyłki



15 zł + 9 zł koszty przesyłki

Wesprzyj nas!

Fundacja Kultury AFRONT
NIP: 637-21-98-591
REGON: 365383662
KRS: 0000636325

Nazwa banku: Bank Pekao SA

Numer rachunku bankowego: 08 1240 4966 1111 0010 7028 1339

Na rachunku prosimy o podanie informacji, na jaki cel wpłacają Państwo daną kwotę, np.:

- cele statutowe Fundacji,
- zakup kwartalnika „Afront” (nr...),
- zakup książki (podać tytuł książki wydanej przez Fundację).

Fundacja Kultury AFRONT – kontakt:

32-332 Bukowno, ul. Wiśniowa 7A

tel. 502 405 437, 668 118 267; e-mail: afront.fundacja@wp.pl

Spis treści

Proza i inne

Fundacja Kultury AFRONT	198
Noty autorskie	197
Kreskonauta – rysunek	194
Katarzyna Skręt – „Pareidolia” – dramat	193
Anegdoty literackie	182
Roman Wysogład – „Nieznana, krakowska karta Alberta Einsteina” – proza	181
Roman Wysogład – „Instrukcja dla adeptów baletu i reszty hołoty. Sto opowiadań o niczym szczególnym (początek)” – proza	180
Zbigniew Masternak – „Filmowcy o PRL-u” (recenzja: Piotr Czerkawski, <i>Drżące kadry</i> , Wydawnictwo Czarne 2019)	177
Zbigniew Masternak – „20 LAF minęło” – wspomnienie	176
Krzysztof Rejmer – „Szaro” (Georg Trakl) – opowiadanie	174
Victor Ficnerski – „Tanger – Lipsk”, „MICROWELLEN TERROR DEUTSCHLAND”, „GEISBLERSTRASSE 4”, „BMW WERK 7.10.”, „MAXI” – opowiadania	168
Grażyna Stachówna – „Miłość w Jańciolandzie” – esej	165
Radosław Wiśniewski – „Polin. Po marginesach” – esej	159
Nasz stały korespondent z Hollywood – Marek Probosz – „Instykt nowicjusza” – felieton	155
Piotr Gajda – „Pańskie oko” – felieton	154
Bożena Boba-Dyga – „O zaletach małych piersi” – felieton	152
WYWIAD. „KASPRZYKÓWKI, czyli tarasowe rozmowy o literaturze” – z Krzysztofem Bieleckim o powieści <i>Nóż</i> rozmawia Rafał Kasprzyk	151
WYWIAD. „Tylko z dobrą literaturą, z dobrze skomponowanym spektaklem mam prawo stanąć przed widzem i grać” – mówi prof. Stanisław Górka w rozmowie z Agnieszką Sroczyńską	144
ROSYJSKI WYWIAD. „Jak nie zostałam archeologiem. Wschodząca gwiazda rosyjskiej sceny synth pop Karina Abdulkajumowa z Petersburga opowiada Pałowi Gołoburdzie o swoim solowym projekcie Stereopolina”	139
Maksymilian Truteń – „Piekło było mi pisane!” – z okazji 30. rocznicy śmierci Thomasa Bernharda, z autorem <i>Kalkwerku</i> , <i>Przebranego</i> i <i>Korekty</i> rozmawia Maksymilian Truteń	128
Jarosław Nowosad – „BORYS OBIIT?” (recenzja: Tomasz Organek: <i>Teoria opanowywania trwogi</i> ; Wydawnictwo WAB, Warszawa 2019)	125
Erazm Furman – „Afronty Furmana” (recenzje: Emil Cioran, <i>Zeszyty 1957–1972</i> , tłum. Ireneusz Kania, Aletheia, Warszawa 2016; Claudia Roth Pierpont, <i>Roth wyzwolony. Pisarz i jego książki</i> , z angielskiego przełożył Krzysztof Puławski, Świat Książki, Warszawa 2015; Adrian Carton de Wiart, <i>Moja odyseja. Awanturnik, który pokochał Polskę</i> , tłum. Krzysztof Skonieczny, Bellona, Warszawa 2015; Klaus Merz, <i>W stroju Adama</i> , wybrał i przełożył Ryszard Wojnakowski, Wydawnictwo OD DO, Łódź 2018; Sandor Marai, <i>Dziennik 1967–1976</i> , wybór, przekład, opracowanie, przypisy i posłowie Teresy Worowskiej, Czytelnik, Warszawa 2019)	123
Marcin Bałczewski – „Klasyyczny kant z republiki bananowej” (recenzja komiksu: Carlos Trillo, Roberto Mandrafina, <i>Wielki kant</i> , Element, Warszawa 2018)	118
Marcin Bałczewski – „Batman i ostatnia krucjata” (recenzja komiksu: <i>Powrót Mrocznego Rycerza. Ostatnia krucjata</i> . Frank Miller, Brian Azzarello, John Romita Jr, Peter Steigerwald, Egmont, 2018)	117
Jarosław Nowosad – „Nuty życia” (recenzja muzyczna: Marcelina Gawron, „Notes of Life”, nagrano w Monochrom Studio)	116
Anegdoty literackie	114
Małgorzata Kanikuła – „Czy lubi Pani Brahmsa?” – esej o fotografii	113
Kamil Pietrzyk – Recenzje muzyczne: Różni wykonawcy – Janerka Na Basy i Głosy; Jon Anderson – 1000 Hands: Chapter One; Opeth – In Cauda Venenum; Prince – Originals; Tides From Nebula – From Voodoo To Zen	111
Galeria AFRONTU – Aleksandra Hońko	106

AFRONT

kwartalnik literacko-artystyczny

Nr 3(9)

2019

ISSN 2543-0401



PROZA